

The image is a book cover for 'MIROSLAV ŽAMBOCH BEZ LITOŠCI'. It features a close-up of a character's face and upper body. The character has a large, textured, horned helmet and is wearing a dark, leather-like tunic with a prominent red stain on the chest. He is holding a sword with a large, ornate hilt. The background shows a stone building with a dome and a tower. The title 'MIROSLAV ŽAMBOCH' is written in a bold, white, sans-serif font, and 'BEZ LITOŠCI' is written in a larger, bold, white, sans-serif font below it. The overall color palette is dark and muted, with a focus on browns, greys, and the red stain.

MIROSLAV ŽAMBOCH
BEZ LITOŠCI



mluvka sítov

MIROSLAV ŽAMBOCH

BEZ LITOŚCI

przełożył
Paweł Doliński

fabryka słów[®]
Lublin – Warszawa

Copyright © by Miroslav Žamboch
Copyright © by Fabryka Słów sp. z o.o., Lublin 2006
Copyright © for translation by Andrzej Kossakowski

Tytuł oryginału Bez slitováni

Wydanie III

ISBN 978-83-7574-339-5

Projekt i adiustacja autorska wydania
Eryk Górski, Robert Łakuta

Ilustracja na okładce
Vladimir Nenov

Projekt graficzny serii
Szymon Wójciak

Opracowanie okładki książki wg projektu serii „Grafficon”
Konrad Kućmiński

Ilustracje
Dominik Broniek

Redakcja
Ewa Białołęcka

opracowanie wersji elektronicznej
lesiojot

Korekta
Maria Brzyska



Wydawnictwo
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91 691962519



Prolog



Eliza usłyszała skrzypnięcie wahadłowych drzwi i bardziej z przyzwyczajenia, niż licząc na jednego ze stałych klientów, skierowała wzrok w stronę, skąd dobiegał dźwięk. W wejściu stał krępy mężczyzna – przybysz z daleka, sądząc choćby tylko po stroju. Jego twarz ocieniało szerokie rondo kapelusza, a długi płaszcz sięgał aż po kostki i zakrywał pozostałe części ubioru. Pod lewą pachą mężczyzna trzymał zrolowany koc, z którego sterczała długa rękojeść miecza. W pierwszej chwili Eliza pomyślała, że obcy jest niski i ma na sobie jakiś rodzaj munduru z pogrubionymi epoletami, lecz gdy wszedł do środka, dostrzegła swoją pomyłkę. Barczyste ramiona oraz byczy kark sprawiały, że wyglądał na mniejszego niż był naprawdę. Oszacowała jego wzrost na metr osiemdziesiąt z kawałkiem. Kiedy jeszcze mogła sobie wybierać klientów, zawsze decydowała się na wyższych i przystojniejszych, bo z takimi zwykle łatwiej dochodziła do ładu. Obcy ruszył do stolika dla dwojga, blisko kontuaru, po czym bez wahania usiadł, kładąc kapelusz przed sobą. Szybko spojrzała w tamtą stronę. Rysy twarzy miał ostre, kanciasty podbródek i nazbyt duży nos, a zmarszczki w kącikach oczu powodowały, że wyglądał na pochmurnego. Te oczy napełniły Elizę lękiem. Docieklive, bezlitośnie zimne i wyrachowane. Intuicyjnie wyczuła, że obcy właśnie te cechy rozwija w sobie najbardziej. Był niebezpieczniejszy niż mężczyźni, z którymi się przeważnie zadawała, ponieważ tamci nie uświadamiali sobie swego okrucieństwa, a dla tego było ono narzędziem. Chcąc mu się lepiej przyjrzeć, odwróciła głowę i zaraz dotarło do niej, że przybysz to zauważył.

Rozdział 1

Opój i dziwka



Popchnąłem drzwi i wszedłem do środka. Duża sala, której przeciwległe ściany ginęły częściowo w papierosowym dymie, kolisty bar pośrodku, mnóstwo stolików dla dwóch, pięciu, a może i więcej osób, schody na półpiętro z pokoikami „na godzinę” dla pańienek.

Knajpa, salon gry i burdel w jednym. Istnieje na świecie mnóstwo lepszych miejsc, ale też i gorszych. Ze wszystkich obecnych ludzi zauważyła mnie tylko trójka. Podstarzała lafirynda przy barze, szczupły facet w skórzanej kurtce i bryczesach przy jednym z dużych stołów oraz grubasek siedzący w rogu po prawej stronie. Był na wpół łysy, ubranie miał skrojone na miarę i wyglądał na zdenerwowanego. Usiadłem przy małym stoliku, przeznaczonym do obróbki nieśmiałej klienteli. Zdzira ukradkiem się mną interesowała. Kiedyś musiała być dużo ładniejsza, ale wciąż miała w sobie coś, co odróżniało ją od młodszych konkurentek, siedzących na barowych stołkach. Zanim barman postawił przede mną piwo, już to wiedziałem. Jej twarzy nie pokrywała na razie gruba warstwa otępienia, które po jakimś czasie zniszczy całą osobowość, zmieniając życie w wegetację. Ale na pewno z tego powodu nie żyło się jej lepiej. Wręcz przeciwnie. Wyjąwszy z torby małą metalową kasetkę, położyłem ją przed sobą.

Łysol w rogu wstał, po czym z wahaniem ruszył w moim kierunku. To on był odbiorcą.

– Chyba macie coś dla mnie – wykrztusił.

Nie pasował do tej podejrzananej spelunki. Nie mogłem pojąć, dlaczego taki kupiec jak on wybrał na spotkanie jedno z najpodlejszych miejsc w tym mieście. Widać tak sobie wyobrażał konspirację.

Wskazawszy puste krzesło, podsunąłem mu kasetkę i czekałem.

Ignacy Karnsuf, człowiek, który mnie wynajął, utrzymywał, że jego brat na pewno będzie miał klucz przy sobie. Był dla nich czymś w rodzaju rodzinnego talizmanu. Nie mylił się. Łysol zdjął z szyi łańcuszek ze starodawnie wyglądającym kluczykiem, otworzył kasetkę i drżącymi rękami wyjął dwie koperty. Tę zapieczętowaną rozerwał niecierpliwie, nawet porządnie nie sprawdziwszy odcisku pierścienia na wosku.

– Ja bardzo, bardzo wam dziękuję! – krzyknął niemal, gdy już skończył czytać.

– Zamiast podzięki przeczytajcie, ile mi się należy – zachęciłem go, pokazując na drugą z kopert.

– Co? Sześćset dziesięć dukatów? Chyba nie mówicie poważnie! Tyle nie zarobię nawet przez rok! – wybuchnął, rzuciwszy uprzednio okiem na tekst.

Skąpstwo pasowało do niego bardziej niż wdzięczność. Wzruszyłem ramionami.

– Umowa to umowa.

Według mnie sześć setek i jeszcze dycha było adekwatnym wynagrodzeniem za dwa tysiące kilometrów przejechanych z bandą obcych facetów na karku.

– Mogliście przerobić kwotę i sfałszować list! – zaczął kipieć.

– Fakt, mogłem – zgodziłem się – ale równie dobrze mogłem tę kasetkę korzystnie odsprzedać ludziom, którzy mnie ścigali. Myślę, że dobrze znacie ich chlebobawcę.

Nie miałem ochoty się z nim handryczyć. Przez minione dwa miesiące coraz mocniej docierało do mnie, że moment uregulowania długów jest już bliski. Od piętnastu lat wyobrażałem sobie tę chwilę, przez co stałem się jeszcze bardziej nerwowy. Pieniądze, które chciwus Karnsuf był mi winien za doręczenie przesyłki, stanowiły ostatnią ratę.

– Żądam natychmiastowej zapłaty, bo inaczej to zabieram – powiedziałem twardo.

– Takich pieniędzy nie noszę przy sobie, musimy pójść do banku – rzekł prędko.

Coś w moim głosie przekonało go, że mówię serio. I miał rację.



Niedługo potem byliśmy w banku. Zostałem sam w pokoju przyjęć, czekając, aż Karnsuf załatwi sprawę z urzędnikami. Ze strzępów rozmowy zrozumiałem, że przywiozłem mu poświadczony czek, z którego musiał podjąć pieniądze, żeby mnie spłacić. Po pół godzinie stałem się właścicielem dwóch mieszkań wypchanych złotymi dziesiątkami. Mimo że było już późno, zmusiłem urzędnika, by przyjął moje złoto i przelał tę sumę na inne konto. Miałem szczęście, ponieważ Karnsuf, podobnie jak ja, był klientem Cesarskiego Banku Imperialnego. Wprawdzie oprocentowanie u nich nie należało do najwyższych, a usługi do najtańszych ani najszybszych, ale Cesarski Imperialny miał jedną podstawową i zaletę: był absolutnie niezawodny, neutralny, a za jego wypłacalność ręczył swoim skarbcem sam cesarz.

Złośliwcy twierdzili, że potęga imperium Crambii tkwi nie tyle w sile cesarskich legionów oraz armii poszczególnych wielmożów, co w Cesarskim Imperialnym. I nawet gdy cesarz prowadził gospodarcze wojny z Kompanią Handlową, nigdy nie wpływał na działalność banku. Dzięki niemu imperium stało się stacją węzłową, przez którą wszyscy przepuszczali swoje złoto. Ma się rozumieć, że cesarz na części złota kładł łapę. Według mnie musiał ją mieć bardzo, bardzo długą.

Przekazywanie moich pieniędzy dokonało się nie gotówkowo, tylko przy wykorzystaniu ptaków latających między poszczególnymi filiami banku. Złożyłem odpowiednią kwotę plus dziesięć procent, następnie pofrunął pocztowy gołąb albo wrona z informacją, dokąd pieniądze mają być dostarczone. A gdy dotarł na miejsce, wypuszczono następnego skrzydlatego kuriera z potwierdzeniem. Czas trwania całej transakcji zależał od odległości filii, w której prowadzono rachunek. Dziesięć procent bank pobierał za pośrednictwo oraz powiadamianie o pomyślnym zakończeniu operacji.

Gdy wychodziłem z banku, zostało mi szesnaście dukatów. Myślałem o tej chwili niezliczoną ilość razy, wyobrażając sobie własne szczęście z powodu spłaty długu i odzyskania wolności po całych piętnastu latach. Ale rzeczywistość, jak zawsze, była inna. Czuję tylko pustkę oraz zmęczenie. Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, wróciłem do knajpy.

Mój stolik był wciąż wolny. Usiadłem i prócz piwa kazałem

przynieść flaszkę żytniej. Bezbarwna gorzalka piekła w gardle, a po trzecim głębszym zamiast pustki ogarnęło mnie zbawienne alkoholowe otępienie. Na mój widok dwie wywłoki przy barze zaczęły sobie coś poszeptować. Nie miałem na nie ochoty. Pragnąłem tylko towarzystwa butelki i, być może, jej jeszcze jednej koleżanki.

– Czy można? – starszawa lafirynda stała przy moim stole, przyglądając mi się wyczekująco.

Nie zauważyłem, kiedy podeszła. Albo byłem pijany bardziej niż mi się wydawało, albo zatraciłem ostrożność.

– Dziewczyny są tu zawzięte, nie dadzą ci spokoju, ja to wiem – ciągnęła dalej.

– Nie jestem sam – rzekłem, wskazując na flaszkę.

– Jak mi postawisz drinka, zostawią cię w spokoju. Ja ci się nie będę naprzykrzała.

Brzmiało to rozsądnie. Przypominała wielkiego, smutnego ptaka z oklapniętymi piórami, co to już nie jest w stanie latać i siedzi na gałęzi, która w każdej chwili może się złamać.

Wskazałem jej gestem miejsce i wezwałem barmana. Zamówiła lampkę wina.

Kolejnych kilka głębszych i ostre krawędzie rzeczywistości uległy stępieniu. Chwila, kiedy będzie mi całkiem dobrze, była już blisko.

– Hej, moje dziewczyny muszą zaszuwać, a nie chlać z byle przybłądą!

Dwumetrowy bysio z wylewającym się spoza grubego paska brzuchem położył mi rękę na ramieniu. Jak się przy mnie zjawiał, tego też nie wiedziałem. Z jednej strony był to powód do obawy, ale z drugiej... co mi tam. Dług spałcony, reszta nieważna.

– Słyszałeś, nicponiu? – warknął, skrapiając mi twarz obfitą porcją śliny.

Jego dłoń próbowała ścisnąć mnie za kark, lecz okazała się zbyt mała. Kto wie, może to nie był miejscowy alfons, tylko facet chcący się popisać. Wszędzie są takie typki. Koktajl żytniówki, piwa i zmęczenia nie nastrojał mnie przyjaźnie. W sumie pasowało mi, że się do mnie przychrzana. Oklapnięta prostytutka miała wystraszoną minę.

– Twoje dziewczyny? – powtórzyłem przeciągle, żeby wszyscy

usłyszeli. – Przecież facet, który robi w portki, nie może mieć żadnych dziewczyn. Spadaj, bo inaczej rozkwaszę twój niewyparzony ryj.

Dziwka pobladła, uścisk palców na moim barku się zwiększył, ale wciąż nie było to nic szczególnego. Druga ręka grubasa powoli sięgała po nóż.

– No, krasnalu, tutaj masz już po robocie – dociąłem mu jeszcze.

W tym momencie złapał nóż i wziął zamach. Nazbyt obszerny. Skręciłem tułów, jego ręka ześliznęła się i z mojego ramienia, więc nie chcąc stracić równowagi, musiał się oprzeć o stół. Lewą ręką złapałem go za przegub, po czym zmieniłem kierunek ataku. Zamiast we mnie trafił w grzbiet swojej lewej dłoni, przybijając ją do blatu stołu. Zawył, z niedowierzaniem spoglądając na nóż. Zmieszana z rozchlapanym piwem krew rozlewała się powoli po szorstkim blacie.

– Pomocy, pomocy! – jęknął byczek.

Usiłował wyrwać ostrze z drewna. Udało mu się, chociaż niemal przy tym zemdleł. Chciałem, żeby spróbował czegoś jeszcze, a wtedy wyprułbym z niego bebechy, lecz właściwie ocenił swoje szanse i ustąpił z pola. Nalałem sobie kolejną szklaneczkę.

– Odegra się na mnie. Stłucze mnie, i to porządnie. Może nawet okaleczy – rzekła zdzira.

– Musi udowodnić, że zna się na swojej robocie – przytaknąłem.

Byłem pijany. Mocno pijany, a w takim stanie zawsze czułem się świetnie. Nic mnie nie obchodziło, wszystko mi zwisało.

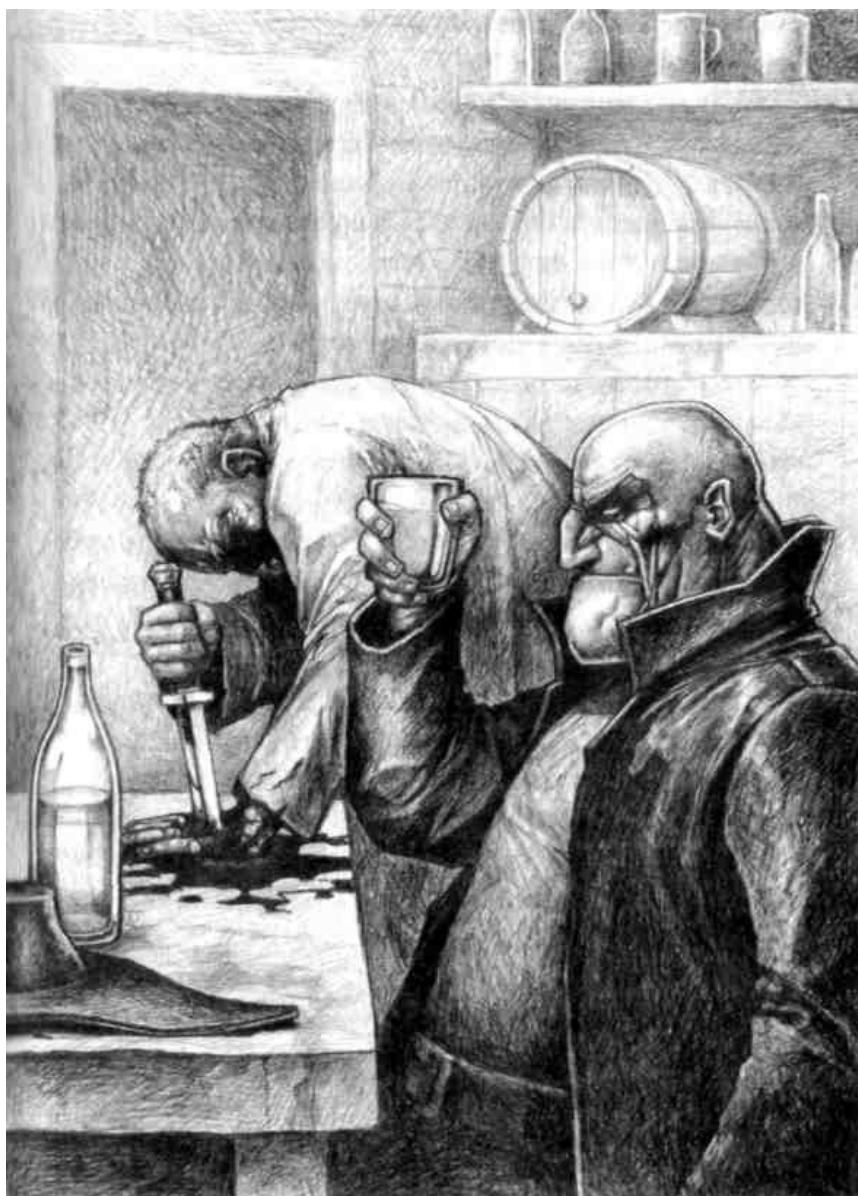
– Być może zakatuje mnie na śmierć – kontynuowała, a tuż pod powierzchnią jej pozornie spokojnego głosu bulgotał strach. Każdy się czegoś boi, ja też.

Wzruszywszy ramionami, pociągnąłem prosto z butelki.

– W ten sposób poprawi sobie reputację – zgodziłem się.

– Tobie to wszystko jedno – stwierdziła. Coraz bardziej przypominała ptaka, który już nie potrafi latać.

– To nie moja sprawa – przyświadczyłem. Przeszyła mnie swymi smutnymi, nieludzko przenikliwymi oczyma, po czym pokiwała głową.



– Będziesz żył dopóty, dopóki będziesz się troszczył wyłącznie

o sobie.

Mimo że nie mówiła głośniej niż przed chwilą, przypominała wiedźmę, którą odwiedziłem dawno temu. Po plecach przebiegły mi ciarki. Wierzę w przepowiednie, ale wygłaszający je ludzie napawają mnie zgrozą, ponieważ są na pół czarownikami.

– Ubiłem dobry interes i żeby nie spłoszyć szczęścia, zawsze dzielę się z kimś zyskiem – rzekłem, kładąc przed nią złotą dziesiątkę.

To prawda, lecz jednocześnie chciałem przekupić los, o ile był ukryty właśnie w przepowiedni tej starzejącej się kobiety. Za ten pieniądz mogłaby opłacić faceta, który raz na zawsze załatwiłby grubego olbrzyma. Wstałem i wyszedłem z flaszką w ręce oraz zawiniętym w koc mieczem pod pachą. Katzbalger w pochwie przytroczonej do pasa uwierał jak zawsze. Teraz nawet bardziej niż zwykle. Tuż po przyjeździe wynająłem dla konia przyzwoitą stajnię, a na szukanie pokoju w zajeździe jakoś nie miałem ochoty.

Rozdział 2

Ostatnie zlecenie



Ranek był ponury i obolały. Cóż, tak już bywa po wieczorze z gorzałką i nocy spędzonej w stajni. Opłukałem się na podwórzu zimną wodą z poidła dla zwierząt, zostawiłem stajennemu miedziaka za pobudkę, po czym poszedłem obejrzeć Ribenod. Owinięty kocem miecz zabrałem ze sobą. Żeby nie wzbudzać zbędnej ciekawości, wystającą część pochwy i rękojeści okryłem kawałkiem materiału, a koc ściągnąłem dwoma rzemykami i przywiązałem do pasa. Nie było to zbyt wygodne, ale, prawdę mówiąc, nie istnieje sposób wygodnego noszenia tak długiej broni.

Ribenod to nie byle miescina, tylko stolica hrabstwa Belfont. Spacerowałem ulicami wśród ludzi spieszących do swoich obowiązków, na śniadanie kupiłem sobie na targu gotowaną wieprzowinę ze świeżym chlebem i chrzanem, a do szynku pod gołym niebem wpadłem na dzbanek zimnego piwa.

W południe miałem już powyżej uszu tego próżnowania i nawet przestało mnie bawić podziwianie lśniących granitowych wież hrabiowskiego zamku. W życiu czekałem już wiele razy, ale zawsze był po temu jakiś powód. Teraz mogłem zostać w Ribenod tak długo, jak zechcę. Nic mnie nie ponaglało. Leniuchowałem z dala od zgiełku głównej ulicy, patrząc na połyskliwą wodę w chroniącej zamek fosie. Piwo już dawno straciło swój odświętny smak.

Z ludzkiej ciżby wyłonił się szczupły młodzieniec w bryczesach i skórzanej kurtce. Szedł wprost do mnie. Miał kędzierzawe włosy, a w lewym uchu złoty okrągły kolczyk. Natychmiast przypomniałem sobie, gdzie już go widziałem – wczoraj w knajpie. Wyglądał na nieuzbrojonego, ale sądząc po tym, jak kurtka wybrzuszała mu się na biodrach, pewnie miał co najmniej jeden duży nóż i być może jakiś

rodzaj składanego miecza.

– Ktoś chce z tobą rozmawiać – rzekł oschle.

– Jego pech, bo ja nie mam ochoty na pogwarki – zbyłem go.

Zarozumiały uśmiech zastygł mu na twarzy, lecz po chwili się opanował.

– Dziesięć dukatów za rozmowę. Normalnie tyle się nie płaci typom takim jak ty. Więc może jednak?

Próbował mnie obrazić, lecz szło mu to niespecjalnie. Dziesięć dukatów to dziesięć dukatów. Można za nie mieć trzy noce w przyzwoitym burdelu albo jedną noc orgii w burdelu cholernie nieprzyzwoitym.

– Za pieniądze poszedłbym nawet na audiencję do cesarza – odparłem i ruszyłem za posłańcem.

Dokąd mnie prowadzi, zrozumiałem dopiero wtedy, gdy zasalutowała nam elegancko odziana straż przy bramie zamku. Weszliśmy do siedziby Drexlera Belfonta, pana tego hrabstwa. W przeszłości wyciągnąłem nauczkę, że przynajmniej częściowa orientacja w stosunkach między tymi najpotężniejszymi i najbogatszymi jest bardziej niż przydatna. O hrabim Drexlerze wiedziałem, że przez minione dwadzieścia lat coraz wyżej wspinał się po szczeblach społecznej drabiny, utrzymując w ostatnim czasie bardzo przyjazne kontakty z paroma członkami Rady Gubernatorów.

Tylko naprawdę bogaty i wpływowy człowiek mógł trafić do tak ekskluzywnego klubu. Hrabstwo Belfont ani pod względem obszaru, ani bogactw naturalnych nie mogło się równać lennom wielkich feudałów. Oznaczało to, że Drexler musiał być człowiekiem przedsiębiorczym, a jego bogactwo nie miało źródła w wynajmowaniu gruntów i obowiązkowych dostawach od pańszczyźnianych chłopów. Wszystko to sprawdziłem przed przyjęciem ostatniego zlecenia, które sprowadziło mnie na jego włości.

Przez marmurowe schody i trzy długie, pokryte czerwonymi dywanami korytarze dotarliśmy do przestronnej, luksusowo urządzonej sali, gdzie przewodnik zostawił mnie pod opieką przystojnej kobiety. Była ubrana, z drobnymi wyjątkami, zgodnie z konserwatywną imperialną modą. Konserwatywna nie oznaczała w tym wypadku „nieprzystępna i odpychająca”. Gorset kobiety był ściągnięty tak, że – jak się zdawało – fiszbiny zgrzytają o kość

miednicy, zaś jej piersi wylewały się górą. Gruba warstwa kremów i pudru nadawała jej twarzy, okolonej kędziorami jasnych włosów, lalkowaty wyraz, który dodatkowo podkreślały pełne, umalowane ciemnoczerwoną szminką wargi. Powitała mnie zgrabnym dygnięciem. Była nie damą, lecz służącą. Od razu widać, że małżonka pana tych włości zna się na rzeczy, a kobiecy personel musi na siebie zarobić na mnóstwo rozmaitych sposobów. O nic nie pytając, podsunęła mi stolik z różnymi napojami.

– Czego sobie życzysz, panie? – zapytała lekko modulowanym głosem.

Przyglądała mi się wyczekująco. Jej oczy ciągle były bez wyrazu, nie ujrzałem w nich choćby odrobiny zaciekawienia czy jakiegokolwiek innego uczucia. Lalka doskonała. Pochyliłem się nad ruchomym barkiem. Kieliszki były ze szlifowanego kryształu, trunki w eleganckich karafkach grały wszystkimi barwami, od nieskazitelnej czystej po łagodnie złocistą, a w porcelanowej miseczce kapały się kostki lodu. Poczęstowałem się złotą wódką, sądząc po zapachu i smaku, zrobioną z kukurydzy. W rozważaniach, czy nalać sobie trzecią kolejkę, przeszkodził mi lokaj w zielonej liberii i poprowadził do ogrodu.

Szliśmy alejkami wysypanymi białym piaskiem, mijaliśmy rzędy tuj, starannie formowane ogrodniczymi nożycami cisy, wierzby płaczące i rozłożyste dęby, w których cieniu zbudowano miejsca do biesiadowania. Zatrzymaliśmy się przed niskim, ale obszernym domkiem, schowanym w kępie wiązów.

– Proszę do środka – rzekł lokaj.

Usłuchałem go. Służący został na zewnątrz. W rzeczywistości nie był to dom, tylko zespół łaźni z otwartym atrium pośrodku. Dwie trzecie jego powierzchni zajmowało jeziorko, z którego w jeszcze chłodnym kwietniowym powietrzu buchała para i unosił się nieznaczny odór siarki. Prywatna łaźnia zbudowana wokół termalnego źródła. Pan hrabia lubił luksusy. Spoczywał na leżaku przy wodzie, a jego plecami zajmowała się subtelna dziewczyna. Masowała go z wprawą, raz po raz zmieniając rodzaje masażu. Ujrzawszy mnie, przerwała, lecz po chwili wróciła do swego zajęcia. Jej drobne, ale kształtne mięśnie naprężyły się podczas pracy, a w gorącu, jakie otaczało jeziorko niczym obłok mgły, jej skóra lśniła od potu. A ja się nie pocilem. Wilgotne powietrze bardzo

powoli przedostawało się pod skórzany płaszcz, a poza tym lubię ciepło.

– Ty jesteś Bakly – powiedział mężczyzna, kiedy raczył mnie zauważyć.

Nie było to pytanie, więc milczałem. Gestem ręki dał znać, że masaż skończony, po czym zwinnie wstał z leżaka i narzucił szlafrok, przytrzymany usłużnie przez dziewczynę. Hrabia Drexler Belfont był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną z beczkowatym torsem, kanciastą brodą, bardziej pasującą do pospolitego zabijaki niż arystokraty, i niebieskimi oczyma tonącymi pod łukami krzaczastych brwi. Był łysy i, na ile zdążyłem zauważyć, jego całe ciało było pozbawione owłosienia. Łazienki musiały mieć z nim ciężką robotę. Mimo że żył w wygodach i luksusie, był muskularny w ten szczególnie nieładny, ale przydatny sposób.

Znalazłszy się twarzą w twarz z ubranym człowiekiem, większość nagich czuje się nieswojo, lecz nie on. Przez moment przyglądał mi się badawczo, podobnie jak ja jemu. Podrapał się po znamieniu pod lewą piersią i dopiero potem owinął się szlafrokiem.

– Przyniosłeś pieniądze dla Karnsufa, od jego brata – zarzucił mi. – Wykupiłem jego weksel za tysiąc dwieście dukatów. Ręczył za niego swoim majątkiem, którego cena jest czterokrotnie wyższa.

Wzruszyłem ramionami. Właśnie się dowiedziałem, dla kogo pracowali ludzie, którzy tyle razy usiłowali mnie powstrzymać. A nie robili tego w rękawiczkach.

– Pomogło mu to? – zapytałem. Prawdopodobną odpowiedzią było „nie”. Karnsuf pewnie gdzieś już leżał w płytkim grobie lub „dobrowolnie” przepisał swój majątek. Jednak nie powiedziałem tego na głos, ponieważ są rzeczy, których plebejusz, nawet wolny, nie może rzec arystokracie prosto w oczy.

– Wykupił się dzisiaj. Tę rundę wygrał. Jest kupcem, ja też. Ale uniemożliwienie doręczenia przesyłki to coś innego niż naruszanie cesarskiego prawa, zresztą mojego także. Możesz mi powiedzieć, jak się pozbyłeś moich ludzi? Są bardzo doświadczeni. Zrozumiałbym, gdybyś ich zabił, ale otrzymałem wiadomość, że umknąłeś, a oni wrócają, jak tylko załatwią pewną nieprzyjemną sprawę.

– Za to będzie tych dziesięć dukatów? – nawiązałem do istotnej dla mnie kwestii.

– Dostaniesz je od Albeda przy wyjściu z pałacu – zapewnił.

– Podejrzewałem, że ktoś będzie za mną węszył. Brat Karnsufa mnie ostrzegł. Udawałem, że niczego nie widzę i pozwoliłem im podjechać bliżej. Nad ranem chcieli mnie załatwić, ale ja zwinąłem się już w nocy. Spłoszyłem im konie i zniszczyłem siodła. W ten sposób zdobyłem nad nimi przewagę. W pewnym miasteczku rozbójnicy napadli na miejscowego handlarza. Dołączyłem do niego, twierdząc, że i mnie okradli. No i opisałem jednego z ludzi pana hrabiego. To też ich powstrzymało. Później zmienili konie i znów miałem ich na karku. Jechaliśmy kupieckim szlakiem, który często prowadzi przez las. Przyszykowałem prostą pułapkę i myślę, że któryś oberwał, bo potem jechało ich już tylko siedmiu.

Drexler zasepił się.

– Musieli zabić dwa konie, a trzech ludzi połamało sobie nogi – rzekł sucho.

Trzeba im było bardziej uważać – odparłem, i wzruszając ramionami. – Po tym zamieszaniu miałem nadzieję, że już sobie odpuszczą, ale się zawzięli. A w takim razie domyślałem się, że pójdą na całego i będą się chcieli zemścić. Sam miałem już tego powyżej uszu, potrzebowałem odpoczynku, a ponadto mój koń był zmordowany. Więc zadałem sobie trud i zerwałem most przez Vaken. Wcześniej podpaliłem stodołę, żeby zezłościć wieśniaków, bo zwykle coś takiego skrupia się na obcych. Najbliższa przeprawa była oddalona o dwa dni drogi, co już dla nich było za dużo, więc się im urwałem – opisałem z grubsza swoje zajęcia w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

– Cóż za lekkomyślność, żeby się przyznawać do tego wszystkiego. Wprowadzanie urzędów w błąd, niszczenie cesarskiego mienia. Wszystkie mosty stanowią własność cesarza, o czym chyba dobrze wiesz. Prawdopodobnie by cię nie powiesili, jednak na pewno wsadzili na ładnych parę lat do więzienia – rzekł hrabia, przyglądając mi się w zamyśleniu.

– Z pewnością pan hrabia nie zaprosił mnie tutaj, żeby mi o tym powiedzieć.

Skraplająca się na moim płaszczu wilgoć kapała na ziemię.

– Niektórzy ludzie znają cię pod przezwiskiem Rzeźnik. Dlaczego nie spróbowałaś ich zabić, przynajmniej kilku? – spytał Drexler, wskazując wzrokiem miecz w kocu. – Mówią, że jesteś znakomitym szermierzem i zapaśnikiem.

– To nie było konieczne. Swoje sprawy załatwiam najprościej, jak to tylko możliwe.

Mówiłem poważnie. Na zabijanie zawsze jest czas, a każdy, nawet ten najlepszy, może wtedy ponieść uszczerbek.

Zaczęło mnie ogarniać miłe ciepło. Mogłem tu spokojnie stać choćby cały dzień, ale jeszcze chętniej bym się w tej gorącej wodzie wykapał.

– Podobasz mi się. Miałbym dla ciebie zadanie – przeszedł wreszcie do rzeczy.

Nie byłem zainteresowany żadnym zadaniem i w ogóle niczym, dziwiąc się w gruncie rzeczy sam sobie, że dla dziesięciu dukatów przyszedłem do pałacu. Chyba uznałem to za lepsze od nudnego sterczenia na ulicach. Wziąłem głęboki oddech, żeby odrzucić jego propozycję.

Zgrzytnęły wejściowe drzwi, żwir zachrzęścił i do środka wszedł lokaj w towarzystwie umundurowanego na niebiesko posłańca. W pierwszej chwili nie dotarło do mnie, któż to taki.

– Cesarski Imperialny? – Drexler od razu rozpoznał strój. – Coś pilnego?

– Nie, panie. Klient, do którego przyszedłem, jest gościem pana hrabiego – odpowiedział kurier z godnością.

Mógł sobie na to pozwolić, stał bowiem za nim autorytet największej instytucji finansowej cesarstwa. Hrabia spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Zaskakujesz mnie pod każdym względem, Bakly. Załatw swoją transakcję. Między nami kupcami nieprzeszkadzanie innym w gospodarowaniu własnymi pieniędzmi należy do dobrego tonu.

Jego głos wprost ociekał ironią. Odebrałem od posłańca rulonik z pieczęcią banku, a on natychmiast wyczarował z kieszeni pióro oraz mały kałamarz i przygotował je do użycia. Wiadomość była zwięzła, na szczęście napisana zwykłym, niekaligraficznym pismem, więc przeczytałem ją bez kłopotu. Z powodu zbyt małej liczby skrzydlatych kurierów, bank odłożył na czas nieokreślony realizację mojej transakcji, zresztą wszystkich innych także. Szacowali, że ta sytuacja potrwa miesiąc. Z drugiej jednak strony za opłatą pięćdziesięciu dukatów oferowali usługę specjalną, zastrzeżoną dla bardzo ważnych klientów, a w takim razie pieniądze mogłyby wyjść bezzwłocznie. Uprzedzili jednak, że z tej oferty może skorzystać

tylko kilku pierwszych zainteresowanych. Nie chcąc za wszelką cenę opóźnić ostatniej raty, napisałem, że zależy mi na natychmiastowej wysyłce pieniędzy, zaś opłatę niechaj potrąca z przekazywanej kwoty. Po czym oddałem posłańcowi pergamin i pióro.

Ukloniwszy się na pożegnanie, wyszedł. Drogę znał, najwyraźniej nie był tu po raz pierwszy. Ciekawe, jak mnie znalazł? Niewykluczone, że służący lub major-domus wszystkich szacownych domów w mieście za drobny bakszysz współpracowali z bankiem.

– Jakie zadanie? – wróciłem do tematu przerwanej rozmowy.

Sytuacja uległa zmianie, musiałem zarobić jeszcze pięćdziesiąt dukatów, żeby spłacić brakującą resztę. Niby to niedużo, ale kiedy człowiek nie ma dobrze opłacanej pracy, tylko wciąż ciuła, gromadzenie takiej sumy może potrwać dość długo.

Drexler przespacerował się po dziedzińcu, by się upewnić, czy znowu jesteśmy sami.

– Zależy mi, byś odstawił mojego buchaltera do Cevinu, a potem sprawdź, czy ktoś nie szantażuje mojego syna. Jeśli to prawda, chcę, żebyś go bezpiecznie sprowadził do domu – rzekł spokojnie.

Nad wodę sfrunęła spragniona jaskółka, ale gorąco oraz zapach siarki w ostatniej chwili odstręczyły ją, więc gwałtownie zmieniła kierunek lotu i niczym wystrzelony z procy kamień śmignęła w górę. Propozycja Drexlera brzmiała podejrzanie. Jego syn mógł się znaleźć w niebezpieczeństwie, co może się przytrafić każdemu, także członkowi potężnego rodu. Lecz czemu tak delikatną sprawę, jaką jest chronienie jedyne go potomka, hrabia powierza takiemu najemnikowi jak ja?

Zapytałem go o to wprost. Pokiwał głową, jakby na znak, że spodziewał się tego pytania.

– Cevin to nasz port w Wolnej Strefie. Nasz, czyli długoterminowo wynajęty przez cesarza rodowi Belfont. Prócz nas swoje miasta w Strefie mają cztery dalsze rody, a masa innych czeka na taką sposobność. Wystarczy jakiegokolwiek uchybienie, najmniejszy dowód, że nie wszystko przebiega zgodnie z cesarskimi przepisami, a stracimy ten przywilej. Konkurencja zna moich najlepszych ludzi i zaczęłaby coś podejrzewać, gdybym posłał kogoś z nich. Zwykła kontrola rachunków, jaką od czasu do czasu przeprowadzam w moich dobrach, nie wzbudzi żadnych podejrzeń. Ze szczegółami zapozna cię buchalter Kilian Ochnot, który będzie ci towarzyszył.

Wciąż tu coś nie grało, gdzieś był jakiś haczyk. No, ale tam, gdzie jest haczyk, dobrze płacą. A ja musiałem zarobić ostatnich pięćdziesiąt, właściwie czterdzieści dukatów. Później wszystko będzie już nieważne.

– Jesteś najlepszym człowiekiem do tego zadania. Słyszałem już o tobie i chyba byłbym rozczarowany, gdyby cię dopadli moi ludzie. Zawsze robisz to, za co ci płacą i słyniesz z dyskrecji Drexler – kontynuował wyjaśnienia.

Słynę z dyskrecji, dobre. Z najwyższym trudem zepchnąłem w podświadomość przeraźliwe wspomnienie.

– Przyjmuję. Odstawię buchaltera do Cevinu i będę go pilnował. Ustale, czy ktoś nie grozi synowi pana hrabiego, a jeśli tak, przywiozę go stamtąd do domu. Chcę za to tysiąc dukatów. Dwieście teraz, resztę po wszystkim.

Drexler oderwał wzrok od wznoszącego się nad taflą Wody oparu i spojrzał mi prosto w oczy.

– Nie będę się z tobą targował. Chcę, żebyś teraz i dobrze mnie zrozumiał. Nie zamierzam utracić Cevinu, ponieważ jest dla mnie źródłem dużych dochodów! Gdyby jednak tak się stało, poradzę sobie. Ale za nic nie I możesz dopuścić, żeby się coś przytrafiło mojemu synowi. Wtedy ci nie zapłacę.

Ostatnie zdanie zabrzmiało ostro, jakby poszczególne litery chciał wyciosać w kamieniu. Było dla mnie jasne, że „nie zapłacę” znaczyło coś zupełnie innego. Drexler Belfont groził mi między wierszami, że jeśli coś się stanie jego synowi, całą winę przypisze wyłącznie mnie. Krótko mówiąc, będzie się mścił. Nie obchodziło mnie to, potrzebowałem pięćdziesięciu dukatów. Nie mniej, nie więcej.

– Możesz odejść. Ja za chwilę wyjeżdżam. Albed da ci pieniądze i powie, gdzie znajdziesz Ochinota – rzekł oschle na pożegnanie.

Lokaj wciąż czekał na swoim miejscu, masażystka zniknęła. Bardzo chętnie skorzystałbym z jej usług, ale na moje ciało była chyba za słaba. Wracaliśmy przez park nieco inną drogą, więc znów miałem okazję podziwiania cudzoziemskich, przywiezionych Bóg wie skąd, drzew. Widać ród Belfont rezydował tu kilkadziesiąt, a może i więcej lat, więc park miał czas, żeby się tak pięknie rozwinąć. Przed pałacowymi drzwiami już na mnie czekał znajomy młodzian.

– Masz mi wypłacić dwie setki zaliczki i zaprowadzić do Ochinota – oznajmiłem.

Powątpiewałem w duchu, by tylko na podstawie moich słów wypłacił te pieniądze, jednak bez mrugnięcia okiem zaprowadził mnie do skromnie urządzonego pokoju, gdzie z leżącej na stole metalowej kasetki wyjął dwadzieścia dziesięciodukatówek. Miałem nadzieję zdążyć do banku, by do odsyłanej kwoty dołożyć brakującą pięćdziesiątkę.

– Nie sprawdzisz nawet, czy nie łączę? – spytałem zaciekawiony.

– A po co? Przecież nie próbowałbyś oszukać pana hrabiego. Chyba nie byłbyś tak głupi? – odparł z bezczelnym uśmiechem, po czym zamknął kasetkę.

– Dodaj jeszcze jedną – powstrzymałem go. – Tę, którą mi obiecałeś.

Usłuchał, choć najwyraźniej niechętnie. Potem przeszliśmy do lewego skrzydła pałacu. Korytarze były wyraźnie węższe, ale nawet tutaj nie skąpiono na ściennych ozdobach i dywanach.

– Apartament pana Ochinota – rzekł, wskazując jedno z wielu drzwi. – Obawiam się, że będzie zajęty.

Wzruszywszy ramionami, otworzyłem. Za drzwiami znajdował się pokój, służący jednocześnie za szatnię i przedpokój, oraz następne podwójne drzwi. Nacisnąłem klamkę i wszedłem do sypialni. Na olbrzymim małżeńskim łożu z wysokim baldachimem mały nagi grubasek pochylał się nad rozłożonymi udami śpiącej brunetki. W poprzek łóżka leżała druga kobieta, kaskada jej miedzianych włosów opadała aż na podłogę. Wokół pełno było smukłych butelek wina i kielichów.

Na mój widok grubasek wyszczerzył zęby w uśmiechu, kładąc palec na wargach.

– Zostawcie mi wiadomość, gdzie was znajdę – szepnął i przestał zwracać na mnie uwagę.

Nic dziwnego, bo to, czym się zajmował, było nieskończenie ciekawsze od gapienia się na mnie. Czarnowłosa dziewczyna westchnęła przez sen. Zamknąwszy drzwi, wróciłem na korytarz.

Roześmiany Albed przypominał mi człowieka, któremu rozcięto mieczem twarz od ucha do ucha.

– Często to robi? – zapytałem.

– Dość często – przytaknął, a do jego uśmiechu zakradł się cień

zawiści.

Wkrótce opuściłem pałac, ponieważ miałem do załatwienia mnóstwo spraw: wizyta w banku, zakup ekwipunku i słuchanie knajpianych opowieści, żeby poznać miejscową sytuację i dowiedzieć się, co w trawie piszczy.

Akurat gdy wychodziłem (tym razem kuchennymi drzwiami), przed białymi marmurowymi schodami, prowadzącymi do głównego wejścia pałacu, zatrzymał się powóz zaprzężony w cztery wspaniałe karę konie. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni i różnym krokiem ruszyli po schodach. Jeden był wysoki i chudy. Sądząc po ilości zmarszczek, zbliżał się do sześćdziesiątki. Miał nadzwyczaj długie siwe włosy oraz szpetnie okaleczony nos. Pomimo wieku poruszał się sprężysto i pewnie, jak ludzie, którzy zawsze panują nad własnym ciałem. Gdyby nie podwójna szrama na twarzy, nawet w swoich latach byłby bardzo przystojny. Nie dostrzegłem żadnych klejnotów, ani innych oznak godności, lecz jego ubiór był szyty na miarę z najlepszego materiału. Drugiego mężczyznę widziałem tylko chwilę. Szedł zgarbiony, ze spojrzeniem wbitym w ziemię. Jego oczy wyrażały pustkę. Diabli wiedzą czemu, po plecach przebiegły mi ciarki.

W banku zjawiłem się za późno, przelew już był dokonany, więc nie mogłem podwyższyć kwoty. Musiałem raz jeszcze przesłać pieniądze, oczywiście po uiszczeniu wszystkich opłat. Ale tym razem moja rozrzutność nie przeszkadzała mi nic a nic. Dług został uregulowany raz na zawsze. Pozostawało tylko wykonać pracę, za którą mi zapłacono.

Rozdział 3

Echa i zwiastuny



Chodziłem po mieście, targowałem się w sklepach, a wysiadując po karczmach, słuchałem. Jak na razie nie miałem szczęścia i nie dowiedziałem się niczego użytecznego. Dałem sobie podzelować buty. Wychodząc od szewca, zauważyłem człowieka wciskającego się szybko w szczelinę między dwoma kramikami. Udawszy, że go nie dostrzegam, poszedłem dalej. Śledził mnie. Co więcej, przypomniałem sobie, że już parę razy widziałem go wcześniej. Zapewne łaził za mną od chwili, gdy opuściłem pałac hrabiego. Może był człowiekiem Drexlera, a może nie. Postanowiłem go o to spytać. Stopniowo oddalałem się od najruchliwszych części miasta, zagłębiając się w kręte uliczki, gdzie gnieździł się rzemieślnicy i drobni przekupnie. Cały czas trzymał się ode mnie z daleka. Widać było, że zna się na swojej robocie, bo gdybym go nie zauważył przy wyjściu od szewca, nie miałbym o nim pojęcia. Wyglądał zwyczajnie – chudy młodzieniec w wytartych spodniach i luźnej lnianej koszuli, który, nie mając akurat żadnego zajęcia, włóczy się bezcelowo po mieście.

Szedłem równomiernym krokiem wąską uliczką, prowadzącą zygzakiem między dwupiętrowymi domami, i gdy zniknąłem szpiegowi z oczu, stanąłem we wnęce pozostałej po zamurowanej bramie. W okolicy nie było nikogo, słyszałem więc, jak rytm jego kroków przyspieszył. Po chwili puścił się biegiem. Kiedy mnie mijał, złapałem go prawicą i przyciągnąłem do siebie. Ciosem w żołądek zamierzałem posłać go na ziemię, żeby nie sprawiał problemów, ale sam oberwałem w pierś tak, że niemal mnie zatkało. A przy tym zrobił to bez zamachu, tylko w jakiś zagadkowy sposób skręcił tułów i dwa razy pod rząd kropnął mnie łokciem, aż zaprotestowały zębra.

Pchnąłem go na ścianę. Nie spodziewał się, że to uderzenie będzie tak mocne. Wyrznięwszy odchyloną głową w mur, nieprzytomny osunął się na ziemię.

Z trudem łąpałem oddech, bolała mnie klatka piersiowa. Jak to możliwe, żeby tyle chuchro, ważące nie więcej niż siedemdziesiąt kilo, tak mnie sprąło? Gdybym był trochę mniej krzepki, chyba zrobiłby mi dziurę. Ukląkłem, żeby go obejrzeć i przeszukać. Oddychał szybko i płytko, ale żył. Tuzinkowa twarz, podłużne kości policzkowe, spiczasty podbródek. Ciało gimnastyka albo profesjonalnego tancerza. Pod koszulą, wysoko na boku pod lewą pachą zobaczyłem artystycznie wytatuowane niebieskie C w tarczy stylizowanej na romb. Młody należał do Cieni Nocy, ninjów, opryszków. Jak zwał, tak zwał – był wyszkolonym zabójcą.

W tym momencie wróciły wspomnienia. Nogi się pode mną ugięły, żołądek podskoczył do samego gardła i natychmiast oblałem się zimnym potem. Jeszcze nim zacząłem wymiotować i straciłem kontrolę nad sobą, ujawszy w dłonie głowę skrytobójcy, jednym szarpnięciem skręciłem mu kark.

Godzinę później jako tako doszedłem do siebie. Miałem szczęście, że nikt się tam nie napatoczył, bo inaczej siedziałbym już w więzieniu, tłumacząc się, dlaczego zabiłem na ulicy nieznanego człowieka. Ale i teraz samo spojrzenie na niego starczyło, by zbierało mi się na wymioty, tyle że nie miałem już czym zwracać. Wszystko mnie bolało, w płucach czułem ogień, a w bebeczach lód. Opierając się o mur, pokuśtykałem dalej. Musiałem się napić, napić za wszelką cenę. Nie byłem w stanie obserwować okolicy, byłem zadowolony, że w ogóle się ruszam. Wpadłem do jakiegoś sklepiku, w którym zalatywało stęchlizną, alkoholem i różnymi chemicznymi paskudztwami.

– Pić... Muszę się napić! – wybełkotałem.

A pieniądze? Masz pieniądze? – spytał ktoś. Oczy mi nie służyły, nie widziałem nikogo. Dopiero za trzecią próbą wyszperałem dukata. Wyśliznął mi się z palców, ale brzęknięcia nie usłyszałem. Niewidoczny człowiek wcisnął mi w dłoń kubek i pomógł przystawić do ust. Wypiłem. Po chwili zalało mnie uczucie gorąca w trzewiach oraz ostry zapach ziół.

Ból stępał nieco i z kalejdoskopowego chaosu różnokolorowych płaszczyzn wynurzyła się wykrzywiona twarz starca o owrzodzonej

twarży.

– Jeszcze! – powiedziałem, nadstawiając kubek.

– Zapłać, chłopcze. Ten trunek jest wielce skutecznym, ale i drogim medykamentem!

Wcisnąłem mu w dłoń drugiego dukata. Wciąż dygotałem, a ręce były mi posłuszne tylko częściowo. Zabulgotała ciecz nalewana z dużej, szklanej menzury. Zauważyłem, że kubek jest co najmniej ćwierćlitrowy. Starzec napełnił go aż po brzeg i znów pomógł wypić, żebym się nie pooblewał. Łykałem łapczywie aż do dna, a potem, roztrzęsiony, czekałem. Nareszcie pierwszy alkoholowy kopniak. Paniczny lęk przestał być tak ostry, a w głowie pojawiły się pierwsze myśli. Nieśmiałe i zamazane, ale jednak.

– Kupię flaszkę – zastosowałem się do tej najmądrzejszej.

– Nie chciałbyś czegoś innego? Na marzenia, na zapomnienie, na sen? Gorzałeczka, szczególnie ta moja, jest dobra, ale mam też lepsze rzeczy!

Rozejrzawszy się bystro po swojej mrocznej norze, wyjął skądś mały mieszek i wysypał na dłoń garść żółtawego proszku.

– Po tym będzie ci dużo lepiej. Żadnych problemów, żadnego bólu. Tylko piękne sny, dokładnie takie, jakie sobie zażyczysz!

– Ccco to takiego? – spytałem podejrzliwie, lekko się jąkając. Świat zaczynał wirować.

– Nudrog, absolutna nowość! Kup, to spuszczę z ceny! – zachwalał swój towar staruch.

Przypomniałem sobie zbrukanego wymiocinami trupa z niebieskim C pod pachą i znowu złapały mnie skurcze.

– Zostaw sobie to świństwo – ostudziłem go. – Wystarczy mi ten zajzajer, coś mi już go dwa razy nalał.

Zaskrzeczał coś niewyraźnie, ale walnąłem pięścią w stół, rozdmuchując przy tym po całym pomieszczeniu ten jego durny proszek. Przeszłość wróciła, moje myśli niczym myszy rozbiegły się po wszystkich kątach, a ja znów musiałem wypić. I to cholernie dużo.

Flaszka wystarczyła mi na drogę do zajazdu, gdzie trzymałem konia. Przed drzwiami, już opróżnioną, roztrzaskałem ją o bruk i wszedłem do środka. Byłem pijany, wciąż jednak trzymałem się na nogach. Niebieskie C zmieniło się w inną literkę, nie wzbudzając we mnie już takiego bólu ani strachu. Zapłaciwszy za pokój,

rozejrzałem się po sali. Huśtała się, ale to nie szkodzi, bo i ja się huśtałem, więc byliśmy kwita. Za nic nie chciałem spędzić samotnej nocy, za wszelką cenę potrzebne mi było towarzystwo.

– Gdzie jest ta zdzira? No, ta starszawa, rozmawiałem z nią wczoraj – zagadnąłem szynkarza.

Musiałem powtórzyć pytanie, żeby mnie zrozumiał.

– Nie ma jej – odparł.

Złapałem go za kołnierz, przyciągając do siebie, aż niemal leżał na szynkwasiu, a jego nogi dyndały w powietrzu.

– Gdzie jest?

– Dziś rano znaleźli ją pochlastaną nożem – odpowiedział, unikając mojego wzroku.

Gdy go puściłem, zwałił się na ziemię niczym worek i na wszelki wypadek tam został.

Rozejrzałem się znowu. Zamazany gruby facet z obwiązaną ręką machał do mnie, wykrzykując coś kpiąco. Wyglądało na to, że noc przyjdzie mi spędzić bez towarzystwa, a coś takiego nie wchodziło w rachubę, bo chyba bym zwariował. Załatwiłyby mnie nocne koszmary. Z butelką żytniówki w każdej ręce powlokłem się do pokoju.



Poranna pobudka. Oczy zaciągnięte szarą błoną, a w ciężką głowę ktoś nieustannie walił młotem. Czułem się tak źle, że nawet nie potrafiłem pozbierać myśli, co zresztą nie jest u mnie czymś niezwykłym. Zdjąwszy koszulę, spróbowałem stójki. Za pierwszym i drugim razem zwałem się na bok, przy trzeciej próbie udało mi się oprzeć nogi o ścianę. Stojąc w tej pozycji, zrobiłem jedną pompkę, potem drugą. Przy pięćdziesiątej ręce zaczęły omdlewać, lecz nie dałem za wygraną i ćwiczyłem dalej.



Parę lat temu niejaki Max Psiv, handlarz, wynajął mnie, bym zdobył dowody, że jego konkurent stosuje czarodziejskie sztuczki. Zgodnie z prawami Konwentu, który ściga czarowników i pilnuje, żeby nie urosli w siłę i nie wplątali świata w kolejną przeklętą wojnę, już samo posiadanie magicznego przedmiotu jest zbrodnią gardłową.

Max Psiv miał rację. Jego konkurent dotarł do źródła osobliwych kryształów, które osadzone w przepasce umożliwiały odczytywanie ludzkich myśli. Później okazało się, że za tym konkurentem stoi ktoś potężny. Niezwykle potężny.



Dwieście pięćdziesiąt. Mdlejące ręce. Moje naprężone mięśnie o mało nie pękły. Ramiona i bicepsy, przetkane niebieską siatką żył, wyglądały jak ogromne, poskręcane korzenie starego drzewa. W dłoniach pulsował mi dziki ogień, porównywalny z piekielnym łomotem w głowie. Futryna drzwi była na tyle wąska, że zdołałem ją objąć dłonią. Wprawdzie napompowane krwią palce próbowały odmówić posłuszeństwa, ale po chwili, wisząc w powietrzu, zacząłem się mechanicznie podciągać. Raz, dwa, trzy... Wysięk i związany z nim fizyczny ból ułatwiały mi snuć wspomnienia.



Niewyobrażalnie potężny. Prócz mnie dla Maxa Psiva pracowali jeszcze inni ludzie. Ustaliliśmy, że nitki prowadzą do góry. Dowodów było coraz więcej, a wraz z nimi także kompromitujących materiałów. A potem pojawiły się Cienie. Organizacja, o której mówiło się wyłącznie szeptem. Niektórzy utrzymywali, że pochodzi jeszcze z czasów sprzed wojny, inni zaś, że to zwyczajni doskonale wyszkoleni zabójcy wykorzystywani przez cesarza i członków Rady Gubernatorów do brudnej roboty. A większość była przekonana, że Cienie po prostu nie istnieją, będąc tylko jednym z mitów.

Mylili się.

Ludzie, z którymi pracowałem, znali się na rzeczy. Doświadczeni, nieustępliwi. Jednak na własne oczy widziałem, jak trzech z nich zginęło z rąk jednego tylko Cienia. I to gołych rąk. W końcu go załatwiłem. Potem następnego. Tyle że wtedy wreszcie do mnie dotarło, w co się wpakowałem. Chciałem zniknąć, lecz właśnie polowanie z nagonką było ich specjalnością. Złapali mnie.



Strach wrócił, a ja nie miałem pod ręką ani kropli gorzałki. Sto

dwadzieścia. Palce wyśliznęły się z wyrobionych w starym drewnie zagłębień i upadłem na podłogę. Nabrzmiałe od krwi mięśnie utrudniały jakikolwiek ruch, ale musiałem coś zrobić. Mimo że już nie ćwiczyłem, dygotałem i pocilem się coraz bardziej. Otworzyłem drzwi i zaczepiwszy nogami o ich górną krawędź, zabrałem się do skłonów. Szybko, szybko, żeby ból mięśni, katowanych ponad ich wytrzymałość, w kombinacji z resztkami alkoholu, zdławił strach. Podziałało, zresztą jak zawsze w takich razach. Gdy bicie serca przyspieszyło tak, że już nie odróżniałem jego poszczególnych uderzeń, a oddech stał się krótszy, poczułem się znacznie lepiej. Pomimo to nie przestawałem ćwiczyć. Dwieście, dwieście jeden...



Dorwali mnie po krótkiej walce, w której zabiłem kolejnego opryska. Oberwałem w głowę i na skutek wstrząsu mózgu zapomniałem o kilku sprawach z niedawnej przeszłości, między innymi o tym, gdzie ukryłem najważniejsze kompromitujące materiały. Byli mistrzami zabijania, maskowania, podstępnych ataków przy użyciu najrozmaitszych rodzajów broni. I arcymistrzami tortur. W ich wykonaniu zadawanie bólu było sztuką, nauką. Prosiłem, żebrałem, skamlałem, jęczałem, krzyczałem, obiecywałem. Zrobiłbym wszystko, byle mnie puścili albo zabili; po prostu wszystko, żeby tylko skończyli. Chcieli wiedzieć jedno – gdzie są zgromadzone dowody, lecz ja sam tego nie wiedziałem. Moją obróbką zajął się osobiście ich dowódca.



Trzysta. Mięśnie brzucha odmówiły mi posłuszeństwa. Ześliznąwszy się z drzwi, zrobiłem stójkę. Tym razem nie musiałem opierać nóg o ścianę. I znowu pompki: jeden, dwa...



Po trzech trwających wieczność dniach główny ninja uwierzył, że nic nie wiem i dał mi spokój. Chcąc jednak doprowadzić całą sprawę do końca, postanowili załatwić samego Maxa Psiva. Ja nie czekałem na własną śmierć. Uciekłem im, po czym wkrótce

przypomniłem sobie wszystko i zaproponowałem im wymianę: dowody za bezpieczeństwo mojego zleceniodawcy i jego rodziny. Do dzisiaj pamiętam niedowierzającą minę ich szefa, gdy z tajnej skrytki wyjmował kryształ i całą resztę. Nie potrafił tego zrozumieć. Od tamtej pory jestem facetem, który umie milczeć. Ale też od czasu do czasu ze snu wyrywa mnie własny krzyk, a pościel jest mokra od moczu. Na widok niebieskiego C brakuje mi niewiele, żebym zwariował. Boję się ich, boję się bólu. Nie takiego zwyczajnego, kiedy ktoś dźgnie was nożem albo odetnie rękę. Natura jest mądra, chroni wszystko, co żywe. Ranny doznaje szoku albo od razu umiera. Boję się bólu, jaki potrafią zadać Cienie, zbiry, ninje... Różnie ich nazywają.



– No nie! – powiedział ktoś na schodach. Zrobiwszy dwusetną pompkę, stanąłem na nogach.

Na półpiętrze, przyglądając mi się z niedowierzaniem, stał Kilian Ochnot. Miał na sobie ciemnoczerwony frak ze złotymi guzikami i wysoki kapelusz z szarego jedwabiu. Całość uzupełniały spodnie tego samego koloru oraz buty ze złoceniami. Na kimkolwiek innym taka mieszanka wyglądałaby śmiesznie, ale do niego pasowała jak ulał. Był po prostu figlarnie eleganckim tłuścioszkiem.

– Można by z was zrobić trzech normalnych mężczyzn! W Saxopolis byłem na walkach zawodowych gladiatorów, ale takiego potwora nie widziałem nigdy! Ileż wy, do diabła, ważycie? – wykrztusił zamiast powitania.

Był tak zachwycony, że nawet nie mogłem uznać jego słów za obraźliwe.

– Nie wiem, zdaje się, że sto pięć, sto dziesięć kilogramów. – Wzruszyłem ramionami.

Kiedyś, gdy jeszcze walczyłem, była to moja normalna waga.

Pokręcił głową.

– Nie, nie. Jestem kibicem i dobrze wiem, jak wygląda zawodnik waszego wzrostu, który waży sto dziesięć! To musi być dużo więcej.

Nie spierałem się z nim.

– Ubiorę się i pójdziemy coś zjeść. A przy tym popracujemy – zaproponowałem.

– Dobry pomysł. Dzięki, że wczoraj po południu daliście mi spokój.

Wspomnienie wywołało uśmiech na jego twarzy. Pomiąłem to milczeniem. Umywszy się, przez chwilę szczotkowałem ubranie. Wczorajsze starcie z ninją oraz późniejsze pijackie wałęsanie się po mieście nie dodało mu urody, lecz na szczęście większość plam zakrył płaszcz z bawolej skóry. Wciąż jeszcze czułem żytniówkę i ziołową nalewkę od sprzedawcy narkotyków, ale już tylko jakby z oddali, stłumione przypiływem euforii wskutek ćwiczeń. A ponadto byłem tak głodny, że zjadłbym nawet końskie ściervo sprzed tygodnia.

– Wyglądacie teraz jak mały grubas – ocenił z zaciekawieniem mój wygląd Ochnot, gdy byłem już wystrojony. – Myślę, że zrobicie furorę w „Dagobercie”! – zaśmiał się. – A właściwie czemu się nie utrzymujecie z walk gladiatorów? Z waszą posturą moglibyście sobie wszystkich cesarskich faworytów zamawiać na śniadanie! – powiedział przy wyjściu.

– Ci by się nadali co najwyżej na drugie – burknąłem, ruszając za nim.

Prawdę mówiąc, tamte lata nie należały do złych, wszystko było wtedy znacznie prostsze.

Akurat przechodziliśmy przez knajpę, kiedy przystawił się do mnie tłusty bysio, któremu przybiłem dłoń do stołu. Pewnie liczył na mojego kaca.

– Tę zdziwę ja zabiłem. Darła się przy tym jak świnia! – rzucił mi w twarz.

– A kogo to obchodzi? – odparłem. – Ale jeśli jeszcze raz chuchniesz na mnie swoim smrodliwym ryjem, wtedy wepchnę ci nos tam, gdzie inni mają mózg.

Odskoczył, jakby dotknął rozpalonego pieca.

Restauracja „Dagobert” znajdowała się w najbliższym sąsiedztwie pałacu, niedaleko głównego placu w Ribenod. Fasada była obłożona lśniącymi łupkami, każde okno ozdobił daszek z małą figurką. Pod dwuskrzydłowymi drzwiami, imitującymi pałacową bramę, stali dwaj odźwierni. Przekonawszy się, że towarzyszę Ochnotowi, zrobili kwaśne miny, ale nie protestowali, udając, że mnie tam po prostu nie ma. I całą swoją służalczość skierowali na mojego małego przewodnika.

Po wymianie mnóstwa uprzejmości zostaliśmy wreszcie wprowadzeni i usadzeni przy stole.

– Jakiś aperitif? – spytał Ochinota szczupły młodzieniec, zgięty w ukłonie, jak gdyby w obecności tak dobrego gościa chciał być jak najmniejszy.

– Amontillado – rzekł buchalter.

Nie znałem tego słowa, więc zamówiłem piwo. Byłem coraz głodniejszy i wszystkie te ceregiele zaczynały mnie irytować. Obrzuciwszy mnie nieprzychylnym spojrzeniem, kelner podał nam dwie karty. Spokojnie wystarczyłaby jedna, ponieważ nazwy potraw były napisane po saxopolisku, językiem dość rozpowszechnionym wśród stołecznej i okolicznej śmietanki. Niebawem przyszło moje piwo oraz różowawy likier w małym kieliszku na wysokiej nóżce.

– Panowie już sobie coś wybrali? – zwrócił się kelner do Ochinota, który złożył zamówienie. Sądząc po tym, ile się nagadał, musiał to być obiad z co najmniej siedmiu dań.

– A co tam jest napisane w tej karcie? – zapytałem wprost.

Kelner uśmiechnął się krzywo, po czym zaczął dukać nazwy jednej potrawy za drugą, starając się przy tym, żebym zrozumiał góra co trzecie słowo.

Zaciekawiony Ochinot czekał na rozwój sytuacji. Niewykluczone, że przyszedł tu ze mną, żeby mnie przetestować. A może po prostu lubił dobre jedzenie.

– Proszę mi dać filet z ludzkiej piersi. I niech będzie dobrze wypieczony – rzekłem.

Kelner wzdygnął się, wybałuszając na mnie oczy.

– S... słucham?

– Filet z ludzkiej piersi. A gdybyście go nie mieli, może być udo. Tylko żeby mięso nie było zbyt stare – uściśliłem zamówienie.

Kąciki ust buchaltera zadrgały, a w oczach pojawiły się iskierki.

– W takim razie i ja chciałbym coś innego. Mój przyjaciel mnie zainspirował. Jako danie główne proszę płonący mózdzek. Naturalnie ludzki – wtrącił się do rozmowy.

– Ten wasz – dodałem.

Tego już było za wiele, kelner pobladł i dokądś pobiegł. Wkrótce zjawił się przy nas sam szef. Głowę miał łąsą jak kolano, a czerwone oczka przeskakiwały gorączkowo ze mnie na Ochinota.

– Obawiam się, panowie, że zaszło jakieś nieporozumienie... –

zaczął, najwyraźniej nie wiedząc, co mówić dalej.

– Ach, tylko proszę nie mówić, że nie macie świeżych ostryg – rzekł z udawanym lękiem Ochinot – bo w takim razie musiałbym zmienić całe menu.

Chłopina nerwowo zamrugał i poprosił, żeby jeszcze raz powtórzyć zamówienie. Ochinot wrócił do swego poprzedniego zestawu, tym razem dając sobie spokój z płonącym mózdzkiem, po czym szef z nie mniejszym szacunkiem zwrócił się do mnie. W charakterze głównego dania wybrałem ćwierćkilowy stek, później wieprzową wątróbkę, a na koniec jeleni udziec. Wybór dodatków zostawiłem szefowi kuchni, według jego uznania, prosząc tylko, żeby ich było dużo.

– Znakomicie, załatwiliście go tak, że zapomniał, jak się nazywa! – zachichotał Ochinot po odejściu tamtego.

Na krągłych policzkach robiły mu się przy tym dołeczki. W wypadku każdego innego mężczyzny byłyby to przejaw zniewieściałości, ale on sprawiał wrażenie istoty stworzonej do śmiechu.

Nareszcie przyniesiono pierwsze danie. Dla mnie stek, dla Ochinota nieapetycznie wyglądającą galaretę, jednak on rzucił się na nią ze smakiem.

– Nie znam żadnych szczegółów – powiedziałem z pełnymi ustami – poza tym, że mam was odstawić do Cevinu oraz zapewnić bezpieczeństwo wam i Belfontowi.

Mięso było wysmażone akuratnie, w środku lekko krwiste. Buchalter uśmiechnął się.

– Zgadza się. Co wam wiadomo o Wolnej Strefie? Wiedziałem tyle, że Wolna Strefa jest obszarem na dużym półwyspie we wschodniej części cesarstwa. Półwysep był połączony ze stałym lądem bardzo wąską mierzeją, której pilnowanie musiało być łatwe. Transakcje zawarte w Wolnej Strefie nie podlegały ocleniu. Towar był clony dopiero przy transporcie na stały ląd, a jeśli dobrze pamiętałem, podatek zależał od stopnia czystości ubitego interesu. Więcej nie wiedziałem, bo i nigdy tam jeszcze nie byłem. Opowiedziałem to zwięźle. Tymczasem uporałem się ze stekiem, wyglądając niecierpliwie drugiego dania i drugiego piwa. Pasowało do tego jedzenia.

– Normalnego człowieka zabiłaby taka ilość mięsa – zauważył

buchalter, kiedy przynieśli mi wątróbkę.

– Ja nie jestem normalnym człowiekiem – odpowiedziałem.

Zastanowił się przez chwilę.

– Rzeczywiście, nawet na takiego nie wyglądacie – przytaknął, po czym wrócił do tematu. – Jest tak, jak powiedzieliście, więc tylko to uściśłę. W Strefie – mam na myśli cały obszar Półwyspu Dzwon – można zbić, majątek na rozmaite sposoby. Cesarza to nie obchodzi, porządek utrzymują tam jego lennicy. Ale, ale! – spojrzał na mnie znacząco – jeśli ktoś zechce stamtąd odejść, oczywiście z majątkiem, i zacząć gdzieś indziej w imperium nowe, uczciwe życie, musi wnieść do cesarskiej kasy podatek w wysokości dziewięćdziesięciu: dwóch procent.

Czyli trochę więcej, niż myślałem. Imperator znał się na rzeczy i potrafił zarobić na wszystkim, nawet na przestępcach.

– Jeśli jednak ma bezbłędną i przejrzystą buchalterie – ciągnął Ochnot – wszystkie interesy są legalne i obejmują wyłącznie legalny towar, ewentualnie towar legalnie koncesjonowany, a ponadto o dowolnej porze dnia lub nocy podda się kontroli ze strony cesarskich I urzędników czy też urzędników właściwego lennego pana, wtedy przy opuszczaniu Strefy płaci podatek? w wysokości tylko trzydziestu dwóch procent.

– Legalnie koncesjonowany towar: co to takiego? – zapytałem.

– Towar, którym mogą handlować wyłącznie posiadacze specjalnych koncesji czy też wręcz sam cesarz. Nieczyszczone złoto, niektóre substancje roślinne, niewolnicy. I, rzecz jasna, przedmioty magiczne. Te są przekazywane Konwentowi – wyjaśnił Ochnot i przyjrawszy się uważnie kęsowi na widelcu, kontynuował: – Jednak to jeszcze nie wszystkie powody, dla których Strefa jest tak atrakcyjna. Poszczególne lennicy, gospodarujący na części wybrzeża, mają jeden przywilej: mogą kupować towary, o których pochodzeniu nic nie wiadomo, a nawet te podejrzane, i handlować nimi, przy czym ich zyski przy wywozie ze Strefy nie są obłożone tym dziewięćdziesięcioprocetowym podatkiem. Jednak muszą mieć udokumentowane wszystkie okoliczności takiej transakcji, w tym sprzedającego. Zysk lenników z handlu tak zwanym „szarym towarem” podlega podatkowi w wysokości czterdziestu pięciu procent. Dla innych w Strefie ważne jest to, że wszystko, co kupią od upoważnionego przez cesarza lennika-zarządcy, ma w pełni legalne

pochodzenie. Nie muszę podkreślać, że to jeden z najbardziej lukratywnych rodzajów interesów w Strefie. Tym samym cesarz, nic nie ryzykując, za pośrednictwem swoich lenników ogranicza czarny rynek, a czerpane w ten sposób zyski wprowadza do legalnego obiegu. Sam na tym także zarabia, co oczywiste. Wszystkie podatki uiszczą się w momencie transferu majątku ze Strefy na terytorium cesarstwa.

Trochę to było skomplikowane. Ochnot zamilkł na czas, gdy wokół naszego stołu uwijali się kelnerzy. Wreszcie podano mi ostatnie danie – jeleni udziec. Rzuciłem się na niego z apetytem, jednocześnie usiłując jakoś sobie poukładać w głowie informacje.

– W Strefie przecinają się trzy gospodarki cesarstwa: biała, szara i czarna. Swoje zyski legalizuje tam także świat przestępczy. Co więcej, handluje się na dużą skalę towarami, które w pewnych rejonach cesarstwa są; normalnie dostępne, ale zakazane w innych. Chodzi o niektóre rodzaje narkotyków, broń, szmaragdy. Gdy do tego doliczyć handel z krajami zamorskimi, mamy ogromny, kipiący pieniędzmi kocioł. Trzeba je tylko pozbierać. Czasami na tle olbrzymich zysków między poszczególnymi magnackimi rodami wybucha lokalna wojna. Jedni się wykrwawiają, inni wzbogacą. Bulgotanie pieniędzy powoduje też bulgot w polityce. Niekiedy podejrzewam cesarza o to, że celowo szczuje jednego magnata na drugiego, co potem prowadzi do ich osłabienia – roześmiał się Ochnot.

– Ale jaki to ma związek z naszym zadaniem? – odezwałem się po chwili.

Jeśli chodzi o Strefę, cesarz kontroluje tylko trzy rzeczy: co się z niej wywozi, buchalterie lenników, oraz płacenie podatków. I chyba nie trzeba dodawać, że oszustwa są karane. Bywało, że w obliczu konfiskaty; całego rodowego mienia magnat wolał odebrać sobie życie. Młody pan Belfont oczywiście zdaje sobie sprawę; z tego wszystkiego. Powierzając mu to trudne i odpowiedzialne stanowisko, ojciec obdarzył go wielkim zaufaniem.

– A po co my tam jedziemy? – naciskałem.

Najwyraźniej niechętnie przechodził do sedna. Rozejrzawszy się podejrzliwie, przełknął kęs i spochmurniał.

– Ponieważ sprawozdania za ostatnie cztery miesiące, na podstawie których odprowadzamy cesarzowi podatki, są co najmniej

podejrzane.

– Więc naprawdę jesteście buchalterem – stwierdziłem.

– Tak – przyświadczył, ponownie się uśmiechając. – Pomagam bogatym, żeby stali się jeszcze bogatsi. Z całości dokumentów można wyczytać przepływ pieniędzy. Można się połapać, czy ktoś zaniża obroty, zataja towary, podstawia martwe dusze i mnóstwo innych rzeczy. Moje usługi opłacają się dopiero wtedy, gdy w grę wchodzi naprawdę duże pieniądze. Hrabia Drexler Belfont wynajął mnie z grubsza pół roku temu. Myślę, że już wtedy nabrał jakichś podejrzeń. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało w porządku. Zyski lekko wzrosły, tak jak powinno być w wypadku interesu, który się dobrze kręci. I nie działo się nic szczególnego. Ale gdy przyjrzałem się dokładniej, stwierdziłem, że obroty były znacznie wyższe.

– To znaczy? – przerwałem mu, nabijając na widelec ostatni kawałek jeleniny i wypijając ostatni łyk piwa. Ochintot pogłaskał swój idealnie gładki podbródek i zmrużył oczy.

– Powiedzmy, że dawniej, żeby zarobić dukata, trzeba było coś kupić i sprzedać lub w inny sposób zainwestować pięć dukatów. A teraz osiem, dziesięć, ba, nawet dwanaście.

– A czy przypadkiem rzecz nie w tym, że zarabianie pieniędzy stało się po prostu trudniejsze?

Ochintot dał znak kelnerowi, że kończymy.

– Możliwe. W interesach też bywają gorsze czasy. – Wzruszył ramionami – Tylko że coś mi się w tym nie, podoba. Osobiście uważam, że Belfont junior rozkręcił handel na dużo większą skalę, ale zyski wykazuje tylko częściowo. Co i dla niego, i dla hrabiego Drexlera jest bardzo niebezpieczne.

– Gdyby to wyszło na jaw, zostaliby pogrzebani, kto wie, może nawet dosłownie – dodał po krótkiej przerwie.

– Albo też ktoś złapał juniora za gardło i żyje na koszt rodzinnego przedsiębiorstwa – przypomniałem sobie słowa Drexlera.

Przytaknął:

– Lub też go oszukuje ktoś bardzo sprytny. Jadę, żeby bezpośrednio na miejscu przejrzeć papiery, a wy macie chronić młodego pana, gdyby wasza gardlana teoria okazała się słuszna.

Bez żadnego uzgodnienia wstaliśmy jednocześnie od stołu.

Ku memu zdziwieniu zamiast zapłaty Ochintot pożegnał się tylko

przyjaźnie z obsługą. Gdy go o to spytałem, wyjawiał, że jako stały gość ma otwarty rachunek.

Razem poszliśmy do pałacu. On po dokumentację i swoje notatki, ja – by przygotować rzeczy niezbędne w podróży. Prawdopodobnie Albed wydał odpowiednie instrukcje, ponieważ służba bez szemrania spełniała moje życzenia.

Przede wszystkim załatwiłem sobie znakomitą mapę hrabstwa i okolicy, według której nie musieliśmy podróżować zbyt daleko. Co prawda hrabstwo bezpośrednio nie sąsiadowało ze Strefą, wystarczyło jednak przejechać przez dobra barona Colrika i parę kraików podporządkowanych Konwentowi, zamykających dostęp do Strefy niczym korek w szyjce butelki. Cesarz był wprawdzie suwerennym władcą Imperium Crambii, panując niezliczonej liczbie feudałów, królewiat, którzy z jego łaski pozornie niezależnie zarządzili swymi rodowymi majątkościami, lecz w samym sercu Imperium pozostały obszary, na których musiał uznawać inną władzę – Konwentu. Było tak już od Wielkiej Wojny, czyli mniej więcej od trzystu lat. Od tamtej pory Konwent tropił i niszczył czarnoksiężskie klany oraz ich pogrobowców. Jego wpływy wykraczały poza Imperium, obejmując także większość niezależnych feudalnych włości na kontynencie. W ostatnich latach jego władza i zawziętość, z jaką prześladował zwolenników magii, nieco osłabły, niemniej nikt się nie ważył otwarcie wystąpić przeciwko jego polityce. Pamięć Wielkiej Wojny, która mało nie przywiodła do zagłady wszystkiego, co żywe, po trzech wiekach była nadal zbyt świeża.

Początkowo sądziłem, że pojedziemy konno, lecz Ochnot nie wyglądał na zdolnego do utrzymania się w siodle dłużej niż parę kilometrów. Z hrabiowskiej wozowni wybrałem więc lekki, kryty powóz z dużymi kołami i przesadnie miękkimi resorami. Szeroki kozioł mógł pomieścić dwóch ludzi, chociaż najwygodniej będzie mi tam samemu. Do zaprzęgu wybrałem dwa tęgie wałachy. Co prawda nie umywały się do pięknych, rączych szlachetnych kłusaków, wiedziałem jednak, że zniosą znacznie lepiej wszelkie uciążliwości i niedostatek owsa. Pozostało załadować żywność, jakieś lekarstwa, rzeczy do spania pod gołym niebem oraz inne drobiazgi konieczne do biwakowania. Stajenny zapewnił mnie wprawdzie, że cały czas pojedziemy cywilizowanymi obszarami, lecz doświadczenie nauczyło mnie liczyć przede wszystkim na siebie. Rozejrzałem się za

Albedem, żeby mi dał końskie papiery, ponieważ bez nich w żadnej faktorii nie wymienilibym zwierząt na nowe. Znalazłem go na korytarzu przed hrabiowskim gabinetem, debatującego z mężczyzną w czerni. Nieznajomy miał na sobie czarne buty z cholewami z miękkiej skóry, czarne jedwabne spodnie, czarną kurtkę ze stójką zapiętą wysoko pod szyją. Tkanina, na oko grubsza od zwykłego jedwabiu, nie rzucała żadnych odblasków. Mężczyzna miał włosy przycięte na jeża. Stał z jedną nogą lekko wysuniętą do przodu, niczym baletmistrz szykujący się do zrobienia obrotu.

– Pan hrabia wyjechał wczoraj rano w pilnej sprawie. Nie powiedział mi, dokąd. Wróci za dwa dni – usłyszałem Albeda.

Sądząc po tonie głosu, powtarzał to już któryś raz. Szedłem cicho, ale gdy zbliżyłem się na odległość paru kroków, mężczyzna się odwrócił. Wbiła się we mnie para szarych, beznamiętnych oczu. Jego płaska twarz, bez choćby jednej wyraźniejszej linii, przypominała nieoheblowany bezosobowy klocek. Odwracając się, nieznacznie skrzywił czubek wysuniętej nogi. Wciąż był przygotowany na piruet, tyle że teraz mógł go wykonać w dowolną stronę. Stłumiłem przyływ mdłości. W wyświechtanym płaszczu wyglądałem jak koniuch albo furman, więc jego oczy prześliznęły się po mnie bez oznak zainteresowania.

– W takim razie przyjdę tu jutro rano. Może pan hrabia przypadkiem wróci wcześniej – odparł i bez pożegnania ruszył w stronę wyjścia. Idąc, rozcapierzał palce, a jego dłonie rozcinały powietrze niczym klingi. To porównanie było dość trafne.

– Nie pojmuję, jak ten facet wszedł do środka. Przed bramą są wartownicy, którzy mają nie wpuszczać nikogo obcego – pieklił się Albed.

Nawet mu nie próbowałem wyjaśnić, że wartownicy zapewne w ogóle nie zauważyli ninji. Przeszedł koło nich jak cień, zostawiając po sobie tylko powiew chłodu, o którym ludzie mówią, że to tchnienie śmierci.

Zastanawiałem się, czy obecność Cieni ma coś wspólnego z moim zadaniem w Strefie. Doszedłem do wniosku, że raczej nie. Młodzian, którego zabiłem, śledził mnie zapewne przypadkowo, ponieważ prócz Albeda nikt nie wiedział, że pracuję dla hrabiego. Przypuszczalnie nie spodobało mu się, że człowiek mojego pokroju wychodzi z pałacu. Jeśli zaś hrabia z jakiegoś powodu wynajął ninję,

w moim interesie leżało, bym oddalił się stąd jak najprędzej, a właśnie to zamierzałem zrobić. Ale po co sobie jeszcze zaprzętać tym głowę? Na samą myśl o nich znów trzęsły mi się ręce i miałem trudności z przełykaniem śliny.

Doszedłszy do siebie, załatwiłem z Albedem, co trzeba, po czym pospieszyłem do miasta, żeby się napić i kupić zapas gorzałki, po drodze wpadając do apartamentu Ochinota z informacją, że ruszamy za godzinę. Wyjazd wieczorową porą był czymś niezwykłym, lecz nie zaprotestował, tylko przyjrzał mi się wnikliwie. Najbliższe dogodne do przenocowania miejsce było oddalone o dwadzieścia kilometrów.

Rozdział 4

Kto nie zasypia gruszek w popiele



Z ulgą opuszczałem Ribenod, czując się coraz lepiej z każdym pokonywanym kilometrem. Tuż po zmierzchu dotarliśmy do factorii z oberżą. Podczas gdy Ochnot załatwiał kwaterę, odprowadziłem konie do stajni. Powóz zostawiłem na podwórzu, nie wypakowując zeń niczego poza flaszką żytniówki. Kiedy wszedłem do domu, Ochnot wciąż gadał z oberzystą.

– Mają wolne miejsca, wynająłem dla każdego z nas osobny pokój – oznajmił, obrzucając spojrzeniem mój eliksir na dobranoc. – To najpodlejsza gorzałka, jaką sprzedają w Ribenod, głowa będzie was po niej bolała.

– Wiem – wzruszyłem ramionami.

– Do tego jest niedobra, cuchnie niczym końskie szczyny. Nie lubię żytniówki – przyznałem.

To czemu ją pijecie? – Rozmowa najwyraźniej go wciągnęła, nawet oberzysta nasłuchiwał z ciekawionym.

– Żeby zapomnieć – odparłem, szczerząc zęby.

Ten żart był tak stary, że niektórzy już go nawet nie pamiętali.

– O czym? – spytał ciekawski oberzysta, a Ochnot wybuchnął śmiechem.

– Pokój na piętrze, zupełnie na końcu – odparł na moje niewypowiedziane pytanie, gdy tylko jako tako doszedł do siebie.

Idąc po skrzypiących schodach, odkorkowałem butelkę. Ochnot nie kłamał, jego gastronomiczne doświadczenia widać nie ograniczały się do luksusowych lokali, znał także podrzędne szynki dla pospólstwa. Rzeczywiście, gorzałka cuchnęła potwornie. Na ostatnim stopniu pociągnąłem pierwszy łyk. Smakowała tak samo, jak śmierdziała. Trunek w sam raz dla mnie.

Gdy się zbudziłem, było jeszcze ciemno. Jedna flaszka to za mało, dręczyły mnie więc nocne koszmary, gorsze niż zwykle, ale po niedawnym spotkaniu z Cieniami można się było tego spodziewać. Jak zawsze, kiedy zależało mi na wyjściu z depresji i kaca, zacząłem ćwiczyć. Tym razem już przy pierwszej próbie zdołałem utrzymać równowagę, więc zapieranie się nogami o ścianę było zbędne. Akurat stałem na jednej ręce, robiąc pompki, gdy przyszedł Ochnot, żeby mnie obudzić. Zgiąwszy łokieć, odbiłem się i po półobrocie wylądowałem na nogach.

– Piękny numer! – rzekł, bijąc brawo. – Szkoda, że nigdy was nie widziałem na arenie!

Mówił serio. Jego oczy lśniły, był identycznie zachwycony i kontent jak podczas degustacji doborowych potraw, picia luksusowych likierów, ba, miłosnego uniesienia.

– Czeka nas ciężki dzień, więc zamówiłem nieco obfitszy posiłek! – oświadczył.

Na śniadanie były płatki owsiane z miodem, herbata, kawa, świeży chleb z masłem i serem, kiełbasy, a dla mnie półkilogramowy stek. Od razu się na niego rzuciłem. Ja sam nigdy bym nie wpadł na coś takiego.

– Czemu właśnie to? – zapytałem, wskazując mięso.

Zrobił zdziwioną minę:

– Uznałem, że jesteście mięsożerni, czyżbym się mylił?

– Nie, mięso mogę jeść na okrągło. Ale pytam, dlaczego specjalnie dla mnie zamówiliście wołowinę.

– Moja kieszeń nie cierpi, bo żyjemy na koszt hrabiego. A wam chyba zrobiłem przyjemność, co nie? – odpowiedział zaskoczony.

Dziwny człowiek, z zupełnie innego świata niż ten mój, ale z drugiej strony sprawiał wrażenie całkiem sympatycznego. Skończyłem jeść dużo wcześniej niż on.

– Idę przygotować powóz, poczekam na dworze – powiedziałem i wyszedłem na poranny chłód.



Chciałem tego dnia pokonać jak największy kawałek drogi. Siedząc na koźle, od czasu do czasu strzelałem batem nad końskimi grzbietami. Omijałem największe dziury na gościńcu; duże koła

i resory łatwo sobie radziły z mniejszymi. Ochinot siedział albo przy mnie, albo w powozie, zależnie od tego, czy było ma za ciepło, czy zbyt zimno. Jechaliśmy drogą najkrótszą; z możliwych, prowadzącą jednym z kupieckich szlaków. Wkrótce po południu opuściliśmy włości barona Colrika, wjeżdżając na któreś z terytoriów zarządzanych przez Konwent. Przed zbitym z bali domkiem stał żołnierz, ale tylko machnął na nas, byśmy się nie zatrzymywali. Jeden niezaladowany powóz był niewart jego wysiłku. Po dwóch godzinach dotarliśmy do wioski Spił. Była jedyną sadybą, przez którą mieliśmy przejechać przed wjazdem do Strefy. Daleko od pierwszych domostw zatrzymał nas tłum ludzi.

– Przyjdzie wam poczekać! U nas dzisiaj święto! – wyjaśnił mi dobroduszny tłuścioch, który zapewne już! zdążył wysuszyć parę kufla piwa.

– Pójdziemy zobaczyć? – Ochinot wyjrzał z powozu.

Zerknąłem na niebo. Chmurzyło się, ale nie wyglądało na to, żeby miało padać już zaraz. – Czemu nie, przynajmniej się dowiemy, jak długo potrwa przerwa.

Przeciskaliśmy się przez ciżbę. Ludzi było tu więcej, niżbym się spodziewał po takiej pipidówce. W tłumie przechadzali się sprzedawcy obwarzanków, cukierków i innych dobroci, dostrzegłem też przenośny kram z piwem, na żeliwnych rusztach nad otwartym ogniem i piekły się kiełbasy i mięsiwo. Chmury gęstniały coraz szybciej, zdawało się jednak, że nikomu nie są w stanie zepsuć odświętnego nastroju. Centralny punkt festynu znajdował się na wioskowym placu przy drewnianej konstrukcji, o której z tej odległości nie dało się powiedzieć, do jakiego celu służy.

Wreszcie dotarliśmy aż tam. Co się tu dzieje, zrozumiałem znacznie wcześniej niż Ochinot. A kiedy i on się zorientował, poblądł i szczeka mu opadła. Pośrodku otoczonego przez ludzi kręgu stał wielki stos z wbitym palem, do którego była przywiązana młoda kobieta.

Głowę miała zwieszoną, więc nie było widać jej twarzy. Długie, beładnie opadające aż do pasa włosy w ostatnich promieniach słońca lśniły rozmaitymi odcieniami: od rudego, przez miedziany, aż po ciemnokasztanowy. Z prostej sukienki, podkasanej wysoko nad kolana, zostały tylko strzępy. Biel ud ostro kontrastowała z siwoczarnymi krwiami na łydkach. Kobieta miała zmiażdżone

palce nóg, paznokcie wyrwane.

– Co to wszystko znaczy? – wykrztusił Ochiot.

– Dziewczyna, którą ktoś uznał za czarownicę. Złapali ją, zmusili do przyznania i teraz ją spalą – wytłumaczyłem.

– Skąd wiecie, że nie jest czarownicą? – spytał, nie spuszczać jednocześnie wzroku z udreżonego kobiecego ciała przy palu.

– Czarowników już nie ma, zostali wybici co do jednego. Tym kraikiem rządzi Konwent. Mieszkańcy dostają pieniężną premię za każdego pojmanego czarownika lub człowieka posiadającego magiczny przedmiot. Stąd ten festyn – kontynuowałem wyjaśnienia.

Sprawy związane z łapaniem i traceniem czarowników miałem w małym palcu.

Jakby na potwierdzenie moich słów na prowizoryczną trybunę wszedł mężczyzna w urzędowej todze, chwilę później dołączył do niego dobroduszny tłuścioch, z którym już się spotkaliśmy, oraz pięciu skromnie ubranych chłopów, przypominających drwali.

– Ten w todze jest przedstawicielem Konwentu, grubas to chyba wójt, a ta piątka wykryła czarownicę. Teraz dostaną nagrodę: skuteczni myśliwi dla siebie, a wójt dla wioski – tłumaczyłem cicho.

Blady Ochiot milczał. Stało się, jak powiedziałem. Pięćdziesiątka dla wsi, pięć dziesiątek dla myśliwych. Lud wiwatował i klaskał. Zrozumiałem, dlaczego w okolicy jest tak mało uprawnych pól. Pięćdziesiąt dukatów to dwa razy więcej, niż dostaliby od pośredników za dobre plony. Polowanie na czarowników opłacało się bardziej.

– Skąd wy to wszystko wiecie? Nigdy o czymś takim nie słyszałem – zdziwił się Ochiot.

Kat zapalił pochodnię i obchodząc wokół stos, pokazywał każdemu gorejące płomienie. Ludzie wiwatowali. Dziewczyna, najwyraźniej nieprzytomna, nie reagowała. Miała szczęście.

– Pochodzę z okolic Chaabu, gdzie przed Wielką Wojną zamieszkiwał jeden z najpotężniejszych czarnoksiężkich klanów, robiący najlepszą broń na świecie, często ulepszaną magicznymi sztuczkami. Najlepsze miecze i zbroje w imperium powstają nadal u nas. Ma się rozumieć, bez żadnych czarów, uczciwie, ale Chaab, jako były bastion czarowników, jest do dzisiaj otoczony przez pierścień państweczek pod rządami Konwentu. A one, podobnie jak tutaj, pilnują, żeby nic, na co padnie choćby cień podejrzenia

o magię, nie trafiło w niepowołane ręce. Mój ojciec był płatnerzem, dobrym płatnerzem. Dostawał najlepsze zamówienia. I gdy kiedyś pojechał, żeby wykonać kolejne zlecenie, złapali go i okrzyknęli czarownikiem. Za ten zarzut zapłącił któryś z jego konkurentów.

W końcu kat przytknął pochodnię do stosu, wygłodniały płomień liznął suchy chrust między polanami i natychmiast strzelił w górę. Czekający na finał widowiska ludzie przycichli.

– I co się z nim stało? – spytał szeptem Ochinot, podobnie jak pozostali ze wzrokiem utkwionym w buchającym ogniu.

– Spalili go, tak samo jak tę kobietę – odparłem.

Skurczoną postać przykrył na chwilę ciemny tuman dymu. Wiedziałem, że o ile będzie miała szczęście, udusi się, zanim ją osiągną pierwsze języki ognia. Ojca nie spotkało to szczęście, krzyczał więc, krzyczał bardzo długo.

– A czy wasz ojciec naprawdę był czarownikiem? – zapytał wprost Ochinot.

– Czarowników już nie ma, zostali wymordowani – przypomniałem mu. – On był tylko diabło dobrym płatnerzem, być może najlepszym.

Nagle lunął deszcz, który prędko przeszedł w oberwanie chmury. Wyglądało to tak, jakby ktoś w niebie otworzył stawidła. Ludzie pognali do domostw, ja do powozu. Dobiegłem tam po paru sekundach, ale gdybym nie miał płaszcza, przemókłbym do suchej nitki.

Wpakowałem się do środka i we względnie wygodnych warunkach przyglądałem się ulewie. Ochłodziło się i pociemniało, jakby już nadeszła noc. Dopiero po dłuższej chwili uzmysłowiłem sobie, że wciąż nie ma Ochinota. Zakławszy, wbiłem na głowę kapelusz i znów wyszedłem na deszcz. Pod strumieniami wody szerokie rondo natychmiast zmieniło kształt i mój ulubiony kapelusz zaczął przypominać nieforemny kaptur. Nawałnica błyskawicznie rozmywała ziemię tak, że przy każdym kroku zapadałem się głęboko w błotnej mazi. Było jasne, że dzisiaj już nigdzie nie pojedziemy.

Znalazłem Ochinota przy stosie. Dygocząc z zimna, stał zapatrzony przed siebie. Nadpalone polana już nawet nie dymiły, ulewa ugasiła ogień. Dziewczyna przy palu tkwiła wciąż w tej samej pozycji, jej skóra zsiniała od chłodu, a z włosów ściekały całe wodospady, rozmywając zaschniętą na nogach krew.

– Miała szczęście – wyszeptał Ochinot.

Obróciwszy go, popchnąłem lekko w stronę powozu.

– Raczej pecha. Mogła już to mieć za sobą. Jeśli nie umrze w nocy wskutek wyziębienia, spalą ją jutro. Wprawdzie nie z taką pompą, ale dla niej będzie to obojętne – powiedziałem.

Pozwalał się prowadzić niczym baranek. Otworzyłem mu drzwiczki, a sam wgramoliłem się na kozioł. Już i tak byłem mokry, więc chowanie się przed deszczem nie miało sensu.

W oberży, pomimo święta związanego z paleniem czarownicy, mieli wolne miejsca, zatem znów mogliśmy sobie pozwolić na luksus osobnych pokoi.

Przy kolacji Ochinot trochę doszedł do siebie, chociaż wciąż wyglądał na osowiałego. Jego spojrzenie wprawdzie co jakiś czas padało na małe okno, za którym widać było deszczową noc, potem jednak z jeszcze większym zapałem wracał do stojących przed nami talerzy. Jedliśmy przy najmniejszym stole w rogu izby, resztę zajmowali miejscowi, wciąż świętujący łatwy zarobek wioski. Ochinot pił więcej niż zwykle. Ja nie, ale nie byłem podenerwowany, ponieważ w moim saku tkwiła jedna pękata przyjaciółka pełna gorzałki. Tylko że jej kolej miała przyjść tuż przed snem.

– Całe życie byliście buchalterem? – spytałem, żeby przerwać milczenie.

W przepełnionej oberży ten temat wydał mi się całkiem niewinny.

– Aha – przytaknął. – Nie znam ani ojca, ani matki. Kiedy byłem niemowlęciem, dali mnie do klasztornego sierocińca. Myślę, że jestem niechcianym owocem miłości pary arystokratycznych kochanków. Gdyby matka była plebejką, zostawiłaby mnie sobie i wychowała j sama. Ale ja nie narzekam. Każdego roku sierociniec dostawał od nieznanego ofiarodawcy solidny datek na; moje wychowanie. Pobierałem więc nauki i okazało się, j, że mam smykałkę do liczb. W piętnastym roku życia pomogłem zarządcy klasztoru obniżyć podatki, później; z moich usług skorzystało jeszcze paru jego znajomych.; A gdy miałem osiemnaście lat, doszedłem do wniosku,; że można na tym przyzwoicie zarabiać, nająłem się więc i u pewnego kupca w Saxopolis, u którego wykryłem, że jego wspólnik zataja część zysku. Mówiłem już, że pomagam bogatym, żeby byli jeszcze bogatsi.

Odsunął od siebie talerz z niedojedzoną baraniną w kapuście.

– Wybaczcie, ale nie czuję się dziś dobrze. Pójdę spać – rzekł, wstając od stołu.

Siedziałem jeszcze przez chwilę, myśląc o zleceniu w Strefie, jednak wkrótce dałem sobie z tym spokój. Wszystko będzie zależało od sytuacji, jaką tam zastaniemy. Miałem tylko nadzieję, że Ochinot jest rzeczywiście tak dobry, jak mówi, zatem nie zabierze mu to wiele czasu.

W pokoju wypakowałem butelkę i pociągnąłem pierwszy łyk. Gorzalka piekła w gardle, ale w żołądku grzała miło. Siadłem na rozchwierutanym krześle. Było to zwyczajne poddasze z łóżkiem, stolikiem i jednym oknem, większym niż bywają w takich gościnnych pokojach. Przez to nawet ja zdołałbym się przepchnąć. Postanowiłem wpaść do Ochinota, żeby mu przypomnieć o konieczności zamknięcia okiennic i zabezpieczenia ich od wewnątrz, nie chciałem bowiem znaleźć go rano z poderżniętym gardłem. Miejscowi musieli w nas widzieć bogaczy, zaś mały grubasek zdawał się być nader łatwym łupem.

Przeszedłszy ze świeczką w ręce wąski korytarz, zapukałem do pokoju buchaltera, a gdy nikt się nie odezwał, ostrożnie zajrzałem do środka. Owionął mnie lodowaty przeciąg i zgasił świecę. Klnąc pod nosem, zamknąłem drzwi. Ochinot zniknął, prawdopodobnie wyszedł przez okno. Ogarnęło mnie nieprzyjemne przecucie, dokąd się udał. Chciał nas obu wpakować w tarapaty. Wyrzałem na zewnątrz. Światło z oberży rozjaśniało okoliczny mrok, wyraźnie widziałem brudę, którą Ochinot odcisnął w błocie przy lądowaniu. Nigdy bym nie pomyślał, że może być tak odważny. Podczas przeciskania się przez okno otarłem sobie plecy, cóż, z moją posturą naprawdę kiepsko pokonuje się takie otwory. Skoczyłem. Nawet nie starałem się utrzymać na nogach na śliskiej nawierzchni. Zrobiłem kilka koziołków w błocie, podniosłem się i potruchtałem w kierunku stosu. W wielu drewnianych chatach jeszcze się paliło światło, a świece i kaganki wyglądały niczym migotliwe świetliki. Poza tym żadne światło nie przebijało strug deszczu. Dogoniłem Ochinota w samą porę, właśnie zaczął się wdrapywać na stos.

– Stać! To nie nasza sprawa! – syknąłem, ściągając go z powrotem.



– Mogę robić, co chcę! A wy mi w tym nie przeszkodzicie!

– No i co z nią zrobicie? Pójdziecie do tutejszego balwierza, żeby obejrzał jej rany? Ona nie żyje! Nikt i nic jej nie pomoże!

W mroku nocy ledwie widziałem jego ciemną sylwetkę.

– Możemy ją zabrać ze sobą! – krzyknął, żeby się przebić przez szalejącą wichurę.

Deszcz się nasilił, lodowate krople rozbryzgiwały się na mojej czaszce, ściekając po szyi za kołnierz.

– Mamy robotę, za którą nam płacą. Musimy ją wykonać i nie obchodzi nas cała reszta. Pomyślcie o sobie! O tym, co z wami będzie, jak was tu złapią! – perswadowałem, wrzeszcząc przy tym jak on, żeby mnie w ogóle usłyszał.

Między nami a domami zamigotało słabe światło, po czym znikło. Wbiłem wzrok w ciemność. Następny błędny ognik, jakby ktoś próbował sobie oświetlić drogę.

– Znikamy! – krzyknąłem do Ochinota.

W tym samym momencie niebo rozplątała zygzakowata błyskawica, wykrawając z mroku niewyraźne sylwetki trzech mężczyzn brnących przez błoto w naszą stronę. Jeden miał topór, jego kompani myśliwskie kordelasy.

– Schowajcie się za stosem! – nakazałem, po czym ze sterty drewna, przygotowanej do dokładania na wypadek, gdyby ciało płonęło zbyt słabo, wyciągnąłem dwa metrowe polano o średnicy z grubsza sześciu centymetrów. W dłonie wbiła mi się ostra kora oraz resztki po niedbale ociosanych gałęziach. Błyskawice były coraz częstsze, widziałem zbliżających się mężczyzn. Piętnaście kroków, potem przez chwilę ciemność, dziesięć kroków. Pojawiali się i znowu znikali. Rozpoznałem w nich tych, którzy zainkasowali nagrodę za czarownicę.

Prawą rękę trzymałem z boku, żeby widzieli polano, natomiast lewą schowałem za sobą. Topornik kroczył w środku, obok jego przyjaciele z kordelasami. Stałem w lekkim rozkroku. Błotnista maź wszystkich traktowała równo. Szli ostrożnie, niespiesznie. Tuż nad nami zagrzmiało, świat po krótkim oślepiającym błysku pograżył się w mroku, ostry łoskot skaleczył uszy. Rzuciłem się po skosie, uderzając prawą ręką w górę, żeby sparować ewentualny cios. Ktoś jęknął, czyli trafiłem. Natychmiast uderzyłem z lewicy, znowu z powodzeniem.

Seria błyskawic oświetliła okolicę. Jeden z mężczyzn leżał na brzuchu, kawałek dalej jego broń. Trzymając przed sobą oburącz siekiere, topornik z rykiem rzucił się na mnie. Zamach, cięcie. Przy uniku pośliznąłem się, co spowolniło moje ruchy. Gdybym się nie zastawił polanem, szukałbym własnych bebechów w błocie. Nagle drewno nie wytrzymało ciosu i w dłoni został mi tylko spiczasty kołek. Drwał zamachnął się po raz drugi, ale teraz już mu nie ustąpiłem, wręcz przeciwnie, runąwszy w jego stronę, wbiłem mu ostry drewniany grot w szyję. Błyskawica za błyskawicą, świat był raz czarny, kiedy indziej szary i srebrny. Topornik opadł na kolana, ostatkiem sił wyszarpnął kołek, otwierając sobie przy tym tętnicę szyjną. Ciemna krew zbryzgała ostatniego, który do tej pory z przerażoną miną stał beczynnym. Rzucił się do ucieczki. W prawej ręce cały czas trzymałem polano. Cisnąłem je za nim, wirujący koniec trafił go w tył głowy. Mężczyzna zrobił jeszcze kilka chwiejnych kroków, po czym jak długi padł w błoto. Gwałtownie oddychając, rozglądałem się dokoła, ale nie widziałem żadnego nowego przeciwnika. Spoza stosu wyszedł Ochnot. Był blady, włosy opadały mu w nieładzie na czoło. O dziwo, wyglądał spokojniej niż przed potyczką.

– Teraz przecież jej tu nie zostawimy! – krzyknął.

– A właśnie, że tak! Nic nam do niej, mamy swoją robotę! – odpowiedziałem.

– Zapłacę wam za jej uratowanie, ile tylko zechcecie! – Podniecony gestykulował nerwowo.

Obaj byliśmy przemoknięci, dygotaliśmy z zimna. Patrzył na mnie, czekając.

– Sto dukatów! – wymieniłem sumę.

Skinął głową, więc przestałem się wahać. Robię to, za co mi płacą. Wszedłszy na stos, odciąłem dziewczynę od pala, objąłem i ponownie skoczyłem na ziemię. Była lżejsza, niż się spodziewałem. Owinąłem ją prędko w swój płaszcz i wnet zaszczekałem zębami z zimna.

– Odnieście ją do powozu, zdejmijcie z niej mokre łachy i rozgrzejcie. Muszę uprzątnąć tych trzech! – krzyknąłem mu w ucho. I chociaż zdawało się to niemożliwe, deszcz jeszcze przybrał na sile, a niebo co i rusz rozjaśniały błyskawice.

Przytaknął. Pomogłem mu podnieść dziewczynę. Powalone

polanem chłopisko zaczęło z trudem wstawać.

– Psiakrew! – zakląłem i podbiegłszy, kopnąłem go w skroń. Znów bezwładnie padł twarzą w kałużę. Nie ruszał się.

– Coście zrobili? – wrzasnął przerażony Ochnot. Ogarnęła mnie wściekłość. Wszystko stało się z powodu tego kurdupla, a on się jeszcze dziwi.

– Zabiłem go! – syknąłem. – Myślicie, że jutro zostawiłby to wyłącznie dla siebie? Ale bez obaw, nic sobie nie doliczę! A teraz precz stąd, bo inaczej dziewczka zamarnie tu na śmierć!

Usłuchał, chwiejnym krokiem ruszając przed siebie. Wszystko zależało od szczęścia. Jeśli ktoś go przyuważy, będzie po nas. Pomaganie czarownikowi przy ucieczce było karane gardłem.

Na szczęście przy jednym z mężczyzn znalazłem sznur. Związawszy całą trójkę za nogi, zrobiłem prymitywną uprząż i niczym juczne zwierzę powlokłem ciała w stronę wsi. Szczęśliwie błota było sporo, więc ślizgały się po nim dobrze. Miałem nadzieję, że do rana deszcz rozmyje brudę. Szukałem sterty gnoju, w której łatwo i szybko mógłbym pogrzebać trupy. Przypomniałem sobie, że w obejściu gospodarstwa niedaleko szubienicy widziałem taką. Podwórzowy pies był rozsądny, przeczekując słotę w budzie. Szczęście uśmiechnęło się do mnie po raz drugi, kiedy znalazłem widły. Gnój był ciężki, nasiąknięty wodą, lecz mimo to udało mi się.



Następnie wróciłem na wioskowy plac, gdzie był mały staw. Cuchnąłem niczym szambo i nie miałem na sobie niczego suchego. Wszedłem do wody tak, jak stałem, szorując się dopóty, dopóki nie byłem pewien, że zmyłem z siebie wszystkie krwawe plamy oraz resztki gnoju.

Potem powoli ruszyłem do oberży. Burza się oddaliła, ale wciąż lało, do tego wzmógł się wiatr. Zatrzymałem się przy powozie. Kobieta leżała na ławce, zawinięta niczym mumia w koce. Pochylony nad nią Ochinot trzymał ją za rękę. Na mój widok rzekł z nadzieją:

– Wyczuwam puls, żyje! Kiedy jedziemy? Od razu?

Potrząsnąłem głową.

– Wtedy podejrzenie padłoby na nas. Musimy się trzymać pierwotnego planu. Wracamy do pokoi, prześpimy się do rana i dopiero potem pojedziemy.

– Przecież nie możemy jej tu zostawić samej! – sprzeciwił się.

– Musimy! – odparłem i już bez żadnych ceregieli wyciągnąłem go z wozu.

Mieliśmy szczęście, w szynku było już pusto, więc niezauważeni dotarliśmy do naszych pokoi.

– Ona tam do rana zamarźnie! – usiłował mnie przekonać.

Jeśli stąd wyjdziecie, wpakujecie nas w piękną kabałę, a wtedy już nic jej nie pomoże – odparłem i zamknąłem za nim drzwi. Wróciwszy do swego pokoju, przebrałem się, wziąłem parę rzeczy z biwakowego wyposażenia, które zawsze miewam przy sobie, wrzuciłem do torby kaganek i jak cień wymknąłem się na zewnątrz. Ochinot miał rację. W tym stanie kobieta potrzebowała opieki, a będąc w powozie sama, zapewne by zamarzła. Tylko że on nie był na tyle sprytny, żeby pozostać niezauważonym.

Wszedłszy do środka powoziku, zasłoniłem drzwi i zapaliłem w kącie kaganek. Wszystkie okna oberży były ciemne, tylko w pokoju Ochinota migotała świeca i zdawało mi się, że za szybą poznaję jego sylwetkę. Nad małym płomykiem, łyżka po łyżce ogrzewałem wodę, słodziłem i po kropli wlewałem nieznaną do ust. Wstrząsały nią dreszcze, raz jej policzki płonęły, kiedy indziej dygotała z zimna. Trzeba jej było opatrzyć rany, lecz teraz nie mogliśmy sobie na to pozwolić. Dzięki temu, że było nas dwoje, w środku powozu zrobiło się wyraźnie cieplej.

Na moment dziewczyna otworzyła oczy W nędznym świetle zdawało mi się, że były brązowe, o miękkim spojrzeniu.

– Czemu mi pomagacie? – szepnęła.

– Bo mi za to płacą – wyjaśniłem.

Diabli wiedzieć czemu uśmiechnęła się, po czym znów straciła przytomność. O świcie zostawiłem ją samą. Burza minęła, ale ranek był piekielnie chłodny, dużo bardziej, niżby się tego można spodziewać pod koniec kwietnia.

Rozdział 5

Czarownica



Spotkaliśmy się przy wczesnym śniadaniu. Ku mojemu zdziwieniu Ochnot sprawiał wrażenie wyspanego za wszystkie czasy, a jego puciołowate oblicze bardziej niż zwykle przypominało zadowolony prosięcy ryjek. Poza słowami przywitania nie powiedział niczego, tylko pytająco podniósł brwi. Wyprostowanym kciukiem dałem znać, że dziewczyna żyje. Akurat jedliśmy zupę z chrupiącym chlebem prosto z pieca, kiedy do środka wtargnął facet o końskiej, dziobatej twarzy.

– Czarownica znikła! Ktoś ją odciął i zabrał!

Po chwili izba była pełna ludzi. Mężczyźni przekrzykiwali się i kłócili o to, co należałoby zrobić. Musiałem wkroczyć do akcji wcześniej, nim się pojawi przedstawiciel Konwentu i zorganizuje prawdziwe śledztwo.

– Panowie, nam nic do tego, jesteśmy tu tylko przejazdem. Ale mówiliście, że ktoś tę poczwarę odciął i uciekł razem z nią. To znaczy, że wczoraj tu był, a dzisiaj już go nie ma. Jak ustalicie, kto opuścił tę gościnną wieś, dowiecie się zarazem, kto to zrobił – zaproponowałem.

Mój pomysł im się spodobał, rozbiegli się więc, by sprawdzić, którego z miejscowych nie ma w domu. Wiedziałem o co najmniej trzech. Ochnot zapłacił rachunek, ja zaś poszedłem przygotować powóz. To, że po przyjeździe nie poprosiłem koniucha o pomoc, teraz okazało się korzystne i nikt się niczemu nie dziwił. Przy wyjeździe z wioski musiałem bez przerwy pamiętać o tym, by nie jechać zbyt prędko. Dopiero za pierwszym wzgórzem zaciąłem konie, a wtedy pomknęły, na ile im pozwalały siły oraz błotnisty trakt. Ochnot chciał, byśmy się zatrzymali i należycie opatrzyli

dziewczynę, ale nie zgodziłem się. Wpierw musieliśmy opuścić tereny pod rządami Konwentu i przedostać się do Strefy. Wreszcie po zmierzchu dotarliśmy do granicy. Żołnierze i celnicy zwracali uwagę przede wszystkim na powozy wyładowane towarami, zmierzające w przeciwnym kierunku, więc dali nam spokój. Zakwaterowaliśmy się w pierwszym zajeździe, niecały kilometr za komorą celną. Byliśmy zmuszeni tłoczyć się we trójkę w jednym tylko pokoju. Położywszy dziewczynę na łóżku, zabrałem się bezzwłocznie do opatrywania ran.

– Znacie się na tym? – spytał z powątpiewaniem Ochiot, kiedy zacząłem ją rozbierać.

– Prawdziwy lekarz byłby lepszy, ale takiego tu nie znajdziemy. Byłem gladiatorem, poradzę sobie – przypominałem mu.

Wyglądała kiepsko. Podczas przesłuchania jakiś zapalenie dał jej straszny wycisk. Jednak zanim się do niej zabrał, musiała to być piękna kobieta. Wzrost góra metr sześćdziesiąt, waga na pewno poniżej pięćdziesięciu kilo, ale każdy kilogram był na swoim miejscu. Wilgotnym gałgankiem usuwałem brud oraz zaschniętą krew i przyglądałem się ranom. W piecu buzował ogień, w pokoju było gorąco. Miała drobne, niczym przez rzeźbiarza wymodelowane kostki, pełne łydki i białe, gładkie uda. Duże palce stóp miała zmiażdżone, buty do tortur pogruchotały kości podudzia, na prawej nodze nawet w paru miejscach. Było jasne, że paznokcie u nóg nie odrosną jej już nigdy. Dużo wycierpiała.

– Słucham? – wyrwał mnie z zamyślenia Ochiot.

Uświadomiłem sobie, że mówię na głos.

– Nic, nic – burknąłem, po czym zacząłem oglądać podbrzusze czarownicy. Łono miała bardziej rude niż włosy.

– A cóż to robicie? – krzyknął nerwowo.

– Mogli ją skrzywdzić bardziej, niż nam się zdaje. A w takim razie byłoby dobrze, gdybyśmy o tym wiedzieli – wyjaśniłem.

Wydawało się jednak, że pod tym względem nie doszło do żadnych fatalnych czynów.

– Uśmiecha się – zauważył Ochiot. – I to przy każdym waszym dotknięciu.

Wzruszyłem ramionami.

– Idę poszukać czegoś, co się nada na łubki. Pilnujcie jej.

Aż do wieczora bawiłem się w samarytanina. Kolację zjedliśmy

w pokoju, ponieważ w jadalni był tłok. Byłem zmordowany jak pies, do tego rozdrażniony.

– A czemuście taki ukontentowany? – powiedziałem zaczepnie do Ochikota, pogwizdującego między jednym kęsem a drugim.

– Cieszę się, żeśmy jej pomogli – wyjaśnił, a na jego twarzy wciąż malowało się zadowolenie.

To okropne, jak ktoś może bez przerwy odczuwać taką radość z życia.

– Pomogli? Będzie kaleką do końca życia. Będzie jej strasznie trudno, do tego żaden chłop się nią nie zainteresuje. I niewykluczone, że zwariowała, to się zdarza – warknąłem.

Dziewczyna drgnęła z jękiem. Odwróciliśmy się w jej stronę. Patrzyły na nas duże migdałowe oczy. Były jeszcze piękniejsze, niż sądziłem za pierwszym razem. Po chwili znów je zamknęła.

– Nie wygląda na wariatkę – stwierdził Ochikot. Ten kurdupel działał mi na nerwy, ale ponieważ wpakowałem się w to sam, wolałem zachować milczenie.

– Wiem, ile wam zapłacił poprzedni klient, wiem także, ile dostaniecie od Drexlera. Teraz zarobiliście kolejne pieniądze, powinniście być bardzo bogatym człowiekiem, ale nie wyglądacie na takiego. Cóż robicie z waszymi zarobkami? – Ochikot przerwał długą ciszę.

Ocierając z twarzy krople potu, spojrzałem na niego.

– Oczywiście, nic mi do tego – dodał przeprasząco.

Zastanowiłem się przez chwilę. Niby to wszystko przeszłość, która nikomu już nie mogła zaszkodzić, ale i tak nie miałem ochoty, żeby się komukolwiek spowiadać.

– Ten szaleniec, który trzysta lat temu to wszystko zaczął, mam tu na myśli Wielką Wojnę, mordował czarowników razem z ich najdalszymi krewniakami – jałem tłumaczyć, sam się sobie dziwiąc. – A kiedy wreszcie umarł, czy może przepadł, bo z nim nigdy nic nie było wiadomo, jego następcy wprawdzie dalej uprawiali ludobójstwo, ale okazywali więcej miłosierdzia: zabijali tylko bliskich krewnych ludzi obdarzonych magicznymi zdolnościami. Dzisiaj jesteśmy dużo bardziej cywilizowani, uśmiercając tych uzdolnionych oraz ich najbliższą rodzinę – męża, żonę i dzieci. Tyle wystarczy, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Myślę, że w niektórych krajach nie robią już nawet tego.

Zamyślane oblicze Ochinota świadczyło, że zaciekała go moja opowieść.

– Nigdy o tym nie słyszałem – rzekł wreszcie.

Skrzywiłem się.

– W szkołach zwykle o tym nie mówią, a większość ludzi zaczyna się interesować tymi sprawami dopiero wtedy, gdy płomienie osmała im włosy na skórze. Mego ojca spalili, ale matka, ja i sześcioro mego rodzeństwa zostaliśmy oszczędzeni. I właśnie na to wydałem wszystkie pieniądze – dokończyłem.

Zamierzał zadać następne pytanie, lecz ja, nie chcąc się już grzebać w przeszłości, zmieniłem temat:

– Właściwie w jaki sposób powstała Strefa? Czy obowiązują w niej reguły inne niż w pozostałych częściach cesarstwa? – W odróżnieniu od Ochinota nigdy nie zgłębiałem żadnych podręczników, moja wiedza ograniczała się zazwyczaj do knajpianych opowiastek.

Ochiot dołał sobie wina i przysunawszy bliżej mnie pełny kieliszek, rozsiadł się na krześle.

– Wolna Strefa to popularna nazwa dla obszaru rozciągającego się na byłym Półwyspie Dzwon.

– Byłem? – wtrąciłem.

– Tak. Bodaj dwadzieścia lat po Wielkiej Wojnie, źródła historyczne mówią różnie, nastąpiło zapadnięcie północnej i wschodniej części półwyspu, wskutek czego większość obszaru znalazła się pod powierzchnią morza.

– Trzęsienie ziemi?

– Nie, chodziło o pośrednie następstwa Wielkiej Wojny prowadzonej przez siły, o jakich dzisiaj nie mamy nawet pojęcia – potrząsnął głową.

– Macie na myśli czary, magię? – upewniłem się, ocierając dziewczynie twarz. Gorączkowała.

Wypowiedziawszy słowo „magia”, poczułem się nieswojo, bo ludzie z Chaabu nie lekceważą jej nawet dzisiaj.

Ochiot upił wina, mlasnął, po czym przytaknął. Leżąca na łóżku nieprzytomna dziewczyna westchnęła i poruszyła się, zsuwając z siebie okrycie i odsłaniając krągłe udo. Była piękna. Dokładniej – byłaby piękna, gdyby nie te potworne okaleczenia. Znów sobie przypomniałem jej oczy, widziane pierwszy raz wtedy, gdy się na

chwilę ocknęła. Przypominały mi oczy klaczy tuż przed ózrebieniem: głębokie, a jednocześnie przejrzyste, przygotowane na ból i na radość. Dawno temu często pomagałem przy narodzinach źrebaków. Klacze lubiły mnie i diabli wiedzą czemu w mojej obecności były znacznie spokojniejsze.

– Ano właśnie – przerwał moje rozmyślenia Ochnot. – Za sprawą magii zatoneło dziewięćdziesiąt procent obszaru Półwyspu Dzwon.

Spojrzałem na niego z zaciekawieniem, kosztując przy tym wina. Miało smak czarnych porzeczek i jeżyn. Zbyt dobre dla takiego kogoś jak ja. Sięgnąłem do sakwy i wyjąwszy z niej butelkę żytniówki, napełniłem kieliszek. Dobrą gorzałkę od kiepskiej da się odróżnić dopiero po pierwszym łyku, ale w tym wypadku już na sam widok zaczęło mi się zbierać na wymioty, do tego cuchnęła potwornie. Jednak Ochnot, powstrzymawszy się od komentarza, ciągnął dalej swój wywód:

– Ciekawe jest to, że pozostałych dziesięć procent terytorium półwyspu uratowała przed zalaniem również magia.

– Zabronili oceanowi, żeby się rozlał tak, jak mu kazała natura? – zapytałem ironicznie.

– Właśnie, ale tylko tymczasowo. Potem zbudowali dwie tamy, które uniemożliwiły zalanie wodą terenów w depresji – zakończył.

Chwilę później zmienił mnie przy pielęgnowaniu dziewczyny. Po wczorajszej nocy byłem wykończony.

Zawinąłem się w koc i wyciągnąłem na podłodze. Tuż przed zaśnięciem uświadomiłem sobie, że zapomniałem o zwyczajowej porcji żytniej, gwarantującej odpoczynek bez żadnych snów. Na szczęście byłem tak zmęczony, że zasnąłem natychmiast i nie trapiły mnie żadne nocne koszmary, wręcz odwrotnie: po siedemnastu latach miałem przyjemne sny – o mnie i o dziewczynie ze zmiążdżonymi palcami nóg.

Rankiem wstałem jako pierwszy, dziewczyna i Ochnot jeszcze spali. Zamówiłem w jadalni śniadanie dla trojga, po czym wyszedłem, żeby przygotować powóz i konie. Pierwsza rzecz, jaka mnie zdumiała, to niezwykle jasna ziemia, porośnięta roślinnością przypominającą len, tyle że rośliny były znacznie mniejsze od lnu, jakby chore, a ponadto kwitły już teraz, ostatniego dnia kwietnia. Ich kwiaty były białe, miejscami lekko zaróżowione. W okolicy nie rośło

nic innego, żadne drzewa, krzaki, zboże, po prostu nic. Drugie zaskoczenie stanowił niesamowity widok. Wczoraj nie mieliśmy pojęcia, jak wygląda krajobraz, bo przyjechaliśmy już po zmierzchu. Miałem wrażenie, jakbym stał na krawędzi łyżki i patrzył w dół. Teren łagodnie opadał w kierunkach północno-wschodnim, wschodnim i południowo-wschodnim i tylko na północy dostrzegłem szarą smużkę jakichś murów, zaś na południu niski górski grzebień, wznoszący się stopniowo ku południowemu zachodowi. W bagażach miałem mapę, zabrałem się więc do jej oglądania. Z zajazdu wyszedł Ochnot, wysikał się i nawet nie zerknąwszy na mapę, jął opowiadać:

– To szare na północy, co wygląda jak mur, naprawdę jest piętnastokilometrową tamą, chroniącą przed dużymi falami i przypiływem. Złośliwcy jednak twierdzą, że kiedyś i tak pęknie, a wtedy wszystko zostanie zalane. Nieco dalej tama przechodzi w bazaltowy wał, który ciągnie się aż do najbardziej na północ wysuniętego cypla półwyspu, łącząc się z Pogórzem Oerta. To zaś układa się łukowato z północy na południe i zatrzymuje ocean ze wschodu. Wschodnie brzegi są mocno poszarpane i podczas silnych przypiływów woda zalewa doliny leżące kilka kilometrów od wybrzeża. Od południowego zachodu, częściowo też od południa, półwysep osłania grzbiet południowy, który wszakże kończy się bodaj dziesięć kilometrów przed pierwszymi wzniesieniami Pogórza, tak więc nasi przodkowie wzniesli tam drugą tamę, bliźniaczkę tej pierwszej. Jest jednak zbyt daleko, dlatego jej stąd nie widać.

Mówił, jakby przemierzył Strefę wzdłuż i wszerz.

– A dlaczego rośnie tu tylko ta trawa? – spytałem, chcąc go przyłapać na czymś, czego nie wie.

– To nie trawa, tylko miejscowa odmiana lnu, która nie występuje nigdzie indziej na świecie – odparł, po czym ciągnął dalej: – Przesmyk, łączący główną część półwyspu ze stałym lądem, w najwęższym miejscu ma szerokość zaledwie dziesięciu kilometrów. Teraz znajdujemy się jeszcze wysoko ponad poziomem morza, ale gdy tylko zjedziemy niżej, trafimy na zasolone, nieurodzajne tereny. Dopiero po kolejnych trzydziestu kilometrach zobaczymy drzewa i pierwsze pola uprawne.

– Skąd to wszystko wiecie? – zapytałem znudzony.

– Z „Geografii Cesarstwa” niejakiego Veeta. Jeśli zechcecie, mogę ją wam pożyczyć.

Potrafiłem czytać, nawet i pisać, chociaż z tym było trochę gorzej. Jednak lektura książek nie należała do moich ulubionych zajęć, od czasu do czasu czytałem tylko mapy.

Burknąwszy coś niezrozumiałego pod nosem, zaprząłem konie i wróciłem do zajazdu. Śniadanie stało już na stole. Dziewczyna wprawdzie wciąż miała gorączkę, lecz wyglądała dużo lepiej. Nakarmiłem ją wołowym rosołem, Ochinot kazał jej wypić dwa kubki herbaty osłodzonej miodem, następnie wspólnie ulokowaliśmy chorą w powozie i wyruszyliśmy. Niemal bez przerwy mijaliśmy wozy lub całe karawany podążające w przeciwnym kierunku, wyładowane aż po brzegi najrozmaitszymi towarami. Droga była w dobrym stanie, w wielu miejscach szeroka na tyle, że dwa powozy mogły jechać obok siebie. W południe Ochinot wyjrzał z powozu, machając radośnie w moją stronę.

– Zbudziła się! Jest z nią dobrze!

Cieszył się jak małe dziecko. Zjechawszy z gościńca, zatrzymałem konie i wśliznąłem się do środka.

– Wam również dziękuję – rzekła dziewczyna na mój widok.

Gorączka najwyraźniej osłabła. Oczywiście miała żywe, głos słaby, ale wyraźny. Spod koców wystawała jej tylko głowa.

– Nie ma za co, zapłacił mi – odparłem, wskazując kciukiem na Ochinota. – Za co cię chcieli spalić?

– Jestem czarodziejką – powiedziała z uśmiechem.

– To wiem – skrzywiłem się. – Ale za co?

– Leczę ludzi – rzekła, po czym zaniósła się kaszlem.

Wszystko jasne. Na terytorium Konwentu każda zielarka czy też balwierz są narażeni na nieprzyjemności. Co innego, gdy się jest prawdziwym medykiem.

W pół drogi do wschodniego wybrzeża z dna łyżki, którą półwysep przypominał dzięki rzeźbie terenu, wznosił się stożek dawnego wulkanu. Wprawdzie był jeszcze daleko, ale chciałem doń dotrzeć do wieczora, bo powinniśmy tam znaleźć dogodną kwaterę.

Oberża „Pod Wulkanem” miała wystarczająco dużo koni na wymianę oraz jeden duży pokój dla nas trojga. Ponoć tylko przy samej granicy, gdzie półwysep był najwęższy i gdzie się zbiegały drogi ze wszystkich miast Strefy, znalezienie wolnych miejsc stanowiło nie lada kłopot.

Ochinot i ja zjedliśmy kolację w jadalni, zamawiając jedzenie

także do pokoju, gdzie moglibyśmy nakarmić chorą. Nadal była zbyt słaba. Wstałem od stołu, zanim Ochnot uporał się ze swoją porcją.

– Idę zmienić opatrunki i sprawdzić łubki – wyjaśniłem, po czym ruszyłem na piętro, gdzie byliśmy zakwaterowani. Zastukałem do drzwi i wszedłem do środka.

Dziewczyna siedziała na łóżku, oparta plecami o stos poduszek. Najwyraźniej nie dosłyszała mojego pukania. Była naga – koc, w któryśmy ją owinęli, leżał obok. Stałem jak wryty, z wytrzeszczonymi oczyma i rozdziawionymi ustami. Pięknych łydek już nie szpeciły żadne obrzęki i krwiaki, a resztki zaledwie kilkudniowych strupów zniknęły na moich oczach.

– Ccc...co? Ccco to? – wybełkotałem zdumiony, podchodząc bliżej.

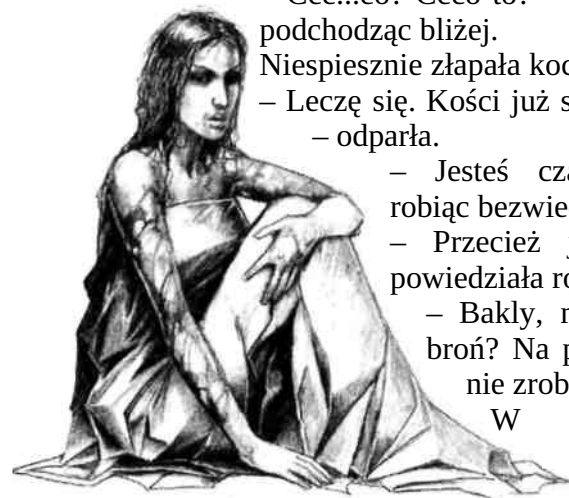
Niespiesznie złapała koc i okryła nim łono.

– Leczę się. Kości już się zrosły, teraz goję rany – odparła.

– Jesteś czarownicą! – syknąłem, robiąc bezwiednie dwa kroki do tyłu.

– Przecież już o tym mówiłam – powiedziała rozbijając.

– Bakły, może byście schowali tę broń? Na pewno nikt wam niczego nie zrobi!



W drzwiach stał podenerwowany

Ochnot. Zerknąwszy na swoją prawą dłoń, stwierdziłem, że trzymam w niej katzbalger.

– Tak naprawdę nie wiedziałem, że jesteś czarownicą! Gdybym miał choćby cień podejrzenia, pozwoliłbym, żebyś spłonęła na stosie. Właśnie tacy jak ty ponoszą odpowiedzialność za to, co spotkało mojego ojca, moją rodzinę, za Wielką Wojnę i za jej wszystkie okropne następstwa! Aż do teraz byłem przekonany, że tego typu parszywcy zostali dawno wyrżnięci, zresztą całkiem słusznie, a dzisiaj są prześladowani tylko niewinni! – rzekłem rozwścieczony. Ochnot wszedł do pokoju, zamykając za sobą drzwi.

– Proszę, zróbcie coś z tą bronią – przypomniał.

Usłuchałem niechętnie.

– Już od urodzenia mam pewne zdolności związane

z manipulowaniem mocą. Jednak z pomocą czarów nie umiem podpalać zamków ani zabijać ludzi czy robić innych strasznych rzeczy – przemówiła czarownica powoli, jakby w obawie przed moją dalszą reakcją. – Nikt mi niczego nigdy nie tłumaczył, wszystkiego nauczyłam się sama. A przy tym ciągle musiałam tę umiejętność taić. To przekleństwo, a nie dar albo jakaś zaleta. Potrafię jedynie uzdrawiać, pomagać ciału, żeby się szybciej uporało z ranami lub chorobami. Nic więcej. Nigdy nikogo nie skrzywdziłam.

Cały czas patrzyła to na mnie, to na Ochinota. Nie mając nic do powiedzenia, milczałem. Była drobna i sprawiała wrażenie absolutnie bezbronnej, ale pozory mylą. Przed taką każdy rozsądny człowiek powinien mieć się na baczności. Chyba najlepiej byłoby ją wydać, a w najgorszym razie unikać jej towarzystwa. Już mnie nie dziwiła jej uroda i że tak bardzo mi się podobała. O ile prawdą była choćby jedna setna tego, co legendy opowiadały o prawdziwych czarownikach z dawnych czasów, w okamgnieniu mogła zrobić sieczkę z mojego mózgu. Dla takiej jak ona odrobina udawania oraz fałszu nie mogła stanowić najmniejszego problemu.

– Uratowałem cię, ponieważ dostałem za to, a właściwie dopiero dostanę zapłatę. Nie podobasz mi się. Spróbuj tylko użyć wobec mnie swojej mocy, to cię zabiję. Trzymaj się ode mnie z daleka – powiedziałem ostrzegawczo i usiadłem na krześle.

– Nazywam się Kilian Ochinot, pracuję jako główny buchalter dla hrabiego Drexlera Belfonta. Cieszę się bardzo, że mogliśmy was spotkać i pomóc w biedzie – rzekł Ochinot, składając wzorcowy ukłon.

Jedyne, co można by mu przy tym zarzucić, było przesadne zainteresowanie ponętymi nogami tej małej bestii.

Uśmiechnęła się i szczerzej okryła kocem, ale i tak sięgał jej ledwie za kolana. Znała się na rzeczy.

– Jestem Trilian. Przyjaciele, dopóki ich miałam, mówili na mnie Tril. Pochodzę z Mapturo. Rok temu opuściłam dom i wyruszyłam w świat, żeby... – przez chwilę szukała odpowiedniego słowa – żeby nabrać doświadczenia.

Tril, Trilian, nawet imię miała piękne i wdzięczne. Jednak mogła je sobie wymyślić, zresztą jak wszystko.

Słyszałem o Mapturo, że w przeszłości słynęło jako jedno z gniazd czarowników. Podobno niemal co drugi mieszkaniec lepiej

lub gorzej znał się na czarach.

– Bakły. Za to, że cię... was uratowałem od stosu, szanowny pan – spojrzałem na Ochinota – jest mi winien sto dukatów.

Było lepiej trzymać ją na dystans. Postanowiłem zachowywać się tak, jakbym nigdy nie miał z nią nic wspólnego.

Ponieważ nie musiałem się o nikogo troszczyć, miałem mnóstwo czasu. Tamtych dwoje zajęło się rozmową, ale mnie to nie obchodziło. Poszedłem do powozu po żytniówkę, a jako że byłem potwornie wściekły, opróżniłem przed zaśnięciem dwie flaszki. Jednak tym razem gorzałka nie zadziałała, znowu miałem jeden z dwóch stale powracających snów, ten gorszy: stałem pod rozkwitłą jabłonią, kopiąc grób.

Zbudziłem się jeszcze przed świtem. Świeczka, którą diabli wiedzą czemu Ochinot zostawił płonąca, zdążyła zgasnąć i w pokoju było ciemno, choć oko wykol. Nie miałem pewności, czy nie krzyczałem przez sen, wyglądało jednak na to, że Ochinot i ta obłudna czarownica śpią. W ustach czułem niesmak, a język lepił się do podniebienia, jak zawsze po nędznym trunku. Wiedziałem, że jeśli zasnę, sen wróci, a tego nie chciałem za żadne skarby. Przez pustą jadalnię wyszedłem na podwórze. Było zimno, ledwie parę stopni powyżej zera, wydychane powietrze zmieniało się w parę. Nabrawszy ze studni wodę cebrem, rozebrałem się do pasa, napiłem się i oblałem, aż mi z zimna zaczęły szczękać zęby. Potem zacząłem ćwiczyć. Najpierw pompki i skłony, później stójki i walkę z cieniem – na pięści i na miecze. Co za ulga! Nie myślałem o niczym poza wyimaginowanym przeciwnikiem, skupiając się na tym, żeby moje ciało zachowało ową przedziwną jedność z umysłem, tak jak podczas prawdziwego boju. Teraz walczyłem sam ze sobą.

Kiedy się zbudził pierwszy parobek, ja – już od dawna umyty i ubrany – szykowałem konie do drogi. Zamówiwszy śniadanie, poszedłem obudzić tamtych dwoje.

Rozdział 6

Morze ludzi



Wyruszyliśmy wcześniej, jadąc rączo aż do dziesiątej, kiedy to w jednej z coraz częstszych faktorii zmieniliśmy konie. Po południu przed nami zaczęły się wznosić pierwsze wzgórza. Nie były wysokie, ledwie stu-, może dwustumetrowe, ale ciągła jazda pod górę i w dół dawała się koniom we znaki. Na trawiastych zboczach, gdzieniegdzie porośniętych brzozowymi i sosnowymi laskami, pasły się stada krów oraz owiec, doliny były poszatowane łąkami zboża. Wszędzie widzieliśmy liczne dobrze utrzymane trakty, pozornie prowadzące we wszystkich kierunkach. Lecz, o dziwo, żadnych domów. Tu i ówdzie stała jakaś budka, w razie potrzeby miejsce noclegowe dla pasterza albo składzik narzędzi. Po sforsowaniu trzeciego grzbietu wszystko się zmieniło. W dolinach, na łagodnych stokach wzgórz, a nawet na ich szczytach, wszędzie rozciągało się miasto. Wyglądało niczym morze i gdybyśmy nie widzieli niebieskich języków prawdziwego morza, zdawałoby się, że ludzkie mrowisko nie ma końca.

Wjechaliśmy między pierwsze domy, końskie kopyta zastukały o bruk. Jakość nawierzchni pozostawała wciąż dobra, bez względu na to, czy mijaliśmy drewniaki, lepianki czy też okazałe rezydencje. Zrozumiałem dlaczego. Po mieście nieustannie jeździły dwukółki, kolasy, ciężkie powozy z towarami albo pasażerami. Nie zauważyłem choćby jednego jeźdźca w siodle.

Po godzinie jazdy, parokrotnym błędzeniu i wypytywaniu o drogę, połapałem się co do zasady rozlokowania budynków. Na wierzchołkach wzgórz blisko morza stały rezydencje najbogatszych. Im dalej od szczytu, tym zamożność mieszkańców była mniejsza, a wraz nią obniżała się jakość domostw. Na dnie niekiedy

beznadziejnie ciasnych fiordów tłoczyła się biedota. Na samym wybrzeżu rzecz wyglądała inaczej, było to miejsce handlu i pracy, a o jego wartości decydowała możliwość cumowania statków różnej wielkości. Najbogatsi mieli działki tuż przy wodzie, zaś duże statki mogły wpływać od razu na swoje kotwiczowisko.

– Z tego, co słyszałem, gdzieś tutaj powinny być niezależne terytoria sześciu magnackich rodów. Jednak nie widzę, gdzie to miasto się kończy, gdzie są jego granice – zwróciłem się do Ochinota, kiedy znowu stanęliśmy na skrzyżowaniu dróg, z których ani jedna nie prowadziła do siedziby Belfontów.

Miasto rozciąga się na całym wybrzeżu, żeby miejscowi mogli wykorzystać każde miejsce, które może służyć za naturalną przystań. Ponoć bez przerwy wieją tutaj silne wiatry, więc są problemy z kotwiczeniem. To, do kogo należą poszczególne części, poznacie po herbach na pierwszych domach ulic – wyjaśnił.

Rozejrzawszy się, na fasadzie białego, dwupiętrowego budynku dostrzegłem herb Belfontów – gęsie pióro skrzyżowane z mieczem w szkarłatnym polu.

– Czyli jesteśmy w dobrej dzielnicy, trzeba tylko znaleźć ten dom – stwierdziłem.

I rzeczywiście, wkrótce potem stanęliśmy przed rzędem szarych budynków, zbudowanych w tym samym stylu, lecz z nieotynkowanych kamiennych bloków. We wszystkich oknach były kraty. Ten szereg tworzył coś w rodzaju miejskich murów o kształcie podkowy, otwartą stroną zwróconej ku morzu. Do środka można się było dostać dwiema strzeżonymi przez żołnierzy bramami. Teren wewnętrzny kończył się kamiennym molo, za którym połyskiwała morska toń.

– Wygląda jak twierdza pośrodku miasta – powiedziałem.

Ochinot przytaknął.

– Mówi się, że handel w Strefie może być niekiedy sprawą niebezpieczną i burzliwą.

Dopiero teraz zauważyłem mosiężną tabliczkę osadzoną w kamiennej fasadzie przy wjeździe. Wprawdzie napis był kaligrafowany jakoś dziwnie, ale mężnie go sobie w duchu przesyłabizowałem.

– Gubernatorstwo Belfont, administratura Cevin, lenno hrabiego Drexlera Belfonta – uprzedziła mnie Trilian, zanim dobrnąłem do

końca, po czym dodała: – Myślę, panowie, że tutaj nasze drogi się rozchodzą.

Ochinot jął pleść, jak bardzo mu przykro, że chciałby się z nią jeszcze spotkać i tego rodzaju bzdury. Nawet jej wepchnął swoją wizytówkę. Widziałem dobrze, jak na nią patrzy i nie mieściło mi się to w głowie, bo gdybym ja wylądował z nią w łóżku, na pewno bym nie wiedział, czy mam się jej brzydzić czy też bać. Chędożyć czarownicę, no nie!

Bez słowa pożegnania odwróciłem się i podszedłem do żołnierza pilnującego bramy.

– Chcemy wjechać, pracujemy dla hrabiego Belfonta – oznajmiłem.

– A to co takiego? – zamiast odpowiedzi wskazał mój katzbalger, zawieszony w pochwie wysoko na lewym boku. Od chwili wjazdu do miasta byłem pod bronią, miecz miałem obok siebie na koźle.

– To jest broń – pouczyłem go – szeroka na pół dłoni, z bardzo mocną, leciutką klingą. Prawdziwa stal z Chaabu. Nie ma nawet sześćdziesięciu centymetrów długości, ale dobrze mierzonym cięciem mógłbyś odciąć głowę razem z kołnierzem.

Żołnierzowi mój wykład widać nie przypadł do gustu, bo się naburmuszył.

– Na wozie, o tam, mam też miecz. Jeszcze lepsza zabawka, chcesz obejrzeć?

Zanim zdążył na mnie naskoczyć, podszedł Ochinot. Poślawszy mi niezadowolone spojrzenie, pokazał żołnierzowi jeden z wielu dokumentów, w jakie byliśmy wyposażeni. Na tym widniała wspaniała hrabiowska pieczęć. Ochinot nazywał ją glejtem dla niepiśmiennych.

– Mój nieznający miejscowych zwyczajów przyjaciel nie wie, że dostęp do jego ekscelencji Montemera jest ograniczony... – zaczął warknąć pojednawczo.

Niech sobie pogada. Zostawiłem go i z powrotem wlałem na koziół. Czarownicy już na szczęście nie było.

Ochinot umiał się obchodzić z ludźmi znacznie lepiej niż ja, tak więc chwilę później wpuszczono nas na dziedziniec i zaprowadzono do pomieszczenia, gdzie za stołem z tekowego drewna siedział krępy mężczyzna o poważnej twarzy. Miał zgięte plecy, jak gdyby pod

ciężarem trosk, których żadną miarą nie potrafi unieść, oczy otoczone siecią zmarszczek, a jego usta śmiały się ostatni raz pewnie z dziesięć lat temu, kto wie, może nawet więcej. Błat stołu był zniszczony przez chyba milion nacięć.

– Jestem Bied Tuhuka, zastępca komendanta Gwardii Cevinu. Powiedziano mi, że chcecie rozmawiać z ekscelencją. Jego jednak nie ma, podobnie jak mojego zwierzchnika, zatem musicie się zadowolić mną.

Sprawił wrażenie, że przeszkadza mu to jeszcze bardziej niż nam. Ochnot podał mi inny dokument, potwierdzający, że naprawdę pracujemy dla hrabiego Belfonta i że mają nam okazać pomoc.

– Co to jest Gwardia Cevinu? – zainteresowałem się.

Pilnujemy przestrzegania prawa na obszarze Cevinu – odpowiedział Tuhuka, nie przestając czytać. Lewą ręką wysunął szufladę i wyjąwszy z niej coś pośredniego między sztyłem a rozcinaczem do papieru, zaczął nim bębnić o blat. Stało się jasne, skąd te karby. Być może nawet sobie nie zdawał sprawy, co robi.

– Jakiego prawa? – zapytałem.

Podniósłszy wzrok znad tekstu, przyjrzał mi się podejrzliwie.

– No, cesarskiego, dżungli, po prostu jakiego? – uściśliłem.

Ochnot spojrział na mnie i postawił oczy w ślup, lecz ku mojemu zdziwieniu Tuhuka wrócił do lektury dokumentu, jednocześnie udzielając odpowiedzi:

– Prawa hrabiego Drexlera Belfonta, które oczywiście jest zgodne z prawem cesarstwa. Na poszczególnych terytoriach o przestrzeganie prawa i utrzymywanie ładu dbają magnaci, nad morzem czuwa nad wszystkim flota, która ma swoje przedstawicielstwa we wszystkich sześciu prowincjach Strefy. Ten dokument jest w porządku. Wprawdzie nie mówi, co macie do zrobienia, ale z pewnością pochodzi od hrabiego – rzekł, kiedy już dokładnie zaznajomił się z tekstem.

Spędziliśmy u niego jeszcze około pół godziny, w ciągu której Ochnot umówił się na spotkanie z głównym buchalterem, nie zdradzając jednak, w jakim celu. Z rozmowy wynikło także, że Belfont junior wraz z szefem swych sił zbrojnych uczestniczy w naradzie z dowódcą cesarskiej floty i pozostałymi gubernatorami Strefy. Mieli jakieś problemy z mieszkańcami okolicznych wysp.

Dowiedziałem się też, że prywatną rezydencją Montemera jest biały budynek na szczycie wzgórza tuż nad nami.

Tuhuka zaproponował nam nawet nocleg, lecz nie byliśmy zainteresowani. Ochinot zamierzał wynająć dom lub przynajmniej piętro w jakimś lepszym zajeździe, mnie zaś zadowalała byle kwatery.

– Chyba byłoby lepiej, gdybyście się starali dobrze traktować ludzi – rzekł mi półgłosem Ochinot, gdy szliśmy do powozu.

Wzruszyłem ramionami. Byłem wściekły, czując, że muszę na czymś albo na kimś wyładować swoją złość. Po bardzo długim czasie spotkałem kobietę, która zwróciła uwagę na faceta wyglądającego niczym szafa. Uświadomiłem to sobie, kiedy pierwszy raz obrzuciła mnie spojrzeniem tych swoich brązowych ślepiów, co było tak wyraźne, że nawet tępak dużo większy niż ja by się połapał. Oczywiście ona podobała mi się w każdym calu. A tu, psiakrew, czarownica!

– Rzeczywiście, tak będzie lepiej. Spróbuję – odparłem po chwili, starając się, żeby nie zabrzmiało to jak burknięcie.

– Słuchaj no, bracie, nie znasz w okolicy jakiejś porządnej budy, gdzie bym się mógł trochę zabawić? I jeszcze oberży z nie za drogimi pokojami? Zaoszczędziłbyś mi kupę czasu – poprosiłem przechodzącego obok żołnierza.

Spojrzał na mnie i na Ochinota, a potem splunął brązową śliną, która wylądowała tuż przed czubkiem mojej lewej stopy. Twarz miał w krostach, zaś całkiem niedawno ktoś musiał się nieźle zaopiekować jego nosem.

– Odwal się i nie zwracaj mi głowy – warknął, szykując się do odejścia, ale zagroziłem mu drogę.

– Ty parszywy gnoju, jak mi zaraz nie odpowiesz na pytanie, to rozkwasz ten twój krzywy nochal na ryju, a potem urwę ci łapę i cię nią zatłukę! – szepnąłem.

Moja twarz była od niego oddalona zaledwie parę centymetrów, nie mógł więc nie słyszeć. Zawahał się, ale tylko krótką chwilę.

– Przyzwoite kwatery mają „Pod Żółwiem”, to kawałeczek stąd, przy głównej ulicy równoległej do nabrzeża, dobre dziewczyny są w „Prima Sorcie”, a jak lubisz karty, najlepiej sobie pograsz

w „Twierdzy”, będzie z kilometr stąd na północ, przy samej wodzie – wybełkotał.

– Dzięki, koleś. A tym nosem się nie przejmuj, nie jest aż tak krzywy – powiedziałem na pociechę, pozwalając mu odejść.

Ochinot stłumił śmiech.

– Ja się naprawdę starałem – rzekłem i wdrapałem się na kozioł. Od razu było mi lepiej.



Zawiózłszy Ochinota do miejscowego handlarza nieruchomości, poszedłem na poszukiwanie jakiegoś pokoju. Oberża „Pod Żółwiem” nie była licha, ale jakby za bardzo na widoku, a prócz tego nie miała tylnego wyjścia. Zaledwie kilka kroków bliżej wody odkryłem miejsce jakby dla mnie stworzone – dwupiętrowy dom zbudowany z drewna i kamienia, z lekko skośnym dachem. Mansardowe okna zdradzały, że właśnie na drugim piętrze są pokoje do wynajęcia. Większą część parteru zajmował szynk z jadalnią, kuchnia oraz mieszkanie właściciela. Zamówiłem na próbę kolację. Jedzenie było proste, ale go nie skąpili – po dwóch porcjach czułem się niemal syty. Żytniówka była o niebo lepsza, niż ta, do której przywykłem. Wypiłem trzy głębsze, zakwaterowałem się – co mi zabrało pięć minut, w tym zapłacenie za trzy dni z góry – i wyruszyłem, żeby się rozerwać.

Rozdział 7

Udany wieczór



Mimo że zrobiło się późno, na ulicach ciągle panował ożywiony ruch. Co i rusz przejeżdżały powozy, grupki marynarzy w poszukiwaniu jak najlepszej zabawy ciągnęły od knajpy do knajpy, od burdelu do burdelu. Tuż przy nabrzeżu wykwintne kwartały z zadbanymi domami, strzeżonymi przez zbrojnych stróżów, przecinały ulice, gdzie szczyt wytworności stanowiły proste, surowe ściany z cegły, a przesmyki między domostwami były zasypane stertami odpadków. Minąłem kilka budynków z czerwonymi latarniami, ale pozujące w oknach dziewczyny wydały mi się nazbyt prostackie. Kiedy indziej nawet by mi to nie przeszkadzało, tylko że teraz wciąż miałem przed oczami zwiewną urodę Tril. Ta cholerna czarownica z pewnością rzuciła na mnie urok. Postanowiłem spróbować szczęścia w hazardzie.

Kasyno „Twierdza” wyglądało niczym trzydziestometrowy, potężny wał, jakby wycięty z prastarego obwarowania. Wschodnia ściana otwierała się na morze, jednak nie zdołałem zobaczyć więcej, ponieważ wejście do prywatnej przystani zasłaniał kamienny mur z dwuskrzydłową bramą pośrodku.

Dom był wysoki na dwanaście, może piętnaście metrów, jednak sądząc po oknach, miał zaledwie dwa piętra. Zatrzymałem się przed drzwiami z dębowych dyli, wzmocnionymi żelaznymi okuciami. Za kołatkę służyła mała zawieszona na łańcuchu kotwica. Mogło się здаwać, że goście nie są tu specjalnie mile widziani, mimo to załomotałem. Niemal natychmiast otworzył się judasz i za gęstą kratką zobaczyłem zaciekawione oczy, które ledwie mnie musnęły wzrokiem, natomiast dłużej kontrolowały okolicę. Nie padło żadne pytanie, judasz zamknął się, a tuż potem zazgrzytały otwierane

zasuwy. Pierwsza, druga, trzecia. Nazwa kasyna pasowała do niego jak ulał.

Wkroczyłem do pokoiku z szeregiem drewnianych stołków i niskim stolikiem, na którym królowała pękata, co najmniej czterolitrowa butla wypełniona przezroczystą cieczą. Towarzyszyły jej trzy wysokie, ustawione do góry dnem szklanki. Odzwierny, starszawy facet ze sporą łysiną i nosem pokrytym czerwonymi żyłkami, zamknął za mną drzwi.

– Przyszliście, żeby sobie zagrać? – spytał, nie patrząc na mnie.

– Nie, chciałem się wykąpać – wyjąłem.

Zbył to milczeniem. Odsunął kotarę, zakrywającą prawą ścianę, odsłaniając tym samym zwykłe, drewniane drzwi.

– Przy wejściu musicie oddać broń. Bez tego nie wpuszczą was do środka.

– Co tu robi ta flaszka? – zapytałem.

– Jak naraz przychodzi więcej gości, muszą poczekać. Więc dla zabicia czasu nalewają sobie szklaneczkę. Na koszt właściciela – wytłumaczył.

Wprawdzie byłem sam, ale takiej okazji nie przepuszczam nigdy. Następnie wszedłem do szatni, o ile można to tak nazwać. Wysoka do pasa ściana z ciągnącą się aż do sufitu kratownicą z czarnych, żelaznych prętów, dzieliła pomieszczenie na dwie części. W tej drugiej stał facet w rozchełstanej koszuli i spodniach z nogawkami do połowy łydek. Widać nie miał w pracy zbyt dużo ruchu, bo zza paska wylewał mu się brzuch. Ze wszystkich stron otaczały go półki pełne rozmaitych rodzajów broni.

– Te wasze żelastwa możecie przepchnąć tędy – wskazał okienko w kratownicy.

Podąłem mu katzbalger, rękojeścią do przodu.

– Chyba miałbym do was żal, gdybyście go dali komuś innemu – ostrzegłem.

Z lubością zważył broń w dłoni, po czym zawiesił ją na kołku.

– Nigdy się nie myślę – odparł. – A co więcej, taką wyborną zabawkę tylko szalenieć mógłby wam spróbować ukraść.

– Mogę już wejść? – wskazałem drzwi przed sobą.

Zerknął gdzieś w dół i potrząsnął głową.

– Zostawcie mi wszystko żelastwo, u nas nie będzie wam potrzebne – zażądał.

Ociągając się, z pochwy w lewym bucie wyjąłem nóż. But był szyty na zamówienie i na pierwszy rzut oka nie dało się dostrzec, że coś w nim jest. Strażnik uśmiechnął się, zadowolony.

– Czy wychodząc znów będę musiał przejść tędy? – spytałem.

– Nasze korytarze są jednokierunkowe – wskazał kciukiem za siebie. – Zapukacie, ja otworzę okienko i oddam wszystko, co do was należy. Dużo szczęścia przy stole. – Po tych życzeniach schylił się i zasuwając zabezpieczająca wejście do sali puściła.

Skinąwszy mu ręką, popchnąłem drzwi.

W pierwszej chwili światło, hałas i dym uderzyły mnie niczym fala przyboju.

Sala była ogromna, jej sufit znajdował się na wysokości dobrych dziesięciu metrów. W regularnych odstępach rozstawione były tu stoły: karciane, do ruletki, do gry w kości; pod ścianami ciągnęły się szynkwasy z ustawionymi na nich antałkami piwa i wina, zaś między stolami kłębili się ludzie. Mężczyźni w dobrze skrojonych ubraniach, gładko wygoleni i o nienagannym wyglądzie, często w kobiecym towarzystwie. Ale także bardziej pospolici, pewnie kupcy albo bogaci rzemieślnicy. Sporo było też podobnych do mnie nieokrzesañców, utrzymujących się z klingi albo siły własnych mięśni. Przemysłowcy, marynarze, żołnierze – po prostu zbieranina, jakiej trudno uświadczyc w jednym miejscu. Przy każdym stole stała skąpo i wyzywająco odziana dziewczyna, czasem dwie. Albo w krótkich spódnickach powyżej kolan, albo w rozmaitej długości spodniach, a ich bluzki, koszule, gorsety łączyło jedno – odsłaniały tyle, że człowiek odczuwał przemożną chęć zobaczenia więcej. Niemniej wszyscy mężczyźni, mimo że rzucali dziewczętom pożądlive spojrzenia, trzymali się od nich z daleka.

Starczyła mi chwila, żeby stwierdzić, kto ich pilnuje: ochroniarz stojący przy szynkwacie z mojej prawej strony już mi się przyglądał. Zwykła luźna bluza oraz koszula z wykładanym kołnierzem nie były w stanie zamaskować szerokich barów i rozrosłej klatki piersiowej. Miał płaską twarz ze złamanym nosem oraz kanciastą brodę, a jego osadzona między potężnymi barami głowa sprawiała wrażenie, jakby wyrastała bezpośrednio z tułowia. Stał w lekkim rozkroku, z opuszczonymi swobodnie rękami. W tej postawie wyczuwało się nie tyle groźbę, ile opanowanie i pewność siebie. Kanty dłoni, stawy, czubki palców, nawet tych małych, wszystko wyglądało jak jeden

wielki, twardy niczym żelazo guz. Ten mężczyzna był wojownikiem, który walczył gołymi rękami. Nasze oczy spotkały się – nie znalazłem w nich cienia wyzwania. Był zawodowcem, nie musiał niczego udowadniać. Robił to, za co mu płacono. Tak samo jak ja.

Stanąwszy przy szynkwasio, zamówiłem dużą wódkę. Cena była bardziej niż przystępna, widać w ten sposób chcieli zachęcić gości do gry. Kilka razy obstawiłem kości, przegrywając pierwszego dukata. Obsługująca stół dziewczyna miała odważny dekolt, a gdy ktoś wygrał, w charakterze premii obdarowywała go czarującym spojrzeniem. Między gośćmi dostrzegłem następnych dziesięciu ochroniarzy. Byli do siebie podobni jak dwie krople wody, ale tylko ten pierwszy wzbudzał największy szacunek.

Podszedłem do ruletki, stawiając talara na czarne. Gdzieś w przedniej części sali kapela zaczęła grać żwawą melodię i tempo gry natychmiast wzrosło. Zastanawiałem się, co dalej. Dotarcie wraz z Ochinotem do Strefy nie stanowiło problemu, jutro czekała nas audyencja u samego Belfonta juniora. Nic nie przemawiało za tym, by młodemu hrabiemu ktoś trzymał nóż na gardle. Ma się rozumieć, że pewności nabiorę dopiero po osobistym spotkaniu, ale urzędnicy zachowywali się normalnie. Kto wie, może rzeczywiście coś było nie w porządku z rachunkami, to jednak nie moja sprawa. Kiedy Ochinot ustali co i jak, podniesiemy kotwicę, ja zainkasuję wypłatę i będzie koniec. Koniec – mełłem to słowo na okrągło. A właściwie koniec już był, ponieważ ostatnia rata została wysłana, a to wszystko robiłem niejako z rozpędu. Przez całe szesnaście lat tylko konieczność zarobienia pieniędzy sprawiała, że wciąż trzymam się jako tako. Dużych pieniędzy, jak największych pieniędzy za wszelką cenę. Ile trwa, zanim człowiek się upije? Na pewno niedługo, jeśli się do tego weźmie jak należy.

– Znowu na czarne? – wyrwała mnie z zadumy krupierka.

Jej dekolt miał coś w sobie. Obłe krzywizny piersi spotykały się najpierw w płytkim, a potem coraz to głębszym rowku, znikającym za zasłoną z czarnego jedwabiu. Dotarło do mnie, że w sześciu grach pod rząd zostawiłem monetę na polu i tyle samo razy padły czarne, co oznaczało zysk ponad dwunastu dukatów. W życiu tyle nie wygrałem.

– Nie, pójdę się czegoś napić – odpowiedziałem. Gdy podsunęła mi kupkę monet, zgarnąłem je i ruszyłem w stronę szynkwasu.

– Podwójną żytnią.

Bufetowa zerknęła na mnie, po czym postawiła na blacie dwa kieliszki i napełniła po brzegi. Zapłaciłem z wygranej. Pierwszą setkę wypilem jednym haustem, a potem zacząłem saczyć drugą. Sączenie żytniówki wymaga znacznego treningu. Wsłuchiwałem się w dźwięki dobiegające od stołów. Wśród graczy zapanował jakiś niepokój i podnosił się coraz silniejszy szmer. Chwilę później zorientowałem się, że jego przyczyną jest wysoka, elegancka kobieta w skórzanych spodniach i obcisłej kurtce z wywatowanymi ramionami. Zza rozpiętej kurtki widać było podkoszulkę z muławskiej przędzy, kończącą się tuż pod piersiami, zatem brzuch miała goły. Kobieta poruszała się sprężysto i z gracją, niczym kot. Czarne, metalicznie lśniące włosy miała na pół zaczesane do góry i splecione w złożony wzór, a na pół ściągnięte srebrną spinką.

– Kim jest ta dama? – spytałem bufetowej. Spojrzała na mnie, jakby lekko niezadowolona, jednak słowo „dama” podziałało na moją korzyść.

– Nikita Klaar, właścicielka kasyna, nasza szefowa.

– Aha. – Skinąłem inteligentnie głową, nie spuszczać oczu z madame Klaar.

W sali było mnóstwo pięknych kobiet, ale ona się czymś wyróżniała. Nadaremnie próbowałem to określić. Być może to nawet nie istniało, może tkwiło tylko we mnie. Kroczyła przez salę niczym królowa, od czasu do czasu zamieniając parę słów z którymś z graczy albo z krupierką. Jeden z ochroniarzy trzymał się wciąż blisko niej, lecz tak, że większość gości chyba nawet tego nie zauważała. Odnosiłem wrażenie, że zachowanie ochroniarzy cechuje coś więcej niż profesjonalizm. Ci faceci szanowali ją, kochali i podziwiali, jakby była dla nich boginią albo królową.

Z mojego miejsca miałem dobry widok na drzwi, przez które wchodziło się do sali. Pojawił się w nich atletycznie zbudowany mężczyzna średniego wzrostu, ubrany niczym goguś. Luźne spodnie z lampasami, buty z cholewami, szeroki, zdobiony srebrem pas, biała koszula, kamizelka z krokodylej skóry. Gestem dłoni pozdrowił ochroniarza, który wskazał mu drogę, po czym zaczął się energicznie przedzierać przez ciżbę graczy zgromadzonych przy stołach do gry w kości. Ujrawszy Nikitę, ruszył w jej stronę. Poczekała na niego, a gdy podszedł, nadstawiła policzek do pocałunku. Na twarzy

gogusia pojawił się zwycięski uśmiech. Chyba go skrzywdziłem, mierzył ledwie parę centymetrów mniej niż ja. To raczej ona była słusznego wzrostu. Rozmawiali przez chwilę, potem razem spacerowali po sali, zatrzymując się przy szynkwasiu kawalek ode mnie, i zamówili butelkę wina. Nadchodzące kłopoty zauważyłem jako pierwszy, tuż po mnie jeden z ochroniarzy, który jednak trzymał się gdzieś z tyłu. Do Nikity doczłapał pijany drań, który widać przegrał więcej niż zawartość swojej sakiewki.

– Oszust na oszucie! Ta gra to samo szachrajstwo, ale ja odbiorę swoje pieniądze, choćbym nawet miał je z ciebie wytrząść! – bełkotał, wymachując rękami.

Nikita spojrzała na swego towarzysza, jakby w oczekiwaniu, że coś zrobi, ale on najwyraźniej dobrze się bawił.

– Mój panie, odejść i wróć, kiedy znów przyjdzie ci ochota na grę – odpowiedziała i odwróciła się bokiem.

Miała czysty altowy głos. Podniosła do ust puchar z winem, jakby na znak, że cała sprawa jest już dla niej zakończona. Jednak nie dla pijusa. Wyciągnął ku niej rękę, lecz Nikita zgrabnie się usunęła, pijak stracił równowagę i padł na ziemię. Chwilę później wyprowadzili go ochroniarze. Upiła łyk wina. O dziwo, podczas uniku nie uroniła ani kropli.



– Wspaniale, po prostu wspaniale! – rozplątał się jej towarzysz, który podczas incydentu nawet się nie ruszył.

Przez jej twarz przemknął cień, ale trwało to ledwie chwilę. Położywszy swoją dłoń na jego, powiedziała coś cicho. Nie zrozumiałem co, lecz ton jej głosu był melodyjny, wyraźnie pieszczotliwy i pełen czułości.

Zamówiłem jeszcze dwie żytniówki.

Wyszedłem z kasyna tuż po północy. Pech w końcu wziął górę, przegrałem w sumie trzy dukaty, co mi jednak nie przeszkadzało, bo przecież dostałem pieniądze za uratowanie Tril. Przykucnąłem i oparłszy się o ścianę, czekałem, aż chłodne, pachnące wodą,

solą i rozległą przestrzenią powietrze trochę mi oczyści głowę. Pobliskie trzy olejowe latarnie oświetlały bezpośrednią okolicę kasyna, ale w bardziej odległych zakątkach panował mrok. Akurat zamierzałem odejść, gdy przed wejściem stanął duży powóz z sześciokonnym zaprzęgiem. Otworzyły się drzwiczki i na bruk wypadł przerażony facet w płaszczu, a po nim wyskoczyło dziesięciu mężczyzn. Dwaj mieli kusze, reszta sztylety albo tasaki lub miecze. Poczekali w milczeniu, aż ich więzień zastuka w drzwi, po czym skryli się w cieniu. Tymczasem powóz odjechał, zatrzymując się poza zasięgiem wzroku.

Byłem raptem kilka kroków od nich, ale nikt mnie nie zauważył. Ten przestraszony zamienił parę słów z odźwiernym, po czym drzwi się zamknęły, a on, wykonując polecenie ukrytych mężczyzn, cofnął się nieco i czekał. Za chwilę wyszedł przyjaciel Nikity Klaar i podszedłszy do przybysza, uściśnął mu rękę.

– Nie spodziewałem się, że będzie pan mnie tu szukał, panie Ravili. Czyżby coś się zmieniło w naszej umowie? – zagadnął.

W tym momencie z cienia wybiegli czterej czekający tam zbóje. Dwóch popędziło wzdłuż ściany, żeby odciąć drogę ucieczki, dwóch kolejnych wprost na niego. Ravili podbiegł pod kasyno i skulił się pod murem.

– Rybaku, wszystko się zmienia! – krzyknął najbliższy napastnik, szykując się do ciosu tasakiem.

Rybak nie zwlekał. Podskoczył do napastnika i lewą ręką uderzył w górę po skosie. Facet wrzasnął i z zakrwawioną twarzą runął na ziemię. Dopiero odbłask światła na klindze zdradził, że Rybak trzyma nóż. Drugi bandzior, uzbrojony w sztylet z długim ostrzem, był już przy nim. Ciął od dołu, ale Rybak zrobił krok w bok, a jednocześnie zdołał złapać tamtego za rękaw i przyciągnąć do siebie. W tej samej chwili jęknęła cięciwa kuszy i w plecach bandyty utkwiała strzała. Zapanowała cisza. Napastnicy widać zastanawiali się, co dalej. Ich ofiara nie miała szans, wszystko o tym świadczyło.

– Brać go! – zakomenderował ktoś i z cienia wynurzyła się grupka mężczyzn, krocząc półokręgiem w stronę ofiary. Nie spieszyli się, wiedząc, że są w liczebnej przewadze i najprostszym rozwiązaniem będzie zastrzelenie Rybaka. Nie miał odwrotu, bo przy drzwiach stało dwóch napastników.

– Strzelajcie na mój znak! – rozkazał brodac z w środku półkola.

– Jeśli nie traficie, zostańcie na miejscu i spróbujcie jeszcze raz.

Pętla zacisnęła się o kolejny krok. Jak się zdawało, Rybak chciał zaryzykować i wyrwać się z okrażenia. Beznadziejna sprawa, lecz nie pozostawało mu nic innego.

– Tu jest jeszcze jeden! – krzyknął stojący na skraju półkola kusznik, po czym strzelił w moją stronę.

Grot zarył w tynk nad moim lewym barkiem. Mało kto umie trafić w cel tuż nad ziemią. Zerwałem się i będąc jeszcze w wysoku, dobyłem katzbalgera. Mężczyzna zasłonił się kuszą, ale ja w ostatniej chwili zmieniłem kierunek ataku i ciąłem go płasko w biodro. Kolejny, ogłupiały, stał jak wryty. Oberwał w rękę, w której trzymał broń. Trzeci rzucił się na mnie z mieczem – jego długa klinga przeciwko mojej krótkiej.

Z drugiej strony posłyszałem hałas – Rybak zwęszył swoją szansę i ruszył do walki.

Sparowałem groźne cięcie wymierzone w ramię, markując cios w głowę tamtego. Zablokował niedbale, więc przełamawszy gardę, chlasnąłem go w szyję. Kątem oka dostrzegłem szeroką głównię tasaka, instynktownie zasłoniłem się lewą ręką, a następnie dałem nura. Oberwałem płazem, impet ciosu złagodził ochraniacz przedramienia. Zanim się zdążyłem podnieść, napastnik doskoczył z zamiarem załatwienia mnie na amen. Bez większej nadziei ciąłem poziomo przy ziemi, hartowana stal przeniknęła przez skórę buta, wrzynając się w kostkę. Facet zachwiał się, wyjąc przy tym z bólu. Rzuciłem mu się pod nogi, powaliłem, po czym rozplątałem brzuch.

Obejrzałem się. Rybak walczył z przedostatnim mężczyzną, kusznik spozierał to na mnie, to na niego, nie mogąc się zdecydować, kogo ma wybrać za cel. W oddali zarżały konie, o bruk zadzwoniły podkute kopyta. Z czarnego gardła ulicy wynurzył się powóz, bliźniak tego pierwszego, po czym gwałtownie się zatrzymał. Strzelec wahał się zbyt długo – popatrzył zdziwiony na tkwiącą w jego piersi rękojeść mojego noża i runął z jękiem. Z powozu wyskoczył jakiś mężczyzna, a jednocześnie otworzyły się drzwi kasyna i w snopie światła stanęła postać o cienkiej talii i poszerzonych ramionach.

W powietrzu świsnęła strzała, mężczyzna przed powozem rozrzucił ręce na boki i upadł. Na zewnątrz chciał się wydostać następny, lecz trafiła go druga strzała, a tuż potem ścianę karocy

przeszyła kolejna i w środku rozległ się donośny krzyk.

– Ruszaj, zanim nas tu wszystkich powystrzelają! – wrzasnął ktoś przerażony.

Trzaśnięcie bata, spod końskich kopyt trysnęły iskry, koła na bruku zazgrzytały i powóz przepadł w mroku. Wstałem cokolwiek zamroczony. Jak dla mnie, po tylu głębszych, to wszystko przebiegło za szybko. Z lewej dłoni spływała mi krew, a nie najlepiej wykonana przewrotka sprawiła, że miałem stłuczone prawe ramię.

Z kasyna wyroili się ochroniarze, każdy z pochodnią w ręce, i w całej okolicy zrobiło się jasno jak w dzień. Rybak stał zboczony krwią, lecz wyglądało na to, że nie własną.

– To byli ludzie Kurgana – rzekł cicho, patrząc przy tym na przerażonego chłopinę w zmiętym płaszczu, który przez cały czas tulił się do ściany kasyna.

– Błagam o wybaczenie. Grozili mi, musiałem to zrobić! – wybełkotał.

Rybak splunął.

– Nie zapłacę panu za towar i zapomnimy o tej nocy. To jak?

Facet zerknął na Rybaka, na jego noże i przytaknął. Dobrze zrobił.

Nikita Klaar w towarzystwie dowódcy swoich ochroniarzy podeszła do mnie i przyjrzała mi się badawczo.

– Trzeba wam opatrzeć rany?

Pokręciłem głową.

– Madame, świetny z pani strzelec – powiedziałem. – Co to było? Jeszcze nie widziałem trzystrzałowej kuszy.

Na jej twarzy pojawił się przelotny uśmiech, przez co była jeszcze ładniejsza. Pod obcisłym materiałem bluzki wyraźnie rysowały się sutki, nabrzmiałe wskutek nocnego chłodu.

– Trzy zwykłe kusze. Podawał mi je mój odźwierny, ćwiczyliśmy to.

Nikita Klaar zatrudniała naprawdę pierwszorzędny personel.

– Wypada mi wam podziękować – wtrącił się do rozmowy Rybak.

Nie podobał mi się, podobnie jak sprawa, w którą się wpakowałem. Nie chciałem mieć nic wspólnego z miejscowymi zatargami.

– Nie ma za co. Strzelali do mnie, więc musiałem się bronić, to

wszystko.

Nie przyjąwszy jego podziękowań, odwróciłem się i krocząc bardziej posuwicie niż zwykle, ruszyłem w stronę swojej kwatery. Tych wódek było rzeczywiście sporo, wiedziałem więc, że następne nie będą mi już potrzebne. Kiedy kogoś zabiję, sam też zawsze śpię jak zabity.

Rozdział 8

Co w trawie piszczy



Po przebudzeniu zjadłem niespiesznie śniadanie, a następnie wybrałem się z wizytą do Belfonta juniora. Moja wczorajsza wymiana poglądów z żołnierzem okazała się pożyteczna, bo wartownik tylko skinął głową na powitanie i od razu wpuścił mnie do środka. A gdy potem błąkałem się po gmachu w poszukiwaniu Ochinota, przypadkowo zasłyszałem uwagę, że jestem „gorylem tego buchaltera”. Ochinot widać już przystąpił do pracy. W końcu moje łazikowanie przerwał zastępca komendanta gwardii Bied Tuhuka i zaprowadził wprost do Ochinota. Po drodze wyjawiał mi, że dzisiaj jego ekscelencja w ogóle nie będzie urzędować, ponieważ wczorajsza narada przeciągnęła się do późna, czyli widzenie jest możliwe dopiero jutro. Nie przeszkadzało mi to. Jeśli chodzi o mnie, wizyta u Belfonta juniora mogłaby się odbyć choćby w jego prywatnej rezydencji.

Znalazłem Ochinota w suterenie, w archiwum, na wpół zagrzebanego pośród grubych tomów ksiąg rachunkowych. Do pomocy miał paru mężczyzn, przy czym jeden wyglądał na szczególnie zatroskanego.

– Jak idzie? – zapytałem.

Ochinot zerknął na mnie, strzepując pył z kamizelki.

– Dobrze, mam nadzieję, że się uporam z tym w dwa dni i będziemy mogli zamknąć sprawę – powiedział głośno, tak żeby usłyszeli wszyscy.

Przyglądałem się chyba z godzinę, jak wertuje księgi, nieustannie przy tym mamrocząc i od czasu do czasu zapisując coś w grubym notesie.

– A może byśmy zrobili przerwę na kawę i coś na ząb? –

zapropował.

Zgodziłem się.

Przeszliśmy do pokoju przydzielonego mu na pracownię. Był tam tylko stół, dwa poobijane krzesła i żadnego okna. Po chwili służąca przyniosła nam posiłek. No, to zbyt dużo powiedziane – raczej małą przekąskę. Wymieniliśmy się adresami naszych kwater, żeby w razie potrzeby nawiązać kontakt. Ochinot zdążył już wynająć dom.

Piliśmy w milczeniu kawę, zamyślony Ochinot gapił się w ścianę.

– Sądziłem, że buchalter musi dokładnie badać dokumentację – napomknąłem, przypomniawszy sobie jego niedbałość przy pracy.

Nie zapominajcie, że ze mnie nie jest zwykły buchalter. Jestem geniuszem liczb, mam ejdetyczną pamięć. Ejdetyczną, czyli że zapamiętuję widziany tekst, i to na całe życie. Jeśli tylko zechcę, potrafię sobie przypomnieć dowolną stronicę – wyjaśnił, widząc moje pytające spojrzenie. – I jeszcze dzięki intuicji poznaję, gdy jakaś liczba nie pasuje do innych czy też po prostu jest sfałszowana – ciągnął dalej.

Nigdy bym nie pomyślał, że ludzie mogą mieć takie zdolności.

– Aha, czyli ze mną jest chyba podobnie? Wystarczy mi widzieć kogoś przez chwilę, a nawet dziesięć lat później rozpoznam go i wiem, czego się mam po nim spodziewać – usiłowałem dopasować to do czegoś bardziej dla mnie zrozumiałego.

Przytaknął, przyglądając mi się z szacunkiem.

– To niesamowite, jak załatwiliście tych trzech łowców ludzi – zmienił temat, kiwając się z boku na bok. – Przepraszam za tamte uwagi. Przyznaję wam rację, musieliście... musieliśmy ich zabić. A jakież to było proste, nie mieli żadnych szans! Starczyły zwyczajne polana!

Widziałem, jak podziw miesza się w nim z przerażeniem. Dla większości kibiców walk gladiatorów śmierć nie jest czymś niezwykłym. Ochinot był inny, o wiele bardziej miękki. Ale przecież wspomniał coś o tym, że oglądał przede wszystkim walki zapaśnicze, a nie pojedynki z użyciem broni.

– Nieprawda, że nie mieli szansy. Mogłem się pośliznąć, mogło się wydarzyć coś niespodzianego. Fakt, nie byli wyszkoleni. Łatwo jest napędzić stracha wieśniakom, a co więcej, oni od samego

początku się bali. I chcieli mieć to jak najprędzej za sobą, wierząc, że pierwszy atak będzie decydujący. A to zawsze jest błąd, wielki błąd.

– A wyście się nie bali?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Człowiek mojego pokroju bez przerwy musi się liczyć ze śmiercią.

Niby prawda, ale wypowiedziana na głos brzmiała jakoś głupio, bodaj tak samo, kiedy człowiek uroczyście oznajmia, że dwa razy dwa równa się cztery.

– Rzeczywiście uporacie się w dwa dni? – wróciłem do jego zajęcia.

Skrzywił się kwaśno.

– Eee, gdzie tam. Coś tu śmierdzi. Dzisiaj przelecę jak najwięcej dokumentów, żeby nie zdążyli ich poprawić albo wymienić. Przykładowo: zauważyłem mnóstwo wydatków księgowanych jako zakup soli. Gdyby były prawdziwe, przed domem każdego mieszkańca imperium leżałaby kupa soli, tak z kwintal. Na razie wiem tyle, że w obiegu jest więcej pieniędzy, niż się oficjalnie wykazuje, i że te pieniądze przynoszą zysk, który gdzieś przepada.

– Montemer Belfont wie o tym? – spytałem.

Ochiot dopił kawę i wstał z krzesła.

– Niekoniecznie. Oszustwo jest naprawdę ogromne. Jego skalę może znać tylko ten, który to wszystko obmyślił. Wyobraźcie je sobie jako transakcje ukryte w innych transakcjach, podziemny obieg pieniądza maskowany powierzchniowym przepływem. Na razie coś podejrzewam, ale... – Nie dokończył zdania, po czym wrócił do naszej niedawnej rozmowy: – Zapłaciliście mnóstwo pieniędzy, żeby uratować swoich krewnych.

– Nie wszystkich, bo ojca spalili, a najstarszy brat nie przeżył. Został zabity – sprostowałem mechanicznie.

– Przykro mi. Interesuje mnie to w sensie finansowym. Z początku na pewno nie mieliście żadnego kapitału. Wiecie, co przez to rozumiem? Pierwszą ratę. Oraz człowieka, który wam pomagał, ryzykował i na pewno nie robił tego za dobre słowo – zastanawiał się na głos.

Byłem zaskoczony, że wciąż o tym myśli i jeszcze bierze mnie na spytaki. Ale najbardziej zdumiewające było to, że miałem ochotę o tym rozmawiać. Być może dlatego, że wszystko już się skończyło.

– Macie rację – przytaknąłem. – Kiedy ojca oskarżono o czary, miałem siedemnaście lat i byłem kompletnie goły. Materiały dla inkwizycji Konwentu przygotowywał ówczesny zarządca prowincji Chaab. Zakradłem się na jego pokoje i czekałem, aż przyjdzie. A potem błagałem go, prosiłem, zaklinałem, obiecując zrobić cokolwiek, byle pomóc rodzinie. Byłem gotów na wszystko, więc nie mógł się mnie tak po prostu pozbyć, ponieważ nie miał pojęcia, do czego jestem zdolny. Zresztą sam tego nie wiedziałem, może bym go i zabił. Uczyłem się zawodu u ojca w kuźni, byłem silniejszy od wielu mężczyzn. Zawarliśmy układ. Jeden ze znajomych zarządcy, bardzo bogaty kupiec, marzący o arystokratycznym tytule, miał córkę, do której się zalecał pewien młodzieniec ze znacznie niżej postawionej rodziny. Kupiec był bezradny, bo córka kochała tego młodzieniaszka, do tego była uparta, grożąc, że ucieknie z domu i zrzeknie się majątku. Ja miałem nakłonić młodego, żeby o dziewczynie zapomniał.

– I zrobiliście to?

Pokiwałem głową, pociągając ostatni łyk kawy. W trakcie rozmowy wystygła i teraz smakowała niczym mętna woda ze stawu. Co w niej ludzie takiego widzą?

– Zrobiłem. Później zawarłem z zarządcą umowę, zgodnie z którą przez szesnaście lat co pół roku na pewne konto w Banku Imperialnym miałem wysyłać sześćset dukatów. Bez względu na to, czy zarządca umrze, czy będzie żył. Po upływie szesnastu lat od wykonania wyroku krewni czarownika nie mogą być karani, tak mówi prawo.

– A jak nakłoniliście tego młodzieńca, żeby dał sobie spokój z dziewczyną? – zapytał Ochnot.

Uśmiechnąłem się, żałując, że nie mam pod ręką butelki, mojej ostatniej deski ratunku.

– Zaczaiłem się na niego pod murem, który musiał pokonać, kiedy skradał się do swojej ukochanej. Powiedziałem mu prawdę: że to sprawa życia i śmierci.

– I przystał na to? Zrezygnował z niej? – Ochnot wyglądał na zdumionego, a zarazem zadowolonego.

– Nie, zawziął się. Dwa dni i dwie noce tam wartowałem, zanim przyszedł znowu. Wywiązała się bójka. Umiał się bić, ale to ja wygrałem. Tydzień musiał leżeć w łóżku.

– No i się zniechęcił – stwierdził Ochiot.

Ruszyłem do wyjścia.

– Nie. Nakryłem go jeszcze raz, ale nie zdołałem zmusić do przysięgi, że już tam nie pójdzie, więc go zatłukłem. Gołymi rękami, bo nie miałem przy sobie broni. Musiałem.

Nie było to miłe wspomnienie. Zabiłem mnóstwo ludzi, ale tylko ta śmierć nie dawała mi nocami spokoju.

– Idę do Belfonta juniora, wieczorem wpadnę do was – rzuciłem przez ramię.

Opuściłem siedzibę gubernatorstwa z zamiarem znalezienia knajpy, która o tak wczesnej porze byłaby otwarta. Cevin był cywilizowanym miastem, bo ledwie się rozejrzałem, naliczyłem ich pięć. Ruszyłem do lokalu, na którego szyldzie widniał okazały, przekrzywiony dzban piwa z kozuchem podejrzanie żółtej piany.

– Witaj! – zaczęła mnie nieznajoma kobieta.

Włosy, mieniające się barwami od złotej po rudą, miała splecione w warkocz. Długa, rozkloszowana spódnica opinała biodra kobiety, zdradzając, że wszystko pod nią jest takie, jak być powinno. Poznałem ją dopiero po oczach. Były równie duże jak wtedy. I tak samo głębokie. Tril.

– Jak mnie znalazłaś i czego chcesz? – burknąłem.

– Minęłam się z tobą u Kiliana raptem o chwilę. Żołnierz przy bramie pokazał mi, w którą stronę poszedłeś. Muszę z tobą pogadać, ale to rozmowa na dłużej.

Dopiero po jakiejś chwili dotarło do mnie, że Ochiot ma na imię Kilian.

– Dobrze, chodźmy tam – zgodziłem się, wskazując drzwi knajpy, przed którą staliśmy.

Wprawdzie to czarownica, ale diablo piękna, a rozmowa z nią i tak była lepsza niż grzebanie się w przeszłości.

Okazało się, że wybrałem najpodlejszą spelunkę, gdzie był tylko szynkwias, baryłki z winem oraz kilka nieoheblowanych ław i stołów. Światło, przenikające przez dwa małe, zapaćkane okna, nie dawało sobie rady z zalegającym w kątach mrokiem. Większość obecnych, stłoczona przy szynkwasiu, piła swoje trunki na stojąco. Zerknąłem na Tril, co ona na to. Zachowała spokój, mimo że nie wyglądała na zachwyconą. Siedliśmy na ławie najbliższej drzwi, bo tam jeszcze jako tako było czym oddychać. O dziwo, gruby szynkarz w fartuchu,

który już dawno stracił swój pierwotny kolor, podszedł niemal natychmiast. Zamówiłem sobie żytniówkę.

– A ty? – warknął na Tril.

– Poproszę herbatę. I dużo cukru, może być też miód – zamówiła z uśmiechem.

– Czy ty, paniusiu, na głowę upadłaś? Nie mamy tu takich rzeczy! I niech ci twój frajer zaraz coś zamówi do picia albo wynocha stąd!

Paskudztwa, które nalewał swoim gościom, widać już mu padły na mózg, bo Tril różniła się od ladacznicy chyba w tym samym stopniu, co jego przybytek od porządnej knajpy.

– Przyjacielu, jeszcze jedno krzywe słowo i ta mordownia będzie sobie musiała poszukać nowego szynkarza – powiedziałem spokojnie. – A kubek ma być czysty, jasne?

Przez chwilę przyglądał mi się uważnie, w końcu jednak podjął słuszną decyzję i odszedł, mamrocząc coś pod nosem.

– No, mów, mam mnóstwo roboty – ponagliłem Tril.

Zadbana i piękna prezentowała się wspaniale, należąc do całkiem innego świata niż ten mój.

– Urządzą coś w rodzaju lecznicy, niedaleko od siedziby gubernatorstwa, przy ulicy Solnej.

Stropiła się, jakby sama zaskoczona tym, czym się akurat zajmuje, ale jej oczy wnet rozbłysły.

Zbyłem to milczeniem. Jej niesamowite zdolności gwarantowały sukces, poza tym sprawiała wrażenie obrotnej, ale nie miałem pojęcia, skąd tak szybko zdobyła pieniądze na rozkręcenie interesu.

– Człowiek, od którego kupiłam meble, poskarżył się, że jego córka przepadła. Jest kupcem i to dość bogatym. Ponoć wyznaczył nagrodę dla tego, kto ją sprowadzi z powrotem do domu albo przynajmniej ustali, co się z nią stało – ciągnęła swą opowieść.

Przyczłapał szynkarz, stawiając przede mną poobijaną szklaneczkę, a przed Tril duży fajansowy kubek, naczynko z miodem oraz drewnianą łyżkę. Rzuciłem mu pytające spojrzenie.

– Gorzałka trzy miedziaki, herbata dla damy gratis – rzekł.

Dałem mu piątaka i poszedł sobie.

Powąchawszy herbatę, Tril pokiwała głową z zadowoleniem. Nalała do kubka solidną porcję miodu, po czym z miną smakosza zaczęła mieszać. Wychyliłem wódkę jednym haustem. Paskudztwo,

ale grzało przyjemnie.

– Dlaczego tyle pijesz? To szkodzi – powiedziała z naganą w głosie.

– W życiu wszystko szkodzi: obżarstwo, opilstwo, źli współnicy, hartowana stal w brzuchu... Ile lat ma ta dziewczyna? Jest ładna? – wróciłem do wcześniejszego tematu.

– Dziewiętnaście. Podobno bardzo piękna.

– Na zdaniu ojca raczej polegać nie można. Jeśli była tego warta, mogli ją porwać do jakiegoś zamtuza albo od razu sprzedali jako niewolnicę. W Strefie, w odróżnieniu od cesarstwa, niewolnictwo jest legalne. Jej cena wyniesie góra trzydzieści, czterdzieści dukatów, a jeżeli jest dziewicą, wtedy dwa razy tyle. Powiedz temu człowiekowi, żeby się rozejrzał na targach niewolników. Tylko tyle mogę doradzić.

– Mówisz o niej, jakby była towarem! Jak możesz? Proponuję ci dobrze płatne zajęcie, dzięki któremu miałbyś szansę komuś pomóc! Ciebie to nie obchodzi? – wybuchnęła.

W jej twarzy, niczym w lustrze, odbijały się emocje: zapał, troska, współczucie i potępienie. Jak to się stało, że nie została schwytana i spalona już wcześniej? A może jednak nie doceniałem jej i tylko w mojej obecności zachowywała się tak bezpośrednio?

– Jej ojciec nie zapłaci mi tyle, żeby to było warte mojego wysiłku, a tak w ogóle nie potrzebuję pieniędzy. Ty zaś przekonałaś się na własnej skórze, że życie jest okrutne. Ta dziewczyna po prostu ma pecha. Wychodzę stąd, a ty powinnaś wyjść ze mną, bo to nie miejsce dla samotnych kobiet.

Nie zaprotestowała, świdrując mnie tylko tymi swoimi pięknymi oczyma. Nie było w nich potępienia ani pogardy, ba, nawet złości. Jakby mnie chciała zgłębić, zajrzeć na samo dno mojej duszy. Ostatecznie jest czarownicą, niewykluczone, że to potrafi. Ruszyłem w stronę wyjścia. Niech sobie radzi, jak umie. Byłem w jeszcze podlejszym nastroju niż po rozmowie z Ochinotem. Tril wprost tryskała chęcią życia, ciekawością wszystkiego, co się wokół dzieje. Próbowwała wpływać na wydarzenia i podobnie jak Ochinot potrafiła się cieszyć.

Dziwni ludzie – tacy są dla mnie niebezpieczni. Nie należy się z nimi spoufalać.

Do rezydencji Belfonta trafiłem łatwo. Cały czas szedłem pod

górze, trzymając się najszerzych ulic. Powietrze blisko wybrzeża było wyjątkowo czyste i wszystko zdawało się znajdować bliżej niż w rzeczywistości. Jednak do celu dotarłem dopiero po godzinie marszu. Stało się jasne, dlaczego po ulicach jeździ tyle karet, powozów, kolas i dwukółek – w Cevinie wszędzie było daleko.

Prywatna siedziba dziedzica hrabstwa Belfont została zbudowana z białego polerowanego marmuru, w stylu charakterystycznym dla południowej części Imperium. Na dole były podcienia z licznymi wejściami do pokoi. Można by powiedzieć, że pomieszczenia zaczynały się w ogrodzie i poprzez arkady płynnie przechodziły w głąb gmachu. Na dachu podcieni znajdował się taras obiegający całą drugą kondygnację. Trzecie piętro z wielkimi oknami zwieńczały cztery wieżyczki. Cały pałac otaczał mur z białego wapienia. Ponieważ budynek wznosił się na samym szczycie wzgórza, a mur stał nieco niżej – pewnie po to, by nie zasłaniać widoku – zobaczyłem to wszystko jeszcze przed przekroczeniem bramy. Rezydencja nie była fortecą – miała zapewnić wygodne mieszkanie.

Wartownicy przypominali wyglądem bardziej majordomusów niż żołnierzy. Ich stroje lśniły od złoci.

– Muszę rozmawiać z Montemerem Belfontem – oznajmiłem bez żadnych ceregieli.

– Jesteście zapowiedzeni?

Z kieszeni na piersi wyjąłem list z hrabiowską pieczęcią.

– Przynoszę list od hrabiego. To pilne. W gubernatorstwie powiedzieli mi, że tu go znajdę.

Obaj pobieżnie skontrolowali pieczęć i bez zbędnego gadania wpuścili mnie do środka. Nawet się nie trudzili, żeby sprawdzić, czy jestem uzbrojony. Widać hrabiowska pieczęć dodawała mi wiarygodności.

– Zgłoście się u odźwiernego, pokaże wam drogę – zalecili.

Ruszyłem pod górkę alejką wysypaną białym piaskiem, wsłuchując się w świszczący wokół uszu wiatr, który jednak stracił na sile, gdy tylko wszedłem między rzędy cyprysów i pinii. Przy samych drzwiach już nie dmuchał; park przy pałacu był czymś w rodzaju zasłony przed wiatrem, tworząc nieckę spokoju.

Odźwierny miał na sobie strój jeszcze bardziej wytworny niż strażnicy przy bramie. Jego pergaminowa, pomarszczona twarz ostro

kontrastowała z siwymi, lśnącymi od pomady włosami. Może nosił perukę, ale nie byłem tego pewien. Przekazał mnie służącej w czarnej sukni z białym koronkowym kołnierzem, za którą wszedłem do saloniku. Ściany pokoju od góry do dołu zdobiły myśliwskie trofea i tylko w dwóch miejscach musiały ustąpić pola wielkim lustrom.

– Jego ekscelencja właśnie rozmawia w gabinecie, ale będzie tędy przechodzić. Kiedy będzie pan chciał wyjść, proszę mnie wezwać tym dzwonkiem, wtedy po pana przyjdę – pisnęła pokojowa.

W saloniku stało kilka kanap, lecz sprawiały wrażenie tak delikatnych, że nie odważyłem się usiąść. Stałem przed lustrem. Ujrzałem ostrzyżonego na jeża faceta o szczęce buldoga pokrytej trzydniowym zarostem. Oczy miał szare i zimne, wargi wykrzywione w wiecznym grymasie, jakby cały czas coś mu się nie podobało. W lustrze na przeciwległej ścianie stał ten sam gość, tyle że tyłem. Z nazbyt szerokich barów wyrastała mu mała głowa, skóra na karku była sfałdowana. Moja sylwetka odbijała się wielokrotnie i zanim oddaliłem się, a tym samym wizerunki wyszły z wykwinie zdobnych ram, naliczyłem ponad dziewięć identycznych postaci. Nie był to przyjemny człowiek, nie budził mojej sympatii. W gruncie rzeczy kawał drania. Najemny zabójca, morderca. Nagle olśniło mnie, co z nim pocznę. Prawdę powiedziawszy, myślałem już o tym w Ribenod, kiedy nie mając nic do roboty, włóczyłem się po ulicach.

Z mędrkowania nad cechami mężczyzny w lustrze wyrwało mnie trzaśnięcie drzwi i męskie głosy. Odwróciłem się. Korytarzem szło w moją stronę czterech ludzi.

Na przedzie wysoki, mniej więcej dwudziestopięcioletni, w obcisłych spodniach i białej jedwabnej koszuli z marszczonymi rękawami – wszystko zgodnie z najnowszą modą cesarstwa. Właśnie ostrym tonem mówił coś do mężczyzny po lewej. Ten był starszy – liczył czterdzieści, może pięćdziesiąt lat – barczysty i lekko przy tuszy. Odziany wprawdzie w identycznym stylu jak młody, ale jakoś niedbale, co już na pierwszy rzut oka nie pasowało do jego żwawego kroku, tak typowego dla wszystkich cesarskich urzędników. Tuż za nimi dreptał człowiek w brokatowym, haftowanym złotem płaszczu i pantalonach, pewnie jakiś kupiec. Czwarty tylko mi mignął, ale skupiona i jednocześnie unizona mina wskazywała, że należał do służby.

– Kapitanie, ja zdaję sobie sprawę, że reprezentuje pan jego cesarską moc, ale pańskie uprawnienia są ograniczone właśnie przez dekret cesarza. To znaczy, że pana słowo obowiązuje na morzu i w garnizonach. Nie godzę się na zbudowanie kolejnych koszar! To moje ostatnie słowo! – młodzieniec podniósł głos, dzięki czemu usłyszałem go i ja.

Był dość pewny siebie. Niemal wszyscy cesarscy kapitanowie mają arystokratyczne pochodzenie i duże uprawnienia, zatem tylko nieliczni ludzie, choćby nawet wysoko postawieni, pozwalali sobie na traktowanie ich z góry.

– A pan, panie Octadent, niech omówi swoją prośbę z kapitanem Juhivatem. On jest dowódcą marynarki wojennej Strefy. Wierzę, że okaże panu życzliwość. Za chwilę mój sekretarz przedstawi panom do podpisu protokół rozmowy. Tym samym nasze spotkanie uważam za zamknięte. Miło mi, że spotkamy się w przyjemniejszych okolicznościach na balu organizowanym przez pana Leermana – zakończył.

Czwarty przez cały czas gorliwie pisał na przenośnym stoliku, zawieszonym na paskach i opartym na brzuchu. Wkrótce wręczył każdemu z osobna kartkę papieru. Po przeczytaniu mężczyźni podpisali je, zostawiając sobie kopię, a następnie ceremonialnie się pożegnali. Przechodząc obok, kapitan rzucił mi przelotne spojrzenie, zaś pogrążony w swoich troskach Octadent nawet mnie nie zauważył. Idealny obiekt dla złodzieja.

– A ty kto? – zwrócił się do mnie ostro młodzieniec.

– Nazywam się Bakly. Szukam pana Montemera Belfonta. Mam dla niego wieści od ojca, hrabiego Drexlera Belfonta. – Pokazałem list z pieczęcią.

– Chodź ze mną do gabinetu – polecił. Sekretarz przyjrzał mi się badawczo i złożywszy swój stolik, zrobił miejsce do przejścia. Teraz nie wyglądał tak usłużnie jak przed chwilą, był raczej uważny i czujny.

Kroczyłem za Montemerem długim korytarzem, obwieszonym obrazami, które nic mi nie mówiły, a sprawiały wrażenie wytworów obłąkańca. Wszędzie mnóstwo czerwieni, chaos, tylko gdzieniegdzie dostrzegłem coś, co jako tako przypominało postać ludzką, przeważnie poćwiartowaną albo w inny sposób okaleczoną. Montemer zauważył moje wątpliwe spojrzenia.

– Znasz się na sztuce?

– Nie.

– Ten styl nazywa się subiektywizm, nowość w Imperium. Malowanie to moja pasja, a te obrazy namalowałem sam. Na wystawie w Saxopolis zdobyły pewne uznanie – oznajmił z dumą.

– Aha – bąknąłem.

Jeżeli arystokracja zajmuje się podobnymi bzdurami, to znaczy, że jej rozkład i upadek jest znacznie większy, niż się mówiło. A ten energiczny młodzik pod tym względem przoduje.

Weszliśmy do gabinetu. Był wyłożony lipowym drewnem, w kominku buzował ogień, a wielkie witrażowe okna przepuszczały mnóstwo światła. Luksus siedł tu w parze z praktycznością. Montemer zasiadł w wygodnym fotelu za dużym biurkiem. Widziałem wiele małżeńskich łóżek, które były mniejsze. Stanąwszy przy barku, sekretarz zaczął bez polecenia mieszać drinka – niestety, tylko jednego – dla swego pana.

Montemer przeczytał list, po czym go odłożył.

– Ojciec zawiadamia, że przeprowadzicie rutynową kontrolę księgowości. Zgodnie z przyjętym protokołem mógł to oznajmić moim urzędnikom, a ci poinformowaliby mnie. To miłe z jego strony. Pisze też, że miał problemy z pewnymi ludźmi ze swojego otoczenia i twoje zadanie polega na sprawdzeniu, czy nie ma ich także tutaj. Dobrze, wydam rozkazy, żeby tobie i twemu towarzyszowi Ochinotowi okazano wszelką pomoc. Nawiasem mówiąc, ten Kilian cieszy się znakomitą opinią. Jestem zaskoczony, że ojcu udało się go wynająć.

Sekretarz postawił przed młodym arystokratą wysoki rżnięty kielich z białym jak mleko płynem. Pachniało gruszkami i alkoholem. Montemer z wyraźnym smakiem pociągnął solidny łyk.

– Jeszcze coś? – spytał lekceważąco.

– Tak. Dotarcie do ekscelencji nie jest łatwe. Pomógł mi ten list, ale teraz ma go pan.

– Rzeczywiście – przytaknął, po czym zwrócił się do sekretarza:

– Krips, napisz list polecający, i to zaraz. Odcisnę na nim swoją pieczęć. Jeśli się dowiesz czegoś ważnego o ludziach, którzy zagrażali mojemu ojcu, informuj mnie o tym natychmiast. Znajdziesz wyjście z pałacu?

– W saloniku myśliwskim zadzwonię na służącą – odparłem.

– Dobrze. Krips, masz już to wreszcie? I wezwij mistrza ceremonii, muszę bezzwłocznie pojechać na rozmowy z cechem ładowaczy. Nie chcę ich przyjmować ani tutaj, ani w gubernatorstwie. Spotkanie ma być całkowicie nieoficjalne...

Reszty rozmowy już nie dosłyszałem. Po otrzymaniu glejtu wyszedłem z gabinetu.

Montemer Belfont sprawiał wrażenie człowieka bardzo zajętego. Nikt go nie szantażował, wyglądało raczej na to, że ktoś, wykorzystując jego nieustanne zabieganie, majstrował przy rachunkach, żeby ukryć własne ciemne interesy. Tak, ale to było zajęcie Ochikota, nie moje.

W saloniku myśliwskim zadzwoniłem na służącą, sprawdzając przy okazji, czy w lustrach wciąż jest ten sam facet. Był i nie wyglądał ani trochę przyjemniej. Zasługiwał na to, co zamierzałem.

Ponieważ służąca nie nadchodziła, postanowiłem wyjść sam, lecz zamiast zejść schodami na parter, wszedłem na trzecie piętro. Miałem do wyboru – w lewo albo w prawo. Poszedłszy w lewo, trafiłem do saloniku w całości urządzonego na różowo. Meble, dywany, dekoracje na ścianach – wszystko zdradzało kobiecą rękę. I już na pierwszy rzut oka było jasne, że od dawna nikt tu nie bywa. Zawróciwszy, udałem się korytarzem w prawo, po paru metrach dochodząc do jakichś drzwi. Zanim zdążyłem odejść, wyszła z nich służąca, jednak inna niż ta spotkana za pierwszym razem. Już chciałem się tłumaczyć, że zablądziłem, ale ona rzuciła tylko przelotne spojrzenie, udając ostantacyjnie, że mnie nie widzi, więc poszedłem dalej.

Dziwne, jak mało było tu służby. I znów damski buduar, tym razem używany. Na stole karafka ze złotawą cieczą oraz kielich ze śladem różowej pomadki na brzegu. Chłopie, wyjdź stąd, bo z powodu chwilowej zachcianki napytasz sobie biedy, pomyślałem, ale nic z tego. Wyjąłem z karafki korek i powąchałem: Bourbon, gorzałka pędzona z kukurydzy. W pospolitych knajpach rzadkość. Nalałem sobie i łyknąłem, pijąc ze strony niezabarwionej przez szminkę. Bourbon grzał identycznie jak żytnia, a – co więcej – był smaczny. No, to się da pić dla przyjemności. Nalałem drugi raz. Smakował jeszcze lepiej.

– Zostawcie mi tam trochę – przeszkodził mi w degustacji odrobinę ochryply kobiecy głos.

Odwrociłem się. Kotara, która, jak sądziłem, zakrywała drzwi, rozsunęła się i do pokoju weszła wysoka kobieta w tradycyjnym stroju. Przez szczelinę w kotarze ujrzałem na krótko łóżko z baldachimem, garderobę oraz kolejne drzwi.

Była wysoka, może nawet wyższa ode mnie, do tego korpulentna, ale pomimo obfitych kształtów w pełni kobieca. Miała rozpuszczone jasne włosy, pełne, nieco wyzywająco uszminekowane wargi. Nie miała innego makijażu, a z kącików jej oczu biegły wachlarzyki zmarszczek, na razie słabych i łatwych do ukrycia, lecz była ich świadoma, mówiło o tym spojrzenie. Jej ruchy odzwierciedlały trudy minionych dni. Podszedłszy do mnie, ujęła kielich i wypijała do dna.

– Teraz wy – nakazała. – Kim jesteście?

– Bakły. Pracuję dla Belfonta – odpowiedziałem.

Nalałem sobie, wychyliłem, po czym znów napełniłem kielich i podałem jej pełny. Przechyliwszy głowę do tyłu, opróżniła go jednym haustem, a jej sterczące piersi przy tym zafalowały. U innej kobiety tak wielki biust wyglądałby niestosownie lub szokująco, ale do niej pasował, ponieważ cała była wielka. Przypominała trochę kobiety z salonów dla mężczyzn, którzy lubią, gdy im się zadaje ból.

– Jestem Rozalia. Rozalinda – przedstawiła się.

– Małżonka pana Belfonta?

Uśmiechnęła się przelotnie.

– Nie, jego kochanka. Nie mam odpowiedniego pochodzenia, żeby zostać żoną przyszłego hrabiego – rzekła spokojnie, bez śladu goryczy w głosie. – Czuję się teraz nieco zaniedbana, ponieważ Montemer ma mnóstwo zajęć.

W jej słowach brzmiał cynizm.

– Wyglądacie na mocarne chłopisko – stwierdziła i położywszy mi dłoń na bicepsie, spróbowała go ścisnąć.

Rozpocząłem następną kolejkę.

– Jeszcze twardszy, niż myślałam. Brudna robota?

Przytaknąłem.

Czwarty bourbon smakował wprawdzie lepiej niż wszystkie wcześniejsze, ale postanowiłem, że będzie ostatnim. Czekala mnie długa droga. Czasami naprawdę potrafię być twardy, także dla siebie.

– Mnie też wystarczy – rzekła, gdy podawałem jej kielich. Wkładając do karafki korek, nachyliła się w moją stronę i jakby

przypadkowo musnęła mnie piersiami. – Za chwilę przyjdzie mój krawiec. Wybieram się z Montemerem na bal u Leermana, więc muszę świetnie wyglądać. Ale jak będzie wam po drodze, wpadnijcie do mnie.

Uśmiechnęła się, oblizując przy tym górną wargę.

– Wpadnę.

Skinąłem głową, zamarkowałem uchylenie kapelusza i wyszedłem na korytarz. Idąc w kierunku bramy, zastanawiałem się, co w tej kobiecie było dziwnego, jednak wnet dałem sobie z tym spokój. Montemer nie jest szantażowany, nikt też nie przykłada mu noża do gardła. Ma kochankę, ale tutaj to normalne i nikogo nie gorszy. Zadanie zleczone przez Drexlera Belfonta wykonane, a pieniędzy, które jest mi jeszcze winien, nie potrzebuję, dostałem przecież sporą zaliczkę. Teraz kolej na rozprawienie się z facetem z lustra.

Rozdział 9

Przedwczesne odwiedziny



W mieście najpierw rozejrzałem się za dobrze zaopatrzonym sklepem z trunkami. A ponieważ Burbon wprowadził mnie w dobry nastrój, a dziś miał być mój wielki dzień, nie chciałem się zadowolić żytniówką czy też inną zwykłą gorzałką i szukałem czegoś lepszego. Stwierdziwszy, że nie mogą spełnić moich oczekiwań, subiekci podrzucali mnie sobie niczym gorący kartofel, wędrowałem więc od jednego sklepu do drugiego. Oferowali nie tylko alkohol, ale i najbardziej egzotyczne narkotyki.

Poszczególne środki odurzające są w Imperium albo zakazane, albo dozwolone, zależnie od miejscowych zwyczajów. W krajach, gdzie koka była używana parę wieków wcześniej przed włączeniem ich do Imperium, jej uprawa i stosowanie byłoby bezsensowne, a przede wszystkim niekorzystne z gospodarczego punktu widzenia. Z drugiej strony w tych samych prowincjach obowiązywał zakaz sprowadzania alkoholu, opium oraz innych narkotyków. W Strefie wolno było wszystko. Proponowano mi zatem opium, kokę, haszysz, szary lotos, sute i kupę innych, których nazw nigdy nie słyszałem. Lecz ja szukałem dobrego bourbona albo innej umiejętnie pędzonej gorzałki, dojrzewającej parę lat w beczkach w odpowiednich piwnicach.

Wreszcie trafiłem na właściwy sklepik. No, powiedzmy, że sklepik, bo był to raptem stragan z płóciennym zadaszaniem, przyklepiony do ściany domu, którą przebiegała granica między lennami Belfont a Glet. Na półce za sprzedawcą ujrzałem kilka sympatycznych, pękatych butelek, napełnionych bursztynowym płynem.

Przede mną przy straganie stał wysoki, chudy mężczyzna w płaszczu z wielbłądziej skóry. Byliśmy w jednej z najniebezpieczniejszych i zarazem najbiedniejszych dzielnic miasta, a tymczasem jego płaszcz prezentował się bardzo dobrze. Na targu trzeba by było za niego zapłacić co najmniej sześć, osiem dukatów. Mężczyzna miał starannie przystrzyżoną bródkę, bił od niego przyjemny zapach wody kolońskiej zagłuszający okoliczny smród. Wyglądał bardziej na uczonego niż na osobę, która zwykła przebywać w takich stronach.

– Z tego, co tu widzę, nic mnie nie interesuje – przerwał obcesowo ćwierkanie sprzedawcy. – Chcę nudrog. Jeśli go nie masz, pójdę gdzie indziej.

– Mam, jasne, że mam. Ale to szajs, nie dla was. Taki pan jak wy zasługuje na coś lepszego! – trąkotał sprzedawca.

W czarnych ustach nie miał ani jednego zęba, pewnie sam brał coś z tego, czym handlował, na przykład betel.

Doszło do krótkiej wymiany poglądów, kiedy to chudzielec zmusił sprzedawcę do położenia na ladzie mieszka z białym proszkiem w środku. W bezpiecznej odległości od straganu stały jakieś łapserdaki, nie spuszczać z oka „wielbłądziejego płaszcza”. Czemu się tak gapią? Zlustrowałem okolicę jeszcze raz i wszystko stało się jasne. Pośrodku ulicy rosło samotne drzewo, o którego pień opierał się żyłasty mężczyzna, mniej więcej mojego wzrostu, o pociągłej twarzy, szpiczastym podbródku oraz wąskich, skośnych oczach. Ubrany w bawełniane czarne spodnie, jedwabną luźną bluzę, ściągniętą pąsowym paskiem z materiału i kurtkę z krokodylej skóry. Wysoko przy lewym biodrze miał przypasaną parę krótkich mieczy, oba w jednej zmyślnie zrobionej pochwie, a na plecach stalową, dwuramienną kuszę. Nawet nie dbał, aby kurtka zakrywała pochwę na noże przytroczoną na piersiach. Zobaczyłem jeszcze, że na każdym przedramieniu ma dalsze dwa. To on strzegł „wielbłądziejego płaszcza”. Był naprawdę dobry. Starczyło, bym na niego zerknął i od razu zauważył moje spojrzenie. Już wiedziałem, dlaczego kupujący chudzielec jest tak spokojny – jego ochroniarz był całą armią, chociaż tylko jednoosobową.

– Dobra, potrzebuję tego dużo więcej. Zostaw to sobie. Jeśli mi wskażesz swojego dostawcę, zapłacę ci podwójnie. – Moja uwaga znów się skupiła się na rozmowie.

Przekupień mruknął niezadowolony, zgarnął podsunięte pieniądze i pochyliwszy się ku chudzielcowi, coś mu poszeptał.

Wreszcie nadeszła moja kolej. Kupiłem jedną flaszkę i natychmiast skosztowałem. To był strzał w dziesiątkę. Powiedziałbym, że smakowało mi bardziej niż trunek u Rozalii. Pozostawało wypatrzeć konopny sznur, ponieważ wciąż jeszcze nie postanowiłem, w jaki sposób załatwić faceta w lustrze. Sznur dostałem w sklepie obok. Już miałem pójść do oberży, kiedy zauważyłem, że siedzą mi na karku dwie łązy, które chwilę wcześniej obserwowały „wielbłądzi płaszcz”. Zmieniali się regularnie, spryciarze, i gdybym wcześniej nie sprawdził okolicy, zapewne nie zauważyłbym niczego podejrzanego.

Spacerując bez celu, wpadłem do knajpy na obiad i zwiedziłem kilka kolejnych sklepów. Trzymali się mnie jak rzep psiego ogona. Najwyraźniej nie byli jednak żadnymi łachudrami, ponieważ mieli zbyt dobre buty i odzież, a pod trzyćwierciowymi opończami najpewniej chowali tasaki albo kordelasy. W dużym sklepie, gdzie rozglądałem się za kapeluszem, niby przypadkiem odgarnąłem połę płaszcza, pokazując im swój katzbalger. Przyjęli to obojętnie, czyli musieli o nim wiedzieć. Ale na pewno nie znali adresu mojej kwatery, bo w przeciwnym razie, zamiast uganiać się za mną po całym mieście, zasadziliby się na miejscu. Nie miałem pojęcia, kim są i czego chcą ode mnie, ale prawdę mówiąc, było mi to obojętne. Potrzebowałem tylko jednego spokojnego wieczoru.

Zamiast sklepów zacząłem wizytować knajpy, zamawiając piwo, którego nigdy nie dopijałem. Zawsze śledził mnie tylko jeden. Trzecia karczma okazała się odpowiednia – z kuchennymi drzwiami prowadzącymi na korytarz, gdzie było drugie wyjście. Zamówiłem znowu piwo i rzuciwszy monetę na szynkwias, szybkim krokiem, niemalże truchtem ruszyłem ku drzwiom na zaplecze. Mój prześladowca łypnął okiem i wybiegł na zewnątrz, żeby ostrzec swojego kumpla. W tej samej chwili wśliznąłem się do kuchni. Kucharka, jejmość tak zwalista, że schowałbym się za nią nawet ja, stała do mnie tyłem i sapiąc, klepała tłuczkiem mięso. Na patelni nad ogniem wściekle skwierczał tłuszcz, pomieszczenie było pełne dymu i kuchennych wyziewów. Nikt mnie nie zauważył. Ci dwaj popędzili przez korytarz i zniknęli na ulicy. Opuściwszy kuchnię, spokojnie wyszedłem z knajpy przez frontowe drzwi. Na najbliższym

skrzyżowaniu skręciłem, potem znowu i wtedy już nabrałem pewności, że udało mi się ich zgubić.

Do oberży wróciłem o zmierzchu. Mimo głodu nie zjadłem kolacji, bo i po co mi pełny żołądek? Usiadłszy na posłaniu, otworzyłem pierwszą z zakupionych butelek i pociągnąłem solidny łyk. Bezzębny sprzedawca twierdził, że to coś nazywa się koniak, a powstaje przez destylację wina. Smakował wybornie, idealny trunek na uroczyste okazje. Ułożyłem na kocu miecz, katzbalger, zestaw noży i konopny sznur.

Mówią, że gdy mężczyzna osiągnie już cel, do którego przez wiele lat dążył, podporządkowując mu wszystko, poczuje zadowolenie. Nieprawda – czuje wyłącznie pustkę. A w moim wypadku jeszcze niesmak i wstręt do siebie samego.

Doświadczyłem tego częściowo w Ribenod, tułając się pewnego popołudnia po mieście, przekonany, że dług został spłacony. Przy życiu trzymało mnie tylko oczekiwanie na potwierdzenie przelewu. Teraz było mi niepotrzebne, ponieważ skorzystałem z droższej usługi, kiedy to bank własnymi pieniędzmi ręczy za przeprowadzenie transakcji. Miałem pewność nawet większą, niż gdybym te pieniądze wręczył sam. Zadanie zleczone przez Drexlera wypełnione, długi uregulowane. Wszystko inne jest nieważne.

Pewnie jeszcze przez parę kolejnych lat mógłbym się tłuc po świecie, ale po co? Żeby zarobić następne pieniądze? Były mi już niepotrzebne. Żeby sypiać w zaplutyh oberżach, krzyczeć przez sen i budzić się z kacem oraz nocnymi koszmarami przed oczyma? Na czymś takim nie zależało mi nic a nic. Żeby zabijać ludzi, próbujących mi uniemożliwić coś, czego właściwie nawet nie chciałem robić? Żeby barłóżyć z kobietami, których jedynym zmartwieniem było to, ile im zapłacę? Po spotkaniu Ochinota, a przede wszystkim Trilian, zrozumiałem, że tak naprawdę już od dawna jestem martwy i wszędzie, gdzie się pojawia, sieję śmierć, niczym zarazę. Na tę myśl zrobiło mi się niedobrze.

Dokończywszy butelkę, napocząłem drugą. Czułem się całkiem nieźle, najlepiej od wielu miesięcy, może nawet lat. Właściwie już podczas rozmowy z Trilian niejako podświadomie podjąłem decyzję i teraz wszystko sprowadzało się do problemu, jak się skutecznie zabić, a przy tym nie cierpieć. Bałem się prawdziwego bólu, który człowieka rozrywa na strzępy.

Zawiązałem na sznurze pętlę. Mogłem się powiesić, lecz nie miałem pewności, czy okno jest wystarczająco wysokie dla tego sposobu odebrania sobie życia. Ani mi w głowie było rżenie przez dwie minuty w oczekiwaniu na śmierć. Poza tym jakiś łajdak mógłby mnie odciąć.

Mogłem się pchnąć w serce, tylko że ani miecz, ani katzbalger nie wchodziły w rachubę z powodu zbyt długich kling. Z kolei nóż miał ją zbyt krótką, pewnie i wystarczającą w wypadku przeciętnego faceta, no tak, ale dzięki latom ćwiczeń oraz wrodzonym cechom moje mięśnie torsu zmieniły się w rodzaj pancerza. Klinga zwykłego noża raczej by nie dotarła do serca, ponadto twarde mięśnie mogłyby doprowadzić do jej wygięcia, a wtedy zatrzymałaby się na zebrze. Już mi się to kiedyś przydarzyło.

Trzecia możliwość: przecięcie tętnicy szyjnej. Chlast i w ciągu sekundy człowiek traci przytomność.

Tak, to mi się spodobało najbardziej. Żałowałem tylko, że wykuty przez ojca miecz oraz katzbalger, moje własne mistrzowskie dzieło, trafią do kogoś innego. Ha, przecież mogę je złamać!

Na korytarzu skrzypnęła podłoga. Umysłowiłem sobie, że kręci mi się w głowie, a druga flaszka jest na wpół pusta. Cztery z pięciu świec zgasły, czyli musiałem tak siedzieć długie godziny, noc już dawno zapadła. Ująłem nóż, sprawdzając palcem ostrze. Dobra nasza, można było się nim ogolić. Palcem wskazującym i środkowym wymacałem tętnicę i przytknąłem nóż. Chcąc naprężyć prawą stronę szyi, skręciłem głowę w lewo i zdumiony ujrzałem, jak do środka wchodzi moi dwaj popołudniowi znajomi. Trudno powiedzieć, kto był bardziej zaskoczony.

– Czego tu chcecie, do cholery? – zapytałem poniekąd nielogicznie, ponieważ obaj dzierżyli w dłoniach długie kindzały z wygiętymi, co najmniej trzydziestocentymetrowymi główkami.

– Wczoraj pod kasynem nadepnąłeś na odcisk komuś ważnemu, dlatego zależy mi, żebyś był martwy. Przyszliśmy cię zabić – odparł jeden.

– Trzeba było poczekać – powiedziałem z nożem nadal przyłożonym do szyi – a oszczędziłbym wam roboty. Ale jeszcze możecie wyjść.

Chyba nie uwierzyli, bo ten bliższy rzucił się na mnie. Wyciągnąłem rękę po katzbalger, zbir jednak ciął mnie w ramię.



Cóż, zapomniał, że w lewej dłoni mam nóż. Był tak blisko, że nawet nie musiałem wstawać. Pchnąłem, trafiając prosto w serce. Jego oczy zmatowiały i osunął się niczym pajacyk, którego odcięto od sznurków. Natychmiast sięgnąłem po miecz, lecz ten drugi był szybszy – szarpnął za koc i broń ze szczękiem wylądowała na podłodze. Udało mi się złapać tylko konopny sznur.

– Pijany jesteś jak świnia, a jednak go zabiłeś – syknął.

– Aha – przytaknąłem, wstając. – Co nagle, to po diable. Powinien bardziej uważać. Ale zdążył mnie zranić – przyznałem punkt trupowi.

Ostatnie zdanie rozwścieczyło łotrzyka, ciął poziomo z lewej do prawej.

Byłem zbyt pijany, by się odchylić. Ostrze przejechało mi po brzuchu, lecz dotknąwszy rany dłonią, nie wyczułem tam wcale krwi.

– Mam szeroki pas, tak z piętnaście, dwadzieścia centymetrów – wyznałem zgodnie z prawdą, starając się mówić wyraźnie, jednak bez większego powodzenia.

Ciął ukośnie z góry, potem spróbował sztychu w szyję. Nie zdążyłem zareagować na czas, więc mnie drasnął. Przy pchnięciu zrobiłem unik, lewą dłonią tak mocno walnąłem faceta w łokieć ręki trzymającej broń, aż się obrócił, a prawą błyskawicznie zarzuciłem mu pętlę na szyję. A ponieważ atakował całą wagą ciała, nie zdołał się zatrzymać i znalazł się za mną. Zanim się zorientował, co i jak, oberwał takiego kopniaka w tyłek, że wypadł przez okno. Owinąwszy szybko sznur wokół przegubu, zapałem się nogami o ścianę pod oknem, po czym w odpowiedniej chwili szarpnąłem. Lina się naprężyła, usłyszałem charakterystyczne chrupnięcie. Poluzowałem ostrożnie i wyjrzałem przez okno – na ziemi leżało bezwładne ciało z konopnym kołnierzem wokół szyi. Czyli pierwsze dwa sposoby byłyby skuteczne, pomyślałem z zadowoleniem.

Zapaliwszy zapasowe świece, rozejrzałem się po pokoju. W powietrzu unosił się odór śmierci, zresztą jak zawsze, kiedy ktoś pada trupem w zamkniętym pomieszczeniu. Wszędzie pełno krwi, na podłodze, na mnie, na łóżku. Co więcej, na posłaniu leżała też duża, żółta koperta ze znajomą hrabiowską pieczęcią. Zaklejona i również cała we krwi. Otworzyłem ją, ale literki skakały mi przed oczyma i nie byłem w stanie czytać. Uznałem więc, że lepiej będzie odłożyć lekturę na rano.

Następnie mój martwy gość wyleciał przez okno, dołączając do swego kumpla, ja zaś wygramoliłem się ich śladem, zarzuciłem sobie obu na plecy i zaniósłem do portu. Gdy wrzucałem ich do wody, jakiś facet kawałek dalej robił to samo. Nocny Cevin nie był tak zacnym miastem, na jakie wyglądał za dnia.

Dopiero w łóżku, już nieco otrzeźwiały, uzmysłowiłem sobie, że nie wyjąłem z ciała noża. Głupia sprawa. Kto wie, czy lekarze nie mają racji, twierdząc, że pijaństwo pada na mózg. Na trzeźwo nigdy bym nie popełnił takiego głupstwa.

Rozdział 10

Za złotem



Zbudziłem się o świcie ze świadomością, że zapomniałem o czymś bardzo ważnym – nie opatrzyłem sobie obrażeń. Natychmiast oprzytomniałem. Usiadłszy na łóżku, przyjrzałem się ranom, które na szczęście nie były głębokie i zasklepiły się same.

Wszędzie czerniała zakrzepła krew, przez rozbite okno wlatywały pierwsze muchy. Nie chciałem tłumaczyć właścicielowi przyczyn wyrządzonych szkód, więc zbiegłem na dół i ulotniłem się niczym złodziej, zostawiając jednak na stole dukata, żeby nikt nie podniósł zbędnego hałasu.

Dwie godziny później mieszkałem w innej oberży, dość podobnej do poprzedniej. Umyłem się, wyprałem zakrwawioną kurtkę, a potem nie mogłem się doczekać, kiedy podkuchenna przyniesie smażone jajka, trzy plastry słoniny, wątrobę wołową oraz bochenek chleba. Brzuch burczał wniebogłoso, a żołądek na pewno był przekonany, że wczorajszej nocy naprawdę ktoś mnie zarznął. Zjadłem wszystko i jeszcze na dokładkę zamówiłem golonkę, splukując to dwoma dzbankami piwa. Dopiero po tym skromnym śniadaniu otworzyłem list od Drexlera. Wiadomość była zwięzła i jasna:

Odwołuję swoje polecenia. Przestań się interesować moim synem i wyjedź ze Strefy. Natychmiast. Dowiedziałem się, że za wszelką cenę próbowałeś posłać pieniądze na pewne konto. Nie znam powodu, ale wnioskuję, że to dla ciebie ważne. Wstrzymałem twój ostatni przelew i zezwolę na jego przeprowadzenie dopiero wtedy, gdy zjawisz się u mnie w Ribenod.

Drexler Belfont

Co to wszystko ma znaczyć? Dlaczego muszę natychmiast wyjechać ze Strefy? Jak hrabia zdołał wstrzymać przelew? Przecież w kieszeni trzymałem certyfikat, że bank całkowicie ręczy za przeprowadzenie transakcji! Gdybym z powodu niedokonanego przelewu stracił sto tysięcy i potrafił to udowodnić, Imperialny musiałby mi je wypłacić! Kiedyś już coś takiego się przytrafiło. Jednak w moim wypadku niedoręczenie pieniędzy przyniesie fatalny skutek – moi krewni znów będą ścigani. Nie umiałem sobie wyobrazić żadnego legalnego sposobu, w jaki Drexler mógł tego dokonać. A skoro nie istniał legalny, hrabia musiał postąpić nielegalnie. Jednak w kontaktach z cesarskimi instytucjami arystokraci niechętnie stosują nieczyste sztuczki, zwłaszcza wobec potężnego Banku Imperialnego. Nie wierzyłem mu ani na jotę. Musiał mnie zabić, bo gdybym zeznawał przeciwko niemu, zapłaciłby za to gardłem – hrabia nie hrabia.

Tak więc, jeśli wczoraj wieczorem wszystko dobiegło końca i pozostawało już tylko odejść, teraz znowu stałem w punkcie wyjścia, co więcej, gonił mnie czas. Zarządcy prowincji Chaab, a właściwie jego potomkom, ponieważ on sam zmarł pięć lat temu, musiałem jak najprędzej spłacić ostatnią ratę. Co ze względu na prawa obowiązujące w Strefie oznaczało konieczność zarobienia pięciuset dukatów, bo przelew na zewnątrz był obłożony dziewięćdziesięcioprocentowym podatkiem. Na zdobycie tych pieniędzy miałem miesiąc, a wzięwszy pod uwagę okres potrzebny na przeprowadzenie transakcji, raczej dwa tygodnie. Taką sumę w tak krótkim czasie zarobi raptem kilku największych handlarzy, podczas gdy ja byłem tylko najemnym mordercą. Oczywiście, mogłem opuścić Strefę, ale większość kontaktów i tak miałem na zachodzie. Tutaj nie znałem nikogo i załatwienie dobrze płatnego zajęcia przyszłoby mi z trudem. Bywało, że przez parę tygodni, a nawet miesięcy zbijałem baki, zanim znów zacząłem oglądać pieniądze. Mimo wszystko chyba lepiej było zostać tutaj. Uzmysłowiłem sobie, że po mej wcześniejszej apatii nie ma już śladu. Planowałem, kombinowałem, tak samo jak dawniej cały w nerwach i strachu, czy zdążę, czy dam sobie radę. Na jakiś czas życie znowu miało sens. Odsunawszy kielich, którym chciałem zakończyć śniadanie, ruszyłem w miasto. Miałem mało czasu i dużo

spraw do załatwienia.

Długą listę otwierała zbroja. Nie bałem się, ale zabicie faceta okrytego dobrą stalą przychodzi zwykle trudniej, a ja własną śmierć odłożyłem na później. Pierwszy człowiek, nagabnięty o kowali i o płatnerzy, skierował mnie na peryferia. Za siedem miedziaków oraz dwa talary jako zastaw wynająłem rozklekotaną dwukółkę, ciągniętą przez wynędzniałego wałacha, i wyjechałem w kierunku północnej granicy terytorium Belfont.

Najpierw poczułem w powietrzu charakterystyczną woń węgla drzewnego, palącego się w płomieniach o wysokiej temperaturze, a dopiero później usłyszałem jednostajne sapanie miechów i znacznie ostrzejszy szcęk młotów. Kowale rozłożyli się pod stokami wzgórz od strony łądu, gdzie kilka bystrych potoków napędzało miechy w ich kuźniach. Po dziesięciu kilometrach kłusa wałach był wykończony, nie przyspieszył nawet, gdy kilka razy trzasnąłem batem koło jego ucha. Zostawiłem go przy wysuszonej tarninie, a chłopakowi, który się tam kręcił, rzuciłem miedziaka.

– Kiedy wrócę i ciebie tu nie będzie, znajdę cię i obedrę ze skóry. A jak popilnujesz konia, dołożę jeszcze dwa miedziaki! – krzyknąłem na odchodnym.

Dym i śwąd żelaza rozbudziły we mnie wspomnienia. Rozgniotłem je w drobny mak i wyrzuciłem z pamięci. Potrzebowałem szybkich decyzji i równie szybkich działań, a w tym pierwszym nigdy nie byłem zbyt dobry, prócz tego przeszłość prędzej by mi przeszkadzała, niż była przydatna.

Kowalską osadę tworzyła jedna długa ulica wzdłuż brzegu wartkiej rzeczki. Płatnerze byli dalej. Po bokach stały wozy wyładowane wyrobami o dużych rozmiarach – kotwicami, kołowrotami, metalowymi belkami do umacniania kamiennych mol. Oglądałem kuźnie jedną po drugiej, szukając takiej, którą by kierował majster z prawdziwego zdarzenia, a jednocześnie zatrudniającą większą liczbę pracowników. Zależało mi, żeby zamówienie było wykonane jak najszybciej, najlepiej do jutrzejszego ranka. Niemal na samym końcu znalazłem kuźnię z jednym piecem i trzema ogromnymi kowadłami. Przy każdym kowal z pomocnikiem kuli, aż sypały się iskry.

– Szukam majstra! – krzyknąłem do zasuszonego starca, grzebiącego w rudzie rozłożonej na dużych drewnianych płytach.

– A czego chcesz od niego, synu?

Jego głęboki głos łatwo się przedarł przez szczęk żelaza.

– Zbroję! – odparłem.

– Wybierz sobie. – Wskazał palcem pograżoną w półmroku szopę. – Jest ich tam równy tuzin.

Zobaczyłem na półkach kilka kirysów, kolczug, na hakach wisały połyskujące nagolenniki, naramienniki oraz inne rycerskie dodatki.

– Chciałbym coś według własnego projektu! – wrzasnąłem jak najgłośniej, żeby zrozumiał.

Spojrzał zaciekawiony.

– Hej, chłopcy! Skończcie, co tam macie pilnego i chodźcie posłuchać, czego chce ten ptaszek! – huknął do swoich towarzyszy.

Nie zmieniając rytmu pracy, coś burknęli i po chwili skończyli kucie. Gdy mi się przyglądali, zorientowałem się, że zawitałem do rodzinnego interesu – prócz starca pracowali tu jego synowie i wnukowie.

– No więc co byś chciał? – zapytał.

– Lorikę, kirys złożony ze stalowych blaszek o szerokości od pięciu do dziesięciu centymetrów, zależnie od części ciała, połączonych ze sobą od wewnątrz skórzanymi paskami.

Odgarnąwszy piasek, na którym kładli rozżarzony materiał, narysowałem pobieżny szkic.

– Poszczególne płytki dopasowuje się dokładnie do ciała, układając je tak, żeby zachodziły na siebie jak gonty na dachu – tłumaczyłem.

– Zwykle pancerze są lepsze, wytrzymalsze. A jak ta zabawka się wygnie, wtedy grot wejdzie w szczelinę i wbije się w ciało – skrytykował mój pomysł łysol z blizną po oparzeniu na głowie.

– Nie, jeśli każda blaszka zostanie obrębiona czymś w rodzaju lilipuciego kołnierzyka – powiedziałem, kreśląc w piasku, jak to powinno wyglądać.

– Do cholery, po co ci takie cudactwo? Wiesz, ile z tym będzie roboty? – mruknął kowal ze spłaszczonym nosem. – A te blaszki bardzo łatwo można przehartować i po uderzeniu pękają wtedy jak zeliwo.

Sądząc po bliznach wokół oczu i zdeformowanych uszach, w przeszłości musiał nieraz bić się na pięści.

– W sztywnym kirysie kiepsko się robi przewrotki i inne takie tam – wytłumaczyłem. – Za robotę zapłacę sowicie, a zahartowanie zależy od tego, jak wy jesteście dobrzy. Widziałem lorikę z zewnątrz twardą jak klinga, a od środka żelazo było tak kowalne, że można je było giąć w rękach – dodałem.

Starzec posłał mi badawcze spojrzenie.

– Masz łeb na karku. Jesteś z branży? – zapytał.

– Stare dzieje, teraz częściej kupuję to żelastwo – odpowiedziałem.

– Czyli wiesz, ile w to trzeba włożyć pracy. Możesz mieć pancerz, w którym da się nawet tańczyć. Pięćdziesiąt dukatów – podał cenę.

– Tyle kosztują dwie dziewczyny – zauważyłem.

– Potrzebne ci dziewczyny czy kirys? – zachichotał, wiedząc, że ma mnie w garści.

– Lorika – uściśliłem. – Jeżeli przywieziecie mi ją do miasta jutro rano i będzie tak dobra, jak się tu przechwalacie, dołożę pięć dukatów.

– Stoi – rzekł starzec i przybiliśmy.

Po czym bez zbędnej zwłoki zaczął mnie mierzyć sznurkiem, gryzmołąc liczby kredą na kawałku drewna.

– Gotowe – sapnął pół godziny później. – Trzeba mi było zażądać jeszcze dukata, bo zużyjemy na ciebie tyle żelaza, ile na dwóch normalnych chłopca.

Zostawiłem mu pięć dukatów zaliczki, podałem nazwę oberży i pospieszyłem do wozu.

W mieście zajrzałem do rymarza, żeby mi zrobił pasek przez ramię, na którym względnie wygodnie mógłbym nosić mój miecz. Długością przypominał obronną oburęczną broń gwardii zamkowej w Saxopolis, ale głównie miał tak smukłą i lekką, że nie ważył więcej niż klasyczny oręż kawalerii. Ponadto był ostrzejszy, niż można by sądzić. Na jego widok każdy twierdził, że z powodu delikatnej budowy przy pierwszym starciu musi się rozpaść. Bzdura. Mój ojciec świetnie znał swój fach, był najlepszym płatnerzem w Chaabie, może nawet na świecie. Jedyna niedogodność polegała na tym, że miecza nie dało się wygodnie przytroczyć do pasa ze względu na długość, więc trzeba go było nieść w ręce albo na ramieniu. Rymarz obiecał, że do jutrzejszego rana spróbuje coś

wymyślić. Potem zostawiłem miecz w pokoju i uzbrojony tylko w katzbalger, wybrałem się z wizytą.

Mijało właśnie południe lecz ulice były przepełnione, widać miejscowi nie uznawali sjesty. Torowałem sobie drogę przez tłum, uskakując przed karetami i powozami oraz dając baczenie na złodziejasków, którzy łowili w ludzkiej rzece. Musiałem porozmawiać z Tril. Solną znalazłem łatwo, była jedną z głównych ulic ciągnących się równoległe do wybrzeża na południe od gubernatorstwa. Za pierwszym razem minąłem jej dom, nie spodziewając się, że będzie należeć do tych najładniejszych. Nieco zmieszany zakolałem do drzwi. Nie chciałem jej psuć interesów.

– Czego pan sobie życzy? – rzekł na przywitanie starszawy, zgarbiony mężczyzna, odziany skromnie, ale schludnie.

– Jestem chory.

– Ma pan umówioną wizytę?

Ho, ho, wystarczyły dwa dni, a Tril już sobie zapewniła taką klientelę, że trzeba się do niej zamawiać!

– Nie – przyznałem.

– W takim razie proszę usiąść w poczekalni i poczekać na swoją kolej.

Usłuchałem go i przeszedłszy przez krótki korytarz, wszedłem we wskazane drzwi. Ściany świeżo wymalowane, kasetonowy sufit, na podłodze lśniący parkiet. Bez względu na korzystne warunki kupna, Tril musiała sporo zapłacić za ten dom.

W pomieszczeniu z dwoma wychodzącymi na dziedziniec oknami siedziało na ławkach mniej więcej dziesięć osób. Dobra, grzecznie tu poczekam, a przy okazji przemyślę swoją sytuację. Nocą byłem zbyt pijany, żeby snuć takie rozważania, a dzisiaj aż do tej pory załatwiałem to, co akurat było najważniejsze.

Para nieudolnych bandziorów zdradziła przed śmiercią, że moja akcja przed kasynem komuś się nie spodobała. Według Rybaka byli to ludzie niejakiego Kurgana. Na razie pasuje. Podpadłem Kurganowi, trzeba by ustalić, kto zacz. Tylko jak się do tego ma list Drexlera? I, do diabła, jak zdołał wpłynąć na działalność banku? Jak ci dwaj mnie znaleźli? Wzięli na spytki Tril albo Ochinota, czy też mieli inne możliwości?

– A wy co tu robicie? To miejsce dla porządných ludzi!

Okazało się, że udająca arystokratkę pulchna mieszczka już od

dłuższej chwili wylewa na mnie swoją złość. Cała w koronkach, które uwypuklały każde drżenie jej tłustego ciała, była podobna do pękatej poduchy, a może bardziej do rozplywającej się galarety. Poza nami w poczekalni siedziało już tylko troje ludzi, sądząc po ubiorze – dwóch rybaków i kuchareczka. Widać się paniusia zżymała, że jest ostatnia w kolejce, uznała więc, że jestem tym, kogo można skarcić. Na coś takiego nie pozwoliłby sobie żaden mężczyzna, ale ona pewnie uważała się za nietykalną.

– Jestem chory, łaskawa pani. Do niedawna noc w noc spółkowałem z pięcioma kobietami naraz, teraz już tylko z trzema. Żle ze mną, muszę się leczyć – powiedziałem.

Wybałuszyła oczy, przełykając przy tym powietrze niczym wyłowiony karp.

– Ale może z łaskawą panią coś by się polepszyło... Takie ciało... Zapraszam do mnie wieczorem, tak na godzinkę, dwie. Byłaby pani czwarta – ciągnąłem dalej.

– Wypraszam sobie! Co za skandal! – wrzasnęła piskliwie, posyłając oburzone spojrzenie rybakom i kucharce.

Mężczyźni jawnie zarechotali, pucołowate dziewczę spuściło wstydliwie wzrok, ale w jej policzkach pojawiły się dołeczki.

– Myślę, że by była całkiem niezła, co wy na to? – zwróciłem się rybaków.

Wybuchnęli dzikim śmiechem. Spowita koronkami galareta nie zdzierżyła i wybiegła z poczekalni, trzaskając drzwiami.

Znowu się pogrążyłem w swoich rozmyślaniach. Jeśli Ochinot ma rację, w oszukiwaniu Belfonta juniora musi maczać palce jakiś wzięty handlarz. Ktoś, kto chce się piąć w górę i nie unika ryzyka. Jednak handel nie był moją mocną stroną, więc będzie rozsądniej omówić to z Ochinotem. I ostrzec go, żeby o swoich podejrzeniach z nikim nie rozmawiał, ponieważ od wczoraj gra toczy się na ostro. Następne pytanie, dla mnie najważniejsze, brzmiało: skąd wytrzasnąć pieniądze?

– Rzeczywiście z pana męskością jest tak źle? Obejrawszy się, ujrzałem przed sobą Tril. Poczekalnia była pusta. Poczuję, że się rumienię.

– Nie przyszedłem tu z tego powodu – warknąłem, psując cały dowcip.

– Nawet bez tej klientki, którą potraktowałeś tak niewybrednie,

miałam dobry dzień – roześmiała się. – Wypijesz ze mną szklaneczkę wina? – Nie pozwoliła, żebym się złościł sam na siebie.

Wzruszyłam ramionami. Jakże łatwo wyprowadziła mnie z równowagi, a przy tym tak bardzo mi się podobała – jednak nie wolno mi zapominać, że jest czarownicą.

– Czemu nie – rzekłam i poszedłem za nią na piętro.

Usiedliśmy w pustym pokoju, gdzie stał tylko stół i cztery krzesła.

– Jeszcze się tu nie urządziłam – zaczęła się tłumaczyć. – Większość czasu zajęło mi wyposażenie gabinetu, łaźni, zakup sprzętu... Po prostu wszystkiego, co w tym interesie potrzebne.

Wyczarowała skądś butelkę wina i dwa kieliszki. Uśmiechała się, tryskając zadowoleniem i dumą z tego, co robi. Było jej z tym do twarzy.

– Jeśli będziesz leczyła bardzo dobrze i bardzo szybko, ludzie zaczną cię pokazywać palcem i za chwilę znów poślą na stos – powiedziałem, przyglądając się, z jaką zręcznością wyciąga korek. Przy wadze nie większej niż pięćdziesiąt kilogramów była naprawdę silna.

Zawahała się i z miną niewiniątka podała mi jeszcze nieodkorkowaną butelkę.

– Zapomniałam, że nie muszę robić wszystkiego sama – rzekła. – Leczenie innych nie przychodzi mi tak łatwo jak leczenie siebie, jeszcze na wielu rzeczach się nie znam. A tutaj prawa Konwentu nie obowiązują i, co więcej, ludzie mają inne podejście do czarów – wróciła do mojej uwagi, nalewając nam wino. – Słyszałam nawet o kartach wydartych ze starych ksiąg, mam tu na myśli te sprzed wojny, gdzie jest mowa o czarach, klątwach, zaklęciach i o innych sposobach władania mocą. Tylko że tych kart jest mało i są niesamowicie drogie, za jedną trzeba zapłacić nawet kilkaset dukatów. Za nasze spotkanie.

Podniosła kieliszek, trąciliśmy się, brzęk szkła odbił się echem od gołych ścian niemal pustego pokoju. Wciągając zapach wina, a potem pijąc, mrużyła oczy niczym kot.

Była zbyt piękna, zbyt sprytna i wiedziała o mnie zbyt wiele, żeby tak mnie traktować. Czemu jest taka słodziutka i ciągle uśmiechnięta? Być może tylko sobie zabezpiecza tyły na wypadek, gdyby coś poszło nie tak i przed domem miałyby wyjąć, żądny krwi

tłum.

– Przeszedłem w sprawie roboty, o której mówiłaś wczoraj. Biorę ją – powiedziałem.

– Poszukiwanie tej zaginionej dziewczyny? – upewniła się.

– Tak. Jeżeli ojciec płaci rozsądnie, wchodzę w to. Spochmurniała, ale wkrótce na jej twarz znów wypłynął uśmiech.

– Cieszę się. Zaprowadzę cię do niego. Mam nadzieję, że kiedyś wpadniesz tu, ot tak, po prostu.

– Jaką chcesz prowizję? Dziesięć procent starczy? – powróciłem do ważniejszych spraw.

– Nie rozumiem...

– Załatwiłaś mi zajęcie – jałem tłumaczyć – i dlatego należy ci się część zysku. Dziesięć procent to moim zdaniem uczciwa propozycja.

– Ty nie masz przyjaciół, żadnych? Nigdy nikomu nie pomogłeś bezinteresownie? Wszystko przeliczasz na pieniądze? – wybuchnęła i po jej dobrym nastroju nie było już śladu.

Dlaczego się tak denerwuje?

– No właśnie – przytaknąłem. – Nikomu nic nie jestem winien, dbam także o to, żeby nikt nie był moim dłużnikiem. Robię to, za co mi płacą. Żadnych przyjaciół, żadnych kumpli. Kiedy mam ochotę na kobietę, płacę jej. Nie kocham nikogo i mnie też nikt nie kocha. Ludzi dzielę na tych, którzy stoją mi na drodze i na resztę. Za uratowanie ciebie zapłacił mi Ochnot, więc nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań, rozumiesz?

Pochyliła się ku mnie, jakby chcąc coś powiedzieć, lecz zaraz zrezygnowała i utkwiała we mnie wzrok. Uspokoila się. Lśniące kasztanowe włosy okalały jej twarz, a duże brązowe oczy kontrastowały z delikatnymi rysami. Wiązanie bluzki z cienkiej bawełny puściło i zza białych koronek ujrzałem część krągłych piersi.

Otaczał ją ulotny, ledwie wyczuwalny zapach perfum lub innego ziołowego pachnidła.

– Nie, nie rozumiem. – Potrząsnęła głową. – Chodźmy raczej do Trada Huspitzta, tak się nazywa ten kupiec – rzekła, wstając z krzesła.

Ruszyłem za nią, a gdy zamykałem drzwi, mój wzrok spoczął na napoczętej butelce wina oraz dwóch smutnych kieliszkach z czerwonymi plamami.

Trąd Huspitz był średniej postury, a w pasie nosił parę kilogramów więcej, niż nakazywała wygoda. Mieszkał w kamiennym domu przy jednej z wielu przecznic łączących główne ulice Cevinu. Chyba wiodło mu się nie najgorzej, ponieważ drzwi otworzył zwalisty sługa, a do pokoi na piętrze wprowadziło nas zahukane dziewczątko w długiej, marszczonkiej spódnicy aż do kostek, zapewne służąca i zarazem podkuchenna. Huspitz przyjął nas w małym, wąskim pokoju z tylko jednym zakratowanym oknem. W pierwszej chwili spojrział na mnie jakby z obawą, że zaraz go zabiję, lecz uspokoił się po paru słowach Tril. Z licznych podziękowań wywnioskowałem, że niedawno wyleczyła go z bólu zębów, co poniekąd wyjaśniało jego zaufanie.

– Jak córka ma na imię? Kiedy przepadła? Nie podobało się jej w domu? Jak wtedy wyglądała? – zadałem pierwsze pytania.

Nigdy przedtem nie szukałem człowieka, jednak raz zlecono mi odnalezienie skradzionego pierścienia i dwa razy obrazu. To chyba podobne sprawy, nie?

– Panie, wydaje mi się, że uciekła z domu, bo nie chciała wyjść za mąż! A ja ją tak kochałem! Nieboszczka żona zmarła siedem lat temu, została mi tylko Juana! Troszczyłem się o nią najlepiej, jak umiałem. Wybrałem jej kawalera, niebogatego, za to bardzo obrotnego. Bo dla kobiety obrotny mężczyzna jest lepszy niż bogaty! A ona była strasznie uparta, kłóciliśmy się często i teraz się boję, że uciekła z domu z mojej winy!

Stary kupiec, który z pewnością nawet z największego szachraja potrafił zedrzeć skórę, rozplakał się. Dałem Tril czas, żeby go uspokoiła, a potem wróciłem do pytań.

Godzinę później dostałem portrecik Juany Huspitz oraz imiona jej dwóch przyjaciółek. Nie była ślicznotką, jak z uporem utrzymywał ojciec – pospolita piegowata brunetka ze zbyt szerokim nosem, ale miała w oczach coś, co wzbudzało zainteresowanie.

– Pozostaje uzgodnić cenę – powiedziałem na koniec. – Żądam stu dukatów, lecz jeśli jej nie znajdę albo nie ustalę, co się z nią stało, nie policzę nic.

Kupiec sapnął ciężko i złapał się za serce. Był dobrym aktorem.

– To ogromna suma, nie mam tyle!

Zaczęliśmy się targować, jednak nie był tak twardy, jak początkowo myślałem. Chyba rzeczywiście zależało mu na córce.

Stańło na osiemdziesięciu dukatach, o ile wróci do domu żywa, i pięćdziesięciu, jeżeli ustalę, co się jej przytrafiło.

– Czy miała przy sobie coś szczególnego, przedmiot, po którym bym ją mógł rozpoznać, gdyby przefarbowała włosy, zmieniła fryzurę albo wygląd? – spytałem na odchodnym.

– Tydzień wcześniej dostała ode mnie cudnie zdobioną bransoletkę. Kupiłem ją u Junwira, jego sklep z biżuterią jest przy sąsiedniej ulicy! – odparł z przejęciem.

– Te dziesięć procent masz u mnie pewne – rzekłem do Tril przed domem i rozstawszy się z nią, pospieszyłem do gubernatorstwa, żeby sprawdzić, czy to przypadkiem nie Ochnot podał szpiclom adres mojej wcześniejszej kwatery. Na liczbach chyba się znał, ale czy na najzwyklejszych intrygach też? Tu nie miałem pewności. A wcześniej chciałem zajrzeć do Junwira i spytać o bransoletkę.

Jubiler prowadził mały sklepik, podzielony przez wysoką ladę na dwie części. Na mój widok tęgi mężczyzna o obwisłej twarzy, siedzący w rogu na drewnianym krześle, natychmiast wstał, trzymając w ręce krótką drewnianą pałkę. Ubrany w szare spodnie z surowego płótna i przykrótki, szorstki sweter, wcale nie przypominał jubilera.

– Chcę rozmawiać z Junwirem. Panem Junwirem – poprawiłem się.

– Nie ma go tutaj, gotowe wyroby sprzedają ja. A cacka są na zamówienie – odpowiedział, nie spuszczając ze mnie oczu. Zza zamkniętych drzwi za ladą dobiegał dźwięk młoteczków oraz kamieni szlifierskich, w powietrzu unosił się zapach topionego metalu i kalafonii.

– Interesuje mnie, jak wyglądała zdobiona miedziana bransoletka, którą sprzedaliście tej dziewczynie. – Wyjąłem portrecik, podając go na wyciągniętej ręce. Zmrużywszy oczy, długo się przyglądał.

– A niby czemu miałbym wam pomagać? – spytał wreszcie.

– Żeby mieć dobre układy z klientami? – zaproponowałem.

Pomyślał chwilę, a potem otworzył drzwi i huknął:

– Admin, przyjdź tutaj!

Dobiegający z pracowni dźwięk przybrał na sile, podobnie jak zapachy. Admin okazał się chudym piętnastoletnim wyrostkiem.

– Huspitz kupił dla córki jedną z twoich bransoletek, możesz ją opisać? – rzekł sprzedawca.

Admin najprzód mi się przyjrzał, po czym wzruszył ramionami.

– Jasne, czemu nie. Wie pan – zwrócił się do mnie – robię takich na kopy. To tani wyrób – dwa, trzy talary za sztukę, ale piękny, zdobię go sam. Niby każda jest inna, chociaż też są do siebie podobne, bo nie mam tyle czasu, żeby się z nimi długo pieścić. Momencik... – Schyliwszy się, wyjął skądś szufladę pełną pierścionków, kolczyków i innych przedmiotów, o których nie miałem pojęcia, gdzie się je nosi.

Po chwili wygrzebał kilka miedzianych bransoletek, zdobionych trójkątami, spiralami oraz innymi ornamentami. Na pierwszy rzut oka były identyczne.

– Wydaje mi się, że bransoletka dla Huspitzta była ze słońcem. Wybrała ją sobie ta dziewczyna, wydała się jej wesoła – rzekł, kiedy już skończył szperanie. – Chyba coś w tym rodzaju. – Podał mi jedną.

– Ile tego sprzedaliście? – zapytałem.

– Bo ja wiem? Sto, może sto pięćdziesiąt? – powiedział obojętnie. – Te błyskotki to taniocha, ale całkiem ładne, więc dobrze idą.

Odniosłem wrażenie, że chłopak chciał coś dodać, jednak się rozmyślił.

– Za dobre chęci – rzekłem, wciskając mu w dłoń talara. – Gdyby któryś coś sobie jeszcze przypomniał, płacę za każdą pomoc.

Zostawiłem swój adres i skinąwszy na pożegnanie, wyszedłem.

Byłem już porządnie głodny. W ulicznej budce, gdzie w głębokich patelniach smażono na oczach klienta najrozmaitsze morskie stwory, węże oraz na wszelki wypadek niewystawiane gryzonie, kupiłem wszystkiego po trochu, potrójną porcję, i usiadłszy na drewnianej ławce, zabrałem się powoli do jedzenia. Smakowało całkiem, całkiem, nie darowałem żadnej z ośmiorniczek. Jadłem, dumając o swojej sytuacji.

Robotę niby mam, tyle że przyniesie mały zysk. A mówiąc dokładniej, mały w stosunku do kwoty, którą muszę zdobyć w ciągu dwóch, trzech tygodni. Następną szansą były brudne interesy sprawdzane przez Ochnota. Tam, gdzie jest brud, zawsze się znajdzie zajęcie dla ludzi takiego pokroju, jak ja. Mógłbym jeszcze

wydusić jakieś złoto od faceta, który wczoraj napuścił na mnie tych dwóch pechowców – oczywiście o ile go znajdę, a powinienem to zrobić, bo drugie podejście może już mu się udać. W grę wchodziło też sprzedanie informacji, że Drexler Belfont podejrzewa kogoś o machlojki finansowe i chce go dopaść. Dalsze planowanie nie miało sensu. Może gdybym myślał o przyszłości, pewnie spróbowałbym ustalić, dlaczego hrabia mnie oszukał. Tyle że ja przyszłość miałem w nosie – postanowiłem nocą, że po wpłaceniu ostatniej raty dokończę to, czego nie zdążyłem zrobić. Nic tak nie pomoże człowiekowi, jak dokładne określenie celu. Od razu poczułem się lepiej.

Odstawiłem pustą miskę na sąsiednią ławkę. Krążący po całej ulicy żebrak wyciągnął rękę w prośzalnym geście, lecz zobaczywszy, jak wyglądam, zaraz ją opuścił. Miał rację, szkoda było jego czasu. Udałem się do gubernatorstwa.

Rozdział 11

Ślady Cieni



Ochinot pracował. Obserwowałem go przez chwilę. Siedział za biurkiem pośród stert ksiąg rachunkowych, wyciągów handlowych i podpisanych umów. Przed sobą miał arkusz czystego papieru, kałamarz oraz gęsie pióro, jednak na razie nie pisał, wciąż wertując papiery i mrużąc coś pod nosem, a od czasu do czasu prosił o podanie kolejnej książki. Wszyscy prócz niego byli jacyś wynędzniali, zmęczeni i wylęknieni.

– Co słyhać? – zagadnąłem po dziesięciu minutach przyglądania się.

Odwrócił się, jego krągłą twarz rozjaśnił uśmiech. Moja wizyta chyba rzeczywiście go ucieszyła.

– Wspaniale, robota pali się nam w rękach, aż miło! Panowie, pół godziny przerwy! – powiedział dźwięcznym głosem. – Wpadniemy do mojej pracowni na filiżankę kawy albo herbaty? – zaproponował i nie czekając na odpowiedź, ruszył do wyjścia.

– Czy ktoś was nie wypytywał o moją kwaterę? – spytałem, ledwie się za nami zamknęły drzwi jego izdebki.

W pomieszczeniu nie przybyły żadne meble ani inne sprzęty, wyglądało więc równie ubogo, jak przedtem.

– Nie, nikt – odparł. – Jaką herbatę? A może kawę? Mam tu swój podróżny kuferek – rzekł, wskazując z dumą drewniane pudło, podzielone na dwadzieścia pięć rozmaitych przegródek wypełnionych czystymi, lnianymi woreczkami. – Osiemnaście gatunków herbaty i siedem kawy. No więc?

– Zdam się na was – przerwałem jego wywód.

Nie obraził się i bez słowa zaczął parzyć herbatę w czajniczku wiszącym na małym trójnogu, a podgrzewanym przez oliwny

kaganek. Był przy tym tak samo skupiony jak podczas badania dokumentów.

– Odkryliście coś nowego? – zapytałem, biorąc filiżankę wypełnioną zielonozłotym naparem z jednej z jego tajemniczych mieszanek. Pachniało to całkiem miło, a fajansowe naczynie wyglądało bardzo starodawnie.

– Jestem przekonany, że większość rachunków została sfałszowana. Obroty w standardowych pozycjach są wielokrotnie większe niż wcześniej, przybyło do tego mnóstwo kolejnych transakcji w zakresie towarów i usług. Astronomiczne zyski są zaniżane przez absurdalnie wysokie opłaty za wynajem gruntów, budynków magazynowych, okrętów i ich załóg – wyjaśnił.

– Nie rozumiem, co to znaczy – przyznałem się.

Przez gubernię Belfont przepływa niesamowicie dużo pieniędzy, więcej niż można zarobić na uczciwym handlu, nawet w tak ruchliwym regionie, jakim jest Strefa. Dalsza ciekawostka: wykazywane zyski są względnie niskie, więc pan Belfont płaci znośne podatki, starając się przy tym, żeby w buchalterii na oko wszystko grało – wytłumaczył Ochnot.

– Przecież mówiliście, że cesarza nie obchodzi, jak się tu dochodzi do pieniędzy, a cesarska kontrola ogranicza się tylko do nałożenia dziewięćdziesięcioprocentowego podatku na towary wywożone poza Strefę – przypomniałem naszą dawniejszą rozmowę.

– Owszem, poza zarządzającymi poszczególnymi lennami, jak właśnie hrabia Belfont – przytaknął.

– Czyli Belfont zarabia grube, ale brudne tysiące, które wykazuje jako czyste setki – podsumowałem.

– Albo robi to ktoś inny, posługując się jego nazwiskiem – dodał.

– O tym nie pomyślałem. Macie jakiś trop?

– Belfont junior prowadzi duże interesy z panem Lermanem, już od kilkudziesięciu lat powszechnie szanowanym handlarzem, i jeszcze z Simenem Kroucbagiem oraz Lilem Hantenem. Pierwszy jest armatorem, właścicielem floty handlowej, składającej się przeważnie z mniejszych, ale szybkich statków. Drugi wynajmuje kilka nabrzeży, kupując, magazynując i sprzedając wszystko, co się tylko da – rzekł Ochnot niemal wesoło. – Ładnie to do siebie pasuje, no nie? A przy tym obaj obracają się w wyższych sferach dopiero od

niedawna, raptem kilka lat.

Nie sądziłem, że tyle można wyczytać z tych ksiąg – przyznałem, odstawiając filiżankę. Herbata była dobra, ale gdzie jej do piwa. – Chętnie bym się z nimi spotkał. Ciekawe, co to za ptaszki – dodałem.

– Znakomicie! – uradował się Ochinot. – Jestem zaproszony na jutrzejszy bal u pana Leermana. Ci dwaj też tam będą, to pewne. Pójdziecie ze mną? Wspomniałem Leermanowi o waszych umiejętnościach, chciałby was poznać.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem.

– Ja na przyjęciu miejskiej śmietanki? Proszonym gościem?

– A jak myślicie, dlaczego mnie zapraszają? – spytał zamiast odpowiedzi.

Wzruszyłem ramionami.

– Bo znam się na liczbach – odparł sam sobie. – Jestem w tym jednym z najlepszych, może nawet najlepszy na świecie. Dlatego. I z podobnego powodu wy też będziecie mile widzianym gościem. Przecież władacie mieczem najlepiej na świecie, prawda? A bogaci otaczają się ludźmi, którzy pomogą im to bogactwo pomnożyć lub ochronić. Albo... – nie dokończył zdania.

– To brzmi logicznie – zgodziłem się. – Jak się powinienem ubrać, żeby mnie tam w ogóle wpuścili?

– Tu macie adres mojego krawca. Po drodze was zabiorę, zgoda? Jutro przed ósmą podjedzie powóz.

Dałem Ochinotowi mój nowy adres, opowiedziałem o napaści na mnie i ostrzegłem, żeby uważał na siebie. Po czym on wrócił do swoich zajęć, a ja pomyślałem, że warto by się czegoś dowiedzieć o miejscowym półświatku. Nie o małych łotrzykach i złodziejaskach, tylko o tych, którzy zyski liczą w tysiącach i zatrudniają mnóstwo ludzi. Wydawało się, że najodpowiedniejszą osobą, która mogłaby mi coś o nich powiedzieć, jest Rozalinda, kochanka Montemera. W swoim życiu na pewno miała wielu mężczyzn, protektorów, a nie sprawiała wrażenia kogoś, kto zadaje się z nieudacznikami. Jednak wcześniej musiałem wpaść do krawca, a gdyby to było możliwe, porozmawiać też z przyjaciółkami Juany Huspitz.

Na dziedzińcu, tuż przed wyjściem wpadłem na Bieda Tuhukę. Wyglądał na jeszcze bardziej zatroskanego niż przy naszym

pierwszym spotkaniu. Rano widać się nie ogolił, ponieważ na twarzy miał siny zarost. Ja zresztą też, ale w moim wypadku nie było to nic wyjątkowego. Trzymał w ręce podpłomyk z mięsem, kupiony zapewne u przekupnia przed bramą.

– Cieszę się, że was widzę. Dziś w nocy znaleźliśmy paru dziwnych nieboszczyków. Nie chcecie ich obejrzeć? Może moglibyście mi coś powiedzieć – zagadnął. Przypominał lisa warującego przed króliczą norą.

Zaskoczył mnie. O co tu chodzi?

– Gdzie ich znaleźliście? – spytałem.

– Na ulicy Maza, to jedna z uliczek dochodzących od wzgórz do głównej.

Odetchnąłem. Skoro nie wyłowili ich z wody, jego podejrzenia były niesłuszne.

– Jednego znam. Przypuszczalnie wszyscy byli ludźmi Kurgana. Chodzi mi jednak bardziej o sposób, w jaki zginęli – wymamrotał z pełnymi ustami.

– Dobra, mogę obejrzeć. Nie mam nic przeciwko nieboszczykom, o ile za bardzo nie zajeżdżają.

– Nie zajeżdżają – zapewnił, odgryzając kolejny kęs. Kawałek mięsa spadł mu na spodnie, ale nawet tego nie zauważył.

– A ten Kurgan to kto? – zapytałem dla podtrzymania rozmowy.

– Największy miejscowy bandzior. Szef półświatka, bez jego błogosławieństwa chyba nawet prosiaka tu nikt nie ukradnie. Właśnie dlatego jestem ciekaw, kto chce z nim zadrzeć – odpowiedział.

Kostnicą była zwyczajna głęboka piwnica z dwoma stołami – na każdym leżał jeden trup. Trzeci, owinięty brudnym materiałem, musiał się zadowolić miejscem na ziemi, ale najprawdopodobniej wcale mu to nie przeszkadzało. Pomieszczenie nie miało okien, tylko otwory wentylacyjne, a ściany przy ziemi były zawilgocone i pokryte pleśnią. Trzy duże, umocowane na nich lampy oliwne ze szkiełkami dawały zaskakująco dużo światła.

– Każę ich pogrzebać jeszcze dzisiaj, bo z bandytami nie ma się co cackać – stwierdził Tuhuka. – Pewnie to jakieś porachunki.

Schyliwszy się nad pierwszymi zwłokami, odchyliłem szmatę. Niski chłopina z masywnym torsem, krzywymi nogami i bez dwóch przednich zębów. Wprawdzie zaczynał już zalatywać zgnilizną, ale

i tak poznałem, że przed śmiercią pił rum. Dużo rumu. Ktoś poderznął mu gardło: szybko i fachowo. Koronkowa robota – o ile można to tak nazwać.

Drugi mężczyzna miał na szyi dwie wąskie, głębokie rany, z których jedna przecięła tętnicę. Mogło być tak, że ktoś dwukrotnie rzucił w niego lekkimi nożami, trafiając niemal w to samo miejsce. Jednak nie odpowiadał temu kształt obrażeń.

Trzeci był poskręcany, jakby tuż przed śmiercią złapały go skurcze: palce u rąk miał wyprostowane, jedną rękę na piersi, drugą za plecami, grzbiet wygięty w pałąk. Człowiek przybiera tak rozpaczliwą pozycję, gdy pastwi się nad nim ktoś, kto wie, jak działać na końcówki nerwów. Zrobiło mi się niedobrze, ale zapanowałem nad sobą. Taką umiejętność torturowania posiadają przecież nie tylko ci, z którymi się kiedyś spotkałem. Nie ma czego się bać. Pobieżne oględziny nie wykazały żadnych większych obrażeń.

– Ten człowiek był przed śmiercią torturowany. Chciałbym go rozebrać. Mogę? – spytałem.

Bied Tuhuka skinął głową. Stał w drzwiach, dojadając ostatni kawałek podpłomyka. Że też mu w tym smrodzie smakuje? Chyba ma mocny żołądek.

Rozciąwszy na trupie ubranie, ściągnąłem je. Dziwne, ale ten nieboszczyk był w butach, trupokradów pewnie zniechęciło jego ogólne zeszywnienie. Obejrzałem dokładnie ciało. Był muskularnym mężczyzną z atletycznym torse. Znalazłem mnóstwo zagojonych skaleczeń i blizn, tak typowych u wszystkich facetów, dla których źródłem utrzymania jest siła, jednak nic z tego nie mogło być przyczyną śmierci. Dopiero po chwili na klatce piersiowej dostrzegłem małego siniaka i pomacawszy okoliczne żebra, stwierdziłem, że są złamane.



– Ktoś go grzmotnął w pierś i połamał żebra, co prawdopodobnie spowodowało zatrzymanie serca – powiedziałem.

Zaciekawiony Tuhuka podszedł bliżej.

– Hm, skóra jest ledwie uszkodzona, czym to zrobili? Pałką z końcówką wypełnioną piaskiem? Cóż to musiał być za cios! – zastanawiał się głośno.

Niech sobie myśli, co chce, podług mnie tego mężczyznę ktoś z bliska uderzył otwartą dłonią. A te niecodzienne techniki walki stosują zwłaszcza zabójcy – ninje. Miotają też gwiazdkami – od tych najmniejszych, które nie zrobią większej krzywdy, jeśli nie trafią w szyję lub twarz, do największych, potrafiących rzucić z siodła ciężkozbrojnego jeźdźca.

Ze mną to wszystko nie miało nic wspólnego, ponieważ wcześniej nawet nie podejrzewałem, że istnieje jakiś Kurgan. Chciałem jednak wiedzieć, z kim przyjdzie mi się potykać w tym mieście. Zbrodniczych klanów jest kilka, a ja miałem niewyrównane rachunki z jednym z nich, czy może na odwrót – oni ze mną.

– Chcę wierzyć, że coś takiego – Tuhuka wskazał truposzy – nie stanie się zwyczajem. Zrujnowałoby to nas finansowo.

Spojrzałem pytająco.

– Pogrzeby ludzi, którzy nie mają krewnych, są na koszt gubernatorstwa. Przestępcy zwykle wrzucają nieboszczyków do morza. Za pogrzebanie tej trójki będę musiał zapłacić półtora dukata – wyjaśnił. – Idę po grabarzy, bo ci zaczynają już śmierdzieć.

Wyszliśmy z kostnicy razem i pożegnaliśmy się na dziedzińcu, ja jednak zawróciłem i poczekałem na ludzi Tuhuka. Było ich dwóch – obaj chudzi, szarzy i powykrzywiani, dziwnie podobni do swych milczących klientów.

– Dokąd ich wywieziecie? – zapytałem, gdy ładowali na nosze pierwsze zwłoki.

Ten o bardziej trupiej cerze przyjrzał mi się, a potem beznamytnie odpowiedział:

– Na cmentarz miejski, lekko pod górę.

Wyjąwszy dwa talary, położyłem je na stole.

– Z Tuhuką nic mnie nie łączy, nie pracuję dla niego. Więc dokąd? Ale dokładnie.

Grabarze wymienili porozumiewawcze spojrzenia, po czym jeden zgarnął monety, a drugi odparł:

- Do Gluwina. Za pięć talarów wypłynię w morze i tam ich wyrzuci. On zarobi, my też i nikt nie będzie stratny.
- Jasne – przytaknąłem i skinąłem ręką na pożegnanie.



Ulicę Maza znalazłem bez żadnych kłopotów. Dochodziła do najdalej położonej od portu alei, prowadząc zakosami pod górę. Początkowo domy były dwu – i trzypiętrowe, jak większość w nadbrzeżnym Cevinie, a ze zwiększającą się odległością od morza przybywało tych mniej zadbanej i parterowych. Tylko bruk cały czas był równie dobry.

– Nie wiecie, gdzie dzisiaj rano znaleźli tych nieboszczyków? Bied Tuhuka, zastępca dowódcy gwardii, wysłał mnie, żeby się tu rozejrzał – zagadnąłem starca, siedzącego na słońcu w bujanym fotelu. Zamrugał sennie. Skóra na jego twarzy przypominała pergamin, który lada chwila ma popękać.

– On nic nie wie, jest stary i całkiem durny! – Zza rogu wychynał mały chłopiec, tuż za nim jego trzech kolegów. – Ale myśmy widzieli wszystko!

– Jak mi pokażecie, każdemu dam miedziaka – zaproponowałem.

– Ale dla mnie dwa, bo to mój pomysł! – targował się odważniejszy z nich.

– Dobra – zgodziłem się. Pogrzebawszy po kieszeniach, wyjąłem drobniaki i pokazałem je.

– Tam, przy tym kramiku – rzekł chłopiec, pokazując na sklepik z szyldem, na którym widniała jakaś roślina i pękata butla.

– Idziemy – nakazałem.

Mijając starca, mniejszy z chłopców opluł go. Chyba nie miał nikogo, kogo by mógł opluć.

W ciągu pół godziny wyciągnąłem z nich, w jakim miejscu leżały ciała w chwili znalezienia. Mężczyźni przypuszczalnie wracali z karczmy położonej kilkadziesiąt metrów dalej. Zabójcy czekali na nich przy wylocie jednej z krętych uliczek, którą w razie potrzeby mogli się szybko wycofać. Zdaje się, że pierwszego zabili na miejscu, drugi rzucił się do ucieczki, dlatego został załatwiony gwiazdką, a trzeciego wzięli jako języka. Tak, tyle że zabójcy, a przynajmniej ci, z którymi ja się spotkałem, nie popełniali takich

błądów, żeby ofierze dać szansę ucieczki z zastawionej pułapki. Być może ninja był sam i zaskoczyło go, że trafił na trzech ludzi.

Rozejrzałem się pobieżnie, jednak nie dostrzegłem niczego ciekawego. Ukląknęłam, sprawdzając wszystko z bliska, każdą rozpadlinę. Chłopcy przyglądali mi się chwilę, ale gdy ich pytania i docinki zbyłem milczeniem, dali mi spokój. Kilku przechodniów też wołało nie zwracać na mnie uwagi. Wciąż nic.

Rozszerzyłem obszar poszukiwań i godzinę później w szczelinie między dwoma kamiennymi stopniami pobliskiego domu ujrzałem shuriken. Przyjrzałem się dokładnie znaleźniku i kolana się pode mną ugięły. Na połyskliwej stalowej powierzchni czteroramiennej gwiazdki widniał stylizowany monogram N.D. Nie znałem wprawdzie nazwiska właściciela, lecz te litery aż nadto dobrze. Kiedy jego podwładni długie godziny przygotowywali mnie do ostatniej fazy przesłuchania, widziałem, jak z lubością i pieczołowicie ostrzy każdy grot oraz poleruje jego powierzchnię. Systematycznie, starannie, perfekcyjnie. A później w ten sam sposób zabrał się za mnie.

Zadrzałem, czując, że zlewam się potem. Jednak nie był to pot, który ochładza na słońcu albo przy fizycznym wysiłku, tylko zimny pot zwiastujący szok, czasem śmierć. Serce na moment mi stanęło, z trudem złapałem powietrze. Pić, muszę się napić, i to dużo. Chwiejnym krokiem ruszyłem do sklepiku z butelką na szyldzie. Kiedyś o swoich lękach z przeszłości powiedziałem lekarzowi. Nie potrafił ustalić, co mi jest, wspomniawszy jednak, że w dawnych czasach działały sekretne sekty, które sztukę torturowania oraz wymuszania posłuszeństwa doprowadziły do doskonałości. Stosując dość proste techniki, zaszczepiały swym ofiarom strach związany z jakimś bodźcem, ten zaś mógł zabić nawet po latach.

Po otwarciu drzwi straciłem równowagę i gdyby nie lada, znalazłbym się na ziemi.

– Muszę się napić! – wykrztusiłem.

– Nie prowadzimy trunków, kawałek dalej jest karczma! – dobiegł jakby z oddali piskliwy głos.

Łgał, obok na półkach było mnóstwo lśniących butelek z przezroczystym płynem. Jedna stała na ladzie. Wyciągnąłem rękę.

– Nie, tego nie wolno! – rozległ się znowu pisk. Piłem i piłem, a z każdym rozgrzewającym łykiem było mi coraz lepiej. Nagle

mętym wzrokiem dostrzegłem przed sobą węża: wijąc się, pływał w gorzałce. Jego łeb śmignął w moją stronę. Odruchowo zacisnąłem szczęki i oderwawszy od ust flaszkę, wyplułem krwawiący ochłap, zakończony dość szeroko rozwartym pyskiem ze sterczącymi zębami jadowymi i oklapniętym rozdwojonym językiem.

Nie, nie zwariowałem, w butelce rzeczywiście pływał młody wąż, a raczej to, co z niego zostało.

– A cóż wy tu, do cholery sprzedajecie?! – wrzasnąłem rozjuszony na małego, zaszuszonego subiekta, w przerażeniu drepającego z drugiej strony lady.



– Mówiłem wam, że tu nie mam trunków! To są driakwie, lekarstwa! Przywracają siłę, wzrok, męskość! Zanurzam w swoich eliksirach węże, skorpiony i inne stworzenia, które mają moc, a potem sprzedaję krople. Ten wyciąg jeszcze nie był gotowy, a wy odgryźliście wężowi łeb! – darł się swoim wstrętnym falsetem. – Ukąsił was? – spytał z nadzieją w głosie.

Zaprzeczyłem, chociaż nie byłem tego całkiem pewien.

– Gdybyście nie zadawali głupich pytań, zapłaciłbym za szkodę. A tak możecie to zgłosić gwardii – powiedziałem na pożegnanie i wyszedłem.

Przygoda z wężem pomogła mi. Czując się znacznie lepiej, zamknąłem strach gdzieś na dnie umysłu, niech tam zżera sam siebie. Miałem pewność, że tych kilka łyków ostrego bimbru, nafaszerowanego diabli wiedzą czym, okazało się zbawienne.

Dzień uciekał, a mnie czekało jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia.

W drodze na postój powozów zajrzałem do krawca, którego mi polecił Ochinot. Wszedłszy przez szerokie, zdobione mosiądzem drzwi, znalazłem się w przytulnie urządzonej pomieszczeniu z kilkoma fotelikami, stolikiem i kolejnym wyjściem, zakrytym bogato haftowaną kotarą. Dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, że to zakład dla towarzyskiej śmietanki, a więc moja sakiewka znów będzie nieco lżejsza.

I zanim się zdążyłem dobrze rozejrzeć, rozsunęła się kotara i z półmroku korytarza przydreptała drobna kobieta w nieokreślonym wieku, z siwymi włosami upiętymi w staranny kok. Jedynym przedmiotem, zakłócającym jej surowy i oschły wygląd, była złota szpilka z brylantem.

– Czym mogę służyć? – zapytała, mierząc mnie podejrzliwie wzrokiem.

Nie musiała nic mówić, wszystko było zawarte w tym jednym wzgardliwym spojrzeniu.

– Jestem z polecenia pana Ochinota. Potrzebuję ubrania na jutro – rzekłem.

– Ach, tak – powiedziała tonem, jakbym podał hasło.

Widać Ochinot przez te parę dni naszego pobytu w Cevinie zdążył zostać dobrym klientem.

– A na jaką okazję?

– Mam zaproszenie do pana Leermana. Ale nie chcę nic zbytkownego, ważne, żeby było wygodne – wyjaśniłem.

Pokiwała głową, po czym, już bez dalszych pytań, zaprowadziła mnie do pomieszczenia, gdzie brano miarę oraz uzgadniano szczegóły. Pomiedzy drewnianymi manekinami i stołami zarzuconymi skrojonymi materiałami uwijała się czarująca dziewczyna w krótkiej spódnicy nad kolana oraz bluzce z głębokim wycięciem. Pochylając się nad poszczególnymi wykrojami, odsłaniała większość swych walorów. Jasne, salon siwowłosej damy wszelkimi sposobami usiłuje przyciągnąć męską klientelę.

– Sileno, weź miarę z pana. Wydaje mi się, że najlepsze będą luźne spodnie, koszula z wykładanym kołnierzykiem i lekka pelerynka dla... hm, hm... – Dama szukała przez chwilę odpowiedniego słowa. – Dla wyszczuplenia figury. Idealny byłby jedwab albo breski len. Wszystko w czerni. Czy cena pięć dukatów odpowiada panu?

Przytaknąłem z kamienną twarzą, dziwiąc się jednak w duchu: tyle pieniędzy za ubranie? Na razie wyłącznie wydaję, choć nie zarobiłem ani grosza.

Wziąwszy krawiecki metr, Silena zabrała się do mierzenia. Obwód uda chyba ją zaskoczył: zerknęła niedowierzająco na podziałkę, potem na mnie i spróbowała znowu.

– To nie pomyłka – zapewniłem ją.

Na lewym przegubie miała zdobioną bransoletkę z miedzi. Widziałem już dziś podobną.

Do pomiaru obwodu klatki piersiowej musiała połączyć dwie miary. Brzęknął dzwonek zapowiadający następnego klienta i dama, uśmiechając się przepraszająco, wyszła.

– Nie zna pani przypadkiem Juany Huspitz? – spytałem ni stąd, ni zowąd.

Silena spojrzała na mnie.

– Może. Ale niby czemu miałabym o tym panu mówić?

Teraz, pod nieobecność szefowej, wyglądała na zdecydowanie bardziej pewną siebie i odprężoną.

– Ojciec wynajął mnie, żebyśmy ją odszukał – wyjawiłem.

– Właściwie znamy się tylko z widzenia, bywałyśmy razem w Malinowych Łazienkach. To dobry zakład, chodzi tam mnóstwo kobiet z naszej dzielnicy.

– A według pani uciekła z domu? Ojciec mówił, że czekał ją ślub z niechcianym mężczyzną – spróbowałem pociągnąć ją za język.

– Nie, nie znałyśmy się tak dobrze. Rozmawiałyśmy kilka razy, ale ogólnie, jak to w kąpieli. Myślę, że była szczęśliwsza niż większość zwyczajnych dziewczyn. Słyszałam tylko, że chciała wyjść za mąż i cieszyła się na to. Więcej powie panu Lenni Finn, jej przyjaciółka. Obie pochodzą z lepszych rodzin i mają pieniądze.

W ostatnim zdaniu zabrzmiała smutna zazdrość.

– Nigdy nie widziałem kogoś tak olbrzymiego. Jest pan zapaśnikiem? – zmieniła temat i tonację głosu, a jej dłoń została na moim ramieniu wyraźnie dłużej, niż wymagało tego wzięcie miary.

To dotknięcie podnieciło mnie, przypominając, że już od bardzo dawna nie byłem z kobietą. Może jednak tak mi się tylko zdawało.

– Coś w tym rodzaju – powiedziałem, wkładając płaszcz. – Będzie gotowe na jutro? – upewniłem się.

– Naturalnie. Proszę podać adres, dostarczymy ubranie do domu, jeszcze przed obiadem.

Dałem adres oberży oraz pieniądze, na które wystawiła kwit.

– Ma pani piękną bransoletkę. To prezent? – spytałem na odchodnym.

Potrząsnęła głową.

– Nie, sama ją sobie kupiłam, za oszczędności.

W jej głosie brzmiał smutek.

Rozdział 12

Kochanka możnego pana



Zmierzchało już i latarnicy stopniowo zapalali uliczne lampy. Jazda dorożką do rezydencji Belfonta zabrała mi pół godziny.

Na górze dmuchał wiatr, miasto wyglądało z oddali jak ciemna plama ozdobiona sznureczkami migocących świateł. Tam, gdzie fale uderzały w skały, linię brzegową opasywał kołnierz białej piany widoczny wyraźnie nawet w gęstniejącym mroku.

Wartownik, pilnujący wejścia na obszar rezydencji, po zobaczeniu listu polecającego z pieczęcią Montemera, nie robił mi żadnych problemów i o nic nie pytał. Przeszedłszy znaną aleją z rzędami wybujałych drzew, stanąłem u drzwi pałacu.

– Jego ekscelencji nie ma – oznajmił odźwierny po tym, jak zamachałem mu przed oczyma swoim wszechmocnym glejtem. Nie mając nic do stracenia, podjąłem ryzyko.

– Posyła przeze mnie wiadomość dla pani Rozalii, w sprawie jutrzejszego balu u pana Leermana – zablefowałem.

Udało się. Służący wprowadził mnie do identycznego saloniku jak za pierwszym razem i poprosiwszy, żebym poczekał, odszedł.

Pałac tonął w ciemności, na korytarzach wionęło takim chłodem, jakby nikt tu nie mieszkał. Miałem wrażenie, że dom się zmienił przez minione trzy dni, ale były temu winne nadchodząca noc oraz zmęczenie. Przez pół godziny nie działo się nic, później z mroku wynurzyła się znana mi służąca.

– Madame czeka na pana – oznajmiła niemalże szeptem, jakby się czegoś obawiała.

W odróżnieniu od pałacu w komnatach Rozalindy było ciepło, a w kominku buzował ogień. Kobieta siedziała na sofie obitej białym

futrem, bosc stopy położyła na pufie. W jednej ręce trzymała pustą szklaneczkę, w drugiej cienką odmianę cygar Ochinota. Długa spódnica nie odsłaniała niczego poza kształtnymi kostkami. Na ramionach Rozalia miała krótką narzutkę.

– Narobiłeś w mieście niezłego zamieszania, gladiatorze – rzekła na powitanie.

Sądząc po ochrypłym głosie, niejedną raz już opróżniła trzymaną w ręce szklaneczkę. Podała mi ją, jednocześnie wskazując ruchomy barek.

– Nalej nam podług własnego uznania. Wybrałem nalewkę w wąskiej karafce ze szlifowanym korkiem. Miała bursztynowy kolor i pachniała winogronami.

– Jakie zamieszanie? – spytałem, podając napitek. Siadłem w fotelu naprzeciwko. Ogień wydzielał przyjemne ciepło, a ja uzmysłowiłem sobie, że jestem piekielnie głodny i śmiertelnie zmęczony.

– Przed kasynem, kiedy pomogłeś Rybakowi załatwić oprychów Kurgana.

– Aha, o to chodzi – pokiwałem głową.

Wypiła dużo więcej, niż myślałem, lecz nie była pijana, tylko podchmielona. Z lubością pociągnęła łyk i odchyliwszy głowę, przełknęła. Na szyi miała zaczerwienioną smugę, jakby niedawno ktoś próbował ją udusić.

– A właściwie czemu przyszedłeś? Nie, żeby mi twoje towarzystwo było niemiłe, każde jest lepsze od... – nie dokończyła, śmiejąc się przy tym szyderczo z niezrozumiałego dla mnie dowcipu.

– Kim jest Rybak? A Kurgan? – zapytałem, dolewając sobie trunku.

Karafkę sprytnie wzięłem ze sobą, żeby co chwila nie wstawać do barku. Rzadko, bo rzadko, ale główka pracuje.

– Dołóż do ognia, nie chce mi się dzwonić na służącą – nakazała Rozalinda, po czym ciągnęła dalej: – Kurgan to największy drań w Cevinie. Rządzi wszystkim, co choćby trochę stoi na bakier z prawem: przemyt, handel niewolnikami, dziwki, haracze, narkotyki, hazard. Rybak, hmm... kim naprawdę jest Rybak, tego nie wie chyba nikt. Mówi się, że na polu przemytu włazi w paradę Kurganowi. Jeszcze dwa lata temu nikt o nim nie słyszał, później jednak szybko poszedł w górę. Więcej nie wiem.

Podczas gdy mówiła, naszykowałem polana i dołożyłem do kominka następne dwa. Po chwili w pomieszczeniu zrobiło się jeszcze cieplej, zdjąłem więc płaszcz i rzuciłem na podłogę.

– Nalej mi, musisz sobie zasłużyć na moje opowieści – poprosiła – i dodaj tam trochę wody z cytryną, bo inaczej nie doczekam końca tego wieczora.

Wraz z wypijanym alkoholem zrzucała z siebie kolejne warstwy konwenansów. Zanim osiągnęła pozycję kochanki najmożniejszego pana w Cevinie, musiała mieć za sobą burzliwą przeszłość.

– A kasyno? Też należy do Kurgana? Czy może do Rybaka?

– Do żadnego – pokręciła głową. – Kasyno jest wyłączną własnością Nikity Klaar. Rzecz jasna, Kurganowi to nie w smak, ale nie może nic wskórać, bo wyspiarze trzymają jej stronę. Ponadto Nikita nie prowadzi innych interesów. Jednak spiknęła się z Rybakiem. Duży błąd, ponieważ Kurgan na pewno widzi w tym zamiar złamania przez Rybaka jego kolejnego monopolu. I jak na razie ani jeden z nich nie zrobił ruchu. Na razie...

Odstawiwszy szklaneczkę na oparcie sofy, przyjrzała mi się badawczo. Po dwóch szybkich głębszych miała lśniąco oczy i zaróżowione policzki.

Dopiero teraz dotarło do mnie, że jeszcze przed chwilą była blada, jakby śmiertelnie przerażona.

– Z ciebie naprawdę wielkie chłopisko, gladiatorze – stwierdziła, kręcąc z uznaniem głową.

– Już to dzisiaj słyszałem. Od szwaczki, która brała miarę na moje ubranie – odparłem.

– I co, powiedziała tak samo jak ja? – roześmiewszy się, wyduła wargi i przybrała niewinnie zachwyconą minę: – Ależ z pana ogromny mężczyzna!

Trafiła, chociaż było w tym zdecydowanie więcej pożądania niż w wypadku Sileny.

– Gladiatorze, dziewczyny od igły zarabiają nędznie, więc gdy przypadkiem spotkają faceta, który być może zechciałby docenić ich wdzięki, wyskakują ze skóry – rzekła przytłumionym głosem i zdjawszy stopy z pufa, położyła mi je na podbrzuszu. Czas pytań minął.



Ogień w kominku dogorywał, a nasze ciała chłodził pot. Czekałem, kiedy czas wypłucze z mojej krwi miłe zmęczenie po miłosnych igraszkach. Czekałem i myślałem. Nigdy nie przeżyłem czegoś podobnego. Nie było jak z dziwką za dwa talary, ani jak z taką za pięć, ba, nawet nie jak z kokotą za pięć dukatów, na którą się szarpnąłem jeden raz. Rozalia kochała się żarliwie, ja również, dzięki czemu nasze pożądanie powracało zwielokrotnioną falą, zmieniając się w coś, czego człowiek mojego pokroju zbyt często nie zazna. Prędzej nigdy.

– Zimno mi – szepnęła.

Wstałem z łóżka, dołożyłem dREW do kominka, a gdy ogień buchnął znowu, nalałem sobie jednego.

– Chcesz też? – spytałem, wskazując szklaneczkę.

– Nie, mam tylko ochotę zapalić.

Podąłem jej jedno z cienkich cygar oraz świecę. Z mroku na chwilę wyłoniła się twarz kobiety. Kiedyś była piękna, jednak teraz w jej oczach widniało zbyt wiele złych doświadczeń oraz strach. Wreszcie zrozumiałem: Rozalia się bała, i to tak bardzo, że lęk wyparł z niej wiarę w siebie, a poprzez właśnie minione chwile usiłowała coś kupić.

Rozkoszując się smakiem winogron oraz przyjemnym ciepłem w gardle, piłem bursztynową nalewkę. Piłem i czekałem.

– Muszę stąd zniknąć, odejść jak najdalej, ale sama niczego nie zwojuję, bo kobieta w tym świecie nigdy nie zajdzie daleko. Kiedy będziesz stąd uciekać, zabierz mnie ze sobą – rzekła, gdy zgasło jej cygaro.

Trafiła na niewłaściwego mężczyznę, ponieważ miałem inne zamiary – chciałem tu umrzeć. Z drugiej strony już mi dała zapłatę, większą, niżbym się mógł spodziewać.

– Spakuj swoje kosztowności. Jak tylko to będzie możliwe, załatwię ci ucieczkę – powiedziałem, nie będąc pewien, czy moje słowa są kłamstwem czy prawdą.

Wkrótce potem zasnęła. Przykryłem ją, znów dołożyłem do kominka, po czym ruszyłem do wyjścia dla służby. Przelazłem przez mur otaczający posiadłość. Nigdzie żywej duszy, wartownicy zapewne gdzieś drzemali, nie podejrzewając, że ktoś po kryjomu zechciałby opuścić pałac. Godzinę później znalazłem się w mieście, po drodze do mojego zajazdu wpadając do jeszcze otwartej knajpy,

gdzie po krótkiej, ale burzliwej dyskusji wymusiłem od pijanego karczmarza półmisek mięsna oraz bochenek chleba. Więcej mi nie było trzeba.

Rozdział 13

Czas maskarad



Zasnąłem o świcie, więc gdy zbudziło mnie walenie w drzwi, nie byłem w dobrym nastroju. Zsunąwszy się z łóżka, wymacałem leżący obok na podłodze katzbalger i jeszcze rozespany wychrypiałem:

– Wejść!

Według mnie nie było nawet ósmej. W uchylonych drzwiach stanął najstarszy kowal z dużym pakunkiem pod pachą. Spojrzał na łóżko, potem w bok i wytrzeszczył oczy, zobaczywszy mnie kłęczącego nago na podłodze.

– Zawsze czujny, co? – zaśmiał się z rozbawieniem.

W skroniach wciąż czułem pozdrowienia od bursztynowej wódki, którą piłem z Rozalindą, o niewyspaniu nie wspomnę.

– Tak mniej więcej – burknąłem, wstając.

– Wspaniała klinga – ocenił trzymaną przeze mnie broń i rzucił pakunek na łóżko. – Mogę obejrzeć?

Wciąż otumaniony, podałem mu katzbalger. Oglądał go przez chwilę z uznaniem, po czym oddał. Rozwinąłem pakunek. Była w nim moja nowa zbroja, do tego kaftan. Chyba z pół godziny kowalski majster pomagał mi przy właściwym ustawieniu wszystkich pasków i sprzączek, a potem od razu sprawdziłem kilka pozycji, robiąc na koniec parę przewrotek oraz padów.

– Sprytnie to wykombinowałeś, teraz rozumiem dlaczego – skomentował z zadowoleniem moje poczynania.

Dobyłem też miecza, próbując szermierki obiema broniąmi jednocześnie. Lorika przylegała do ciała niby druga skóra, zdawało mi się, że jestem o piętnaście lat młodszy i znów stoję w arenie. Kowal nie spuszczał wzroku z miecza, a na jego twarzy malował się

bezbieżny zachwyty. Odliczając uzgodnioną kwotę, pozwoliłem mu, żeby podziwiał pracę mego ojca. Jeszcze nim zdążyłem zapłacić, wyjął z torby parę rękawic. Na pierwszy rzut oka były zwyczajne, z czarnej skóry, ale grzbiet dłoni chroniło pięć wpuszczonych do środka metalowych prętów, które jakby naśladowały ścięgna, a knykcie wzmacniał jednolity, ledwie widzialny kastet. Wewnętrzna strona była miękka, pozwalająca na dobre uchwycenie rękojeści miecza.

– Przymierz je – nakazał kowal.

Początkowo wydały mi się za małe, lecz kiedy zacisnął skórzany ściągacz na przegubie, w jakiś cudowny sposób dopasowały się do dłoni.

– Rąbnij w coś, najlepiej w coś twardego i z całej siły – rzekł.

Można być najlepszym bokserem na świecie, twardym jak kamień i szybszym od błyskawicy, ale przy każdej walce knykcie zawsze odcierpią swoje. Ktoś niezorientowany nawet nie wie, że na czymś czole może sobie załatwić rękę tak, że już nigdy nią niczego nie chwyci, pogruchoce jej kości i zostanie kaleką do końca życia. Właśnie dlatego powstaje tyle rozmaitych technik walki, które zalecają, żeby uderzać twardym w miękkie i odwrotnie. Istnieją też specjalne techniki, z pomocą których można rozbić dziesięć, piętnaście cegieł albo nawet kamienny mur. Fakt, dobre do popisywania się przed publiką, ale nieprzydatne na placu boju, bo wtedy zwykle nie ma na nie czasu.

Rzuciwszy staremu wąpiące spojrzenie, stanąłem przed drzwiami z jesionowej tarcicy – nic, z czym nie mógłbym sobie poradzić. Prosty cios spod pasa, bez zamachu i zgodnie z oczekiwaniem pięść przeszła na wylot. Tyle że moje kości nie poczuły zupełnie niczego, nie odniosłem żadnego draśnięcia. Poruszywszy z niedowierzaniem palcami, znów zacisnąłem je w kulak.

– Właśnie tak to działa, synu! – radował się zadowolony starzec.

– Gdy nie musisz walczyć, masz rękawiczki od parady, całkiem jak z jeleniej skóry. Ale starczy, że zacisniesz rękę w pięść i wtedy jest niczym zakuta w stal! Nie wiem, na czym to polega, musiałbym je rozłożyć na kawałki. Wydaje mi się jednak, że mój pradziadek do ich wyrobu użył cudeniek, których dzisiaj już nie uświadczysz!

– Czemu mi je dajecie? – spytałem nieufnie. – Pewnie są warte

ciężkich pieniędzy.

Spojrzał na mnie, jakby w ogóle o tym nie pomyślał.

– Czemu, czemu? Jesteś sam, a ich jest wielu. Mam rację?

Kiwnąłem głową w milczeniu. Starcowi rozbłyśły oczy.

– Możesz być łobuzem, zresztą pewnie tak właśnie jest, ale ty jesteś sam, a ich wielu – powtórzył. – I tylko to się liczy. Jeżeli przeżyjesz i będą ci niepotrzebne, możesz mi je oddać.

Zachichotał, chyba przekonany, że powiedział coś bardzo dowcipnego.

Zapłaciłem podług umowy, zostawiając sobie pieniądze, które mu chciałem dołożyć, przekonawszy się o dobrej jakości zbroi. Nie możecie dać pięciu dukatów komuś, kto was akurat obdarował. Przez chwilę było mi głupio, że przyjąłem te rękawice, ot tak, bez zapłaty, ale zaraz powtórzyłem sobie słowa starca: „Ty jesteś sam, a ich wielu – i tylko to się liczy”.

Po porannej gimnastyce minęła mi ochota na spanie, zszedłem więc na dziedziniec, żeby się przy studni umyć i ogolić. Przydługi zarost był coraz nieprzyjemniejszy. Właśnie kończyłem, gdy w kuchennych drzwiach pojawiła się właścicielka oberży.

– Bakły, ma pan gościa!

Zmełłem w zębach przekleństwo i otarłszy mydło z twarzy, pospieszyłem do pokoju.

Na krześle rozpierał się Admin, jubilerski terminator, pociągając z flaszki żytniówkę, którą tam miałem na wszelki wypadek.

– Odłóż ją, bo ci wybije kilka zębów! – warknąłem.

– Jak na kogoś, kto potrzebuje mojej pomocy, mógłby pan być miłszy – odszczeknął, niemniej odstawił butelkę.

– Alkohol niszczy mózg, zwłaszcza żółtodziobom, takim jak ty – rzekłem i zacząłem wkładać koszulę, chwilę wcześniej wypłukaną w studni.

Mokry materiał ziębił, wiedziałem jednak, że do obiadu wyschnie.

Przyglądał mi się z zaciekawieniem.

– Nie lepiej mieć dwie i nosić na zmianę? – spytał.

Słuszną uwagę, ale moja druga koszula była tak zakrwawiona, że musiałem ją wyrzucić, a nie zdążyłem kupić nowej.

– Co masz dla mnie? – zmieniłem temat.

– Mówił pan, że płaci za informacje – napomknął.

Podsunałem mu przez stół talara, którego z wahaniem zaczął obracać w palcach. Terminator u jubilera zarabia widać więcej niż szwaczka. Dołożyłem następnego.

– A teraz gadaj!

– Juanita Huspitz kupiła u nas nie tylko bransoletkę, którą panu pokazałem. Parę dni później była z jednym facetem...

– Jak wyglądał? – przerwałem mu.

– Wysoki, z dużym nosem, długimi włosami i z blizną na lewym przedramieniu. Kawał chłopca, wydaje się, że był szyprem – opisał z grubsza wygląd konkurenta, którego dla Juanity wybrał ojciec.

– I czego chcieli? – wróciłem do poprzedniego wątku.

– Kupił jej nakostnik.

Widząc moją zbaraniałą minę, Admin ciągnął dalej:

– No, bransoletkę na kostkę. Tutejsi narzeczeni tak robią. Nakostnik ma małą kłódkę. Chłopak zakłada go dziewczynie na nogę i zamyka, a klucz łamie albo wyrzuca, co znaczy, że już należy do niego. Taka moda, ale od niedawna. Ten jej nakostnik był naprawdę fajny, moja najlepsza robótka: ze srebrnych splecionych łańcuszków i z dwoma medalionikami, na których były ich monogramy. Kosztował cztery dukaty, płacił on – zakończył.

– Nie zmuszał jej do tego? – zapytałem.

– Eee, gdzie tam. Idę o zakład, że jak tylko go jej zapiął, zaraz się wzięli do roboty. – Jubiler zachichotał znacząco.

Diabli wiedzą czemu, ta uwaga mnie zeźliła.

– Zjeżdżaj – powiedziałem, dorzucając jeszcze talara. Czyli teoria Huspitza o ucieczce córki, która nie chciała wyjść za mąż, wzięła w łeb. Młodzi najprawdopodobniej sprytnie to wszystko ukartowali. Trzeba mi po prostu porozmawiać z samym Antonem Luvinem, kawalerem Juany, ale wcześniej powinienem zjeść porządne śniadanie.

Cały dzień włóczyłem się po Cevinie, jednak Luvina nie znalazłem, ponieważ już od tygodnia był na morzu. Miał do spółki dwa statki, wyglądało na to, że w interesach wiezie mu się coraz lepiej. Wypytywałem o niego i wszyscy zgodnie twierdzili, że szalał za Juana, ale czego to ludzie nie wygadują. Próba odnalezienia Lenni Finn, przyjaciółki Juany, zakończyła się niepowodzeniem. Dowiedziałem się tylko, że w każdy piątek chadza do Malinowych Łaźni, postanowiłem więc szukać szczęścia w piątek, czyli dwa dni

później. Wróciwszy późnym popołudniem do oberży, zastałem tam moje nowe ubranie.

Dałem całe pięć dukatów, a tak poskąpili materiału, pomyślałem, lecz po włożeniu okazało się, że leży dobrze i jest wygodne. No tak, buty. Poza wysokimi sznurowanymi buciorami nie miałem innych, na szczęście szerokie nogawki zachodziły na nie, trzeba je tylko było posmarować odrobiną tłuszczu. Gdy przed oknami oberży zatrzymał się lekki powóz, zaprzężony w parę karych, narowistych koni, byłem gotów, chociaż bez pojęcia, co też będę robił na balu u Leermana.

Ochinot miał znakomity humor. We fraku, starannie wyprasowanych spodniach i białej koszuli z wykrochmalonym żabotem bardziej niż zwykle przypominał krągłego pingwina. Przyjaźnie uśmiechniętego pingwina.

– Wy chyba naprawdę wybieracie się tam z radością – mruknąłem, usiadłszy ostrożnie w ciasnej kabinie. Stangret strzelił z bata.

Powóz sunął po bruku niemal bez wstrząsów, była to zupełnie inna jazda niż tą moją wynajętą biedką.

– Oczywiście, że z radością. Życie jest zbyt krótkie, byśmy je sobie niepotrzebnie uprzykrzali. Pan Leerman to bogaty człowiek, słynie z wystawnych przyjęć. Serwuje podczas nich wino, którego normalnie się nie kupi, a wynajmowani przez niego muzykanci są najlepsi na wybrzeżu.

Jak się ktoś może cieszyć na muzykantów, pomyślałem, ale Ochinot wyczuł, co chodzi mi po głowie.

– Lubię tańczyć – wyjaśnił z uśmiechem.

Mały pingwin wirujący na parkiecie. Pocieszny obrazek. A jak będę tam wyglądał ja? Jak słoń w składzie porcelany? Za oknami migały oświetlone okna i latarnie, równomiernie stukały kopyta. Ubłocony nosorożec – to chyba bardziej do mnie pasuje.

Rozdział 14

Długa noc



Dom Leermana stał wysoko na zboczu jednego z nadbrzeżnych wzgórz. Był to niski, ale bardzo rozległy budynek z dachem, który, znacznie wystając poza ściany, musiał za dnia rzucać przyjemny cień. Parceli nie okalał żaden mur, tylko na placu przed domem, gdzie już stało sporo powozów, kręcili się strażnicy. Ochinot podał nasze nazwiska, skontrolowali listę gości, a potem grzecznie doprowadzili nas do głównego wejścia. Nasz powóz odjechał. O rozwiezenie gości po balu miała się zatroszczyć służba.

Ponieważ żaden z nas nie musiał korzystać z szatni, przez salon pełen fotelików i małych stolików wkroczyliśmy od razu do wielkiej sali. Moje pierwsze wrażenie okazało się błędne, dom zdawał się niski, ale tylko pozornie – jego sufit znajdował się na wysokości co najmniej pięciu metrów.

Z przodu, na półpiętrze, siedzieli muzykanci i stroili instrumenty. Wzdłuż ścian stały długie stoły przykryte śnieżnobiałymi obrusami, uginające się pod rozmaitym jadłem.

– Panowie raczą się poczęstować – zaprosił kelner. W czerwonym, obszywanym złotem mundurku wyglądał jak papuga, przy czym był jeszcze niższy niż Ochinot. W ręce trzymał srebrną tacę, bez reszty wypełnioną kielichami musującego wina.

– Za chwilę pan Leerman wygłosi toast powitalny.

Goście, zbici w licznych grupkach, prowadzili rozmowy, których przytłumiony szmer roznosił się po całej sali. Ochinot wziął kielich. Uczyniłem to samo, po czym kelner zaczął się rozglądać za następnymi gośćmi z pustymi rękami.

– Miło mi, że pana widzę, panie Ochinot – zwrócił się do mojego przewodnika facet w średnim wieku i z zaokrąglonym brzuszkiem.

Był okazem pewności siebie i dostatku.

– Lii Hanten, Bakly – przedstawił nas Ochiot.

Lii Hanten. Coś mi to mówiło. Aha, jeden z ludzi, który mógłby maczać palce w brudnych interesach.

– Damy i panowie! – rozległ się dźwięczny głos i szum ucichł. – Piję za zdrowie moich gości, za piękne damy oraz za sukcesy panów!

Leerman mógł mieć około pięćdziesiątki. Był raczej niedużego wzrostu, ale krzepkiej budowy i nawet przybywający z upływem lat tłuszcz nie zdołał tego całkowicie zamaskować. Dawno temu musiał być naprawdę silny. Miał zadbane, falujące włosy, jednak jego cera zdradzała, że w dawnych czasach, kiedy jeszcze nie był bogaty i wpływowy, wiele dni spędził na morzu. Poczuliśmy do niego sympatię, już choćby z powodu tak krótkiego toastu. Wypiwszy wino duszkiem, zorientowałem się, że poza mną nikt tego nie zrobił. Z zakłopotania wybawił mnie kelner, który natychmiast podał drugi kielich.

Wędrując po sali, sprawdzałem zawartość półmisek. W większości wypadków nie miałem pojęcia, co to za potrawy. Początkowo wydawało mi się, że na sali nie ma ochroniarzy, którzy by się troszczyli o bezpieczeństwo gości. Później jednak zauważyłem, że odźwierni, stojący przy drzwiach do innych pomieszczeń, w których goście mogli spocząć i spokojnie porozmawiać, bacznie się wszystkiemu przyglądają.

Akurat kosztowałem mięsnej rolady z białym nadzieniem, gdy zaczęło mnie chłopyć, chyba największe, jakie dotąd widziałem. Krok miał powolny i szeroki, sunął niemal bez podnoszenia stóp, umiejętnie przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą, jakby w każdej chwili ktoś miał na niego wpaść. Jego strój przypominał trochę mój własny. Ponieważ mierzył sporo ponad dwa metry, mógłby się odziać w cokolwiek, a i tak wyglądałby niczym krocząca wieża z kości, mięśni i tłuszczu. Od jego wygolonej głowy odbijało się światło.

– Nie trzeba nam tutaj obcych ochroniarzy – powiedział półgłosem, gdy doczłapał aż do mnie.

Wbiłem zęby w roladę. Nadzienie miało coś wspólnego z kawiosem.

– Jestem tu gościem – odparłem oschle. Nie zależało mi na kłopotach.

Spojrzał na mnie z powątpiewaniem. I chociaż tylko się sobie przyglądaliśmy, od razu skupiła się na nas uwaga najbliższego otoczenia.

– Z ciebie taki gość, jak ze mnie baletnica – stwierdził.

Jak na faceta o takich rozmiarach miał całkiem niezły refleks. Kto wie, być może gdzieś w kręgosłupie miał drugi mózg, który pomagał zapanować nad tym ogromnym cielskiem. Nagle sobie przypomniałem.

– Kamienne Czoło, Bysty Brou. Gladiator i zapaśnik, zdobywca Pucharu Imperium w stylu wolnym.

– Najlepszy zapaśnik wszech czasów – przytaknął z godnością.

Potrząsnąłem głową.

– Najlepszym zapaśnikiem wszech czasów jestem ja.

– Rzeźnik Bakly – przedstawił mnie Ochinot, który tymczasem podszedł w towarzystwie Hantena i jeszcze jednego mężczyzny. Minę miał przy tym tak uroczystą i poważną, że nie mogłem mu tego mieć za złe. – Rozstał się z areną jako niepokonany. Później zasłynął z udziału w masakrze w Lagossi. Mówią, że w nieuczciwie zorganizowanej walce razem z trzema innymi zabił setkę ludzi – opowiedział.

Przypomniałem sobie, że Ochinot jest wielkim miłośnikiem zapasów i o mojej karierze wie znacznie więcej niż ktokolwiek inny. Jednak nie miałem pewności, czy wtedy w Lagossi rzeczywiście było ich tylu. I chciałem wierzyć, że ta historia została już zapomniana.

– Nasłali na ciebie pięciu najlepszych gladiatorów, a tyś ich posiekał na strzępy. Nie miałeś dla nich zlitowania, nawet gdy już nie byli zdolni do walki – rzekł cicho drażal – i dlatego dostałeś przezwisko Rzeźnik. Mówi się też, że jesteś najsilniejszym facetem, jaki kiedykolwiek stanął na arenie.

Zgadzało się co do joty. Z tymi pięcioma to było draństwo. Zabiłem ich, żeby się już nikt na coś takiego nigdy nie odważył, no i przez kolejne trzy lata faktycznie tak było. A co do siły...

– Może i byłeś najsilniejszy, ale w tamtych czasach. – Brou uśmiechnął się krzywo.

– Siła to nie wszystko – wzruszyłem ramionami.

– Miło mi pana poznać. Każdy mężczyzna, który jest w czymś najlepszy, zasługuje na podziw. Nazywam się Simen Kroucbag – przedstawił się drugi towarzysz Ochinota.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Słyszałem, że zaraz po przyjeździe do Cevinu miał pan jakieś problemy – dodał.

– Tak, przed kasynem. Stałem się świadkiem wyrównywania rachunków, ale na szczęście wszystko skończyło się dobrze. Czysty przypadek – wyjaśniłem.

– Zamierza pan zostać tu dłużej?

– Nie, wkrótce wyjeżdżam. Załatwiłem już, co miałem do załatwienia – zerknąłem na Ochinota.

– Gdybym jakoś mógł pomóc, będzie to dla mnie zaszczyt. A tymczasem – Kroucbag rozejrzał się – panowie pozwolą, że się oddalę.

Brou oraz Hanten też nas opuścili, tak więc Ochinot i ja zostaliśmy przy stole sami. Ze wszystkich potraw właśnie te rolady zasmakowały mi najbardziej, więc zabrałem się ostro do jedzenia. Tymczasem Ochinot lustrował obecnych, skupiając się zwłaszcza na damach. Na widok wysokiej blondyny z włosami pokrytymi siatką, przyozdobioną brylantami, i z biustem tak dużym, że zjawił się w drzwiach pięć minut przed właścicielką, rozbłysły mu oczy. Była na pewno o połowę cięższa od niego, co mu jednak najwyraźniej nie przeszkadzało, bo wyglądał na najszcześliwszego pingwina pod słońcem. Rozglądałem się za Rozalindą, ale bezskutecznie.

– Właściwie dlaczego powiesiliście na kołku zapaśniczą karierę?

– zapytał, gdy kobieta ujęła pod ramię grubego, zasapanego mężczyznę z łysiną.

Sądząc po ich zachowaniu, byli małżeństwem, co w żaden sposób nie ostudziło zapędów Ochinota. Ujrzawszy piękność numer dwa, znowu wpadł w zachwyty. Wysoka brunetka z włosami upiętymi w kok, który jeszcze bardziej podkreślał jej wzrost. Pomimo mnóstwa koronek, wstążek oraz innych zbędnych rzeczy, długa, mistrzowsko uszyta toaleta w minimalnym stopniu zasłaniała jej wdzięki.

– Od pewnego momentu człowiek zaczyna myśleć, że podejmowane na arenie ryzyko nie jest warte tych pieniędzy. Ponadto ludzie po jakimś czasie chcą, żeby zwyciężył ktoś inny, więc trzeba mieć oko na bukmacherów. Nie żeby zaraz otruli, wystarczy środek, który osłabi koncentrację, spowolni ruchy czy choćby wywoła biegunkę. A raz na jakiś czas pojawia się ktoś

naprawdę dobry. Na przykład taki Brou. Nikt nie może wygrywać wiecznie – odparłem po chwili milczenia.

– To brzmi rozsądnie – Ochnot przyznał mi rację.

Czarnowłosa także miała towarzystwo.

– Czyli... – zamilkł na moment w poszukiwaniu odpowiedniego zwrotu – zaczęliście zarabiać w inny sposób na utrzymanie swojej rodziny.

Przytaknąwszy, zjadłem ostatnią roladę. Były ich tylko dwa półmiski. Pan Leerman nie okazał się tak dobrym gospodarzem, jak się o nim mówiło.

– Dobry wieczór panom – usłyszałem znajomy głos.

Przecisnąwszy się między tańczącymi powoli parami, stanęła przed nami Trilian. Ochnot nie wyglądał na zaskoczonego. Ukłonił się szarmancko i ująwszy czubkami palców jej rękę, zamarkował pocałunek, ale w wewnętrzną część dłoni. Policzki Trilian na chwilę nabrały odcienia purpury.

– A ty tu czego? – spytałem, wnet besztając się w duchu za swoją gburowatość.

– Pan Leerman mnie zaprosił. Pomogłam jednemu z jego partnerów handlowych. I teraz podsyła mi klientów.

– Co oznacza, że wiedzie się pani w interesach. Tylko tak dalej! – powiedział z zapalem Ochnot.

– I jeszcze to, że pańską pożyczkę będę mogła spłacić wcześniej, niż uzgodniliśmy – uśmiechnęła się do niego.

Słuchając, jak się obsypują komplementami i cieszą życiem, czułem się wśród nich zupełnie obco. Ubrana w biel Tril wyglądała cudownie, a spódnica w kształcie nierozwiniętego tulipana podkreślała jej szczupłą kibić. Miała na sobie tylko jedną ozdobę – zielony kamień, zawieszony na srebrnym łańcuszku tuż nad rowkiem dekoltu. I jeszcze te oczy, piękniejsze niż jakikolwiek diamentowy diadem z perłowym naszyjnikiem razem wzięte.

– Pan Ochnot mówił mi, że wspierasz swoją rodzinę. Jak na mężczyznę twojego pokroju – przy tych słowach zrobiła skruszoną miną – jest to niesamowite. Musisz ich bardzo kochać.

Zaskoczyła mnie ta uwaga. Po chwili zastanowienia powiedziałem:

– Nie, nawet nie. To tak, jakbyś kupiła jakiś przedmiot i zapłaciła dużo więcej, niż cię było stać. Później nie sprawia już

przyjemności. Unikasz go, bo zawsze ci przypomina, ile kosztował. A ponadto zawsze byłem samotnikiem, rozumiałem się przede wszystkim z ojcem i starszym bratem. Obaj nie żyją.

– Przykro mi – powiedziała ze smutkiem. – Jak umarł twój brat?

– Zakochał się w córce zamożnego kupca. Temu się to nie spodobało, więc wynajął kogoś, żeby załatwił sprawę. I ten człowiek go zabił – odparłem oschle.

Ochnot pobladł, rozdziawił usta i wytrzeszczył oczy. Tril wyczuła, że coś się stało, jednak nie wiedziała co. Przypomniałem sobie tamten dzień, ten moment, gdy uderzyłem brata ostatni raz i on już nie wstał.

Nie żegnając się, ruszyłem do stołu z alkoholami i wzięwszy stamtąd pełną butelkę, wyszedłem na świeże powietrze. Wystarczyło stanąć w mroku kilka kroków dalej, a szmer rozmów oraz muzyka osłabły. Przytknąwszy flaszkę do ust, zacząłem pić. Było w niej nie wino, tylko gorzałka. Nigdy wcześniej takiej nie piłem, smakowała równie obrzydliwie, jak większość tych, które już zdążyłem poznać.

Akurat kończyłem butelkę i zaczynałem się niepokoić, skąd wytrzasnąć następną, skoro nie miałem ochoty wracać do środka, gdy z ciemności wynurzył się jeździec na koniu. Nie zauważył mnie. Przemknął tuż obok, zostawiając za sobą podmuch ciepła i woń zwierzęcego potu. Mieli za sobą długą i szybką podróż. Jeździec zeskoczył z siodła i zanim zdążył do niego podejść któryś ze służących Leermana, wbiegł do sali. Zgrzany koń został na dworze, wnet jednak zjawił się koniuszy i zarzuciwszy derkę na grzbiet zwierzęcia, zaprowadził je do stajni. Ciekawe to wszystko. Zakradłem się w pobliże wejścia, by posłuchać rozmów. Niebawem mężczyzna w towarzystwie kogoś ze służby wyszedł z sali, po czym obaj pospieszyli do stajni. Ostrożnie udałem się za nimi. Nie zamienili między sobą ani słowa, nakazując tylko stajennemu, aby natychmiast zaprzęgał powóz. Ukryłem się za drzwiami. Służba Leermana była naprawdę świetnie wyszkolona, bo nie minęło nawet pięć minut, a w uprząży lekkiego koczka niecierpliwie grzebała kopytami para karych koni. Zanim ruszyli, zdążyłem przebiec na stronę nieoświetloną przez latarnie i wskoczyć na tylny stopień. Zgrzytnęły resory, na szczęście w ogólnym zamieszaniu nikt tego nie zauważył.

Trzasnął bat, pod kołami skrzypnęła żwir i ruszyliśmy w mrok.

Niezniszczalny płaszcz zostawiłem w oberży, więc chłodne nocne powietrze natychmiast dobrało mi się do skóry. Dopóki jechaliśmy w otwartym terenie, dopóty było mi jako tako, ale po pierwszych chwilach jazdy ulicami Cevinu zapragnąłem być mniejszy od szczura. Ściany domów migały tuż obok, co nie należało do przyjemności, parę razy omal mnie nie zmiotł słup olejowej latarni. Sądząc po zwiększającej się wilgotności powietrza, zmierzaliśmy w kierunku morza.

– Prrr! Cholera jasna! – zaklął stangret, ostro ściągając lejce. W tym samym momencie pękł uchwyt, którego się trzymałem, więc fiknąłem kozła i, trochę poobijany, wylądowałem pod okapem pobliskiego domu. Przejazd blokował stojący w poprzek chłopski wóz kryty budą i z pełnymi kołami. Nigdzie śladu koni, za to po bokach czekała czwórka mężczyzn.

– Panowie, dokąd wam tak spieszno? – spytał skrzekliwym głosem jeden z nich.

– Jadę, dokąd mi rozkazą – wzruszył ramionami stangret, a potem otworzyły się drzwiczki powozu i wysiadł zeń podróżny. Był średniego wzrostu, w dobrze skrojonym ubraniu i na pierwszy rzut oka nieuzbrojony.

– Do mola w Kaal. Blokujecie nam drogę! – powiedział z wyrzutem.

Starał się być pewny siebie, lecz w jego głosie słychać było strach.

– Ależ wcale jej nie blokujemy! – zaśmiał się rzecznik czwórki.

– Po prostu mamy pecha, bo pękło nam koło i teraz czekamy na kołodzieja, żeby je zebrał do kupy.

Łgał i nawet się z tym nie krył. Bawiło go to.

– Zawróć, pojedziemy inną drogą – nakazał pasażer półgłosem stangretowi.

Jakby wszystko mieli przygotowane, ponieważ z bocznej ulicy, kilkadziesiąt metrów za nami wynurzył się następny pojazd. Tym razem zwyczajna fura, niemniej wystarczająco duża, żeby zatarasować drogę.

Nie miałem pojęcia, gdzie właściwie jest to molo w Kaal, zakładałem jednak, że trafię tam, jeśli będę się trzymał wyznaczonego kierunku. Od czasu do czasu dobiegał mnie szum fal.

– Reprezentuję pana Leermana! – odezwał się podróżny gromko,

żeby wszyscy go mogli usłyszeć, lecz teraz nawet nie próbował zamaskować lęku.

– Wiemy, wiemy, mój panie. Dlatego jeszcze żyjesz. I będziesz żył nadal, jeżeli nie zrobisz jakiegoś głupstwa – zapewnił głos dobiegający z mroku.

Ktoś szarpnął napiętą cięciwę – ten dźwięk zawierał poważne ostrzeżenie.

Zauważyłem, że niedaleko za mną odchodzi mała ulica, wyłącznie dla pieszych. Podczołgałem się tam, na wszelki wypadek dodając jeszcze kilka metrów. Mój wspaniały strój zmienił się w łachmany. Wreszcie mogłem wstać. Puściłem się kłusem, na pierwszej krzyżówce skręcając w prawo równoległe do niedawnego kierunku jazdy koczka. Z grubsza pół godziny później byłem na miejscu. Dowodziły tego podniecone sprzeczki oraz głośne żołnierskie komendy. Stałem tak, by nie zostać zauważonym od razu, ale też żeby nie sprawiać wrażenia, że się kryję.

W najbliższej okolicy nie było żadnych latarni, jedyne oświetlenie dawały płomienie z metalowych koszy, półkoliście rozmieszczonych przy wejściu na molo, które miało dobrych sześćdziesiąt metrów szerokości, a jego koniec niknął gdzieś w ciemnościach. Tuż przy brzegu stały dwa statki: jeden wojenny, drugi z czarnymi żaglami i dwoma rzędami wiosł. Myślałem początkowo, że i ten służy wojsku, o czym mógłby świadczyć jego wąski kadłub, umożliwiający rozwijanie dużej prędkości, wnet jednak zmiarkowałem, że to przechwycony przemytnik. Ustawieni rzędem mężczyźni wynosili z pokładu towary, układając je na stertę przed trapem. Oficer w mundurze cesarskiej armii pobieżnie sprawdzał wyładunek w asyście paru podwładnych, dyktując swemu pomocnikowi poszczególne pozycje.

– Dziesięć zwojów dywanów, trzy worki z przyprawami. Piętnaście bel jedwabiu. Hej, wy tam, otwórzcie te paki, chcę zobaczyć, co w nich jest!

Jego rozkazy były wypełniane natychmiast.

– Jakaś tkanina, panie kapitanie. Wygląda na bardzo drogą – poinformował go któryś z podwładnych.

– Droga czy niedroga, nie mamy czasu na ustalanie ceny. Żadnego złota, żadnych narkotyków, żadnej broni, a taki towar nam teraz ucieka po morzu. Ogłaszam przetarg! Jest tu ktoś chętny kupić

cały ładunek jak leci?

Ja, panie kapitanie! – rozległo się z boku. Dopiero teraz zauważyłem, że w uliczce dochodzącej do placu przed moim ukrywa się kilka powozów i grupka ludzi. Pozostali gapie, niebędący marynarzami, milczeli.

– Ciekawym, jak to możliwe, żeście tu tak prędko dotarli – burknął oficer. – No dobra. Cena wywoławcza: trzysta dukatów!

Mężczyzna z brodą, niewysoki, ale krzepki i barczysty, od razu podniósł rękę.

– Biorę, kapitanie.

Nikt inny nie przebił, tak więc ładunek został sprzedany za trzysta dukatów. Oficer dał mu do podpisania jakiś papier i zostawiwszy na przemytniczym statku wachtę, wyruszył w morze. Wcześniej kazał usunąć żeleźniaki, jednak ludzie brodatego mieli własne oświetlenie – duże, smolne pochodnie, które wsunęli do uchwyty przy wozach. Gdy tylko statek zniknął w ciemności, okazało się, że ni stąd, ni zowąd wszyscy są uzbrojeni. Rozpoznałem miecze, małe kusze, cepy. Do uczciwych kupców mieli równie daleko jak owsiany placek do prawdziwego befsztyka.

– Hej! Uważajcie na tamtego! – krzyknął brodac, wyciągając rękę w moim kierunku. Musiał mieć sokole oczy, skoro mnie zauważył. Nagle stałem się celem dla dwóch kusz, a wiatr wydał mi się zdecydowanie zimniejszy, wręcz lodowaty. Nie chcąc ich przestraszyć i sprowokować do strzału, zrobiłem krok do przodu.

– Jestem nietutejszy. Byłem tylko ciekaw, co się tu dzieje.

Na potwierdzenie swych słów pokazałem puste ręce, wciąż jednak myśląc o palcach położonych na spustach kusz.

– Nie chcę mieć żadnych kłopotów – warknął brodac. – Jesteś w niewłaściwym miejscu...

– ...i o niewłaściwej porze – dokończył za niego zdanie ktoś inny. – Ben, ciebie też to dotyczy.

Z ciemności wyłoniła się grupa dziesięciu mężczyzn z żyłastym dryblasem na czole. W nędznym świetle pochodni widziałem tylko jego wysokie czoło z poziomą, ciemną blizną. Nie miał broni, natomiast jego uzbrojeni po zęby towarzysze nie sprawiali wrażenia, że przychodzą z pokojowymi zamiarami.

– Dziesięciu na dziesięciu. Łysolu, chyba jesteś za bardzo pewny siebie – wycedził pogardliwie Ben.

W tym momencie było dla mnie jasne, że układ wygląda zupełnie inaczej, słyszałem bowiem, jak z ciemnych okolicznych ulic nadchodzą kolejni ludzie. Wpłatałem się w interesy, które już za chwilę miały się zmienić w krwawą jatkę.

– Panowie, panowie! Ja tu jestem przypadkiem! Zapłacę, jeżeli mi pozwolicie odejść! – krzyknąłem z udawanym przerażeniem i trzymając ręce jak najdalej od ciała, chwiejnym krokiem ruszyłem w stronę morza, byle dalej od napastników. Miałem nadzieję, że wyglądam jak nieporadny, ogłupiały ze strachu grubas.

– Mam przy sobie dużo pieniędzy!

Jak blefować, to blefować.

– Czyli dziś jest mój szczęśliwy dzień! – wyszczerzył zęby Łysol. – Podejdz bliżej, nie chciałbym, żeby twojemu złotu stała się jakaś krzywda!

Ben już zamierzał dać swoim sygnał do ataku, zauważył jednak, że szeregi wrogów się rozrosły. Nie miałem odwagi zerknąć za siebie, ale sądząc po jego minie, musiało ich przybyć jeszcze co najmniej dziesięciu.

Napięcie wzrosło. Podenerwowani ludzie Bena łykali ślinę, kurczowo zaciskając na broni palce, które wskutek odpływu krwi jawiły się w mroku niczym białe szpony, a wargi zbirów przypominały wąskie kreski.

– Dogadajmy się – rzekł cicho Ben. – Zapłaciliśmy za ten ładunek trzysta dukatów. Możemy go wam zostawić.

– Podwójnie szczęśliwy dzionek! – wykrzyknął gangster z blizną, co kilku jego ludzi skwitowało śmiechem.

Ilu ich mogło być? Dwudziestu? Gdy mijałem Bena, ponaglił mnie Łysol:

– Chodź, chodź, grubasku!

Ben niespokojnie wodził oczyma, zastanawiając się, jaką on i jego ludzie mają szansę. Najwyraźniej nie wierzył w żadną ugodę. I słusznie: w wilgotnym, przesiąkniętym solą powietrzu czuć było zapach krwi. Na chwilę wbił we mnie wzrok. Odpląciłem mu lekkim uśmiechem, puszczając przy tym oko.

Stałem przed bandziorem z blizną.

– O, tutaj! Mam też różne weksle! – powiedziałem, podając mu swoją sakiewkę.

Oszpeconą twarz rozjaśnił grymas chciwości. Wyciągnął rękę.

Wszystko poszło szybko: lewą ręką złapałem go za ramię, prawą wsunąłem pod krocze i ułamek sekundy później pofrunął szerokim łukiem. Był raczej lekki. Woda rozbryznięła się cztery metry od brzegu.

– Na pomoc! Nie umiem pływać! – zdążył krzyknąć. Następne słowo zdusiła woda.

Stałem na wprost dziesięciu uzbrojonych facetów, sam i bez broni. Co sobie teraz mogą myśleć? Tego nie wiedziałem, ponieważ ich twarze skrywał cień. Oddychałem głęboko, tylko czemu, do diabła, uśmiechnięty? Szum wiatru oraz fal od czasu do czasu zakłócały wrzaski nieszczęśnika, który przegrywał walkę z mokrym żywiołem.

– To jak? Pomożecie mu, podejmiecie walkę czy się po prostu wycofacie? – spytałem.

Spojrzeli po sobie z zakłopotaniem. Herszt zasadniczo już nie żył, a żaden z nich nie zwykł podejmować decyzji.

– Ben, przepuść ich – nakazałem, stając na skraju mola.

– Chłopy, idziemy – rzekł zdławionym głosem mały garbus z cepem w jednej i kastetem na drugiej ręce. – Dołożymy im następnym razem.

Początkowo starali się iść godnie, potem jednak przyspieszyli kroku, by w końcu ruszyć biegiem, co skłoniło do ucieczki także resztę. Dopiero teraz się zorientowałem, że stawilem czoło co najmniej trzydziestce ludzi.

– A ty właściwie kto? – zwrócił się do mnie Ben.

W prawej ręce trzymał nóż. Klinga mierzyła dobrych dwadzieścia pięć centymetrów, miała ostry szpic oraz ścięte ostrze. Jeśli chciał mojej śmierci, musiał mnie zabić osobiście, bo inaczej utraciłby twarz w oczach własnych ludzi. Prawa hordy wszędzie są takie same.

– Szukam zajęcia. Nazywam się Bakly – odparłem spokojnie.

Zawahał się. Po tym, co widział chwilę temu, chyba się nie palił do bójk.

– Jak myślisz, ile wart był mój numer? – spytałem.

Ktoś parsknął śmiechem.

– Może jednak byłoby lepiej spakować ten majdan i zniknąć? Stracili tylko jednego człowieka. Wrócą tu, jeżeli znajdzie się wśród nich ktoś, kto nie narobił w portki – ciągnąłem monolog.

To zdecydowało.

– Do roboty, chłopaki! – zakomenderował. – A o pieniądzach pogadasz z samym szefem! – powiedział do mnie.

– Czyli z kim?

– Z Kurganem – odparł, odwracając się do mnie plecami.

Załadowanie pięciu wozów zabrało nam niecałą godzinę i nim nastał świt, jechaliśmy wzdłuż wybrzeża przez śpiące miasto. Ben nie zamienił ze mną ani słowa, za to jego ludzie byli rozmowniejsi. Przeżyty strach rozwiązuje języki. Dowiedziałem się, że banda Fosterów, którą zmusiłem do ucieczki, grasuje na terytorium lenna barona Colrika. Moło w Kaal jest miejscem granicznym, lecz Kurgan nie sądził, że o aukcji będzie wiedział jeszcze ktoś inny. A tymczasem pewnie któryś z żołnierzy doniósł Fosterom o szykowanej obławie na przemytników.

Zatrzymaliśmy się przed wielką drewnianą budą, dość daleko od wybrzeża. Ben załomotał we wrota, a gdy zostały otwarte, wszystkie wozy wjechały do środka. Konie wyprowadzili drugim wyjściem.

– Fajrant – oznajmił. – Rano przyjdą robotnicy i wszystko to poukładają. Za dzisiejszą akcję pięć dukatów dla każdego.

Jego słowa spotkały się ze słabym odzewem. Zmęczeni ludzie zaczęli się powoli rozchodzić.

– A teraz my dwaj wybierzemy się do szefa. Tylko żadnych sztuczek, bo inaczej... – wymownie przejechał palcem po szyi.

Sam ledwie powłóczyłem nogami, na szczęście czekał na nas powóz: wprawdzie tylko poobijana, zaprzężona w jedną szkapinę dwukółka bez budy, ale zawsze to lepsze niż maszerowanie. W milczeniu zajęliśmy miejsca obok siebie. Poza nożem schowanym w butcie nie miałem przy sobie innej broni, co najwyraźniej uspokoiło Bena. Z kolei woźnica zachowywał się tak, jakbyśmy w ogóle nie istnieli.

Na wschodzie pojawiła się już jasna smuga światła, lecz zachodem nadal rządził granatowy obszar usiany gwiazdami. Przełom dnia i nocy był bezwietrzny, jednak w zalegającej ciszy coraz wyraźniej słychać było szum fal dochodzący z nieokreślonego kierunku. Czułem się zmęczony i nikomu niepotrzebny. Gorzałka i jedzenie spożyte z początkiem wieczoru należały już dawno do przeszłości.

Siedziba największego bandyty w Cevinie na pierwszy rzut oka

wyglądała jak zwyczajny dwupiętrowy dom, wyróżniający się tylko zakratowanymi oknami oraz masywnymi, okutymi drzwiami.

Ben niezbyt głośno zastukał i wkrótce drzwi otworzył nam szczupły facet mniej więcej mojego wzrostu. Bena zdawał się nie zauważać, za to mnie obrzucił przeciągłym, badawczym spojrzeniem. Na nogach miał mokasyny, spodnie z mulawskiej przędzy opinały mu łydki oraz uda. Koszula była zdecydowanie luźniejsza. W lewej ręce trzymał podwójną kuszę z założonymi strzałami. Ich groty były szerokie i miały mocno wygięte zadziory. Zauważywszy moje zainteresowanie, wykrzywił twarz w nieprzyjemnym uśmiechu.

Przeszliśmy szatnię i salon, w którym jeszcze niedawno musiało siedzieć sporo mężczyzn, bo w powietrzu unosił się odór potu, piwa i tytoniu. Weszliśmy schodami na piętro: Ben pierwszy, za nim ja, a za mną strzelec. W bezsensownie zastawionym drogocennymi meblami salonie wyprzedził nas, dając znak, że mamy poczekać, po czym zniknął za dwuskrzydłowymi drzwiami z ciemnego drewna.

Za chwilę kusznik był z powrotem.

– Kurgan cię oczekuje – oznajmił.

Otworzył mebel wyglądający jak sekretarzyk, lecz w rzeczywistości pełen pękatek butelek z różnokolorową zawartością. Otworzywszy jedną, niczym kuglarz wyczarował skądś szklaneczkę, po czym nalał sobie solidną miarkę. Ciekawe, czy to dla niego działka nasenna czy też śniadaniowa? Jednak nie zdążyłem zapytać, ponieważ właśnie w tej chwili wkroczyliśmy do gabinetu herszta półświatka w mieście Cevin.

Pokój miał powierzchnię małego domu. Kurgan wyglądał tak, jakby się składał z samych gruszek. Fryzura na jeża, mała mózgowica, potężne, szerokie szczęki, okrągłe, ale rozłożyste barki zdradzające sporą siłę oraz beczkowaty, zwężający się ku dołowi tors. Siedział rozwalony w fotelu, a zza paska wylewało mu się brzuszysko. Sprawiał wrażenie zmęczonego, knykcie na lewej dłoni miał otarte, jakby niedawno kogoś posłał na ziemię. Nic nie wskazywało na to, że był spryciarzem, jednak musiały to być tylko pozory, skoro tak znakomicie umiał prowadzić swoje brudne interesy.

Nie czekając na wezwanie, Ben opowiedział mu o przebiegu akcji. Wprawdzie przesadził trochę na temat swojej roli, ale

w gruncie rzeczy nie skłamał. A gdy wyjawiał Kurganowi moje nazwisko, na twarzy najważniejszego bandziora pojawił się lekki grymas.

Stanęli mi przed oczyma Kroucbag oraz Hanten, wypytujący z zainteresowaniem o rozróbę przed kasynem. Całkiem możliwe, że któregoś z nich coś łączy z Kurganem, więc zdążył go już poinformować.

– Czyli szukasz zajęcia – Kurgan podsumował relację Bena.

Miał chropowaty, niemiły głos, jak ktoś, kto przywykł wrzeszczeć, a nie mówić.

– Dobrze płatnego zajęcia – uściśliłem.

– Tacy jak ty zawsze się przydadzą – mruknął. Trudno mu odmówić racji. Sam wiedziałem o co najmniej dwunastu ludziach, których w ostatnim czasie stracił: przed kasynem, u mnie w pokoju i jeszcze trzech facetów zabitych przez ninję.

– Proponuję ci dziesięć dukatów tygodniowo, do tego dodatkowe premie za każdą akcję. Ja nie pilnuję swoich ludzi. Chcę, żebyś w razie potrzeby był pod ręką. Co drugi dzień masz zaglądać do knajpy Tracza. To jak, bierzesz?

– A jak dużą premię dostanę za dzisiaj? – spytałem. Podrapał się po głowie. W panującej ciszy wyraźnie słyszałem, jak szeleszczą dotykane dłońią włosy.

– Siedemdziesiąt dukatów. Dużo ryzykowałeś – postanowił.

– Biorę tę robotę.

– Na wszelki wypadek zostaw Benowi adres. – Na tym zakończył posłuchanie.

Skinąłem głową.

– Z domu Leermana wyjechałem z jeszcze jednym mężczyzną. Też chciał wziąć udział w aukcji, ale zatrzymali go ludzie Fostera – napomknąłem na odchodnym.

– To był zaopatrzeniowiec Leermana – odparł Kurgan. – Wszyscy wielcy kupcy płacą żołnierzom za natychmiastową informację o sprzedaży skonfiskowanych towarów. Marynarka nie ma żadnych magazynów, a ponadto żaden oficer nie chce być podejrzany o paserstwo, dlatego pozbywają się kontrabandy najszybciej, jak się da.

Później już bez zbędnej zwłoki opuściłem dom Kurgana. Trochę to trwało, zanim się rozeznałem w okolicy, więc droga do oberży

zabrała mi niemal półtorej godziny. W mej kieszeni siedziało siedemdziesiąt świeżo zarobionych dukatów, a ja znów miałem zajęcie.

Dowlokłem się do pokoju na ostatnich nogach. Dniało już, z oddali dobiegały pokrzykiwania sprzedawców na targu rybnym, w powietrzu leniwie bzyczała poranna mucha. Zdjąłem buty, jednak nim zdążyłem zamknąć oczy, zauważyłem, że na stole leży jakiś list. A to co, u licha? – pomyślałem przy otwieraniu. Charakter pisma był zdecydowany, lecz jednocześnie elegancki i dobrze czytelny.

Bakly, chętnie zjadłabym z Panem śniadanie w moim domu. Przy okazji moglibyśmy omówić kilka spraw, które interesują nas oboje. Oczekuję Pana jutro o jedenastej.

Nikita Klaar

Zmęczenie nie pozwalało mi już myśleć o niczym. Zresztą jeśli chodzi o myślenie, to pod tym względem nawet w najlepszej formie nigdy nie byłem dobry. Zszedłszy na dół, gdzie podkuchenna rozpałała ogień, zamówiłem pobudkę o wpół do dziesiątej. Gdzieś blisko zapiał kogut, potem z trzech stron odezwali się jego koledzy. Położyłem się na łóżku i natychmiast zasnąłem.

Rozdział 15

Szpicel, protektor i bandzior



Ocknąłem się sam już przed ósmą, słaby i otępiały, prawie jak na kacu. Śniłem o klepsydrze, ale nie piaskowej, tylko złotej, z otwartym górnym naczynkiem. Sypałem tam pełnymi garściami złoto, lecz wciąż było go mało. Nie wiedziałem we śnie, co będzie, kiedy strużka złota wyschnie i tak mnie to przeraziło, że się zbudziłem. Na jawie lęk minął, lecz jego miejsce zajęła prosta myśl, że jeśli nie dosypię złota aż po brzegi, moi krewni umrą i wszystko, co dotychczas zrobiłem, pójdzie na marne. Całe moje nędzne życie okaże się nadaremne i bez sensu.

Ubrałem się i pierwszy raz przywdziałem zbroję. Początkowo czułem się nienaturalnie, jednak tylko przez chwilę. Ale czy powinienem w niej wyjść na zewnątrz? Chyba bym budził zbyt duże zainteresowanie. W końcu okryłem stał wypróbowanym przez lata płaszczem, zapinając się pod szyję, dzięki czemu przynajmniej na pierwszy rzut oka mój wygląd stał się bardziej normalny. Zostawiwszy miecz w pokoju, zadowolilem się katzbalgerem. Długa broń nie nadawała się do noszenia na co dzień, rzecz jasna o ile człowiek nie zamierza stanąć w pierwszej linii walki. A tego wolałem unikać.

Jedząc śniadanie, myślałem o wydarzeniach minionej nocy. Tutejszy półświatek nie przebierał w środkach, więc jeżeli ktoś z nim zadarł, musiał się liczyć z najgorszym. Ciekawe, czy Ochnot zdaje sobie z tego sprawę? Co będzie, jak zbyttno się odkryje przed kimś zaufanym? Może się nadziać na ludzi podobnego rodzaju, jak ja wczoraj.

Dopiłem kawę i wyszedłem na ulicę. Szczęśliwie od razu udało mi się zatrzymać bryczkę, chociaż to słowo nie za bardzo pasowało

do biedki ciągniętej przez podstarzałego kłusaka, jednak z drugiej strony była tania. Podałem woźnicy adres. Skinął głową i nie zadawał zbędnych pytań. Siedząc na ławeczce dla klientów, miałem dobry widok na ulicę i spieszących nią w obie strony ludzi. Każdy gdzieś pędził w swoich interesach, jeden z zawziętą miną, drugi markotny, a jeszcze inny z malującą się na twarzy złością, jakby właśnie coś mu nie wyszło. Pod wędliniarską budką dostrzegłem mężczyznę w rybackim płaszczu i wysokich butach z foczej skóry. Dojadłszy ze smakiem kiełbasę, natychmiast zamówił następną. Rozglądał się wkoło, podobnie jak ja. Przypuszczalnie wrócił niedawno z morza. Jego twarz była osmagana wiatrem, a dłonie pewnie miał szorstkie od ciężkiej pracy. Wyglądał na zadowolonego: z obfitego śniadania, z siebie, z całego świata. Zupełnie odwrotnie niż ja. Zazdrościłem mu. Kawalkada wozów ruszyła, woźnica zaciął konia i rybak zniknął mi z oczu.

Wreszcie byliśmy na miejscu. Zapłaciłem talara i wysiadłem. Dom Ochinota prezentował się jak co drugi budynek w tej okolicy: jednopiętrowy, dwa okna na parterze, trzy na pierwszym piętrze, solidne drzwi. Ująłem za klamkę – otwarte. Na plecach poczułem ciarki. Czyżbym przyszedł za późno? Cicho wszedłem, zamykając za sobą. Pachniało jedzeniem, z kuchni dobiegał jakiś hałas. Zajrzawszy do środka, ujrzałem starą kobietę przy pracy. Właśnie układała na tacy kromki chleba, jajka na słoninie, szynkę, zimne mięsiwo, dżem, półmisek owoców, dzbanek z kawą i – trzymajcie mnie – butelkę musującego wina. Jeśli Ochinot codziennie pałaszuje takie śniadanie, jego serce wysiadzie i to szybko.

– Zabiorę mu to na górę – powiedziałem. Zalekciona kobieta wzdrygnęła się i wybałuszyła oczy.

– Bez obaw, jestem jego znajomym – uspokoilem ją i wziąwszy tacę, wyszedłem do przedpokoju, a stamtąd schodami na piętro. Znalazłem się w lilipucim saloniku z dwoma fotelami i stolikiem. W powietrzu unosił się subtelny, trudny do opisania zapach. Z saloniku prowadziło dwoje drzwi – w prawo i w lewo. Spoza prawych dobiegało ciche, jakby zadowolone pogwizdywanie. Wątpy nie byłem nigdy, więc wziąwszy tacę pełną jadła w jedną rękę, drugą nacisnąłem klamkę i wszedłem.

Ochinot stał do mnie plecami i, jak się wydawało, właśnie zbierał z włochatego dywanu damską garderobę. Miał jej już całe

mnóstwo, przewieszanej przez lewe ramię. Przez chwilę obserwowałem go w milczeniu. Miał na sobie niebieski jedwabny szlafrok, zdobny w czerwone smoki. Kiedy podniósł drugie majteczki, zrozumiałem, dlaczego tych fatałaszków jest tam tak dużo.

– Dzień dobry – rzekłem na przywitanie.

Odwrócił się niespiesznie, a jego krągłą twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Widziany niedawno rybak wyglądał na człowieka szczęśliwego, natomiast Ochnot był chodzącym uosobieniem szczęścia i zadowolenia.

– Mówcie szeptem – poprosił, kładąc palec na wargach. – Alessandra i Venecia śpią jeszcze. Madame Alessandra i madame Venecia jeszcze śpią – poprawił się, uśmiechając się porozumiewawczo.

Skinąłem głową i postawiłem tacę na stole. No tak, ta miła, nienatrzęta woń w saloniku była mieszanką dwóch rodzajów damskich perfum, tyle że tutaj zdecydowanie silniejsza.

Ochnot otworzył wino i nalał nam obu, nawet nie pytając, czy chcę.

– Dzisiaj nie pracuję – oznajmił – a to jest całkiem przyjemny sposób rozpoczynania dnia. Tych butelek mam jeszcze sporo, zaraz każę przynieść następną.

Wino smakowało lepiej niż jakiegokolwiek, które piłem wcześniej.

– Gdzie je kupiliście? – spytałem.

– Tej ambrozji nawet nie ma w sprzedaży. Odbyłem bardzo zajmującą rozmowę z panem Degussi, to prezent od niego – wytłumaczył.

– A kim jest pan Degussi?

– Handlarz winem, poza tym małżonek madame Alessandry. Ponieważ prosto z balu razem z przyjaciółmi wybierał się na duży turniej walk kogutów, poprosił mnie, żebym się zaopiekował jego żoną.

– Ach tak – pokiwałem głową, po czym wyjaśniłem powód mojego najścia, opowiadając o ludziach, z którymi się zetknąłem oraz o ich metodach działania.

– Ależ ja jestem buchalterem – bronił się Ochnot, jakby nie chcąc dopuścić myśli, że może mu coś grozić. – Przecież te sprawy mnie nie dotyczą. Znam się tylko na liczbach i na dokumentacji

księgowej.

No i jeszcze na kobietach, i na ludzkich słabościach, cisnęło mi się na usta, jednak ograniczyłem się do popijania trunku.

– Nie wolno wam rozmawiać z nikim, co naprawdę myślicie o rachunkach Belfonta. Musicie cały czas mówić, że wszystko gra – powiedziałem po chwili milczenia. – Może przydałby się jakiś papier, niby poufny, według którego nic nie szwankuje.

– O, tak, tak, dobry pomysł – uradował się. – Sporządzę raport dla hrabiego Drexlera, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Zza jednych drzwi dobiegło ziewnięcie.

– Pójdę już, ale chciałbym zadać trochę zuchwałe pytanie: jak to zrobicie, żeby się tu nie spotkały? To znaczy madame Alessandra i madame Venecia?

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Co za problem? Zbudzę każdą z osobna i zjemy śniadanie. Już się nie mogę doczekać.

Dopiero teraz zauważyłem, że nakrycia są trzy.

– Powiedzcie Magdalenie, czyli kucharce, żeby przyniosła na górę jeszcze jedną butelkę – poprosił, gdy już wychodziłem.

– Szkoda, że nie zamówiłem kawioru – dodał z żalem po sprawdzeniu naszykowanego zestawu potraw.

Po wyjściu z domu okazało się, że mam sporo czasu, bo do jedenastej została jeszcze niemal godzina. Zajrzałem więc na targowisko i kupiwszy czarny oraz czerwony kawior, opłaciłem posłańca, żeby zaniósł go Ochintowi. Dopiero przy płaceniu zacząłem się zastanawiać, czemu to właściwie robię, ale nie wymyśliłem niczego.

Pukanie do drzwi kasyna było zbędne, otworzył jeden z tych byczków, którzy nocą pracowali jako ochroniarze. O nic nie pytając, zaprowadził mnie do szatni, gdzie musiałem się poddać procedurze zdania broni, równie dokładnej jak podczas pierwszej wizyty. Następnie przeszliśmy przez pustą salę. Bez gości, bez powodzi świateł z niezliczonych lamp i grzechotu ruletek, szelestu kart oraz ogólnego gwaru czułem się tu jak w grobowcu. Mój przewodnik, doszedłszy do jakichś drzwi, otworzył i wskazał kamienne schody prowadzące na górę.

– Pani już czeka – rzekł krótko.

Podczas ostatnich kilku dni odwiedziłem więcej domostw

i pokoi, niż kiedy indziej przez cały rok. Luksusowych i zwyczajnych. Tutejsze pomieszczenia na pierwszy rzut oka były przytulne i wygodne, jakby ich lokatorka miała talent posługiwania się drobiazgami przy tworzeniu prawdziwie domowej atmosfery.

Wszedłem do kuchni, służącej jednocześnie za jadalnię. Przy stole siedział mój stary znajomy, szef ochrony kasyna, który tak uważnie mi się wtedy przyglądał. Sączył kawę, a przy piecu krzątała się służąca. Na mój widok twarzą odstawił kubek i wstał.

– Sprawdzę go jeszcze raz – rzucił nie wiadomo komu, po czym podszedł do mnie.

Stałem posłusznie w rozkroku z rękami na boki, czekając, co się stanie. I rzeczywiście, zrobił swoje, ale tak jakby niedbale. Miałem wrażenie, że obmacuje mnie jakimś ukrytym zmysłem, którego ja sam nie miałem.

– Deg umie wyczuć, czy ktoś w najbliższym czasie zamierza użyć przemocy – rzekła służąca z uśmiechem.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę ze swojej pomyłki – przy piecu krzątała się Nikita Klaar we własnej osobie, ubrana w spódnicę aż do kostek i luźną bluzkę z surowego płótna. Jedyłą ozdobę stanowiła misterna spinka, ściągająca jej granatowoczarne włosy w prosty koński ogon.

– Wszystko w porządku? – spytała ochroniarza.

Przytaknął posępnie, ukłonił się jej, a mnie posłał krótkie, chłodne spojrzenie. Było w nim wszystko: przestroga, groźba oraz wyrok. Kimkolwiek był, kochał swoją szefową. Ubóstwiał, poprawiłem się natychmiast.

Zostaliśmy sami. Obrzuciwszy mnie badawczym spojrzeniem, Nikita wskazała stół przy piecu.

– Proszę mi pomóc to przenieść.

Jasne. Kim ona jest? Ukrywały się w niej jakby dwie osoby: w mroku królowa, przed którą mężczyźni padają na kolana, za dnia zwyczajna kobieta, troszcząca się o dzieci i pana domu. Jednak według mojej wiedzy nie miała rodziny.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu. Jajka, racuszki, kawa. Było tego tak dużo, jakby wcześniej kazała sprawdzić, ile potrafię zjeść za jednym zamachem.

– Mam wrażenie, że chce pan o coś zapytać – przerwała ciszę.

– Dlaczego mnie pani zaprosiła? – zadałem pierwsze pytanie. –

Dlaczego mnie tak dokładnie kontrolowali, skoro pani ochroniarz umie wyczuć planowany atak? Kim pani jest? Kim są chroniący panią ludzie? – kontynuowałem.

Jadła, przyglądając mi się przy tym tak, jakby poddawała mnie testowi, którego zasady знаła tylko ona.

– Chcę pana wynająć – rzekła po dopiciu kawy i nalaniu sobie kolejnej filiżanki.

Po jej niefrasobliwości nie zostało już ani śladu, była spięta i zatroskana.

– Do jakiej pracy? – spytałem.

– Niebawem, w ciągu najbliższych paru dni zamierzam stąd zniknąć. Stąd, czyli z Cevinu i ze Strefy. Chcę, żeby pan wszystko przygotował, rzecz jasna w jak najgłębszej tajemnicy.

– Ile pani zapłaci?

– A jakie są pana oczekiwania? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Nie znam wszystkich okoliczności i nie potrafię przewidzieć przeszkód, więc nie mogę podać ceny – odparłem.

– Sto pięćdziesiąt dukatów zaliczki na rękę i dziesięć za każdy dzień czekania przez czas trwania naszej umowy. Po zakończeniu pracy dalszych dwieście oraz oczywiście zwrot wydatków. Dzienną gażę będzie pan dostawał każdego ranka w przez siebie wyznaczonym miejscu. Jeśli się tam pan nie zjawi, umowa wygasa natychmiast, a ja będę żądała zwrotu całości wypłaconych pieniędzy.

Oferując taką furę złota, wszystko musi mieć z góry obmyślane. Skończyła się kawa. Wstała od stołu i przyniosła dzbanek świeżej. Zauważyłem, że chodzi boso. Jej kostki bez smukłej linii pantofelków na wysokich obcasach wyglądały na wątłe i jakieś takie bezbronne. Dostrzegła moje spojrzenie.

– Lubię chodzić bez butów, zresztą podłoga jest podgrzewana – wyjaśniła z uśmiechem.

– Pani oferta brzmi bardzo interesująco – wróciłem do tematu – ale wciąż wiem za mało: o pani i o powodach ucieczki.

– Chcę być z panem szczerą, jednak o pewnych sprawach nie mogę opowiedzieć, ponieważ dotyczą nie tylko mnie. Wystarczy panu, jeżeli odpowiem na niektóre pytania zadane wcześniej?

Wzruszyłem ramionami. Gra w otwarte karty, czyli jest naprawdę mocno zdesperowana.

– Deg i jego ludzie są wyspiarzami. Pomogłam im kiedyś, ukrywając ich dzieci przed służbami cesarskimi. Za to udzielają mi ochrony, ale tylko tutaj, bo gdyby wyściubili nos poza ściśle wybrzeże, dopadliby ich gwardziści. Rewizja osobista służyła przede wszystkim pańskiemu bezpieczeństwu, ponieważ w kasynie działa czar chroniący je przed użyciem broni. Mówiąc wprost: gdyby pan jakąś wniósł, choćby nawet bez złych zamiarów, groziłoby to śmiercią a przynajmniej ciężkim okaleczeniem.

Przebiegł mnie dreszcz. Po raz pierwszy ktoś w mojej obecności tak zuchwale przyznawał się do stosowania magii. Jednak tutaj, w Strefie, rzeczy mają się chyba inaczej.

– Przypuszczam, że moją ucieczkę zechcą udaremnić ludzie Kurgana – dodała.

Spodziewałem się tego, a na podstawie opowieści Rozalindy właściwie byłem pewien. Uzmysłowiłem sobie, że gram na zwłokę tylko w jednym celu: po to, żeby Nikita mnie wyrzuciła ze słowami, że skoro jestem taki ciekawski, więc niech spakuję swoje manatki i wyjdę, a ona znajdzie sobie kogoś innego. Lecz nie chciałem jej oszukiwać. Dotychczas wykonywałem każdą robotą, za którą brałem pieniądze. Nigdy jednak nie były mi tak rozpaczliwie potrzebne, nigdy też nie byłem pod taką presją czasu, jak teraz.

– Skąd tyle zaufania? Przecież pani mnie nie zna. Jestem w Cevinie od niedawna i nie zamierzam zostać tu dłużej – powiedziałem, dając sobie jeszcze jedną szansę. Potrzebowałem tych pieniędzy i to bardzo.

Właśnie dlatego jest pan najodpowiedniejszym człowiekiem. Tutaj nie można ufać nikomu, wszystkich da się przekupić złotem albo w inny sposób. A tych nieprzekupnych można szantażować. Prócz tego widziałam pana w akcji pod kasynem i pamiętam odpowiedź na naszą podziękę: nie było w niej żadnego udawania. Jest pan najlepszym człowiekiem, jakiego w tak krótkim czasie mogłabym pozyskać. I dzisiaj przekonałam się, że się wtedy nie pomyliłam. Wierzę własnemu instynktowi.

Biedactwo. Dopiero teraz widziałem jej prawdziwą twarz, to jasne. Królowa nocy była zaledwie maską, dzięki której mogła przeżyć. Kocha ludzi, chce im ufać z wiarą, że przynajmniej w jednej dziesiątej są tak honorowi, jak ona. Tylko że takie podejście do życia oznacza dla niej wyrok śmierci.

– Dobrze, przyjmuję to – rzekłem, czując się przy tym podobnie jak podczas grzebania zwłok mojego brata.

No tak, ale tu chodzi o pieniądze... Potrzebuję ich, żeby jego śmierć nie była nadaremna.

Wyszedłszy na zewnątrz, poczułem do siebie obrzydzenie. Pić, muszę się napić! Byłem spragniony niczym rozbitek na morzu albo wędrowiec błądzący po pustyni, tylko z jedną różnicą: tamci marzą o odświeżeniu zmysłów, ja natomiast chciałem je stępić. Idąc powoli, starałem się nie dostrzegać ludzkich twarzy. Wreszcie kramik z szyldem: „Trunki wszelakie”.

– Gorzałki, najmocniejszej z tych, co tu macie – zamówiłem po wejściu.

Tłuścioch ze świńskimi oczkami i cerą świadczącą, że raczej nie pija sprzedawanych tu zajzajerów, wykrzywił twarz w przyjaznym grymasie. Kto wie, może to był uśmiech.

– Mamy mnóstwo rozmaitych nalewek, a każda zdoła ucieszyć miłośników mocnych napitków – zaszczebiotał.

– Chcę najtańszą – powiedziałem, co jednocześnie oznaczało „najgorszą”, a ja nie zasługiwałem na nic innego.

Z kwaśną miną postawił przede mną koślawą butelkę z matowego szkła.

– Kukurydziana. Pięć miedziaków – rzekł.

– Dwie flaszki – poleciłem, rzucając mu talara. Zanim zdjął z półki drugą, zdążyłem łąpczywie przełknąć chyba ze dwie trzecie butelki.

– Coś dziwnie smakuje – wychrypiałem.

– Bo to rzeczywiście ostry trunek – przytaknął. – Dla złagodzenia smaku dodają do niego kroplę durhamu.

Pierwszy kopniak odebrałem niczym walnięcie obuchem, tak że przez chwilę nie byłem w stanie wydusić ani słowa.

– Aha, durham. W sam raz coś dla mnie – rzekłem, gdy już nieco doszedłem do siebie.

Wynajmując mnie, Nikita popełniła błąd. Ten świat nie jest sprawiedliwy, a za błędy trzeba płacić. Druga butelka była już zbędna, poczułem się znacznie lepiej.

– Chcę kawy – oświadczyłem.

– Panie, tu nie mamy kawy, herbaty ani innych podobnych napojów, tylko wszelkie możliwe trunki – odparł hardo.

Chyba przywykł do tego, że po takiej dawce jego eliksiru normalni klienci z trudem stoją na nogach. Złapawszy go za poły koszuli, przyciągnąłem do siebie.

– Kawy – powtórzyłem, czekając, kiedy zacznie sinieć i zrozumie, że mówię serio.

Kubek czarnej lury z diabli wiedzą czego dostałem za darmo. A gdy uzupełniłem ją rozgryzionymi ziarnkami prawdziwej kawy, która złagodziła wstrętny odór durhamowej gorzałki, moja głowa zaczęła myśleć. Potrzebne mi były pieniądze, a przyzwoitą sumkę mogłem zgarnąć za odnalezienie córki Huspitz.

Lenni Finn pochodziła ze znacznie lepszej rodziny niż jej zaufana przyjaciółka Juana. Dom Finnów nie stał w jednym ciągu z innymi, oddzielony był małym ogródkiem i trzymetrowej wysokości żelaznym płotem; już tylko samo ogrodzenie musiało kosztować niezły majątek. Sądząc po zachowaniu kamerdynera, to, że w ogóle zostałem wpuszczony, zawdzięczałem wyłącznie kaprysowi młodej damy.



Przyjęła mnie w pokoju pełnym kozetek, miniaturowych fotelików, stolików oraz mnóstwa innych mebli, których

przeznaczenie było mi kompletnie nieznanne. Krocząc po puszystym dywanie, miałem wrażenie, że brodzę w grubej warstwie śniegu.

Lenni współsiedziała na cętkowanej kanapie w pozycji, którą sama pewnie by nazwała wyszukaną, dla mnie jednak była po prostu niewygodna. Miała pociągłą, przyszczatą twarz i złe, wyrachowane spojrzenie, którego chłód potęgował kiepski makijaż. Przez materiał spódnicy przebijały kościste kolana. Za cenę ubioru, który tak niedbale nosiła po domu, niejedna dziewczyna mogłaby sobie sprawić suknię ślubną.

– Chciał pan ze mną porozmawiać – powiedziała, siląc się na wyniosłość oraz obojętność, lecz w jej głosie i tak zabrzmiało niepohamowane zaciekawienie. Pewnie się nudziła albo była wścibska. A może jedno i drugie.

– Poszukuję pani przyjaciółki, Juany Huspitz – rzekłem.

– Hm, przyjaciółki. Była tylko znajomą, co jakiś czas spotykałyśmy się w Malinowych Łazienkach – odparła.

Dystans i pogarda zawarte w tym zdaniu chyba dokładnie odzwierciedlały różnicę zamożności między rodzinami Finnów i Huspitzów.

Pokiwałem neutralnie głową.

– A kiedy widziała ją pani ostatnio? – zadałem kolejne pytanie.

Nie poprosiła, bym usiadł, tak więc spoglądała na mnie w sposób dość nienaturalny i niewygodny, jednak wyglądało na to, że w jej wypadku chęć okazania wyższości jest ważniejsza niż odrobina niewygody.

– Pięć, nie, sześć dni temu byłyśmy w łaźni. Wysłałam z basenu z gorącą wodą chwilę przed nią. Myślałam, że spotkamy się przy wejściu. Czekałam trochę, ale chyba się przebrała wcześniej i pewnie doszła do wniosku, że już sobie poszłam. Nie byłyśmy umówione.

– Nie spotkałyście się w szatni?

Spojrzała na mnie, jakbym był zapieczonym w bułce karaluchem.

– Moja noga nigdy by nie stanęła w Malinowych Łazienkach, gdyby tam były wspólne szatnie!

– Juana miała zalotnika, zamierzała za niego wyjść. Zwierzała się pani ze swoich osobistych planów? – zignorowałem ostatnią uszczypliwość.

– Ja bym nie powiedziała, że chodzili ze sobą na poważnie.

Juana czasami była wobec mężczyzn, hm, nazbyt swobodna. I wtedy Anton, zresztą jak każdy normalny mężczyzna, postępował z nią tak, jak na to zasługiwała. Nie można go obwiniać.

Nie pasowało mi to za bardzo do tego, co o narzeczonym Juany usłyszałem od jej ojca i od małego jubilerskiego spryciarza, jednak możliwe było wszystko.

– Co pani sądzi o jej zniknięciu? – zadałem ostatnie pytanie.

– Myślę, że uciekła z którymś ze swoich licznych amantów – wzruszyła obojętnie ramionami.

Chyba zamierzała rozwinąć jeszcze tę teorię, ale w przegrzanym pokoju zaczęło mi być za gorąco, widok Lenni nie sprawiał żadnej przyjemności, a poza tym nie wierzyłem jej nic a nic. Najpewniej snuła wobec Antona Luvina własne plany. Ciekawe, czy wie o nich sam Anton. Mało prawdopodobne, ponieważ miał wrócić z morza dopiero pojutrze.

Wpadłem do Huspitz. Wprawdzie nie zastałem starego jegomościa, ale służący poznał mnie i bez żadnych kłopotów pozwolił się rozejrzeć w pokoju Juany. Było mało prawdopodobne, że chodziło o ucieczkę – nie zabrała odzieży, pachnideł ani ośmiu talarów, które znalazłem w szufladzie nocnego stolika. W pudzku na kosztowności leżał nawet naszyjnik z pereł. Sądząc po staromodnym wyglądzie, należał jeszcze do jej matki i można by za niego dostać przyzwoite pieniądze. Czyli wniosek był prosty: Juana Huspitz na pewno z nikim nie uciekła z własnej i nieprzymuszonej woli. Przed wyjściem zamieniłem jeszcze kilka słów ze służącym, który wspomniał o innych koleżankach Juany.

Później, chcąc zapoznać się z okolicą, przez jakiś czas włączyłem się po mieście. Wybrzeże było bardzo poszarpane, woda wyżłobiła w ładzie długie, wąskie zatoki. Trzy główne ulice, połączone ze sobą siecią przecznic, uliczek i zaułków, nadających się tylko dla pieszych bez większego bagażu, dość dokładnie powielewały krętą linię brzegową. Nierzadko było i tak, że chcąc dotrzeć do jakiegoś miejsca, oddalonego w linii prostej o trzysta, czterysta metrów, należało pokonać dwa-trzy kilometry. Ale dlaczego tak niewiele tu przystani? Aha, jasne: większość zatok jest dla dużych statków za płytka, ponadto wychodzą na północny wschód, skąd niemal bez przerwy dmucha silny wiatr i tworzy długie fale.

Mogłem oczywiście kontynuować poszukiwania Juany Huspitz,

przesłuchując następnych znajomych, jednak oznaczałoby to odkładanie na później poważniejszego problemu. Nikita Klaar – przyjaciółka Rybaka, który zadarł z Kurganem, najpotężniejszym hersztem miejscowego półświatka. Bała się, że z tego konfliktu jej kochanek nie wyjdzie zwycięsko, chciała więc przygotować grunt pod ucieczkę. Miałem niemal pewność, że kolejne zlecenie Kurgana będzie związane właśnie z Rybakiem.

Nadchodząca wojna gangów zdawała się być jedyną okazją do zarobienia w jak najkrótszym czasie tak bardzo mi potrzebnych około trzystu dukatów. Owszem, ale w grę wchodzi jeszcze panowie Hanten i Kroucbag, na pierwszy rzut oka uczciwi kupcy, dalej niejasne powiązania gangu z gubernatorstwem Belfonta, no i dziwne postępowanie hrabiego, który w tajemniczy sposób zablokował moje pieniądze w Banku Imperialnym. Zbyt wiele zagadkowych spraw, żeby wszystko poszło prosto.

Zatoczywszy łuk po stokach okolicznych wzgórz, wróciłem do punktu wyjścia i, znowu głodny, zajrzałem do prymitywnej traktierni, gdzie się jadło na stojąco przy wysokich, drewnianych stołach. Z oferowanych trzech dań wybrałem owsiane placki z małymi morskimi stworami. Spalaszowałem je szybko, po czym złapałem dorożkę, każąc się zawieźć do knajpy Tracza. Zaniedbanie żadnego z moich pracodawców nie wchodziło w rachubę.

Karczma mogła być dawniej składem. Dziury w dachu były zasłonięte kawałkami papy, a wejściowe drzwi zbite z nieoheblowanych desek.

W sieni nadziałem się na grubego, odpychającego gościa. Jedną ręką opierał się na drewnianej ladze, kciuk drugiej zatknął za pasek. Postawa wręcz bohatera, bo tłuszcz wylewał mu się zza paska niczym ciasto z dzieży. Obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem, a potem wskazał drzwi za sobą. Gospoda wyglądała w środku z grubsza tak samo, jak z zewnątrz. Kilka pozbieranych diabli wiedzą gdzie rozklekotanych stołów, zamiast krzesel proste ławy. Jedyne przyzwoite meble stanowiły szynkwasy z uchwytnymi na beczki oraz solidna półka, wypełniona flaszками gorzałki. Najbardziej oddalona od wejścia część sali była podwyższona. Przy jedynym w tym miejscu stole siedziała grupka mężczyzn z Kurganem na czele. Nie prezentowali się lepiej niż opryszki na parterze, ale była od nich duża pewność siebie. Kwiat bandziorów.

Przepchnąwszy się do szynkwasu, zamówiłem piwo.

– Nowy? – zagadnął barczysty facet z plecami wykoślawionymi przez krzywicę. Jednak sękatę rękę zdradzały, że ma je nie od parady.

– Od wczoraj – przytaknąłem, próbując piwa. Nie było złe.

– Nazywają mnie Krzywus – wyjawiał.

Trafne przewisko, ale lepiej się nie śmiać, bo jeszcze bym mu wdepnął na odcisk.

– O kurczę, nowy! – huknął facet za mną, machając przy tym do pozostałych. Zdaje się, że będę musiał zaliczyć coś w rodzaju chrztu. Gość, który chciał się zabawić moim kosztem, był o głowę wyższy niż ja oraz zwalisty, a więc i nie lżejszy.

– Nalej mu krzepkiej! – kazał szynkarzowi.

– Ty, Pat! Ostatni, którego zmusiłeś do wypicia, umarł i szefowi wcale się to nie podobało, pamiętasz? – odparł wysokim sopranem chłopina za szynkwasem. Niemniej odkorkował dwulitrową płaską butlę, stojącą na honorowym miejscu, po czym napełnił mój kufel.

– Pij, pij, ja stawiam! – zachichotał drażał, klepiąc mnie po ramieniu.

Nie było to przyjazne klepięcie, ktoś słabszy od razu wylądowałby na ziemi. Zgromadzeni mężczyźni roześmiali się i wbili we mnie zaciekawione spojrzenia. Opróżniłem kufel.

– Dajcie mu spokój! Szef ma dziś dla niego zajęcie! Między nas wtargnął któryś z przybocznych Kurgana, szczupły przystojniak z przylizanymi włosami. Jego ubiór był czysty, więc wśród pozostałych bandziorów wyglądał niemal elegancko.

– Chodź do szefa! – zwrócił się do mnie.

Odstawiwszy kufel, skinąłem głową.

– Pusty. On to wypił – lakonicznie stwierdził Krzywus.

Zdumiony drażał zajrzał do kufla. Gorzałka rozgrzała mi żołądek.

– A teraz ja stawiam. Jeśli zechcesz, możesz mi się zrewanżować – rzekłem i nie biorąc zamachu, grzmotnąłem go pięścią w brzuch.

Zgiął się w pasie i runął na podłogę.

– Dobry eliksir, daje siłę – powiedziałem z zadowoleniem, puszczając oko do gapiów. Po czym ruszyłem za elegantem do części sali zastrzeżonej dla przestępczej śmietanki. Dobiegły mnie słowa uznania. Wyglądało na to, że powitalny egzamin zdałem pomyślnie.

Audycja u wielkiego gangstera trwała krótko. Nas pięciu – ja, Krzywus, Elegant i jeszcze dwóch osiłków – krytym powozem mieliśmy jechać na ulicę Długą, zabrać stamtąd klienta razem z ochroniarzem, a potem udać się do składu przy Wietrznym Molo. Tam klient obejrzy sobie towar, po czym odwozimy go z powrotem. Co to za towar, tego mi nikt nie powiedział.

Wyszliśmy z karczmy, przed którą już czekał duży kocz, zaprzężony w cztery konie, z oknami zasłoniętymi przez solidne okiennice. Elegant sprawdził, czy są dobrze dociśnięte, po czym wsiedliśmy. W środku było zaskakująco czysto i przyjemnie, w powietrzu unosiła się woń perfum i tytoniu. Na trzech siedzeniach spokojnie mieściło się sześciu ludzi. Boczne były zwrócone do siebie, to środkowe oczywiście zarezerwowane dla klienta. Uchyliwszy przednie okienko, Elegant krzyknął na stangreta.

Powóz ruszył, znakomite resory tłumiły wszystkie nierówności. Przez osłonięte aksamitem wywietrzniki przedostawało się świeże powietrze, wyczuwałem zapach morza. Przypuszczalnie jechaliśmy ulicą wzdłuż nabrzeża. Elegant podwinął rękawy płaszcza, by sprawdzić, czy umieszczone od wewnątrz noże wysuwają się łatwo z cienkich pochewek.

– Kusza jest pod ławką – powiedział do Krzywusa.

Bandzior schylił się, wyjmując lekką, zgrabną broń. Kolba miała osadzone w rowkach po dwie długie strzały z każdej strony.

– Trzymać ją w ukryciu? – spytał Krzywus.

Elegant tylko pokręcił głową.

– W trakcie pokazywania towaru musisz być w pobliżu, tak żeby cię widzieli i mieli pewność, że jesteś gotowy do akcji. Tylko żadnych głupot, chcemy ubić ten interes. Wasza trójka – zwrócił się do reszty – będzie mnie osłaniała. Jeśli wszystko pójdzie tak, jak powinno, nie życzę sobie żadnej obnażonej broni. Jasne?

Dwa byczki pokiwały głowami.

– Była mowa o jednym ochroniarzu. To musi być chyba jakiś potwór czy co? – zapytałem.

– Jest dziwny – rzekł zwięźle Elegant. – Wiemy, że ukatrupił trzech rabusiów, którzy chcieli okraść jęgo pana. No i nie mam pojęcia, kto załatwił naszych ludzi.

Ostatnie zdanie zbyłem milczeniem. Kocz zwolnił i zanim się zatrzymał, Elegant wyskoczył ze słowami:

– Zostańcie tu, to potrwa chwilę.

Niebawem zjawił się mój stary znajomy „wielbłądzi płaszcz” w towarzystwie ochroniarza, który natychmiast mnie zauważył, jednak nie powiedział ani słowa. Zajęli środkowe siedzenia tuż przy mnie. Ilekroć gdzieś siadałem, mając na sobie tyle żelastwa co on, żeby się czuć choć trochę wygodnie, musiałem wszystko po kilka razy przesuwac i podciągać. A ten facet poruszał się tak, jakby jego broń wykonał na zamówienie jakiś niezwykle zręczny krawiec i płatnerz w jednym. W lewym uchu miał kolczyk, na szyi łańcuszek z medalionikiem, a na prawym przegubie srebrną, emaliowaną bransoletkę. Chłop, a taki łasy na ozdoby. Ale z drugiej strony, będąc w towarzystwie pięciu innych uzbrojonych mężczyzn, w tym trzech za plecami, nie zdradzał żadnego zaniepokojenia. Natomiast jego podenerwowany chlebowadca nieustannie przesuwac na kolanach skórzaną torbę, której kolor pasował do płaszcza.

Ruszyliśmy. Próbowałem liczyć zakręty i ustalić, dokąd właściwie jedziemy, ale po szesnastej zmianie kierunku poddałem się. Cała ta heca z koczem najwyraźniej służyła do tego, by później klient nie mógł znaleźć składu. Wreszcie po półgodzinnej jeździe stanęliśmy. Usłyszałem niewyraźne dźwięki, nie wiedziałem jednak, co oznaczają. Jeszcze kilka metrów i Elegant, odczekawszy chwilę, otworzył drzwi.

– Możemy wysiadać, wszystko przygotowane – powiedział.

Wyskoczyłem na zewnątrz i przeciągnąłem się. Po długim siedzeniu ścierpły mi nogi. Znajdowaliśmy się w środku rozległej drewnianej budowli z jedną jedyną salą. Wjazd był już zamknięty. Wysoki sufit ginął w mroku, przez nieliczne szpary przenikało słabnące światło dnia. Klepisko zamiast podłogi. Całe pomieszczenie, z wyjątkiem kilku złożonych pośrodku worków, ziało pustką.

– Jestem aptekarzem, który chce dokonać transakcji. Wszystkie te środki ostrożności – „wielbłądzi płaszcz” zatoczył ręką koło – są całkowicie zbędne. Możemy przejść do rzeczy?

– Oczywiście, panie Bapet – odparł spokojnie Elegant. – W workach jest to, co pana interesuje.

Krzywus stanął na uboczu, trzymając kuszę w opuszczonej ręce.

Pan Bapet przestał się nami zajmować. Rzuciwszy okiem na worki, jeden z nich rozciął bez pytania o pozwolenie. Pod pierwszą

warstwą materiału znalazł następną, a pod nią kolejną. Wreszcie dotarł do zawartości, którą stanowił gruboziarnisty, brązowy miąż. Wyjąwszy z torby przenośną lampę, zapalił ją, przez chwilę przyglądał się miążowi, po czym nabrał szczyptę na ostrze noża i wrzucił ją w płomień, który na moment zrobił się niebieski. W końcu skosztował parę ziarenek, a następnie starannie je wypluł.

– To nie jest czysty ekstrakt – stwierdził, spoglądając na Eleganta.

– Nie mówiliśmy, że jest. Lecz to wszystko, co akurat mamy. Następną partię zdobędziemy dopiero za kilka miesięcy i tamta będzie już czysta.

– Ile tego jest? – Bapet wskazał worki. Ochroniarz stał półtora kroku za nim, patrząc na wszystko i na nic. Zdawało się, że nie słucha, zauważyłem jednak, iż od czasu do czasu zerka wokół, przy czym za każdym razem jego uwagę przyciąga coś innego: klepisko, dach, brama wjazdowa. Całe otoczenie, z wyjątkiem nas. Skupiłem się znów na rozmowie.

– Czteryście kilogramów nudrogu ma wielką wartość! – rzekł Elegant. – Do uzgodnienia pozostaje sposób przekazania towaru i pieniędzy. Na tym spotkaniu miałem się tylko przekonać, czy naprawdę jest pan zainteresowany kupnem.

– Owszem – potwierdził Bapet. – Ale przy płaceniu jeszcze raz dokładnie sprawdzę jakość towaru.

Tak więc dobili targu. Wsiedliśmy do powozu i ruszyliśmy z powrotem, nie mając żadnej możliwości obejrzenia okolicy.

W karczmie Tracza było znacznie mniej ludzi niż wcześniej. Cóż, noc to dla gangsterów czas pracy. Elegant dał nam wolne, sam zaś udał się z meldunkiem do Kurgana. Zamówiłem przy szynkwacie piwo i popadłem w zadumę. Obok stanął Krzywus, ale nim szynkarz zdążył mu napełnić kufel, został wezwany do szefa. Towarzystwo w knajpie co i rusz się zmieniało, mężczyźni wychodzili i przychodzili, przeważnie w małych grupkach. Jeden zazwyczaj szedł na dywanik, dłuższą lub krótszą chwilę rozmawiając z Kurganem albo z jednym z jego przybocznych. Zauważyłem, że członkowie bandy dzielą się na trzy grupy. Pierwszą i najliczniejszą tworzyły byczki mojego pokroju – mięśniaki od brudnej roboty. Drugą faceci, którzy kierowali poczynaniami pierwszych. Zdawało się, że są specjalistami do załatwiania poszczególnych interesów. Na

czubku piramidy stał Kurgan, otoczony przez pięciu, sześciu ludzi, do których między innymi należał Elegant.

Właśnie się rozprawiłem z drugim piwem, dumając, czy pić następne, gdy do sali weszła czwórka mężczyzn, każdy z antałem na góra dwadzieścia pięć litrów wina. Kurganowi i jego świcie rozbłyły oczy i natychmiast kazali przynieść beczułki. Musiało to być jakieś wybitne wino.

– Już myślałem, że na dzisiaj mam fajerant, a tu jeszcze coś takiego – rzekł po powrocie strapiiony Krzywus, machając na szynkarza. – Umówiłem się z Lolitą, że od północy będzie wolna, ech... – dodał, kręcąc głową.

– Kim jest Lolita? – zagadnąłem.

Poczułem dokuczliwy głód, ostatecznie od obiadu nie miałem nic w ustach, poza dwoma piwami i kuflem gorzałki.

– Lolita to superdziwka z „Wesołej Tancerki”. Mam do niej słabość, poza tym nie zdiera ze mnie tak, jak z innych klientów – westchnął. – Kazali mi zanieść do gubernatorstwa przesyłkę. Najprzód trzeba się przedrzeć przez wartowników, potem poczekać na Diva, a wtedy północ już dawno szlag trafi.

– Mieszkam niedaleko i znam się z Bledem Tuhuką, to dla mnie drobiazg – powiedziałem, ot tak sobie.

Kurgan otworzył jeden antałek i zaczął podejrzliwie sprawdzać jego zawartość. Chyba nie było tam wina.

– Naprawdę byś to dla mnie zrobił? – Rozpromieniony Krzywus wcisnął mi pod ładą mieшек wypełniony czymś miłym. – Dzięki! Ale nikomu tego tutaj nie pokazuj! Jesteś nowy, jeszcze ci nie ufają.

Skinąwszy głową na znak zrozumienia, schowałem przesyłkę do kieszeni.

– Co to za beczułki? – spytałem niby obojętnym tonem.

Nie wiem. Na mój gust dowiemy się, jak przyjdzie pora. Gadają, że wczorajsze problemy z aukcją ma na sumieniu Rybak. Jego ludzie wiedzą, co jest grane na morzu. Ponoć dali cynk konkurencji. A Kurgan tego nie przepuści. No, muszę lecieć, żeby szefowie nie pomyśleli, że mam gdzieś ich rozkazy – powiedział.

– Ja też spadam. A to przekażę Divowi. – Poklepałem się po kieszeni.

– Dzięki. Kiedyś ci się odwdzięczę – wyszczerzył zęby Krzywus.

Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, kiedy wychodziłem z karczmy – widać dzisiaj nie miałem już nic innego do roboty. Odwróciwszy się w drzwiach, zobaczyłem Krzywusa, jak się targuje z szynkarzem o cenę butelki najlepszego wina, którą chciał wziąć na wynos, jednocześnie próbując jak najstaranniej złożyć chyba dość kosztowną chustkę, ani chybi prezent dla superdziwki Lolity.

Trzy przecznice dalej wpadłem do innej knajpy. Usiadłem przy stole w kącie, po czym zamówiłem jedzenie i sprawdziłem woreczek dla Diva. No tak, to już dzisiaj widziałem – nudrog. Div jest pewnie jednym z dystrybutorów narkotyku. Ciekawe, jakie stanowisko ma w gubernatorstwie? Przełknąłem pospiesznie posiłek i poszedłem dalej, cały czas myśląc, co zrobić z magazynem pełnym nudrogu oraz z ochroniarzem Bapeta, który, jak mi się zdawało, dość żywo interesował się budynkiem. Tylko jak tam chciał trafić, skoro nawet ja nie miałem pojęcia o jego lokalizacji?

Wartownicy przy bramie poznali mnie i bez słowa wpuścili do środka. Było już późno, ale kto wie, może zastanę jeszcze Bieda Tuhukę. O dziwo, siedział u siebie z jeszcze bardziej pesymistyczną miną niż zwykle. Stół zdobity dziesiątki nowych nacięć.

– Zależy mi na rozmowie z Montemerem. Dostałem pewne zadania, chcę złożyć raport o ich realizacji – oznajmiłem, mając na uwadze, że nieumówiona audyencja, do tego o tak późnej porze, nie wchodzi w rachubę.

– Jego ekscelencja zachorował, właśnie jest u niego doktor.

Skrzywił się, jakby to on był śmiertelnie chory.

– Kiepska sprawa – powiedziałem przeciągle – no, w takim razie to musi poczekać. Co z nim, coś poważnego? Kiedy rozmawialiśmy, wyglądał zdrowo.

– Z przepracowania dostał ataku migreny. Dwa dni rozmów o dzierżawie portu z panem Octadentem, zarządcą lenna Glet, a z przedstawicielem cesarskiej floty o problemie ścigania przemytników.

Pewnie te niasiadówki nie były na sucho, więc nic dziwnego, że po dwudniowej popijawie boli go głowa. Ale może moje zdanie o politykach jest niesprawiedliwie.

– A jak tam wasz szef? – zapytałem.

– Też brał w tym udział.

Gwarząc z Tuhuką dalszych dziesięć minut, dowiedziałem się, że

Div jest majordomusem, czyli zwierzchnikiem całej służby. Znakomite stanowisko do dystrybucji narkotyków. Zahaczyłem też o kostnicę: żadnych nowości.

Ze względu na chorobę szefa, Div również nie był jeszcze w łóżku. Odnalazłem go przed drzwiami do pracowni Montemera, gdzie dyrygował swoimi podwładnymi, zmuszając ich do jak najdokładniejszego wypełniania poleceń osobistego lekarza jego ekscelencji.

– A wy tu czego? – naskoczył na mnie, zanim zdążyłem się odezwać.

Był pierwszym człowiekiem, któremu wadziła moja obecność w gubernatorstwie.

– Mam coś dla was – odparłem.

– Wynocha stąd albo każę was wyprowadzić! – kontynuował w tym samym duchu.

– Jestem od Kurgana – syknąłem.

Stropił się. Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, po czym jakby odetchnął. Chyba wyglądałem na typowego podwładnego jego drugiego szefa.

– Dostaję przesyłki od ludzi, których znam – rzekł cicho, ale wciąż z wyczuwalną złością.

Wzruszyłem ramionami.

– No więc, chcecie to czy nie? Mam dużo zajęć.

Zaprowadził mnie do szatni pełnej okryć na najrozmaitsze okazje. Wręczył mi miszek, który natychmiast schował, nawet go nie sprawdzając.

– Nareszcie. Już mi to było potrzebne jak rybie woda. Dzięki. A ty lepiej stąd zmykaj, po co ma cię ktoś widzieć.

Miałem ochotę powiedzieć mu, że jeszcze wpadnę na pogawędkę z zastępcą komendanta gwardii, moim koleśkiem Bledem Tuhuką, jednak dałem sobie spokój.

Rozdział 16

Nocni drapieżcy



Godzinę później stałem przed zajazdem przy ulicy Długiej, schowany w mrocznym, wąskim zaułku. Wyjście z budynku oświetlała uliczna latarnia.

Niewykluczone, że trudziłem się nadaremnie, w końcu podejrzenia co do ochroniarza Bapeta były tylko wytworem mojej chorej wyobraźni. A być może już dawno ruszył na przeszpiegi albo też zaplanował je sobie na inny dzień. Bo gdybym ja chciał przeszukać magazyn, udałbym się tam jeszcze tej nocy, jednak nie przed pierwszą i nie później niż o godzinie trzeciej. Możliwe, że zajazd miał też inne wyjście. Ale po co tyle dumać?

Po pełnym wrażeń dniu odczuwałem solidne zmęczenie. Co więcej, zaczęło mi być zimno, gdyż niezapięty właściwie płaszcz nie dawał należytej ochrony. Na stalowych płytkach zbroi skraplało się wilgotne powietrze, sącząc mi się za kołnierz. Psiakrew, że też o tym nie pamiętałem! Ten strój rzeczywiście nie nadawał się do śledzenia, bo każdy ruch skutkowało uderzeniem sprzączek o metal. Mogło mnie też zdradzić głośnie skrzypienie skóry. A może lepiej wypiąć się na to wszystko? Nie, zostaję, wycofać się zdążę zawsze. Dla zabicia czasu jałem dumać, w jaki sposób zapewnić Nikicie Klaar najbezpieczniejszą drogę ucieczki. Ostatecznie za coś mi płaci. Istniało kilka wariantów. Dołączenie do kupieckiej karawany – to wymagało wiarygodnej historyjki oraz przebrania. Wynajęcie albo kupno powozu, a potem natychmiastowy wyjazd, kiedy tylko zrobi się gorąco. Albo po prostu zapomnieć o wygodnej podróży i ruszyć konno. Kolejną możliwość dawało morze.

Tak rozmyślając, doszedłem do wniosku, że sposobów jest znacznie więcej. Dlatego wszedłem w skórę tego, kto chce zabić

Nikitę, wiedząc przy tym, że będzie próbowała uciec z miasta. Kurgan z pewnością kazałby swoim ludziom wziąć na spytki handlarzy powozami i końmi czy też przewodników karawan. Dlatego wszystkie przygotowania do ucieczki należy uczynić jak najprędzej. Dobra, zaczynam jutro, w ramach możliwości nie osobiście, tylko przez pośrednika. Mogę poprosić o pomoc Ochnota albo nawet Tril. Rzecz jasna za prowizję, w końcu śpiewać darmo – boli gardło.

Z zadumy wyrwało mnie skrzypnięcie drzwi. Wyszedłszy na ulicę, ochroniarz Bapeta rozejrzał się spokojnie. Tak na oko dochodziła druga. Mężczyzna ubrany był identycznie jak za dnia, tyle że teraz czerń czyniła go ledwie dostrzegalnym. Zastygł w bezruchu, stapiając się z otoczeniem tak, że nawet w świetle latarni nie odcinał się zbyt od ulicy. Gdzieś w oddali zastukały końskie podkowy, chwilę później usłyszałem też skrzyp kół na mokrym bruku. Źródło dźwięku zbliżało się, niebawem z mroku ulicy wynurzyła się dorożka – zwykła dwukołowa bryczka z daszkiem, bez bocznych ścian. Powóz stanął, miejsce dla pasażerów było puste. Ochroniarz podał woźnicy trzos, ten zważył go w dłoni, a następnie wysypał zeń parę monet. W nocnej ciszy wyraźnie usłyszałem brzęk ciężkich dukatów. Skinąwszy głową, woźnica wskazał za siebie, tamten wsiadł i ruszyli. Wszystko odbyło się bez choćby jednego słowa.

Zachowując bezpieczny dystans, pobiegłem za nimi. Na szczęście z większej odległości można widzieć powóz, a człowieka już nie. Nie spieszyli się, ale i tak po kilkuset metrach przestało mi być zimno. Co za głupiec ze mnie! Mój tępy mózg nie wpadł na to, jak trafić do składu, tymczasem tamten po prostu zapłacił człowiekowi, który nas tam zawiózł. Jeśli trzos był pękaty od dziesięciodukatówek, mogło w nim być nawet kilka setek. Przydałyby się.

W chwili, gdy pojazd stanął, przeszedłem z biegu w marsz i korzystając z dobrodziejstwa mroku, jałem się skradać. Zanim jednak do nich dotarłem, świsnął bat i bryczka ruszyła znowu, tym razem jednak cholernie szybko. Widać woźnica nie zamierzał nadstawiać karku choćby o sekundę dłużej, niż było to konieczne. W tym miejscu ulica się kończyła, w ciemności widziałem pojedyncze domy, z prawej strony pluskała woda. Byliśmy przy

jednej z płytkich zatok, wrzynającej się głęboko między wzgórza. Na końcu ulicy, na tle rozgwieżdżonego nieba widniały kontury wysokiego, drewnianego budynku. Tak, chyba stałem przed składem przy Wietrznym Molo. Jakby na potwierdzenie moich przypuszczeń zerwał się wiatr i niewidzialne fale z przenikliwym sykiem runęły na łagodnie opadający brzeg. Słyszałem grzechot niesionych wodą kamyków, w powietrzu unosił się wilgotny zapach wyrzuconych na brzeg wodorostów.

Brama wejściowa nie stanowiła dla ochroniarza żadnego problemu. Odczekawszy kilka minut, ostrożnie podszedłem bliżej. Jego umiejętność bezgłośnego, niemalże nienaturalnego sposobu poruszania się wyprowadzała mnie trochę z równowagi. Zajrzałem do środka.

Obszerne pomieszczenie rozświetlały tylko dwie małe świece, stojące mniej więcej pośrodku, w odległości kilku metrów od siebie. Magazyn był oczywiście pusty, wyglądało jednak na to, że człowiek Bapeta w ogóle się tym nie przejął. Kucając, zataczał coraz szerszy krąg wokół świeczki, lśniąca pęsetą zbierał coś z ziemi i wkładał do niewielkiego mieszka. Od czasu do czasu przybliżał do oczu drobinę, dla mnie niewidoczną, i oglądał ją bacznie. Jak to możliwe, że w ogóle coś widzi w nędznym blasku dwóch maleńkich świec? Przez chyba godzinę robił to samo, by na samym końcu sprawdzić całe klepisko i częściowo ściany. Kiedy wreszcie dał sobie spokój z tą przedziwną zabawą, od skulonej pozycji bolały mnie plecy, a na kolanach porobiły się odciski. Zdmuchnąwszy świece, skierował się do wyjścia. Mimo że jego oczy, podobnie jak moje, musiały być nieprzyzwyczajone do ciemności, stąpał diablo pewnie i do tego cicho. W ostatniej chwili zdążyłem się schować za rogiem budynku.

Zamknął wrota, spiesznym krokiem ruszył z powrotem i niebawem pochłonął go mrok. O co tu chodzi? Zamiast łązić po nocach, trzeba było się wyspać, miałbym z tego większy pożytek. Po jakie лихо zawodowy ochroniarz zbiera śmieci z nosem przy ziemi? Zaraz, zaraz – bo mu ktoś za to płaci! Tylko kto? Bapet? Eee, nie. W końcu mógł to zrobić sam w towarzystwie osobistego stróża. No, chyba że nie miał ochoty wyłaźić z wygrzanego łóżka.

Te jałowe rozważania przerwał szcęk metalu, tuż potem coś jakby brzęk i zdławiony krzyk. Czyżby jakaś potyczka z ostatecznym rozwiązaniem? Odgłosy dobiegały z ulicy, w której zniknął

ochroniarz. Ciekawe, co się stało, kogo spotkał? Jednak zamiast puścić się biegiem, z szeroko otwartymi oczami ruszyłem chyłkiem wzdłuż ścian domów. Nigdzie żywego ducha, o wpół do czwartej nad ranem ulice ziały pustką. Skrzyżowanie przemierzyłem środkiem, bo idąc przy murze, z trudem bym coś usłyszał. Pięćdziesiąt metrów dalej, w wychodzącej na równoległą ulicę bramie dostrzegłem jakiś ruch. Skrzyżowałem, kładąc jednocześnie dłoń na rękojeści katzbalgera. Światło latarni było tu słabe, a sądząc po smrodzie, sprzątacze, którzy regularnie czyścili główne ulice, raczej się w te strony nie zapuszczali. Pod kamienną ścianą siedział skulony żebrak, naprzeciwko niego – drugi.

– Przechodził tędy wysoki facet w długim płaszczu? Było mu spieszno – zapytałem żebraka, którego moje nadejście najwyraźniej wybiło ze snu.

– Nie, panie – odpowiedział sennym głosem.

Jego twarz jawiła mi się w półmroku za ledwie jako rozmyty owal z białymi plamami zębów. Za nic sobie nie mogłem przypomnieć, czy kiedykolwiek spotkałem żebraka z tak dobrym uzębieniem. A czemu to obaj urzędują tutaj, w cuchnącej ulicy na peryferiach, gdzie z trudem mogli liczyć na jałmużnę? Dobyłem katzbalgera. Śpiący po drugiej stronie ulicy, nawet nie wstając, zamachnął się sękaczem, podczas gdy nagabnięty, zerwawszy się na nogi, wyprowadził jakiś niezwykle bokserki cios. Ciąłem skośnie pod górę, robiąc przy tym unik. Laga mnie nie dosięgła, za to wokół kostki owinął mi się cienki łańcuch. Ten z prawej szarpnął łańcuch, jednak zdążyłem go przydeptać, a tym samym utrzymać równowagę. Krok w przód i wypad z zamiarem trafienia w pierś boksera, ale odskoczył i natychmiast ponowił atak. Był zbyt daleko, jego pięści nawet nie musnęły mojej twarzy. Nagle coś twardego, czego nie zdołałem dostrzec w panującej ciemności, rozharatało mi skórę na prawym policzku, tuż potem oberwałem w oko. Po kolejnym szarpnięciu wylądowałem na ziemi i wszystko zaczęło się oddalać.

Przytomność wracała powoli i jakby niechętnie, głowa dudniła, w ustach miałem smak wymiocin. Całe szczęście, że leżałem na boku, inaczej bym się udusił. Coś mnie uwierało w biodro. Na razie nie byłem zdolny do ruchu, a widząc przed sobą niewyraźne kontury kilku par nóg, wołałem tego nie próbować.

– Nevis, zawsze twierdziliście, że nocą wasi ludzie są

niepokonani, tymczasem dwóch nie żyje – usłyszałem. Głos był słumiony, a mimo to brzmiał władczo i ostro.

– To wyjątkowy człowiek, nigdy takiego nie spotkałem – usłyszałem gdzieś nad sobą.

Wciąż byłem na wpół przytomny i wyłącznie dlatego nie wpadłem w dygot. Ten głos znałem doskonale, w najdrobniejszych szczegółach. Dawno temu rozpaczliwie próbowałem wyczytać w nim nawet nie uświadamiane pragnienie, każdą zachciankę. Nie znałem wtedy nazwiska jego właściciela, wiedząc tylko, że nosi broń z monogramem N.D. Nade mną stał mój ówczesny oprawca, zabójca spod znaku Cieni, dowódca klanu ninjów. Co za pech. Żołądek podszedł mi do gardła, na szczęście był już pusty. Trzeba głęboko oddychać – wdech, wydech i znowu wdech. Szło mi to trudno, niemal tak samo jak zapanowanie nad strachem.

– Poruszał się jak duch – rzekł ktoś za moimi plecami.

– Sądziłem, że to wy jesteście cieniami! – warknął władczy głos.

Bezwiednie zadrgała mi noga, jednak nikt tego nie zauważył albo potraktował to jako przedśmiertny skurcz osoby z uszkodzonym mózgiem. Uderzenie w głowę było naprawdę mocne.

– Wasza ekscelencjo! – wtrącił się do rozmowy Nevis. – Ten mężczyzna zachowywał się bardzo cicho, przy tym wyjątkowo dobrze się orientował nawet w absolutnej ciemności. Szczerze mówiąc, był chyba obdarzony nadludzkimi cechami.

O dziwo, ekscelencja przyjął to niedorzeczne usprawiedliwienie.

– Zgadzam się z panem Nevisem Dellem. Wydaje się, że nasz człowiek miał pewne przedmioty, które mu ułatwiły ucieczkę. Podkreślam – ułatwiły, bo bez jego niewątpliwie wyjątkowych właściwości byłyby mu nieprzydatne – włączył się do rozmowy ktoś czwarty. Każde słowo wymawiał starannie, jakby to miało jakieś znaczenie.

Moje zmysły zaczęły działać jak dawniej, chociaż ból głowy nie ustępował. Byłem pewien, że jest ich tu więcej. Staralem sobie przypomnieć ostatnie chwile przed utratą przytomności. Już kiedyś widziałem w akcji pałkę z łańcuchem zakończonym ciężarkiem. W doświadczonych rękach była to broń niezwykle podstępna, potrafiąca w ułamku sekundy powalić przeciwnika na ziemię. A ta szczególna bokerska pozycja mężczyzny, którego próbowałem pchnąć? Machał rękami tak dziwnie, jakby wcale nie chciał mnie

trafić. Nagle przed oczami stanęły mi starodawne freski, pochodzące jeszcze sprzed wojny, które stanowiły element dekoracji cesarskiej areny. Kilka z nich przedstawiało mężczyzn z ruchomymi bransoletami na przedramieniu, połączonymi cienkimi łańcuchami ze stalowymi kulami. Aha, już wiem. Gdy napastnik ruchem ręki wyrzucał kulę, bransoleta zsuwała mu się na przegub, przedłużając w ten sposób zasięg miażdżącego uderzenia. A jeśli chybił, przyciągał kulę przy użyciu podobnej sztuczki.

Natychmiast jałem obmyślać przeciwdziałania. Pod tym względem zawsze byłem trochę szurnięty, ale w danej chwili było to dobre, przynajmniej nieco osłabił mój strach przed N.D.

– Czyli mamy tu kogoś z zewnątrz – jego ekscelencja mruknął niezadowolony.

– Co z nim zrobić? – zapytał N.D.

Ktoś szarpnął za łańcuch, przewracając mnie na plecy. Przekonałem się, że mam spętane nogi.

– Spotkałem go już kiedyś. Twarda sztuka. Najchętniej zaraz bym go zabił – wycedził N.D.

Zesztywniałem na widok pociągłej twarzy z dużym nosem i jak na mężczyznę zbyt wydatnymi wargami. Przyciśnięty do ziemi, najchętniej bym się w niej zakopał. Żołądek znowu zaczął rozrabiać, w ustach poczułem smak żółci, a po policzkach ciekła mi ślina. Jeśli jeszcze chwilę będzie tak na mnie patrzył, nie wytrzymam i wrzasnę. Albo dostanę drgawek.

– Nie, muszę się dowiedzieć, jaką grę prowadzi ze mną Drexler Belfont. Mówiłem mu, żeby tu nie przysyłał nikogo ze swoich ludzi. Skoro wiemy, kim jest, zawsze go zdołamy odnaleźć i przesłuchać. Zostawcie go, może dojdzie do siebie.

Zamiast Nevisa pochylał się teraz nade mną jego ekscelencja.

Na szczęście byłem wciąż na tyle otumaniony, że bez trudu mogłem udawać nieprzytomnego, maskując jednocześnie zaskoczenie.

Tego człowieka widziałem całkiem niedawno. Zanim jego oblicze znikło mi z pola widzenia, przypomniałem sobie – w Ribenod, na schodach przed wejściem do pałacu Drexlera.

– Namierzyłem go! – Uwagę pozostałych przykuł mężczyzna, który mówił o właściwościach ochroniarza. – To kompletny nowicjusz! Ma otwarte sny, więc mogę go odnaleźć! – wyrzucił

z siebie. Mimo podniecenia wciąż dbał o staranną wymowę.

– Nevis, wyślijcie z Boonem dwóch ludzi. My jeszcze mamy coś do zrobienia. I chcę go żywego, zrozumiano?

Nie cackając się ze mną, ninja rozplatał łańcuch i parę chwil później zostałem sam w cuchnącej uliczce.

Słyszałem tylko świst własnego oddechu, odczuwając jednocześnie dokuczliwy chłód, dudnienie w głowie i ból nóg. Oberwałem ciężkie lanie, niewiele brakowało, a byłoby po mnie. Z przerażenia o mało nie zwariowałem, wróciły dawne upiory. A mimo to byłem żywy. Ktoś mądry spakowałby manatki, wsiał na konia, po czym czmychnął ze Strefy i całego Półwyspu Dzwon, gdzie pieprz rośnie. Spryciarz zatarłby za sobą ślady i przeprowadził się kawałek dalej, na przykład do kraiku rządzonego przez kogoś innego, zakładając, że dogonią go tam co najwyżej jakieś wieści o Nevisie i jego szefie. Głupiec odwróciłby się na pięcie i poszedł do domu w nadziei, że jeśli nie będzie się do niczego wtrącał, tamci dadzą mu spokój. Hm, a co ja zrobię?

Przeturlałem się na bok i wtedy ukłuło mnie coś twardego. Pomacawszy w tym miejscu, rozpoznałem bransoletkę. O ile była złota albo srebrna, mogła mieć sporą wartość. Zapiąłem ją na przegubie, po czym wstałem z trudem i postawiłem pierwszy krok, ten najgorszy. Z drugim i z następnymi poszło już łatwiej. To jak: mądry, sprytny czy głupi? Idąc śladem Boona i dwóch ninjów, nie mieściłem się w żadnej kategorii. Być może należałem do całkowicie odrębnej grupy o nazwie „Bakly”. O nie, nie daruję, żeby mnie ktoś okładał żelazną kulą po gębie albo traktował jak kupę mięsa. Ponadto byłem pewien, że jeżeli nie dotrę do sedna wszystkiego, co się wokół mnie dzieje, nie mam żadnych szans. Właściwie nie chodzi o szansę, bo i tak, gdy nadejdzie właściwa pora, zamierzam zakończyć tę swoją zabawę w życie. Ważne, żeby jak najprędzej zdobyć kolejne trzysta dukatów.

Pokuśtykałem w mrok. Większość latarni już się dopalała, nie pozostawało więc nic innego, jak liczyć na szybki świt. Wciąż nie w pełni posłuszne nogi sprawiały, że od czasu do czasu zarzucało mną tak, jakbym całą noc wydawał dukaty na gorzałkę, pocieszycielkę desperatów. Gdyby mój umysł był sprawny, dotarłoby do mnie, że jestem śmieszny: chcę ich po kryjomu śledzić, a to przecież oni są panami nocy, mistrzami forteli i podstępnych

zasadzek.

Rozdział 17

Płonący jedwab



Szedłem wciąż tą samą ulicą. Blżej ruchliwszych części miasta gdzieś palła się latarnia. Nie widząc dotychczas śledzonej trójki, przyspieszyłem. Jeśli skręcili już w którąś z przecznic, mam pecha. Przegapiwszy w ciemności schody do okazałego domu, potknąłem się i wywinąłem kozła. Tego mi jeszcze brakowało! pomyślałem, leżąc na ziemi. To potknięcie, a przede wszystkim zgrzyt stalowych płytek zbroi szorujących o bruk, w ciszy nocnej musiało być słyszalne w promieniu nie kilkudziesięciu, ale kilkuset metrów. Wstałem jak najostrożniej. Chłopie, zrezygnuj z tych nocnych łowów, bo dziś nie dasz rady! Zaraz, zaraz, ale coś tu nie gra... Powtórzyłem upadek i hałas zabrzmiał tylko w mojej wyobraźni, przez cały czas byłem cichszy od wody. Zrobiłem krok w przód, umyślnie trąc zelówkami o ziemię. Cisza. Klasnąłem raz, potem drugi i znowu, mocniej.

Od uderzeń już mnie rozbolały dłonie, a tu nic, żadnego dźwięku.

– Co się tu dzieje, do cholery? – powiedziałem głośno.

Słowa jakby mi się rozeszły po kościach, niczym dalekie echo. A na lewym przedramieniu poczułem ciepło. Po ciemku trudno było zobaczyć szczegóły, wiedziałem jednak, że źródłem ciepła jest dopiero co znaleziona bransoletka. No i wszystko zrobiło się jasne: stanowiła własność stróża Bapeta, to dzięki niej poruszał się cicho jak kot. Mniejsza o dzień, ale możliwość bezgłośnego skradania się w nocy mogła budzić lęk. Może pozbyć się tego magicznego cacka? Nie, nie, jest całkiem pożyteczne... Dostałem szansę podejścia skrytobójców i przekonania się, co też takiego knują. A więc naprzód. Puściłem się biegiem.

Pół godziny później byłem tuż za nimi. Co dziwne, przekonał mnie o tym nie wzrok, tylko wypowiedziana głośno uwaga.

– Jeszcze trochę i tam będziemy – rozpoznałem głos Boona.

Zwolniłem, sunąc tuż przy ścianach domów. Miałem ich na oku bez większego wysiłku. Żadnemu nie przyszłoby do głowy, że ktoś mógłby ich śledzić, poza tym Boon od czasu do czasu mamrotał coś do siebie. Za to jego towarzysze poruszali się niemal równie cicho jak ja, tyle że bez pomocy czarów. Boon stanął na skrzyżowaniu, zastanawiając się, którędy iść dalej. Pełgał tam wciąż płomień jednej latarni, więc wreszcie mogłem się im przyjrzeć dokładniej. Dwaj ninje byli nieco ode mnie niżsi, barczyści, ale przy tym szczupli. Poruszali się ze zwinnością dużych drapieżnych kotów. Mieli czarne opończe, na głowach kaptury, spod których widać było tylko wąskie szczeliny na oczy. Krótkie miecze, które stanowiły chyba ich jedyną broń, nieśli w pochwach wsuniętych za szerokie szarfy, służące za pasy.

– Zdaje się, że tędy – rzekł bez przekonania Boon. – Jesteśmy już blisko i trochę tracę orientację.

O co mu chodzi? Przecież przed celem zwykle łatwiej się zorientować. Latarnia z sykiem zgasła i okolica otuliła się znacznie gęstszym płaszczem mroku. Pas nieba na wschodzie zaczął blednąć, czerń przeszła w ciemny granat. Nie czekając, aż oczy przywykną do innego światła, weszli w przecznicę. Ja za nimi, mając oczy i uszy szeroko otwarte.

– Jesteśmy na miejscu. – Boon zatrzymał się przed na oko zupełnie przeciętnym domem w jednej z lepszych dzielnic Cevinu. – Pamiętajcie: jest cenny. Bardzo cenny. Varatchi chce go przekazać cesarzowi. Zrozumiano? – zwrócił się do ninjów. Aż do tej chwili ani razu na nich nie popatrzył, jakby nie byli godni jego spojrzenia.

– Śpi. Jest silny, ale nawet nie potrafi się odgradzić, co oznacza, że umie niewiele. Wystarczy go normalnie związać. Ja tu jestem niepotrzebny. Zresztą gdyby coś, to i tak nie potrafię zniknąć tak, jak wy. Poza tym muszę przygotować laboratorium. Zerknę na niego, jak tylko go przyprowadzicie. Tamto okno. – Boon wskazał na piętro, odwrócił się i ruszył szparko, znikając mi z pola widzenia za pierwszym rogiem.

Jeszcze raz spojrzałem na dom, gdzie mieszkał ktoś, kim się interesował sam cesarz. No nie! To przecież dom Tril, a wskazane

przez Boona okno prowadziło do jej sypialni. Zamurowało mnie. Wszystko stało się jeszcze bardziej skomplikowane.

Jeden ninja podszedł do ściany, po krótkich oględzinach przywarł do niej i niczym ogromny pajak jął się wspinać. Nigdy nie sądziłem, że przedostanie się do okna na piętrze jest tak łatwe. Jemu zabrało to niespełna minutę. Usiadłszy na gzymsie, zaczął majstrować przy zasuwie. Kompan wartował na dole, całą uwagę skupiając przede wszystkim na głównej ulicy, skąd groziło największe niebezpieczeństwo. Wzdłuż przeciwległego muru ruszyłem na czworakach w mrok. Normalnie byłoby to niemożliwe, ale dzięki bransoletce stałem się tylko zdecydowanie ciemniejszym i kilkadziesiąt centymetrów wyższym cieniem. Szczęknęło okno. W tej samej chwili stałem już po przeciwnej stronie. Uff! Teraz zająć ninję od tyłu. Napięcie rosło, wstrzymałem oddech. Jeszcze trochę i będę przy nim. Z otwartego okna dobiegło skrzypnięcie łóżka i głośniejsze westchnienie. Dzieliły nas już tylko trzy kroki. Zamierzałem zakryć mu usta i skręcić kark.

Musiał mnie wyczuć szóstym zmysłem, jaki mają wojownicy, ponieważ odwrócił się błyskawicznie i w stronę mojej szyi mignęło coś lśniącego. Zrobiłem unik, jednocześnie parując jego prawą rękę z nożem. Ostrze chybiło o milimetry. Przy próbie ciosu odsłonił prawy bok, wyrznąłem go więc kantem dłoni w dolną partię żeber, on jednak, zamiast się osunąć, walczył dalej. Przywarł do mnie, jego prawa noga zahaczyła o moją. Złapawszy mnie lewą ręką, spróbował podcięcia. Wywinąłem się w ostatniej chwili i przeszedłem do kontrataku. Był strasznie szybki, może nawet szybszy ode mnie, tyle że ja ważyłem pół kwintala więcej i potrafiłem to wykorzystać. Gruchnął na ziemię, jego klatka piersiowa ugięła się po moim ciężarem. Jeszcze chciał mnie ciąć nożem w plecy, ale klinga ześliznęła się po zbroi. Chwilę potem zmiażdżyłem mu tchawicę.

Wstałem. Podczas trwającej raptem parę sekund walki żaden z nas nie wydał choćby jednego dźwięku. Ale piekła mnie szyja, czyli ostrze jego noża było bliżej, niż sądziłem. Podszedłem do budynku. Gładka kamienna ściana nie dawała żadnego oparcia dłoniom ani stopom. Na szczęście miała gzymsy i zdobną fasadę, to wystarczy. Zacząłem się wspinać, słysząc od czasu do czasu, jak pod moim ciężarem kruszy się mur, lecz nie był to żaden większy hałas. Wreszcie okno. Podciągnąwszy się obiema rękami za gzyms,

zajrzałem do środka. Nad łóżkiem, na którym leżała Tril, pochylał się ninja. Właśnie kończył ją wiązać. Był rzetelny, bo przypominała już mumię. Obok płonęła świeczka, ocieniona kupką odzieży. Wyteżyłem wszystkie siły i jednym płynnym ruchem znalazłem się w pokoju, lecz zanim tam wylądowałem, z przegubu ześliznęło mi się coś lśniącego. Klepki skrzypnęły pod ciężarem mojego ciała, a odbita od czubka buta srebrna bransoletka potoczyła się gdzieś w kąt.

Ninja odwrócił się jak fryga, ja jednak, uprzedzając jego ruch, zrobiłem unik i celujący w moją szyję shuriken niegroźnie odbił się od naramiennika. Oczy w szczelinie kaptura rozszerzyły się. Rozpoznał mnie.

– Powinniśmy cię zabić już wtedy, przed laty. A najpóźniej dzisiejszej nocy. Każdy popełnia błędy, no, ale ten da się łatwo naprawić – powiedział, wzruszając ramionami.

Następnie dobył miecza. Z lewej strony zza jego szarfy sterczała rękojeść noża. Zbliżyliśmy się do siebie. Pokój był zbyt mały na szermierkę długą bronią – wiedział to on, wiedziałem i ja. Wyjawszy z buta nóż, zrobiłem kolejny krok. Zawinięta jak w kokon Tril jęknęła. Ninja postanowił wykorzystać przewagę długości klingi i zadać sztych, a niemal jednocześnie lewą ręką złapał nóż, chcąc dziabnąć mnie z dołu w podbrzusze. Byłem na to przygotowany. Zastawiłem się, chwytając go za lewy przegub. Próbował coś z tym zrobić, lecz stał tylko zgrzytnęła na ochraniaczach.

Trwaliśmy w zwarciu, ale jego miecz nadal stanowił dla mnie zagrożenie, gdyż moja blokada krótką klingą nie mogła wytrzymać zbyt długo. Wokół oczu pojawiły mu się drobne zmarszczki uśmiechu.

– Chyba już nie zdążysz naprawić tego błędu – powiedziałem, jednym uściskiem miażdżąc mu przegub. Zanim zapanował nad bólem, uderzyłem go w żołądek. Zgiął się wpół, a wtedy twarz nadziała się na moje kolano. Szczękniętą upadający na podłogę miecz. Obróciwszy ninję na plecy, zdarłem mu kaptur. Niewiele zostało z jego facjaty, więc i niewiele zobaczyłem. Był nieprzytomny, oddychał z najwyższym trudem, z resztek nosa wychodziły krwawe bąble.

Dobra, trzeba się zająć Trilian. Głowę miała spowitą kilkoma warstwami bandaży. Starannie odwijałem metr za metrem, z twarzy

zdjąłem coś, co wyglądało jak pieczęcie. Na szczęście facet nie wyłupił jej oczu. Przerażona, przyglądała mi się w milczeniu. Chwilę później zauważyłem przyczynę – w jej ustach tkwił gliniany knebel.

– Och, dzięki – rzekła z ulgą, kiedy go wyjąłem. – Nie wierzyłam, że z tego wyjdę.

Zdejmovanie więzów szło już szybciej. Ninja był zawodowcem, wprawdzie skrępował ją perfekcyjnie, ale krążenie krwi Tril pozostało niemal niezakłócone.

– Gotowe – mruknąłem, odrzucając ostatni zwój bandaża. – Co z tobą, w porządku?

Przytaknęła. Zacząłem szukać bransoletki. Ani na chwilę o niej nie zapomniałem. Była przy ścianie pod stołem. Zapinała się na zwyczajną klamerkę, tyle że skutkiem długoletniego używania metalowy pręcik się wygiął i wysunął z dziurki. To samo musiało się przytrafić poprzedniemu właścicielowi.

Tymczasem Tril znalazła krzesiwo i zapaliła olejny kaganek, mogłem więc zobaczyć szczegóły. Bransoletkę tworzyły kwadratowe, luźno ze sobą połączone mosiężne blaszki. Każdą płytkę pokrywała skomplikowana rycina, składająca się z różnej grubości kresek. Gdy próbowałem się dokładniej przyjrzeć poszczególnym ornamentom, wzrok zachodził mi mgłą.

– Co to wszystko ma znaczyć? – spytała Tril. Schowałem bransoletkę do kieszeni. Tril siedziała na łóżku. Nocna koszula podwinęła się jej do połowy uda, materiał mocno przylegał do piersi, tak że padające pod ostrym kątem światło uwypuklało sutki.

– Nie wiem – odparłem szczerze, przełykając ślinę. – Zimno tu, powinnaś się ubrać – dodałem.

– Krwawisz – rzekła, ignorując moją uwagę. – Przyniosę narzędzia.

Zsunąwszy się z łóżka, wyszła, znikając w półmroku korytarza. Właśnie uniknęła brutalnego porwania, a mimo to była niezwykle zrównowazona. No i ma cholernie cienką koszulę, ponętne ciało, do tego stąpa niczym królowa. Chłopie, zajmij ty się raczej sobą, co? Nad prawym łokciem odkryłem zaledwie pięciocentymetrową, ale dość głęboką ranę. Usiadłszy przy stole, odkręciłem głowicę rękojeści katzbalgera, wysypując z komory igłę, nici oraz mieszek z gojącym proszkiem. Resztki z gladiatorskich czasów. Najpierw przemycie rany wodą ze stojącej na stole karafki, potem nie żałować

podu. W pokoju rozniosła się woń arniki oraz inne zapachy, których nigdy nie potrafiłem określić. Proszek był niezawodny do dezynfekcji ran, ponadto przyspieszał gojenie. Mój osobisty cyrulik zrobił go według własnego sekretnego przepisu. Nawłókłszy igłę, zabrałem się do zszywania. Ważne jest, żeby szwy dopasować do rodzaju rany, ani zbyt duże, ani za małe, no i właściwie je ściągać. Trochę bolało, jednak nie na tyle, bym musiał zaciskać zęby. Miałem już za sobą znacznie gorsze przypadki, kiedy to nie pomagało kompletnie nic, żadne zaciskanie zębów czy pięści.

Plomień kaganka zachybotał w pierwszym podmuchu wiatru, w pełgającym świetle rana zdawała się być niczym *ziejąca* pustką przepaść. Nachodziły mnie różne myśli. Ze słów Boona wywnioskowałem, że odnalazł Tril dzięki jej snom. Jak o niej mówić? Że jest... zaraz, zaraz... odsłonięta? Niezdolna do obrony? Nie pamiętałem dokładnie, ale coś w tym sensie. Było jasne, że miało to związek z jej czarodziejskimi umiejętnościami. I że jeżeli prędko się stąd nie ulotni, znajdą ją raz-dwa. Ostatni szew. Odgryzłszy nitkę, z zadowoleniem przyjrzałem się swemu dziełu. Z upływem lat nabyłem znacznej wprawy, więc krawiectwo stało się niemal moim drugim fachem.

– Nigdy nie widziałam kogoś tak zręcznego – usłyszałem nad głową.

Skupiony na szyciu, nawet nie zauważyłem, kiedy Tril weszła do pokoju z tacą pełną medykamentów.

– Mogę obejrzeć?

Zanim zdążyłem odburknąć „nie twój interes”, siadła obok, podniosła moją rękę i jęła oglądać ranę.

– Mistrzowska robota, sama bym tego lepiej nie zrobiła!

Czułem zapach jej ciała, blask kaganka podświetlał nocną koszulę, pod którą rysowały się krągłe piersi. Pachniała tak, jakby we włosach miała wianek z jaśminu, a na szyi girlandę z fiołków. A także jak kobieta, która jeszcze przed chwilą spała w czystej pościeli. Miałem ochotę wziąć ją w objęcia i przekonać się, czy również to ciało ma smak fiołków oraz jaśminu. Pohamowałem się jednak, postanawiając jednocześnie, że po wszystkim, ale jeszcze zanim ze sobą skończę, spędzę wspaniałą wieczór w burdelu. Ostatecznie chodziło mi tylko o jedno, byłem napalonym samcem, który nie miał zbyt wielu okazji, żeby się gzić.

Nagle Trilian zamamrotała niezrozumiale i zwiotczała tak, że gdyby nie ja, osunęłyby się na podłogę. Co tu się dzieje? Przecież nie odniosła żadnych ran. Położyłem ją na łóżku.

– Do... do... – próbowała coś powiedzieć.

Jej źrenice uciekły gdzieś w głąb, a wargi zrobiły się niemal białe, bezkrwiste. Położyłem dłoń na jej piersi, serce biło nieregularnie, to szybko, to znów powoli.

– On mnie do... dopadł! – krzyknęła i zemdląła. Oczy wywróciły się jej tak, że widziałem tylko białka.

– O co chodzi?! Co mam robić?! – wrzasnąłem. Brak odpowiedzi. Serce biło jak szalone, a twarz Tril bez przerwy wykrzywiały różne skurcze.

– Obudź się! Psiakrew, obudź!

Wymierzyłem jej policzek, niestety, źle przy tym obliczając siłę. Uderzyła głową o krawędź nocnego stolika, na skroni pojawiła się smuga krwi. Z przerażenia zabrakło mi tchu, jednak z nią było jakby lepiej – oddychała łatwiej, również serce wyrównało rytm. Uff, jaka ulga! Kontrolując puls kobiety, czekałem. Nareszcie otworzyła oczy.

– Już dobrze – szepnęła z wysiłkiem, ale nim zdążyła coś dodać, znowu zaczęły jej uciekać źrenice.

– Dopadł mnie! Znów mnie dopadł! Zabiją mnie! – krzyknęła i zeszywniała.

Sprawa wygląda chyba tak: skoro ninje nie dostarczyli Tril, Boon postanowił ją zabić. Co oznacza, że i on jest czarnoksiężnikiem, i teraz dopadł ją tak samo, jak wcześniej, kiedy spała. A jednak zdołała mu się na chwilę wyrwać! Goniłwa myśli. No, zróbże coś, ona umiera! Wymacawszy tętnicę szyjną, uciskałem ją przez dwie długie sekundy. Tril straciła przytomność, lecz sztywność ciała ustąpiła. Coś było na rzeczy, widać w tym stanie Boon czy też jego pomagierzy nie umieli jej znaleźć. Dobra, ale przecież nie mogę jej bez przerwy tłuc albo utrzymywać w śpiączce, bo i tak by umarła. Jak przeciwdziałać czarom?

Rzuciłem się do medykamentów, spośród bandaży, nożyczek oraz igieł wygrzebując karafkę z czystym spirytusem do dezynfekcji. Mózg można wyłączyć na różne sposoby. Drgnęła, jęcząc cicho. Aha, znowu się do niej dobierają. Otworzywszy naczynie, zatkałem Tril nos i jąłem ją poić alkoholem. Na szczęście zachowała odruch przełykania i oddychania. Dobra, ćwiartka chyba wystarczy, chociaż

kto wie, ile wytrzyma pięćdziesięciokilogramowa dziewczyna, która w odróżnieniu ode mnie chyba nie ma żadnych doświadczeń z czystym spirytusem. Jednak z drugiej strony umieranie wskutek zatrucia alkoholowego pewnie trwa dłużej niż pod wpływem jakiegoś przeklętego czaru. Schowałem swoją podręczną apteczkę na miejsce, katzbalger do pochwy, a Tril zawiązałem w koc i wziąłem na ręce. Tylko patrzeć, jak przyślą tu kogoś, żeby dokończył spapraną robotę.

A teraz którą? Zewnętrzne drzwi prawdopodobnie są zamknięte, ponadto mogę się natknąć na kogoś ze służby. Ranny ninja jęknął. O nie, jeszcze się wygada, kto tak narozrabiał. Kopnąłem stół. Z przewróconego kaganka wylał się olej i natychmiast stanął w płomieniach. Chwilę później wrzasnął ninja. Zabijanie to niewdzięczny kawałek chleba. Wylazłszy przez okno, skoczyłem z Tril w ramionach, lądując na mocno ugiętych nogach. Puściłem się biegiem w stronę morza. Jedynym człowiekiem, do którego mogłem się zwrócić o pomoc, była Nikita Klaar. W końcu zna jakiegoś czarnoksiężnika i pozostawało tylko wierzyć, że innego niż ten, który dopiero co próbował ukatrupić Tril. Wrzask płonącego żywca ninji zbudził ze snu mieszkańców okolicznych domów. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, nawet umierający drań może uratować mnóstwo ludzi, pomyślałem, po chwili skupiając się już wyłącznie na tym, żeby utrzymać regularne tempo i równowagę.

Przed samym kasynem zabrakło mi tchu, plecy i nogi bolały jak przypiekane żywym ogniem. W sali właśnie gasły światła, za to niebo rozbłysło jasnością. Trzymana na rękach Tril nie dawała oznak życia, miałem jednak nadzieję, że to sprawka alkoholu. Rozwarły się drzwi kasyna, z których wyszło podochocone towarzystwo. Zanim odzwierny połapał się co i jak, byłem już w środku.

– Muszę porozmawiać z szefową, natychmiast! To sprawa życia i śmierci! – wsiałem na niego.

Albo wiedział, że pracuję dla niej, albo też uznał, że szaleniec z kobietą na rękach jest wart, by wezwać Nikitę. Tak czy owak, zamknął drzwi za ostatnim opojem i kazał mi czekać. Tril wzdrygnęła się, po czym zaczęła wymiotować. Samego mnie zdziwiło, jak bardzo się tym ucieszyłem. Wciąż żyła.



W drzwiach prowadzących do właściwej sali gry stanęła Nikita Klaar. Towarzyszyli jej wyspiarscy ochroniarze.

– Dzień dobry – rzekła zmęczonym głosem, posyłając mi badawcze spojrzenie.

W paru zdaniach wyjaśniłem, że Tril jest czarodziejką, którą ktoś zaatakował z pomocą magii.

– Proszę jej pomóc – powiedziałem na koniec.

– To pana przyjaciółka? – spytała.

Potrząsnąłem głową.

Przyjrzała mi się, następnie skierowała wzrok na wymizerowaną Tril, potem znowu na mnie. Jej oczy wyrażały... no właśnie, co? Żal, zazdrość, nieufność? Trudno powiedzieć. Nawet nie zauważyłem gestu, nakazującego przybocznym, żeby wzięli ode mnie Tril. Nie zdobyłem się też na żaden protest – po kilku kilometrach biegu z dodatkowym obciążeniem nagle było mi tak lekko, nic, tylko pofrunąć.

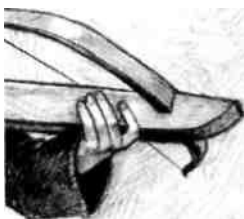
Wydała jakiś rozkaz swoim ludziom w nieznanym mi języku o ostrym, gardłowym brzmieniu. Rozpłynęli się niczym dym, Tril razem z nimi. Przetarłem oczy. Wydarzenia dzisiejszej nocy przebiegły zbyt prędko, nie miałem czasu na rozmyślanie. Chociaż zdarzało się, że czasu było sporo, a ja i tak nie rozmyślałem. Tril nie jest moją przyjaciółką, nic też nie jestem jej winien. Więc czemu tak się o nią troszczę? I jeszcze zaciągam dług u człowieka, któremu go pewnie nigdy nie spłacę? Co gorsza, którego poniekąd zamierzam wyprowadzić w pole? Najrozsądniej byłoby porzucić Tril w jakiejś uliczce, a gdybym chciał być bardzo przyzwoity, w jakimś wynajętym pokoju. I tak jej dni były policzone.

– Rozmyśliłem się. Proszę mi ją oddać, poradzę sobie sam – usłyszałem własny głos. Okazało się jednak, że przemawiam do pustych ścian – Nikita Klaar zdążyła już wyjść. W głowie kołatało mi echo jej słów: „Niech pan zajrzy pojutrze rano, wcześniej nie dowiem się niczego”. Na zewnątrz niecierpliwie przytupywał odźwierny, czekając, kiedy wreszcie będzie mógł za mną zamknąć.

Noga za nogą, lecz z każdą chwilą energiczniej, niżby wskazywał na to mój stan, powlokłem się na kwaterę. Marzyłem o czymś do zjedzenia, łóżku i łyku czegoś mocniejszego. Skończyło się na łóżku.

Rozdział 18

Szpicel



Otworzyłem oczy. Po nocnych harcach bolało mnie całe ciało, ale z takim bólem umiałem sobie poradzić, wystarczyła rozgrzewka oraz solidne ćwiczenia. Głowę zaś miałem zaskakująco czystą i lekką, być może dlatego, że już od paru dni wziąłem rozbrat z bimbrem, tym pożeraczem umysłu. O dziwo, nawet nie miałem ochoty na nic mocniejszego. Trzeba się przygotować do zarabiania pieniędzy. Po serii rozluźniających ćwiczeń zszedłem na podwórze i nabrawszy ze studni wody, wylałem na głowę cały ceber. Wracając do pokoju, zamówiłem w kuchni śniadanie połączone z obiadem i poszedłem się ubrać. Przez ostatnie dni mój przyodziewek ucierpiał tak bardzo, że udawanie przyzwoitego człowieka zdałoby się na nic. Jednak marnowanie długich godzin na targowisku w poszukiwaniu ubioru mojego rozmiaru nie wchodziło w rachubę z powodu braku czasu. Wyszczotkowałem więc przyodziewek jak się dało i po sumiennym skontrolowaniu wszystkich krwawych plam oraz rozdarć zszedłem na dół.

Ponieważ pora śniadaniowa już minęła, a na obiad było za wcześnie, całą jadalnię miałem wyłącznie dla siebie. Mój śniadaniobiad składał się z talerza grzanek, sześciu surowych jaj w kuflu, jajecznicy z tuzina jajek na słoninie, kawałka głowizny na zimno, porcji duszonej wątróbki, dzbanka kawy i pół litra piwa. Posilając się, czułem, jak wraca mi energia.

Jakże jej potrzebowałem – termin przekazania ostatniej raty był coraz bliżej, musiałem się uwijać. Mój plan dnia był prosty: kontynuować poszukiwania córki Huspitza, przygotować ucieczkę Nikity Klaar, na wypadek, gdyby postanowiła pospieszyć oraz bez większych ceregieli opuścić Cevin i Strefę. Zamierzałem również

spotkać się z Ochinotem, by się dowiedzieć, co nowego słyhać w wyższych sferach i zapytać o dwa usłyszane wczoraj nazwiska: Varatchi, którego coś łączyło z samym cesarzem, oraz Boon. A wieczorem powinienem się pokazać swemu najważniejszemu pracodawcy, Kurganowi. Muszę przy tym uważać, żeby nie wejść w drogę Nevisowi Dellowi lub któremuś z jego ludzi. Na wspomnienie jego kamiennej twarzy przebiegły mnie ciarki, a jedzenie straciło smak. Eee tam, w dużym mieście trudno będzie się na niego nadziać. Chociaż nie, to bzdura.

Wszystko jest tak pogmatwane, a ja w jakiś zagadkowy sposób znalazłem się między młotem a kowadłem. Tajemniczy klient nazwiskiem Bapet i jego ochroniarz kupowali coś od Kurgana. Ninje Nevisa, którzy najwyraźniej pracowali dla Varatchiego, starli się z ochroniarzem, a nieco wcześniej, diabli wiedzą czemu, zabili kilku ludzi Kurgana. Do tego Rybak, kochanek Nikity Klaar, ma na pieńku właśnie z Kurganem. Inne problemy nie dotyczyły mnie bezpośrednio. Ochinot usiłuje odkryć jakiś skomplikowany handlowy spiszek, którego ofiarą stał się sam Montemer Belfont, co z kolei na pewno jest związane z powodem, dla którego Drexler Belfont zablokował moją wpłatę. Dobra, te dwie sprawy oraz atak na Tril odkładam na bok, najważniejsze jest teraz zarobienie pieniędzy.

Zanim wstałem od ogołoczonego z jadła stołu, zjawił się posłaniec Nikity, drobny chłopak o śniadej cerze. Chudy jak szczapa, ale poobijane dłonie oraz kolana zapowiadały, że i on wyrośnie kiedyś na bitnego wojownika. Spojrzawszy na mnie, w milczeniu położył dziesięciodukatówkę między talerzem po grzankach a kubkiem, i także bez słowa wyszedł.

Trudno nosić wszystko złoto stale przy sobie, największa cesarska moneta była dosyć ciężka, a poza tym nie mieściła się w pasie. Pobiegłem więc na górę, ale nie udało mi się znaleźć schowka, który umknąłby uwagi wytrawnego złodzieja. A może by tak strych? Wcisnąłem trzos ze złotem między dwie belki. Miecz po krótkim wahaniu zostawiłem na łóżku, wziąłem natomiast katzbalger oraz darowane rękawice. Początkowo wydawały się ciasne i niewygodne, jednak przywykłem dość szybko. Po zaciśnięciu dłoni w kułak giętkie, wpuszczone w skórę blaszki wygięły się, tworząc ochronny kabłąk. Starzec, gdy mówił o ich cudownych właściwościach, chyba trochę przesadził, niemniej mogły się okazać

przydatne. Na pierwszy ogień miała iść rozmowa z Antonem Luvinem, narzeczonym Juany Huspitz.

Ulica powitała mnie ożywionym ruchem. Jeśli po wyludnionym nocnym Cevinie hasali wyłącznie złodzieje i zabójcy, teraz wszędzie tłoczyli się ludzie wyglądający na porządnych, a jedynym podejrzanym typem byłem ja. Instynkt nakazywał mi pośpiech, musiałem się jednak powściągnąć, by nie torować sobie drogi niczym rozszalały słoń.

W niespełna pół godziny dotarłem do mola, przy którym zwykle cumowały statki Luvina. Usypane z ogromnych głazów, miało pięć metrów szerokości i wychodziło w morze dobrych sto pięćdziesiąt metrów. Był czas przypływu, więc tafla wody zdawała się być niebezpiecznie blisko, co chwila czułem na sobie bryzgi zbyt wysokich fal. Po mokrej drodze ostrożnie, pomału jechały wozy z ładunkiem.

Marynarz ze mnie żaden, ale i tak zdawałem sobie sprawę, że przy gorszej pogodzie raczej nie mógł tu cumować żaden statek. Te należące do Luvina, „Anitę” i „Juanitę”, ujrzałem na samym końcu mola. Oba były dwumasztowcami. Mniejszy, „Anita”, już na pierwszy rzut oka wyglądał na łajbę po przejściach: miał wielokrotnie naprawiane maszty, a na burtach mnóstwo łat. Za to „Juana” lśniła nowością. Na pokładzie trójka mężczyzn układała liny i sprawdzała stan żagli. Starszawy facet z głębokimi zmarszczkami wokół oczu i niemal śnieżnobiałą brodą przebiegł trap łączący „Anitę” z mołem. W ręce trzymał worek oraz plik papierów.

– Jak by co, będę u celników! Odbijamy podczas odpływu!

– Chcę porozmawiać z panem Luvinem – rzekłem, kiedy mnie zauważył.

Zaczął mi się dokładnie przyglądać, a im dłużej to trwało, tym większe okazywał niezadowolenie.

– A któż to chce z nim rozmawiać? – spytał wreszcie.

– Pracuję dla ojca jego narzeczonej. Szukam jej – postanowiłem powiedzieć prawdę.

Stary splunął. Ślina spadła na grzbiet fali, która zaraz nas zbryzgała. Mimo to moja odpowiedź chyba go zadowoliła.

– Dobiłiśmy już wczoraj wieczorem. Kiepska sprawa. Jak tylko się dowiedział, że zniknęła, nie da się z nim normalnie pogadać. Mam sprawy do załatwienia w urzędach, spieszę się. Ale to i owo

mogę wam opowiedzieć po drodze.

Zanim doszliśmy do drewnianej budy na końcu mola, gdzie urzędowali celnicy, dowiedziałem się całkiem sporo.

Stary był współnikiem Luvina. Zniknięcie Juany Huspitz przyprawiło go o ból głowy, ponieważ niedawno razem z Antonem kupili większy statek, który pozwalał na przewożenie bardziej luksusowych towarów, a nie tylko ryb, zboża, owoców oraz ubogich pasażerów. Kapitanem miał być Luvin. Ale dzisiaj nawet się nie zjawił w porcie, a majtka, którego starzec do niego posłał, po prostu wyrzucił.

– Jeżeli się szybko nie pozbiera, znajdę się na dnie. Za „Juanitę” zapłaciliśmy raptem połowę, reszta na raty.

Jeszcze chwila, a nie będziemy mieli nawet na opłaty portowe. Już i tak oszczędzamy na nich, jak się da – zakończył monolog.

– Dzięki – powiedziałem i skinąłem ręką na pożegnanie.

– Hej, jeśli się wam uda postawić go na nogi, ja się odwdzięczę! Miejsce za darmo, przewóz towarów też, co tylko zechcecie! – krzyknął jeszcze za mną.

Dzień był wietrzny, związałem więc sznurem płaszcz wokół pasa, żeby nie powiewał niczym para złamanych skrzydeł. Ludzie dokądś spieszyli, sprzedawcy jednorazowych papierowych parasoli robili dobry interes. W powietrzu wisiała zmiana pogody. Przy pierwszej lepszej okazji machnąłem na powóz. Dobra, tylko gdzie jest ta ulica, przy której mieszka Luvin? Przecież nie będę tracił pół dnia na jej poszukiwanie.

– Traficie pod ten adres? – spytałem stangreta.

– Młody, ja to miasto mam w małym palcu – odparł, po czym zaciął konia.

– Jak tam wygląda?

– Trochę na uboczu, ale za parę lat świetne miejsce do mieszkania – odpowiedział półgębkiem, po czym skupił się na jeździe.

Dom Luvina stał na łagodnym stoku przy końcu ulicy, którą rozrastające się miasto pochłaniało coraz bardziej. Należał do niego również spory kawałek gruntu. Brakowało jeszcze części granicznego muru, podobnie jak i bramy. Dzika roślinność zdradzała, że całkiem niedawno nie było tu niczego. Kamienne słupy z osadzonymi w nich metalowymi zawiasami wprawdzie potęgowały

wrażenie rozbabraney pracy, niemniej było jasne, że kiedyś będzie tu ładnie. Przeszronny, parterowy budynek miał kształt litery L, duże okna były zasłonięte okiennicami. Tuż przed wejściem stała zadaszona, przykryta drewnianymi deskami studnia. Gwałtowniejszy podmuch wiatru uchylił drzwi i zdawało mi się, że dostrzegłem za nimi jakiś ruch.

Zapukawszy, wszedłem do środka.

W ciemności, za jedynym tu stołem i na jedynym krześle siedział mężczyzna, na oko dziesięć, dwanaście lat ode mnie młodszy. W ręce trzymał kanciastą butelkę, wokół walały się inne. Mimo że stałem parę metrów przed nim, nadal mnie nie zauważył.

– Pan Luvin? Anton Luvin? – spytałem.

– To ja – przyznał niechętnie.

Mówiąc, wyraźnie się zaciął. Stanąwszy bliżej, poczułem w powietrzu przyjemny zapach igliwia. Takiej gorzałki dotąd nie piłem.

– To wszystko – rozejrzał się, machając ręką w pijackim geście – kazałem zbudować dla nas. Dla niej. A ona nie żyje. Nie ma jej. Zabili ją. Wszystko szlag trafił – dokończył ponuro i popatrzył na mnie.

Miał czarne, lekko kędzierzawe włosy i parodniowy zarost. Mocny kark, zaciśnięte na flaszce palce pogrubiałe od ciężkiej pracy. Przez całe życie nie był wyłącznie kapitanem niewielkiego dwumasztowca, to pewne.

– Skąd pan wie, że nie żyje?

Przechyliwszy się do tyłu, pociągnął solidny łyk. Gdyby nie wysokie oparcie krzesła, wyładowałby na ziemi.

– Po prostu wiem i już. Nie ma jej. Nie żyje.

– Mogli ją porwać, na przykład do jakiegoś zamtuza. Sprzedać parę mil dalej na północ – zauważyłem.

Potrząsnął głową. Miał mokre oczy.

– Nie, nie Juanę. Panie, ja wiem, jak wyglądają dziewczyny, które są warte porwania. Często kupowałem towar na targowiskach, gdzie handlowali kobietami. Juana nie była piękną. Ale ja ją kochałem, ona była taka... taka...

Słowa uwięzły mu w gardle, po policzkach płynęły łzy. Znowu łyknął, z trudem utrzymując się na krześle.

– Mogła uciec sama, może coś się jej nie podobało – podsunąłem

inną możliwość.

To go rozjuszyło. Cisnął we mnie butelką, jednak chybił, trafiając w ścianę. Odłamki rozprysły się po podłodze, a woń igliwia stała się jeszcze silniejsza.

– Myśmy to obmyślili wspólnie! – wykrztusił i rozrzucił ręce na bok. – Po co by miała uciekać?

– Mogło się jej przytrafić jakieś nieszczęście, powiedzmy, że wpadła do morza i utonęła – ciągnąłem swoje.

W tym stanie nie potrafił kłamać, jednak nie było wiadomo, jak długo jeszcze będzie w stanie mówić.

– Nie, nie. Prędzej czy później morze by ją wyrzuciło, robi tak z każdym ciałem. Najczęściej w Zatoce Pika. Żyją tam tacy jedni, którzy ściągają z trupów wszystko, co się da, a potem przekazują ciała władzom. I jeszcze z tego mają jakieś pieniądze. Wyszłoby na jaw, gdyby utonęła. Ona zniknęła tak samo jak dziewczęta z kraju Gletów i już nikt jej tu nie zobaczy.

O, coś nowego! Gletowie mieli własne lenno na południe od Cevinu. Zdaje się, Ochinot wspomniał kiedyś o nim.

– Jakie dziewczęta? – zapytałem.

– Nie wiem, nic nie wiem – potrząsnął głową.

No tak, gorzałka rozmyła mu umysł, podobnie jak słońce pod koniec kwietnia topi śnieg na południowych zboczach gór.

– Raz, kiedyśmy przewozili ładunek kawy, to był nasz najlepszy kurs, coś mi się obilo o uszy.

Bełkotał coraz bardziej, więc z trudem rozpoznawałem poszczególne słowa.

– Śmieć jesteś i śmierdzący tchórz. Gorzałka nic ci nie pomoże, tylko ogłupi. Jej ojciec wynajął mnie, żebym ustalił, co się przydarzyło Juanie. Twój kumpel na własną rękę próbuje poskładać to, coś zostawił niedokończone. A ty sobie tu siedzisz, chlejesz i labiedzisz jak baba. Nie zasługujesz na nią – wycedziłem.

Wyprostował się, próbując wyteńczyć słuch, czy aby na pewno mówię serio.

– Znajdę ją, żywą czy martwą. Jeśli martwą, dowiem się, kto za tym stoi. Robię to dla pieniędzy. Ty jednak powinienes już tylko z powodu jej samej, ale zamiast tego chlejesz i biadolisz.

– Ja... – zdobył się zaledwie na jedno słowo. Reszta zdania przeszła w bełkot.

Potrzebna mi pomoc. Nie znam ludzi morza. Zajrzyj nad Zatokę Pika i dowiedz się, czy woda ją oddała. Potem z byle ładunkiem popłyń do Gletów i popytaj tam o te zagubione dziewczyny. Informacje dla mnie zostawiaj u Huspitzta. Jak się czegoś dowiem, sam cię odnajdę. A z tym daj że już sobie spokój – rzekłem, zabierając mu ostatnią butelkę trunku.

Odwrociłem się jeszcze w drzwiach. Wciąż chciał mi coś powiedzieć, ale jego język był nieposłuszny.

– Zapamiętaj, co masz zrobić! I nie chleję, ty wszarzu! – rzuciłem na pożegnanie.

Powóz odjechał już dawno, trzeba było liczyć na własne nogi. Co ja właściwie przez tę swoją gadkę chciałem osiągnąć? Zaskarbić sobie przychylność jego kumpla? Albo żeby mi pomógł w poszukiwaniach na terenach, dokąd sam tak łatwo nigdy bym nie trafił? A może po prostu zabrać mu ostatnią flaszkę gorzałki... Otworzywszy ją, pociągnąłem kilka łyków. Hm, ten dom naprawdę wyglądał dobrze. Dobre miejsce do życia. Jeszcze trochę. Ech, smaczna, ale mój umysł musiał pozostać jasny. Z pewnym żalem postawiłem butelkę pod murem jednego z domów. Niech ktoś inny ma z niej frajdę. Albo sobie zaskodzi. Tak, wszystko można widzieć z dwóch stron.

W drodze do centrum Cevinu zaglądałem do napotkanych wypożyczalni koni i powozów, pytając o ceny. Za półtora dukata zamówiłem na tydzień ciężki wóz na dużych kołach i cztery wałachy. Po rozmowie z paroma przewodnikami karawan handlowych, oferujących swoje usługi na sztyldach domów, przekonałem się, że w wypadku tego fachu nie chodzi w gruncie rzeczy o pokonywanie podczas podróży rozmaitych trudności, przeszkód czy też o ochronę przed zbójcami. Kupcy wynajmowali ich po to, aby się targowali o jak najniższe cła oraz łapówki, pobierane przy przekraczaniu granicy Strefy i kraików należących do małych feudałów. W Strefie mnóstwo ludzi żyło z handlu. Przewodnicy i strażnicy granic z pewnością byli w zмовie, czerpiąc z kupców sówite korzyści. Z drugiej wszakże strony handlarze zdzierali skórę z kogoś innego i w rezultacie wszyscy byli zadowoleni.

Z mojego punktu widzenia ważne było to, że każdy członek karawany – wraz z listą przewożonego mienia i jego wartością –

musiał być wpisany do tak zwanej karty podróży. Z rozmowy wynikało, że patrole najczęściej uwagi poświęcają właśnie zgłoszeniom na ostatnią chwilę. Za dwanaście talarów zgłosiłem do trzech różnych karawan swoją siostrę razem z osobami towarzyszącymi, opłatę za towar można było wnieść później. Najbliższa karawana wyruszała za trzy dni. Trochę dużo jak na moją pamięć – przyszło mi wydać parę talarów na przybory do pisania i wszystko starannie zanotować.

Do gubernatorstwa dotarłem dopiero późnym popołudniem. I znowu nikt się mną nie przejmował, zacząłem więc od dołu, odwiedzając piwniczną kostnicę. To się nazywa szczęście. Grabarze, których miałem już przyjemność poznać, ślęczeli nad jakimś ciałem.

– Widzę, że coś lubicie to miejsce – rzekł ten wyższy na powitanie, uśmiechając się przy tym jak z dobrego dowcipu.

– Znowu ktoś nie wrzucił trupa do wody? Jakoś wam nie chcą ułatwiać roboty – powiedziałem, wskazując parę zawiniętych w płótno zwłok.

Całuny były podniszczone i upstrzone plamami, z pewnością służyły już niejednemu nieboszczykowi.

Facet splunął, potem spojrział w zamyśleniu na ślinę i roztarł ją butem. No nie, co za umiłowanie porządku i szacunek dla zmarłych!

– Zgadza się. Coś nam tych truposzów przybywa. I to coraz ładniejszych.

Z drwiącą miną odgarnął materiał z jednego ciała. Zobaczyłem szerniałą głowę ze spieczoną skórą, skurczoną do tego stopnia, że nieboszczyk wyglądał tak, jakby szczyrzył zęby.

– Ładne, co nie? – roześmiał się grabarz. Przytaknąłem, udając obojętność.

– Co z tym drugim? – spytałem od niechcenia.

Ku mojemu zaskoczeniu nie był to ninja, tylko jeden z ludzi Kurgana.

– A czy przez ostatnie siedem dni znaleźliście dziewczynę?

Spojrzeli jeden na drugiego.

– No, było tu parę kobitek, ale wiecie, jak jest, za bardzo im się nie przyglądamy. Jak na nasz gust, są ciut za zimne – zachichotał dowcipniś.

Rzuciwszy każdemu talara, pokazałem portrecik Juany Huspitz, który dał mi jej ojciec. Obaj długo wpatrywali się w obrazek.

– Przykro nam, szefie, że nie możemy pomóc, ale takiej tośmy tu nie mieli – rzekli wyraźnie zawiedzeni. Odniosłem wrażenie, że ich żal był szczery.

Skinąwszy głową na pożegnanie, udałem się do weselszych części gmachu. Zaraz, a czy nie warto pogadać też z Gluwinem, tym facetem, który na lewo urzędza nieboszczykom morskie pochówki? Może jeszcze ktoś inny mu podrzuca trupy? Zawróciłem.

– Gdzie znajdę Gluwina? – spytałem w drzwiach. Dowcipniś podrapał się po głowie.

– Szefie, coś dzisiaj licho u mnie z pamięcią. Rzuciłem mu talara.

– Molo Karpa w Głuchej Zatoce. Wystarczy zapytać – poradził.

Skąd tym miejscowym przychodzą do łbów takie nazwy?

Ochiot był w swojej pracowni. Przed nim, jak zwykle, wznosiła się cała góra papierów oraz ksiąg, w których grzebał, zapisując coś nieustannie.

– Jak minął wolny dzień? – spytałem niewinnie.

Zabrało mu jakąś chwilę, zanim ze świata liczb wrócił do rzeczywistości. Wreszcie na jego twarz wypłynął szeroki uśmiech.

– Znakomicie! Więcej takich wspaniałych chwil! – powiedział zachwycony. – Filizankę kawy? Herbaty? A może coś na rozgrzewkę?

– Chętnie, ale wybór pozostawiam wam. Spojrzał na mnie, jakbym pozbawił go jakiejś przyjemności.

– Co za goście – mruknął i odwróciwszy się do szafki, zaczął swoje czary.

Pomieszczenie było wciąż tak samo nieprzytulne, prócz ksiąg i papierów nie przybyło tu nic nowego. No, poza jedną muchą. Bzycząc, przeleciała mi koło głowy i usiadła na stole przede mną. Ochiot wpatrywał się w skupieniu w kociołek, jakby hipnotyzując wodę, by zaczęła wrzeć. Mucha zaczęła krążyć nad stołem.

– Ciągłe mi tu przeszkadza, ale nie chcę jej zabić. Cały dzień ją przeganiam! – Buchalter zerknął z ukosa na muchę.

Dziwne. Czemu nie chce jej zabić? A co tam, nie moja sprawa. Gdy znalazła się w zasięgu ręki, złapałem ją i trzymając między kciukiem a palcem wskazującym, ostrożnie, żeby nie rozgnieść, wyszedłem na korytarz. Teraz bzyczała jak wściekła. Wyrzuciłem ją jak najdalej od siebie, przy okazji sprawdzając, czy ktoś nas nie

podśłuchuje.

– Jak tam kontrola rachunkowości? – spytałem wprost, gdy znowu siedziałem na krześle.

Buchalter postawił przede mną filiżankę. Popijając ze smakiem ze swojej, sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego.

– Cała buchalteria została sfalszowana, ale tak sprytnie, żeby ten, kto jako tako zna jej zasady, uznał, że jest w najlepszym porządku. Przyznaję, że nie wykryłem wszystkiego. Na razie mam za mało dokumentacji i coś mi się wydaje, że już jej nie przybędzie.

– Możecie mi to wyjaśnić jak najprościej? Nie jestem magiem od liczb – poprosiłem, widząc, że i tak nie uniknę kolejnego wykładu.

Naturalnie! To takie proste! – Wstał podniecony i jął się przechadzać od ściany do ściany. – Mała powtórka – rzekł, patrząc na mnie. Poczuję się jak dawno temu w szkole. – Cesarza nie interesuje sposób zarabiania pieniędzy. Wyprowadzane ze Strefy nielegalne zyski, czy to w postaci pieniędzy, czy też towarów, są obłożone podatkiem w wysokości dziewięćdziesięciu dwóch procent. Tak brzmi podstawowa zasada.

To akurat wiem. Właśnie dlatego muszę w krótkim czasie zarobić cholernie dużą sumę, bo moje dochody rzeczywiście nie są ani trochę legalne.

– Z kolei jeśli ktoś handluje zgodnie z przepisami, czyli na wszystko ma dokumenty i poddaje się kontroli cesarskich urzędników albo działających w jego imieniu zarządców, w razie transferu ze Strefy płaci trzydzieści dwa procent podatku.

No cóż, z moją pamięcią bywa różnie. Niemniej pokiwałem głową, jakby nie powiedział mi nic nowego.

– Panowie lenni mogą też obracać dobrami niejasnego pochodzenia, doprowadzając do tego, że te towary stają się absolutnie czyste. Wtedy obowiązuje podatek czterdzieści pięć procent.

– Rozumiem, że jeżeli ktoś ma przywileje wobec reszty, kantuje i zawsze wychodzi na swoje. Jaki to ma związek ze sfalszowaną księgowością gubernatorstwa Belfont?

Wyobraźcie sobie, że jesteście kupcem i znacie człowieka, który ma mnóstwo kradzionego czy też przemyconego towaru. Kupujecie go od niego za bardzo niską cenę, a potem odsprzedajecie, ale z zyskiem ledwie minimalnym, bo każdy wasz partner ponosi

ryzyko, że zostanie zaliczony do grupy opodatkowanej dziewięćdziesięcioma dwoma procentami. Co więcej, uczciwi kupcy obwołają was czarną owcą. Dla wszystkich będzie jasne, że utrzymujecie kontakty z przestępcami – tłumaczył Ochiot.

– Jednak mógłbym go sprzedać gubernatorstwu Belfont – wpadłem mu w słowo. – Zgodnie z właśnie przedstawioną zasadą nie zrobiłbym nic nielegalnego. Ale w takim razie czemu sami przestępcy nie handlują z gubernatorstwem?

– Ponieważ ściga ich flota cesarska, a urzędnicy cesarza nie tolerują handlu z przestępcami. Przecież uczciwych obywateli musimy odgrodzić od tego złodziejskiego nasienia! – rzekł uroczyście, jednak z taką miną, jakby opowiadał swój ulubiony dowcip. Po czym ciągnął dalej: – Ale poza tym macie rację. Niemniej cały ten łańcuch ma jeszcze jedno ogniwo, mianowicie drugiego handlarza, któremu gubernatorstwo sprzedaje do niedawna szary, a teraz już czysty towar. I to po bardzo korzystnej cenie. Zyski kupca numer dwa są wtedy opodatkowane najniższą stawką.

– Hm, całkowicie bezpieczna sztuczka, do tego zgodna z prawem. Skąd więc wzięły się podejrzenia, z powodu których hrabia Drexler was tu wysłał? – zapytałem.

Bo tym dwóm pazernym kupcom było nie w smak, że muszą zostawiać gubernatorstwu tak dużą część zysku. Gdyby bowiem Belfont kupował szary towar zbyt drogo, cesarscy kontrolerzy uznaliby to za dziwne i zaczęliby węszyć. Nie zapominajcie o wyższej stawce podatku. Więc dla zwiększenia zarobków wymyślili masę fikcyjnych transakcji z minimalnym zyskiem, za to wymagających sporych kosztów, które, rzecz jasna, wędrują do ich kieszeni. Stąd wziął się zwiększony obrót bez odpowiedniego wzrostu zysków. Dlatego tu jestem.

– I urzędnicy nie widzą tu nic podejrzanego?

– Czasami każdemu się to przytrafia, no a Belfont cały czas jest na plusie.

– A ci dwaj spryciarze? Znacie ich nazwiska? – zadałem ostatnie pytanie.

– Człowiek numer jeden to pan Hanten, a numer dwa pan Kroucbag – odparł triumfalnie Ochiot.

Trzeba to sobie przemyśleć. Niesamowite, jak zdołał wszystko rozwikłać, czytając nudne cyfry. Robienie interesów z Kurganem

i jego zakapiorami to na pewno nie łatwizna, czyli pan Hanten musi być ostrym graczem. No, no, kto by pomyślał.

– Co się dzieje z nielegalnymi towarami? – zagadnąłem.

– Moim zdaniem opuszczają Strefę na przemytniczych statkach i dałbym głowę, że część kosztów przemytu również jest pokrywana z kasy gubernatorstwa – odpowiedział Ochnot. – A następnie zysk ląduje na kontaktach w imperium.

– Więc czemu Montemer Belfont uczestniczy w czymś tak ryzykownym, do tego dla niego nieopłacalnym?

Nie mam pojęcia. Nasuwa się jednak pytanie, czy w ogóle o tym wie. Wszystkie pozostałe transakcje są legalne, a jest ich dużo. Jeśli ma wśród swojej służby dwóch, trzech oszustów na właściwych miejscach... – nie dokończył zdania. – Ale wykrzycie, kto za tym stoi, to już zajęcie nie dla mnie.

– Jeżeli chcecie zachować głowę, nawet tego nie próbujcie. Przystępcy, o których mówiliście, to niezłe ziółka – ostrzegłem go.

– Przygotuję nieprawdziwą opinię, która stwierdzi, że wszystko jest porządku – zgodził się. – A moje rzeczywiste notatki dobrze ukryję.

Najlepiej byłoby je zniszczyć. Wiedząc jednak, że mnie nie posłucha, nawet o tym nie wspomniałem.

– Szukam pewnej dziewczyny. Właśnie się dowiedziałem o kobietach, które zaginęły w kraju Gletów. Na balu wspomnieliście coś o Henrym Fabuli, dowódcy tamtejszych sił porządkowych. Nie chcielibyście wziąć go delikatnie na spytki? Dla mnie każda informacja może być przydatna – poprosiłem, wiedząc, że mogę sobie na to pozwolić. Ostatecznie to ja go ostrzegłem, jak niebezpiecznie wybuchową mieszanką są jego odkrycia.

– Oczywiście. Jutro wieczorem wraz z madame Alessandrą jadę do pałacu Gleta na przedstawienie teatralne. Wyobraźcie sobie, jaka sztuka będzie grana – "Poskromienie złośnika"! Do tego sami znani aktorzy!

– A madame Venecia? – spytałem na odchodnym.

Uśmiechnął się rozanielony.

– Niezwykle czarująca osobka. Dzisiejszego wieczoru jemy razem kolację. Jako danie główne przewidziałem czereśnie zapiekane w kurczęciu, a podczas podawania deseru będę recytował „Balladę o czereśniowym sadzie” Eposa. Ktoś napisał do niej muzykę,

a madame Venecia jest wyśmienitą śpiewaczką i potrafi improwizować. Jestem pewien, że ten wieczór będzie udany pod każdym względem!

Skinąwszy ręką na pożegnanie, zamknąłem za sobą drzwi. Do mnie przemawiały tylko cielesne walory madame Venecii, ale widać Ochinot traktował ją całościowo. Ten człowieczek podobał mi coraz bardziej. Chyba warto by z nim pogadać przy jakiej butelce... Hola, a cóż to za pomysły? Przecież ja nie z tych, co się spoufalają. Przypomniawszy sobie, po co tu właściwie przyszedłem, ruszyłem do kantorka Tuhuki. Na schodach dobiegły mnie odgłosy sprzeczki na drugim piętrze, spod pracowni i apartamentu samego Montemera. Belfonta juniora poznałem od razu, a drugi głos wydał mi się znajomy. Wokół nie było żywej duszy, pognałem więc na górę, chowając się za kotarą zasłaniającą wejście do jednego z korytarzyków, które prowadziły do wszystkich pieców na górnych piętrach. Gdy trzeba w nich było napalić, Belfont nie chciał, żeby mu przeszkadzała służba, tak więc teraz jego zamiłowanie do prywatności bardzo mi odpowiadało. Głosy zbliżały się. Zerknąłem przez wąską szparę.

Oho, kogo tu widzimy? Rick Varatchi i Montemer. Młody hrabia sadił wielkimi krokami z twarzą czerwoną niczym burak. Varatchi odwrotnie: był blady, a jego wąskie wargi zbielewały z gniewu.

– Pan sobie chyba nie zdaje sprawy, kim jestem. Reprezentuję swojego kuzyna, samego cesarza i jedno moje słowo może pana wykończyć! – syknął.

Chociaż zdawało się to niemożliwe, jego głos brzmiał jeszcze bardziej władczo niż ostatniej nocy.

Nagle Belfont zagroził mu drogę. Zrobił to tak niespodzianie, że starszy mężczyzna o mały włos byłby na niego wpadł.

– Wiem dobrze, z kim mam do czynienia. Ale dopóki nie ma pan oficjalnego dekretu, uprawniającego do naruszenia edyktów cesarskich, które obowiązują w Strefie, dopóty pańskie słowa są tylko słowami. Gdy zdobędzie pan oficjalny rozkaz imperatora, wtedy moi ludzie, razem ze mną, będą do pańskiej dyspozycji. Jednak do tego czasu flota jego wysokości zostanie w swoich bazach i nie ma prawa wtrącać się do spraw związanych z publicznym ładem. Żadnych obław, żadnych aresztowań, nic z tych rzeczy! A teraz proszę mi wybaczyć, czeka mnie mnóstwo obowiązków! –

wyrzucił z siebie Belfont, po czym zrobił w tył zwrot i zniknął.

Varatchi został na miejscu, wpatrując się lodowato w plecy gubernatora Cevinu. Spotkałem już mnóstwo osób, które ludzkie życie traktowały tylko jako sumę kosztów koniecznych do jego unicestwienia. Varatchi był właśnie taki, może nawet gorszy. Co więcej, jego spojrzenie skazywało na śmierć nie pańszczyźnianego chłopca, wolnego kupca czy innego poddanego, lecz arystokratę. Fakt, że dowodzi bandzie nocnych morderców, też miał swoją wymowę. Coś tu brzydko pachnie i to tak, że smród dociera do samego tronu. Trzeba z tym zrobić porządek. Niech pomyślę. Ludzie z otoczenia Belfonta zajmują się szachrajstwami, lecz czy to powód, dla którego by się fatygował krewniak samego władcy? Wątpię.

I jeszcze coś: jeśli Montemer wie o machlojkach, oznacza to, że jest największym i najlepszym hazardzistą, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Podczas naszego pierwszego spotkania odebrałem go raczej jako synalka możnego i bogatego pana, który nie musi się opierać żadnym naciskom. Pomyliłem się.

Odczekawszy, aż przebrzmi echo kroków, opuściłem kryjówkę i z ulgą wyszedłem na dziedziniec. Gdyby mnie teraz ktoś przyłapał, zawsze bym wymyślił jakąś wymówkę.

Tuhuka był w terenie, więc resztę popołudnia włóczyłem się po targowiskach, zwiedzając sklepy i kramiki z biżuterią. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Jubiler, u którego stary Huspitz kupił bransoletkę, powiedział, że to tylko błyskotka, niemniej udana i ładna. Czyli ktoś, komu wpadła w ręce, mógł ją próbować sprzedać. Każdemu subiektowi opisywałem wygląd bransoletki, dodając, że została skradziona mojej żonie i jestem skłonny ją odkupić. Trudno powiedzieć, czy dawali mi wiarę, ale usłyszawszy sumę, byli uprzejmi oraz usłużni. Później zajrzałem do salonu krawieckiego. Potrzebowałem nowego ubrania. Nie zamierzałem jednak wydawać następnych pięciu dukatów, mając nadzieję, że Silena zechce sobie dorobić na boku i uszyje mi je za pół ceny. Niestety, nie zastałem jej, a właścicielka nie znalazła dla mnie czasu.

Rozdział 19

Gangster



Chodzenie po sklepach zabrało mi resztę dnia, pod wieczór wylądowałem w gospodzie Tracza, gdzie było dość pustawo. Łotry, ściągający haracze z kupców i rzemieślników, jeszcze nie wrócili z łupami, a nocne zbiry pewnie odsypiały zaległości. Gdy stanąłem przy kontuarze, bez jednego słowa dostałem piwo. Była to jedyna knajpa, gdzie nie musiałem płacić. Popijałem niespiesznie, delektując się każdym łykiem gorzkawego, zimnego napoju. Pierwszy kufel zawsze jest najlepszy. Jak tu zarobić kolejne pieniądze? Brakowało mi ich na tyle dużo, że nawet przy obecnych dochodach mógłbym nie dotrzymać ostatniego terminu uregulowania długu. Drewniana podłoga skrzypnęła.

– Mi też jedno – rzekł Elegant, opierając się o kontuar obok. – Szef chce cię widzieć – rzucił w moją stronę. Omiotłem go spojrzeniem. Szczupły, odziany tak, że spokojnie mógłby iść na audiencję do gubernatora czy na spotkanie z bankierem. Z gładko wygolonej twarzy bił zapach jakichś męskich perfum. No a ja? Zarośnięty i w ubraniu, które – oględnie mówiąc – nie należy do najczystszych. Przy najbliższej okazji muszę je przynajmniej wyszczotkować. Wziąwszy kufel, poszedłem do Kurgana. Herszt zerknął na mnie, lecz jego oczy zostały bez wyrazu.

– To nasz kasjer – spojrzał na niewielkiego chudzielca, siedzącego z nim przy stole. – Wie, kto oraz ile płaci, czy jest nam coś winien i tak dalej. Pójdziecie pozbierać forszę z burdeli. Gdyby się ktoś migał, dołóż mu. Zawsze to lepsze niż puszczenie z dymem. Ale postaraj się, żeby nikogo nie zabić. No i miej oczy otwarte, bo chodzi o dużą forszę – powiedział monotonnym głosem, jakby to był kiedyś wyuczony wierszyk, który teraz deklamuje dziesięć razy

dziennie aż do znudzenia.

– Skoro to duża forsa, powinno być nas chyba więcej? – wtrąciłem.

Zamyślił się, po czym pokręcił głową.

– Nie, większy nalot psuje interes. Miej oczy otwarte i tyle – powtórzył radę.

Kto wie, czy to nie rodzaj próby. Nieraz bywało, że faceci, na których można było polegać, gdy w grę wchodziło kilkadziesiąt dukatów, na widok trzech setek tracili głowę. Po prostu docierało do nich, jak mogliby się obłowić.

– Aha. – Popatrzyłem na buchaltera. – To co, idziemy?

Dopił kufel, otarł usta i podniósłszy z ławki żelazną skrzynkę, przykuł ją do ręki łańcuchem. Musiała sporo ważyć, bo ściągała go na bok. Wszyscy księgowi, jakich do tej pory poznałem, byli niscy i albo chudzi, albo grubi. Niewykluczone, że z powodu dużych pieniędzy, z którymi mieli do czynienia.

Na ulicy podwoiłem czujność, ponieważ cwaniak z dobrym mieczem mógłby mu tę rękę odciąć raz-dwa.

Pierwszy odwiedzany dom w ogóle nie przypominał bajzlu.

– Rodzinny interes – skomentował moją zaskoczoną minę, gdy znaleźliśmy się w kuchni. – Trzy córeczki. Ojczulek robi im za naganiacza.

„Ojczulek” okazał się wyniszczonym mężczyzną w nieokreślonym wieku, z wodnistymi oczyma i czerwonym zapijaczonym nosem. Na nasz widok jął się rozpląwać w uśmiechach, natychmiast zdejmując z półki kanciastą butelkę. Wydaje mi się, że najlepszą, jaką miał.

– Proszę, panowie, proszę, oto należność, zresztą cała w złocie! – zaszczębiotał, jako pierwszy wychylił kielicha, po czym położył na stole pięć złotych monet. Kasjer przyjrzał im się pobieżnie i otworzywszy skrzynkę, włożył starannie do jednej z przegródek.

– Idziemy? – zapytał.

Przytaknąłem. Na odchodnym kantem dłoni zdzieliłem faceta w dziób, wybijając mu szczękę. Stał jak wryty, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu.

– Następnym razem masz się tak nie guzdrać – doradziłem, zamykając drzwi.

Wykonywane zajęcie było jeszcze większym świństwem,

niżbym sobie mógł wyobrazić. W kolejnych trzech domach nie sprawiali nam żadnych kłopotów, wypłacając złoto od ręki. Kto by pomyślał, że ze swoich zarobków dziwki muszą oddawać aż tyle!

Piąty przybytek wyglądał okazale. Wprawdzie nie chlubił się czerwoną latarnią, za to miał świeże tynki i szyld z tak ozdobnym napisem, że przesyłabizowałem go z najwyższym trudem: „Kuchnia i bar czynne od świtu do świtu. Wszelkie możliwe atrakcje”. Znajdował się też w zdecydowanie lepszej dzielnicy niż poprzednie.

Weszliśmy do sali przypominającej wykwintną restaurację; w częściowo oddzielonych salonikach siedziało kilka ponętnych dam, samotny gość przy kontuarze sączył z wysokiej szklanicy czerwony napój, przeglądając przy tym jakieś papiery. Chyba uznał, że jeszcze za wcześnie na dziewczynki, a może wybierał jakąś na podstawie portrecików w katalogu. Za kontuarem stał barman oraz kobieta w eleganckiej czerwonej sukni z dekoltem, który więcej odsłaniał, niż ukrywał. A było na co popatrzeć! Ledwie nas ujrzeli, ich spojrzenia jednocześnie pobiegły w róg głównej sali, gdzie z jednej strony stała dwójka, a z drugiej trójka mężczyzn. Ubrani byli przyzwoicie, ale określony tryb życia naznacza człowieka tak, że na pierwszy rzut oka widać, kto on zasz. Oczywiście pozna się na tym tylko ktoś ulepiony z podobnej gliny. Być może byli kiedyś zapaśnikami, nauczycielami szermierki albo po prostu żołnierzami lub ulicznymi zabijakami. Tak czy owak, przemoc towarzyszyła im przez całe życie, mieli ją wypisaną na twarzach, w oczach, w spojrzeniu, gdy ruszyli w moim kierunku. Nie mam szóstego zmysłu wojowników, którzy wyczuwają niebezpieczeństwo i potrafią stawić mu czoło. Tacy dożywają późnego wieku, opowiadając potomkom ubarwione przygody swego życia. Niektórzy dają początek legendom. Ja jednak, widząc faceta, umiem go rozszyfrować na podstawie sposobu poruszania się odkryć jego słabe i silne strony. A potem to odpowiednio wykorzystać. Pod tym względem jestem najlepszy.

Zbliżali się tak, żeby wziąć mnie w kleszcze. Na razie nie dobyli noży, tylko dwóch założyło kastety, a jeden trzymał pałkę. Bez słowa skierowałem się w stronę dwójki. Żyłasty mężczyzna mojego wzrostu stapał niczym baletnica, na czubkach palców. Prawdopodobnie zaatakuje z dystansu. Jego kumpel, krępy bysio z kastetem, szedł z rękami luźno zwieszonymi wzdłuż ciała – to one

były jego główną bronią. Nie pomyliłem się. Tykowaty przy wyroku przekręcił stopę lekko do środka. W tej samej chwili ugiąłem nieco kolana, robiąc jednocześnie ruch do przodu. Gdyby nie to, frunący łukiem kant jego stopy pewnie roztrzaskałby mi skroń. Uderzyłem z dołu, trafiając go prosto w krocze. Uff, ale oberwałem! To byczek wyrznął mnie z lewej, chcąc jeszcze dołożyć z prawej. Unik i jego uzbrojona pięść przeleciała obok. Złapałem ją i zrobiwszy rzut przez biodro, wykręciłem mu przegub. Upadając, złamał go pod ciężarem własnego ciała. Pozostali trzej, wcześniej gotowi do bitki, zastygli w bezruchu.

– No i co? – powiedziałem, robiąc krok do przodu.

Cios był dobrze wymierzony, bolał mnie po nim brzuch. Może właśnie dlatego to krótkie pytanie zabrzmiało jakoś bardziej złowieszczo i groźnie. Najbliższy wzdygnął się i pognął ku drzwiom, za nim drugi. Nauczyło ich tego życie na ulicy – kiedy trafisz na silniejszego, bierz nogi za pas. Ostatni ochroniarz odrzucił pałkę i pokazując gołe ręce, zaczął się wycofywać.

– On jest za dobry, ale zaliczkę sobie zostawimy. W końcu nie pękliśmy od razu – rzekł półgębkiem do niewiasty za kontuarem, po czym zniknął.

Buchalter spojrział na mnie z uznaniem, a potem zwrócił się do właścicielki:

– To była najwyraźniej próba odmowy zapłaty za usługi świadczone wam przez pana Kurgana.

Kobieta nieco pobladła, jednak trzymała fason.

– Jesteśmy ludźmi interesu, panowie także. Przecież ten incydent nie może zepsuć naszych dotychczasowych, tak świetnych stosunków.

Trzeba przyznać, znała się na rzeczy.

– Pięćdziesiąt dla mnie i tyle samo dla mojego towarzysza. Plus to, co jesteście dłużni panu Kurganowi – rzekł księgowy ze słodkim uśmiechem.

Ciekawe, czy to wszystko nie zostało ukartowane? Raczej wątpliwe, bo strach w oczach dwójki uciekinierów nie wyglądał na udawany.

– Zgoda – odparła właścicielka z wyraźną ulgą w głosie.

Barman ani na chwilę nie przestał polerować szkła. Z jego punktu widzenia nas tam po prostu nie było.

Kasa po tej wizycie wyraźnie przybrała na wadze, więc mizerny buchalter miał co dźwigać, ale co mi do tego, w końcu za coś mu płacą. Dalej poszło gładko.

Gdy jednak w ostatnim bajzlu widziałem, jak właściciel, bubek z wypomadowanymi włosami, który bardziej mi pasował na lokaja, a nie na szefa burdelu, przelicza pieniądze, miałem już tego wszystkiego powyżej uszu. Nagle gdzieś nad nami rozległ się przenikliwy kobiecy pisk, tuż potem zadudniły szybkie kroki, trzasnęły drzwi, pisk ucichł, a za to usłyszeliśmy męski wrzask. Właściciel podał buchalterowi wymaganą kwotę, wpatrując się z napięciem na prowadzące na piętro schody. Sprawiał wrażenie zaniepokojonego, choć nie za bardzo.

Chwilę później na dół zszedł dziwnie skulony mężczyzna, ubrany tylko w koszulę. Za nim zobaczyłem krzepkiego faceta, który wykręcając mu rękę na plecach, jednocześnie założył fachową dźwignię. Wszystko stało się jasne.

– Okaleczył Nubię. Najpierw ją zdziesiął po buzi, a potem wyjął nóż. Niby byle jaki kozik, ale zawsze. Dziewczyny się nią opiekują – wyjaśnił facet.

– To już drugi raz w ciągu dwóch tygodni! – rzekł zdenerwowany właściciel. – Co tym chłopom odbiło? Będzie zdolna do pracy?

Półnagi stał w niewygodnej pozycji, kiwając bezwładnie głową, podczas gdy jego zwiotczałe przyrodzenie huśtało się dokładnie w przeciwnym rytmie.

– Nie. Musi się kurować, co potrwa tydzień, góra dwa. No i już nigdy nie będzie taka ładna.

– Wyduś z niego, ile się da – polecił właściciel – i daj Nubii, niech ma na lekarza i coś na początek. Nie chcę tu okaleczonych dziewczyn.

Od tego, co dziś zobaczyłem, zrobiło mi się niedobrze. Wyszedłem bez słowa, wystraszony buchalter puścił się za mną. Najpewniej nie chciał zostać sam.

W karczmie Tracza zabawiłem już tylko chwilę i piwo smakowało mi jakoś inaczej, było jakby mętne i zalatywało drożdżami. Kręcąc kuflem, zastanawiałem się, czy następny może być lepszy. Raczej nie. Kątem oka dostrzegłem, jak kasjer przekazuje pieniądze i składa raport. Kurgan wyglądał na zadowolonego. Nim

wyszędłem, Elegant poinformował, że jutro mam się stawić tuż po zmroku, uzbrojony. Podobno skapną z tego jakieś pieniądze.

Na kwaterę dotarłem dobrze po północy. Rozebrałem się i rzuciwszy odzież na podłogę, padłem na łóżko. Obserwowałem tańczące na suficie odblaski taniej, kopczącej świeczki, ale mimo że byłem zmordowany jak koń, za nic nie mogłem zasnąć. Ciągłe muszę zarobić spore pieniądze, tylko jak? Z ich powodu wpadłem w to śmierdzące bagno. Czy żeby je zdobyć, przyjdzie mi się w nim zanurzyć po same uszy? A jeśli tak, czy potem zdołam się z niego wykaraskać? Przed oczami stanęła mi Tril. Rano mam się dowiedzieć, co z nią. Świeczka zamigotała, po czym zgasła, a ja nadal nie spałem. Zaraz, na stole jest ostatnia deska ratunku. Właściwie butelka. Wstałem i znalazłem ją po omacku. Nocną ciszę rozdarł przeraźliwy gulgot spływającej do gardła gorzałki. Piłem powoli, bez przerwy, do utraty tchu. Kładąc się, pomyślałem – a właściwie po co mam oddychać? Przecież i tak chcę zostać na dnie.

Rozdział 20

Pieniądze za trupa



Rankiem zbudziło mnie słońce i chłód. Zapomniałem zamknąć okno, więc parapet pokrył się rosą. W ustach miałem suchość, jak to na małym kacu, za to nocny koszmar był już tylko mglistym wspomnieniem, tkwiącym gdzieś w tyle głowy. Przeciągnąłem się, czując chłód własnej skóry. Butelka na stole była opróżniona do połowy. Może by tak najpierw płynne śniadanie? Eee, lepiej nie. Otworzyłem drzwi i złapawszy rękami za futrynę, zacząłem się rytmicznie podciągać, mając przy tym widok z okna. Słońce stało tuż nad dachami, kominy rzucały długie cienie. Dobra, setka wystarczy. Zmiana pozycji: pompki przy stojce na rękach. Chłód, ciężki oraz wczorajsze zmęczenie zostały zapomniane, byłem rześki i przygotowany na nowy dzień. Rozgrzany, zbiegłem na podwórze i nabrawszy błyskawicznie wody ze studni, wylałem całe wiadro na siebie. Moje drugie solidne mycie w Cevinie. Uświadomiłem sobie, że jestem nagi. Na szczęście nikt z gości nie wstał tak wcześnie, jedynie w kuchni ktoś się krzątał. Wróciwszy na górę, wdziałem ubranie, które było już podobne do brudnych gałganów, włożyłem zbroję i okrywszy ją płaszczem, ruszyłem na spotkanie z Nikitą, wierząc, że należne mi dziesięć dukatów dostanę bezpośrednio od niej.

Odźwierny bez żadnych pytań zaprowadził mnie do mieszkania na piętrze. Nikita znowu była bosa, ubrana po domowemu, zmęczona i jakby przybita. Cóż, jeśli człowiek jest w kasynie do białego rana, trudno mu się dobrze wyspać. Może jednak jej kiepski nastrój był związany z wiadomością, którą dla mnie miała.

– Dzień dobry – rzekła na powitanie, podając mi jednocześnie duży, fajansowy kubek.

A cóż to takiego, u licha? No nie, gorące mleko! Siadła bezwiednie na stole obok bochenka chleba, skrzyżowała stopy i zaczęła nimi lekko huścić. Swój kubek trzymała oburącz, jakby chcąc, żeby ją ogrzał. Pod jej oczami, w świetle wciąż młodego dnia, rysowały się sinawe kręgi, ale biła od niej miła woń kąpieli. Wydawało się, że jest jakaś nieobecna. Mimo że byłem tu przede wszystkim z powodu Tril, opowiedziałem pokrótce, co załatwiłem za pieniądze Nikity, nie wspominając jednak o wszystkich drogach ucieczki. Głównie dlatego, aby nie mogła ich wyjawić komuś innemu. Moje sprawozdanie zbyła milczeniem.

– Pańska przyjaciółka ma się dobrze – powiedziała tylko, kiedy już skończyłem.

Dobrze, czyli jak? Gdzie jest? Co z nią zrobiliście? Jakiś czarnoksiężnik chciał ją zgładzić i co, już nie ma szans? – wyrzuciłem z siebie pytania, jedno za drugim, tak jak mi się nasunęły.

– Jest na wyspie, niedaleko wybrzeża. Mamy tam z Filipem dom – zaczęła wyjaśniać. Aha, Rybak to Filip Fauntlet, jej kochanek. – Pomógł jej Gytham, nasz... – zawahała się przez chwilę. – Nasz czarnoksiężnik. Czasem nie ma najlepszych dni, ale na szczęście wczoraj był w dobrym zdrowiu. Odgrodził pana przyjaciółkę, a gdy się otrząsnęła z szoku i wytrzeźwiała – Nikita spojrzała na mnie z wyrzutem – pokazał jej, jak się ma chronić. Muszę powiedzieć, że jest bardzo zdolna.

– Dlaczego nie wróciła?

– Wydaje mi się, że chciała spytać Gythama o parę spraw. Nie wiem, czy to się jej w ogóle przyda, ponieważ on nie jest całkiem normalny, czasami przez kilka dni nie odzywa się ani słowem. Ale czemu bym jej miała tego zabraniać? Kiedy zechce, przewieziemy ją z wyspy z powrotem na ląd.

Hm, ciekawe, kogo miała na myśli, mówiąc „my”, jednak nie spytałem o to. Najważniejsze, że z Tril jest dobrze.

Natomiast z Nikitą było najwyraźniej kiepsko.

– Czy w sprawie opuszczenia Strefy powinienem zrobić coś jeszcze? – zapytałem.

– Niech pan załatwi, żebyśmy mogła wyjechać jak najprędzej, choćby jutro – rzekła cicho.

Skinąłem głową. Przyglądałem się jej w milczeniu, jak patrząc

tępo przed siebie, obraca w dłoniach kubek. Widziałem już parę osób w takim stanie, wszystkie były na dnie, ich świat walił się w gruzy.

– Moja dzisiejsza zapłata. Pani posłaniec nie zastanie mnie w obozisku – przypomniałem.

– Ach, oczywiście. – Zeskoczyła ze stołu i podszedłszy zważowo do szafy, z jednej z szufladek wyjęła dziesięciopakietową. Dzięki wzmiance o pieniądzach jak gdyby wróciła do świata, w którym poruszała się pewniej, wiedząc, czego się może po nim spodziewać.

– Na panu można polegać, prawda? – powiedziała, najwyraźniej oczekując potwierdzenia.

– Dopóty, dopóki mi pani płaci – przytaknąłem z kamienną twarzą. Nie mogłem sobie pozwolić na okazywanie litości, zresztą jak zawsze, tym bardziej teraz w tak nieodpowiednim momencie.

Wziąłem monetę, dopiłem mleko i skinąwszy głową na pożegnanie, wyszedłem.

Był dość wczesny ranek, niemniej miałem nadzieję, że Gluwin, facet trudniący się nielegalnymi pochówkami na zlecenie pomagierów Tuhuki, będzie już na swoim miejscu.

Molo Karpa, gdzie niby jest jego rewir, znalazłem natychmiast. Zbudowane z wielkich głazów, sterczało z wody niczym grzbiet gigantycznego jaszczura. Z jednej strony pędziły długie fale, rozbijające się ze złowieszczym sykiem o kamienie, z drugiej, prócz pojedynczych plusków panował spokój. Sądząc po wytwornych statkach, które ujrzałem, opłaty za cumowanie musiały być niemałe. Hm, taki Gluwin, pewnie życiowy nieudacznik, czego by tu szukał? Stróż w portowej budzie też go nie znał. Ożywił się dopiero na wzmiankę o Głuchej Zatoce, posyłając mnie, chociaż bez większego przekonania, mniej więcej trzy kilometry na południe. Doradził też, żebym nie szedł wzdłuż brzegu, tylko wynajął powóz. Co też i zrobiłem – jak się okazało, bardzo słusznie.

Głucha Zatoka była w rzeczywistości płytką niecką w głębi lądu, połączoną z wybrzeżem małym strumieniem, który wydrążył w niej koryto. Prawdopodobnie odprowadzał wodę z okolicznych wzgórz. Tej jednak musiało spływać bardzo niewiele, bo na powierzchni mogłaby pływać co najwyżej dziecinna łódeczka, a nie czółno, o porządnej łodzi nawet nie mówiąc.

Okolica niecki wyglądała na zdziczałą i wyludnioną, na kamienistej ziemi rosły tylko cierniste krzaki, a do miasta było zbyt

daleko, żeby ktoś osiadł tu na stałe. Jednak pośród kamieni dojrzałem wyjeżdżone koleiny. Ruszyłem nimi, natykając się chwilę później na powóz, który tę ścieżkę wyłobił. No, powóz to za dużo powiedziane – tak naprawdę dwukółka z miejscem na... Aha, na dwa-trzy ludzkie ciała, dodałem w myślach, przypomniawszy sobie, po co przyszedłem. Pod niewysokim urwiskiem, w cieniu wybujałych krzaków dzikiej róży stała byle jaka chałupina, sklecona z desek, które kiedyś musiały tworzyć kadłub statku. Szpary w ścianach były poutykane gliną, drzwi na w pół otwarte. Na okolicznych kamieniach widniało mnóstwo ciemnych plam. Załomotałem i nie czekając na odpowiedź, wszedłem do środka.

Ogarnął mnie półmrok. Dwie skrzynie, łóżko ze stertą szmat, poza tym nic i nikogo. Już się zbierałem do wyjścia, kiedy szmaty drgnęły i wynurzyła się spod nich pomarszczona twarz z siwymi kępkami ostatnich włosów na głowie.

– A wy tu czego? – wyęgał ten ktoś.

Miał tylko kilka zębów, szerniałe i jednocześnie pokrwawione dziąsła. No i pochodzenie tamtych plam stało się jasne: staruch przez długie lata żuł betel. Usiadł, a wtedy spod łóżka wyturlała się flaszka, podobna do tej, która stała u mnie na stole.

– Gluwin to ty?

Przytaknął, po czym podniósł butelkę, by sprawdzić, czy nie ma w niej chociaż łyżeczka. Mógł mnie spytać, takie rzeczy widzę od razu.

– Podobno grzebiesz trupy w morzu.

Wciąż milczał, przyglądając mi się nieufnie.

– Miałbym dla ciebie robotę. – Wskazałem niedbale ręką za siebie, gdzie mógłby stać wóz, gdybym takim przyjechał.

– Trzy talary od łebka, a jak jest goły, wtedy cztery – podał cenę.

Czyli trafiłem dobrze.

– Czyś ty ostatnio nie pochował tej dziewczyny? – spytałem bez owijania w bawełnę, pokazując mu portrecik od Huspitzta.

Zerknąwszy, pobladł natychmiast i coś wymamrotał.

– Zapłacę jak za pochówek – powiedziałem na zachętę, jednak tylko pokręcił głową, dygocząc ze strachu.

– Panie, nigdy jej nie widziałem, przysięgam! – wydukał błagalnie, kurcząc się przy tym, jakby chciał być jak najdalej ode mnie.

– Powiedz, kto ci ją przywiózł, a dostaniesz całego dukata! –

próbowałem go nakłonić. – Dwa dukaty!

– Nie wiem, ja nic nie wiem!

Podszedłem bliżej. Wystarczyłoby go trochę przycisnąć, dodać parę pogroźek, wiem coś o tym z własnego doświadczenia. Podniosłem rękę i... Eee, co tam. Wyszedłem na zewnątrz. Mogę tu jeszcze wpaść z flaszką albo z dwiema, a wtedy przy pijackich pogwarkach wygada mi wszystko. Kto wie, może nawet miło by się nam rozmawiało.

Ciekawe, w jaki sposób zwłoki lądują w morzu? Ledwie to pomyślałem, przyroda jakby zechciała mi odpowiedzieć: gdzieś daleko rozległ się szum. Narastał stopniowo, by w końcu okazać się głosem szybko przybierającej wody, która wypełniała płytką nieckę. No jasne, przyływ. Niecka wraz ze strumieniem znajdowała się poniżej poziomu morza. Przez chwilę patrzyłem na kotłującą się wodę, po czym jałem się wspinać na zbocze, skąd przyszedłem. Powóz odjechał już dawno, trzeba było drałować na piechotę.

Wróciwszy na wybrzeże, zjadłem obfity obiad dla pięciu osób, wyrównując rachunki z żołądkiem, w tym zaległy za śniadanie. Gdyby nie to, mógłby sobie pomyśleć, że już po mnie. I znowu – nie zastałem w pracy Sileny, a na targowisku nie znalazłem żadnego ubrania mojego rozmiaru, oczywiście jeśli nie brać pod uwagę jakichś przedziwnych narzut o niejasnym przeznaczeniu. Później, zwiedzając jubilerskie kramiki, szukałem nakostnika Juany Huspitz. Już w trzecim sklepiku czekało mnie radosne powitanie.

– Mam coś dla pana, znalazłem to na bazarze pośród tanich świecidełek! – rzekł uradowany sklepikarz, po czym, najwyraźniej stropiony, dodał: – Ale musiałem zapłacić całkiem słono!

Przyjrzałem się bransoletce. Tak, to ona. I nie trzeba fachowca, aby się zorientować, że nie jest tandetnym towarem. Wykonanie pierwsza klasa, a sama ozdoba wyglądała znacznie lepiej, niż można by sądzić na podstawie ceny. Nietrudno wyobrazić sobie radość Juany, gdy narzeczony mocował wyrób na jej nodze. Ale jedna rzecz wyglądała tu źle. Źle dla panny Huspitz. Zapięcie z brązu było zamknięte i bez śladów uszkodzenia, bransoletki zaś w żaden sposób nie dało się ściągnąć przez kostkę.

– Gdzie ją kupiliście? – zapytałem, kładąc na ladzie wymienioną wcześniej sumę.

Sklepiarz zaniepokoił się. Po chwili ociągania otworzył tylne

drzwi i kogoś zawołał. Ze składziku wyszedł mały, umorusany chłopiec.

– Wiesz, gdzie to było przedtem? – warknął kupiec, wskazując nakostnik.

Chłopak przytaknął.

– Zaprowadzisz mnie tam? – spytałem.

Przytaknął znowu.

– Panie, on mi jest tu potrzebny! Nie poradzę sobie bez niego! – zaprotestował sklepikarz.

Przechyliłem się przez ladę, złapałem chłopca za rękę i przeniósłszy na swoją stronę, wypchnąłem z kramiku.

– Stawiam obiad, do tego dokładam talara. Co ty na to? – spytałem.

Przytaknął gorliwie.

Pieniądz okazał się wyrzucony w błoto, ponieważ chłopak zaprowadził mnie do handlarza starzyzną, który w rozłożonych na ziemi pudłach miał mnóstwo rozmaitych rupieci, a pamiętał raptem tyle, że sprzedającym było wielkie chłopisko, które wymieniło bransoletkę za wisiorek z czarem chroniącym przed duchami zmarłych. Ma się rozumieć – skutecznym czarem.

Co teraz? Obejrawszy nakostnik dokładniej, w imionach wyrytych na wewnętrznej stronie dojrzałem resztki czarnej, zakrzepłej krwi, których ktoś nie zdołał wypłukać. Poszedłem wprost do domu Huspitzza. Stary kupiec akurat miał gości, lecz dowiedziawszy się o moim nadejściu, zjawił się natychmiast i zaprowadził do swojej pracowni. Gdy siadał przy stole, jego oczy oraz malujące się na twarzy napięcie zdradzały, jak bardzo czeka na wieści.

– Pańska córka nie żyje – oznajmiłem oschle, kładąc na stole bransoletkę.

W milczeniu pokiwał głową, zaciskając palce na blacie tak mocno, aż zbiełały mu knykie. Opisałem zwięźle swoje działania, wyjawiając także, co też córka wraz z narzeczonym sobie zaplanowali.

– Została pochowana w morzu. Chyba jestem w stanie przekonać tego człowieka, żeby mi wskazał miejsce. Jednak wątpię, czy będzie to panu do czegoś potrzebne. Na razie nie wiem, kto ją zabił i dlaczego, ale wykrycie sprawcy wymaga dłuższego czasu, to

pewne.

– I co by mi z tego przyszło, skoro nie żyje? – wychrypiął Huspitz.

Miał już swoje lata, jednak teraz przypominał starca stojącego nad grobem. Uszła z niego cała energia.

– Chciałem mieć pewność. – Wskazał bransoletkę. – Widziałem ją u niej, więc wiem, co to znaczy. Zapracował pan na swoje pieniądze.

Odliczył uzgodnioną sumę. Zostawiłem go siedzącego z głową schowaną w dłoniach, w wygodnym pokoju bogatego, pustego mieszkania. Ci, którzy mnie ostatnio wynajmowali, jakoś nie byli zachwyceni wynikami mojej pracy. Natomiast kieszonka w pasie, gdzie trzymałem złoto, zrobiła się przyjemnie ciężka.

Rozdział 21

Noc zabójców



Wróciwszy do obozu, posiliłem się niespiesznie, zabrałem miecz, włożyłem rękawice i poszedłem do knajpy Tracza, zatrzymując się po drodze u kolejnego przewodnika kupieckich wypraw, gdzie zarezerwowałem miejsca w karawanie, która wyruszała już pojutrze. Wpłaciłem także zaliczkę.

O tej porze sala huczała niczym ul. Trwało dłuższą chwilę, zanim przedarłem się do kontuaru i dostałem piwo. Bractwo, co i rusz podniecone rozmaitymi niesprawdzonymi wieściami, było ciekawe, co tak naprawdę się szykuje. Jednocześnie wszyscy przeklinali szynkarza, ponieważ dostał zakaz podawania gorzałki. – Hej, wy tam! Zamknijcie się! Brit, którego poznałem podczas rozmowy z aptekarzem, stanąwszy na podwyższeniu, wymusił ciszę. W lewej ręce dzierżył dużą kuszę, wpierając jej koniec o ziemię. Przez ciżbę przepchnął się Krzywus i oparłszy się o szynkwasa, ukradł komuś piwo, szczerząc przy tym do mnie zęby. W zatęchłym powietrzu unosił się ciężki zapach piwa oraz smród spoconych ciał.

– Zaraz będzie rozróżba – rzekł Krzywus, pociągając łyk.

– Ktoś nam w tym mieście bruździ – ciągnął Brit, obserwowany przez siedzącego nieopodal Kurgana. – Pewnemu rybakowi się wydaje, że skoro potrafi łowić ryby, może też łowić na ulicach i wyciągać złoto z naszych sieci.

W sali rozległ się pomruk niezadowolenia.

– Pora już, żeby mu skopać dupę, najlepiej przy użyciu jego rybackiego sprzętu!

To zdanie wywołało poklask i powszechną wesołość. Krzywus potakiwał z uśmiechem.

– Obrobimy mu skład z towarem. Jak się okaże cenny,

dostaniecie premie. A kiedy już będzie pusty, podpalicie budę. Czy to jasne?

Mężczyźni wrzasnęli „jasne”. Coś się musiało wydarzyć, że Kurgan właśnie teraz wypowiada wojnę, tylko co?

– Gorąco będzie – powiedział proroczo ktoś obok.

– Do szefa mają się zgłosić... – Brit jął wymieniać nieznane mi imiona. Mojego wśród nich nie było.

Stół herszta obstało siedmiu ludzi. Pomimo panującego zgiełku od czasu do czasu dobiegał mnie skrzekliwy głos Kurgana, nie rozumiałem jednak, co mówi. Później mężczyźni wrócili i na czele mniejszych lub większych grupiek zaczęli wychodzić na zewnątrz. Aha, czyli byli to tacy pomniejsi dowódcy, odpowiedzialni za wykonanie poszczególnych zadań.

Sala stopniowo opustoszała, zostało zaledwie kilku ostatnich piwoszy. Niektórzy wyglądali na niezadowolonych z tego, że nie uczestniczą w napadzie, inni widać już mieli przydzielone zadania. Kurgan poszedł na górę, chwilę później udali się tam również jego przybocznicy. Krzywus zerknął w moją stronę, wzruszając przy tym ramionami. Czekałem, co się przydarzy. Chyba nie jestem tu, ot tak sobie.

Za moment wrócili Brit i Elegant, obaj w skórzanych kaftanach obitych metalowymi płytkami oraz w lekkich stalowych nagolennikach. Wobec strzały z długiego łuku albo kuszy były psu na budę, stanowiły jednak jako taką ochronę przed mieczem.

– Wy dwaj pójdziecie ze mną – zwrócił się do nas Elegant. – W ostatnim czasie Rybak załatwił paru naszych, niektórych w dość szpetny sposób. Szef chce, żebym go informował o przebiegu walki. Będziemy się tylko przyglądać.

Sęk w tym, czy rzeczywiście zabili ich ludzie Filipa? Na mój gust była to raczej sprawka ninjów Varatchiego. Dobra, ale co właściwie chciał osiągnąć człowiek cesarza, wywołując wojnę gangów? Krwawą jatkę na ulicach? To się nie trzymało kupy.

– A szef gdzie? – zapytałem.

– Nie twój interes – ofuknął mnie Elegant. Wzruszywszy ramionami, skinąłem na szynkarza:

– Jeden głębszy, z tej kanciastej butli.

Nalał mi bez sprzeciwów. Nie myliłem się – była w niej naprawdę ta smakowita, a jednocześnie mocna gorzałka o zapachu

igliwia.

– Idziemy, powóz już podjechał – nakazał Elegant.

Na ulicy czekała lekka, zaprzężona w cztery konie bryczka na dużych kołach, znakomicie resorowana długimi, metalowymi prętami. Konie, uprzęż i powóz, wszystko było czarne, nawet okucia nie rzuciły odblasków. Nie musiałem być fachowcem od powozów, by poznać, że to słabo widzialne cacko zostało specjalnie dostosowane do jak najszybszej jazdy po miejskim bruku. Woźnica potrząsnął lejcami, kopyta głucho zastukały po kamieniach i ruszyliśmy, kołyszac się lekko.

– Do zaułku Króla – rozkazał Elegant. – Stamtąd jest dobry widok.

Przytrzymałem się burty, żeby mną zbyt nie rzucało na zakrętach, zahaczając przy tym o skrzynię na podłodze.

– A cóż to takiego? – zaciekawilem się.

Elegant patrzył w milczeniu przed siebie. Odpowiedział mi z krzywym uśmiechem Brit:

– Nasza mała niespodzianka dla pana Filipa Fauntleta. Lepiej, żebyśmy z niej nie musieli skorzystać, bo czasami zachowuje się trochę nieobliczalnie.

Znający miasto woźnica gnał na złamanie karku, wybierając przeważnie nieoświetlone ulice. Wraz z gęstniejącą ciemnością robiło się coraz chłodniej. Mrużąc oczy przed podmuchami wiatru, trzymałem miecz między kolanami, a pochwa katzbalgera jak zawsze uwierała mnie w bok. Od czasu do czasu na idealnie wypolerowanej stalowej powierzchni odbijał się promień światła z odległej latarni.

– Piękna broń – zauważył Krzywus.

– Yhm – przytaknąłem.

Miecz przypomniał mi ojca, brata i całą tę długą drogę, która mnie od nich dzieliła. Siedzę oto w bryczce pędzącej z mroku w mrok, a na końcu czeka zabijanie. Z pewnością źle skręciłem na jakiejś krzyżówce, kto wie, czy nie powinienem pójść prosto. Lecz może był mi pisany taki los, żebym tłukł się nocami z bronią w ręce i zabijał, aż w końcu zabiją i mnie. Przecież podobały mi się walki w arenie. Tylne koła wozu na wilgotnym od rosy bruku wpadły w poślizg, musiałem się przytrzymać mocniej. Teraz już za późno na takie rozważania. Zasługuję na śmierć. Liczyło się tylko jedno: spłacenie ostatniej raty długu. Miałem jeszcze jedno życzenie – żeby

umieranie nie było zbyt bolesne. To jedyne, czego się bałem.

Bryczka zwolniła, powietrze wypełniło się ostrym zapachem morza, wnet dobiegł mnie szum fal. Zatrzymaliśmy się w wąskiej uliczce wśród podniszczonych domów, skąd rozpościerał się widok na plac z majaczącym w mroku dużym, dwupiętrowym budynkiem. W okolicy świeciła jedna jedyna latarnia. Długi gmach zamykał dostęp do morza, z jego obu stron sterczały strome skały. Byliśmy chyba na jednym z przedmieść, ponieważ wzdłuż brzegu ciągnęły się już tylko niezamieszkałe wzgórza. Większość okien dużego domu była zabita deskami, wyglądał na znacznie zaniedbany. Wrota miał jednak masywne i okute żelazem.

Usłyszałem charakterystyczne łopotanie żagli na wietrze.

– Psiakrew, mają tam statek, dranie! – zaklął Brit. – Co z naszymi? Już tu powinni być!

Chwilę później dostrzegłem, że przez szpary w okiennicach domu sączy się światło. Byliśmy więc koło składu Rybaka. Ciekawe, w jaki sposób ludzie Kurgana mają zamiar go zdobyć.

Nagle na drodze równoległej do nabrzeża pojawił się pierwszy wóz. Trzasnął bicz, rozległ się czyjś krzyk.

– Co za durnie – sapnął Elegant. – Mieli być cicho!

Za pierwszym wozem jechał drugi, potem kolejne.

– Z tymi drzwiami nie pójdzie im lekko, przydałby się taran – powiedziałem.

Pierwszy wóz sunął wzdłuż przedniej ściany składu. Była to zwyczajna furmanka do przewożenia ciężarów, teraz trzęsło się na niej ośmiu mężczyzn. Trzech obrzuciło czymś zabite okna, chwilę potem płomienie rozproszyły ciemność i ogłuszyła nas potrójna eksplozja. Pasażerowie drugiej fury zrobili to samo. Kolejne wybuchy. Napastnicy jęli hałaśliwie wiwatować, ponieważ deski odpadły i droga stała otworem.

– Cholera, co to takiego? – wykrztusiłem zaskoczony.

Krzywus nie wiedział.

– To nasze bomby – wyjaśnił Elegant. – Niespodzianka.

– Jakież czary? – spytał bojaźliwie Krzywus.

Nie, czarny proch, tak naprawdę prosta zabawka. Jedną z rzeczy, potrzebnych do jego produkcji, jest gnój – zachichotał Elegant, jakby to miał być dowcip. Nie wierzyłem w ani jedno słowo.

Kiedy do ataku szykowała się trzecia furmanka, w górnych

oknach domu zjawili się strzelcy, zasypując napastników strzałami z kusz. Sądząc po ich ilości, w każdym oknie na drugim piętrze stało trzech albo czterech kuszników. Ostrzał sprawił istną rzeź, woźnica runął na ziemię jako pierwszy. Konie jeszcze przez chwilę pędziły galopem, po czym wraz z wozem znikły w snopie światła i kłębach dymu: piekielna eksplozja zagłuszyła wszystko. Usłyszałem koło uszu jakiś świst i zaraz potem Krzywus złapał się za ramię, wykrzywiając twarz w grymasie bólu.

– Wpadła im do wozu bomba, dlatego wybuchło wszystko, co tam mieli – szepnął niedowierzająco Elegant. – Nie wiedziałem, że to taka siła.

– Psiakrew, boli – narzekał Krzywus. Jęcząc, wyrwał z przedramienia kawałek pogiętego żelaza i pokazał go nam.

– To na pewno z tego wybuchu – stwierdził.

– Yhm, bomby są zrobione z połączonych żelaznych rurek, do których sypie się proch – przytaknął Brit.

Pozostałe załogi furmanek zmieniły taktykę. Napastnicy próbowali dostać się pod dom pieszo, ale wskutek prowadzonego z góry ostrzału wielu z nich oberwało. Wreszcie ktoś wpadł na pomysł, żeby rozbić latarnię, dzięki której obrońcy mogli celnie mierzyć.

Chwilę później było po wszystkim. Opór ustał, słyszeliśmy tylko przekleństwa i złorzeczenia mężczyzn przeszukujących dom.

– Jest pusty! Te dranie nie trzymają tu niczego! – wrzasnął któryś.

– To pułapka! Wynoście się stamtąd! – krzyknął Elegant.

W tym momencie cały budynek zadrżał, po czym przy narastającym łoskocie zaczął się walić. Dwójka zdążyła wybiec, pozostali zostali uwięzieni w ruinach. Ujrzeliśmy mały dwumasztowiec pod pełnymi żaglami, przechylony pod naporem wiatru, niemniej cały czas w jednym miejscu. Po chwili jakby ktoś przeciął niewidzialną linę i statek pomknął w dal.

– To domisko nie stało na ziemi, tylko na wbitych w dno i naciętych palach, które teraz zerwał ten statek. Wszystko mieli przygotowane – rzekł cicho Elegant, przyglądając się paru osłupiałym niedobitkom z jego szturmowego oddziału.

– Jedziemy. – Oderwał się od ponurego widoku. – To dopiero pierwsza część naszego planu. Zobaczmy, kto rano będzie górą.

Woźnica cmoknął na konie, a te zaczęły powoli zawracać. Kto by pomyślał, że przytrafi się nam coś takiego! Podczas powrotnej, znacznie wolniejszej jazdy nie padło ani jedno słowo. Woźnica odjechał, gdy tylko wysiedliśmy przed karczmą. W środku nie było tłumów, jednak doliczyłem się dwudziestu chłopca. Elegant zamówił przy szynkwasię dużą wódkę, wypił ją jednym haustem i ruszył schodami na piętro. Brit, trzymając w ręce kufel piwa, podszedł do stołu szefa. Ja i Krzywus staliśmy w milczeniu obok siebie. Co poniektórzy przyglądali się nam z zaciekawieniem, ale nikt o nic nie pytał. Zamówiwszy grzane wino, popijałem je drobnymi łyčkami. Kurganowi najwyraźniej coś nie wyszło. Filip Fauntlet zrobił go na szaro: puścił w obieg fałszywą informację, wykorzystując ją do zastawienia pułapki. Szum rozmów i pobrękiwanie kufli ucichło, ze swoich niebios zstąpił do nas Kurgan we własnej osobie. W świetle lamp jego łysina lśniła, a podbródek zdawał się być wykuty z granitu. Kurgan poruszał się wolno, z pewnością człowieka, któremu wszyscy zejda z drogi.

– Mam dla was robotę, coś ekstra, za duże pieniądze – rozpoczął. Wzmianka o pieniądzech poprawiła nastrój na sali.

– Teraz zaraz zrobimy nalot na kasyno tej wywłoki od Rybaka. Každy uczestnik dostanie dziesięć dukatów. Ten, który tę babę załatwi, otrzyma ekstrapremię. Pięć dych. A za żywą dam dwie stowy. Rozumiecie?

Odpowiedzią był okrzyk zachwytu.

– Dwie stowy to kupa forsy – rzekł zamyślony Krzywus.

Zgadza się i nikt tego nie wiedział lepiej niż ja. Właśnie tyle mi brakowało do spłacenia długu – dwie setki.

– Chcę, żeby každy był uzbrojony jak należy. Ta suka ma tam kilku wyspiarzy, którzy się znają na walce. Nie możemy się z nimi cackać – ciągnął Kurgan.

Po tych słowach zwalisty, krępy facet podniósł małą czworokątną tarczę oraz kiścień – nabijaną kolcami kulę połączoną grubym łańcuchem z krótkim trzonkiem. To iście niszczycielska broń, a kto jej używa, potrzebuje zwinnych nóg, gdyż zanim zdoła uderzyć, musi uniknąć ciosów wroga. I niebywale silnych ramion, ponieważ wprawienie ciężkiej kuli w ruch jest trudne. Ale obrona przed kiścieniem bez tarczy to rzecz wręcz niemożliwa, człowiek może jedynie robić uniki z wiarą, że w porę umknie. Tylko co komu

przyjdzie w mieście z takiej broni?

Plan Kurgana był prosty. Jego ludzie mieli się podzielić na dwie grupy i z obu stron jak najszybciej sforsować palisadę, która z boku chroniła przystań należącą do kasyna. Dwóch krzepkich chłopów przyniosło dużą skrzynię pełną bomb. Wyglądały jak naprędce sporządzone wałki zaślepione na obu końcach, przy czym z jednego wystawał sznurek podobny do knota świeczki. Dostali je tylko niektórzy. Od razu było widać, że znają się na rzeczy. To zdumiewające: Kurgan nie wyglądał na jakiegoś mądrałę, a jednak rządził swoją bandą znakomicie. Po prostu dzielił swoich według ich umiejętności dowodzenia oraz pokładanego w nich zaufania. Weźmy przykładowo mnie: jeszcze do dzisiaj nie miałem żadnego pojęcia o bombach, bo też nikt mi o nich niczego nie powiedział. A taki Pat, mój stary przyjaciel, któremu za postawioną wódkę odwdziczyłem się ciosem w brzuch, wziął ich cały worek i spokojnie pomaszerował za innymi.

Brit zamienił z Elegantem parę słów, po czym obaj dali znak Krzywusowi i mnie, byśmy przyszli do ich stołu. Czekają już tam dwa byczki, które brały udział w spotkaniu z aptekarzem.

– My dwaj wchodzimy do kasyna – przystąpił od razu do rzeczy.
– Po pierwsze: wywołujemy zamieszanie, a po drugie: musimy tej babie, jeśli tam będzie, uniemożliwić ucieczkę na piętro. Ma paru ochroniarzy, więc razem z nimi może się bronić, zanim nadejdzie pomoc. A my nie jesteśmy zainteresowani, żeby walka się przedłużała. Po prostu chcemy ją dopaść. Czy to jasne?

Natychmiast przypomniałem sobie słowa Nikity o czarach chroniących kasyno.

– Pilnują wejścia. Są tam podwójne drzwi, a nigdy nie jest tak, żeby były otwarte równocześnie – wtrąciłem.

– My pójdziemy inną drogą, tą dla wychodzących gości – wyjaśnił cicho Elegant.

Aha, między nami jest ktoś, kto zdradził Filipa Fauntleta.

– A czy można zaufać facetowi, który ma nam otworzyć drzwi? Ludzie gadają, że rybacy stoją murem za swoim szefem. A z kolei ci wyspiarze mają fioła na punkcie Nikity – powiedział Krzywus, popatrując to na Brita, to na Eleganta i masując przy tym knykcie swoich ogromnych pięści.

– Każdego można kupić, wszystko zależy od ceny. Jednak

czasami chodzi nie tylko o pieniądze – rzekł Elegant tonem, z którego jasno wynikało, że dalsza rozmowa na ten temat nie ma już sensu.

Milczałem, widząc przed oczyma tych dwieście dukatów. Były mi potrzebne. I to jak. Za wszelką cenę.

– Czyli wpadamy i jak tam będzie, zabieramy ją, a potem w nogi – podsumował plan Krzywus. – Ale jeśli jej nie przyważymy, co wtedy?

To znaczy, że będzie na zewnątrz. Mają ładować jakiś towar. Chyba coś ekstra, bo do swoich machlojek Rybak jeszcze nigdy nie wykorzystywał jej domu. Przejdziemy przez kasyno, zakatrupimy paru ludzi i pomożemy naszym dostać się do środka. Jak tylko ją capniemy, spadamy. Jeszcze jakieś pytania?

O stół piasnęła mokra szmata, brzęknęło szkło. Sala była pusta, szynkarz zaczął robić porządki.

– Bryczka już czeka. Atakujemy zaraz po pierwszej eksplozji.

Na zewnątrz stał ten sam powóz, którym tak niedawno jechaliśmy. Nie wiadomo tylko, czy z tym samym woźnicą i końmi. Jazda do kasyna trwała raptem chwilę, nawet nocą poznałem drogę – ostatecznie włóczyłem się tędy już od paru dni. Milczałem, dumając o złocie, czarach i o Nikicie. Jeden zły uczynek niczego tu nie zmieni.

Zatrzymaliśmy się w bezpiecznej odległości i wysiedli. Oba byczki były uzbrojone w krótkie, szerokie miecze oraz bomby, obaj także kopcili fajki, ale nie był to przejaw zuchowatości, po prostu musieli czymś zapalić lonty. Brit zdecydował się na zgrabną, nieco wygiętą szablę, Elegant miał lekki oficerski miecz. Krzywus w lewej ręce dzierżył cep, w prawej sztylet z dużą gardą. Ja, stanąwszy na czele naszego oddziałku, kroczyłem swobodnie, chociaż czujny, trzymając przed sobą głównie miecza i katzbalgera. Powód był prosty: w chwili, kiedy dotrzemy do sali, chciałem być jak najdalej od dwóch bardzo brzydtko wyglądających bomb. Ponadto, skoro zależy mi na dwustu dukatach, muszę się znaleźć przy Nikicie jako pierwszy. Przy żywej Nikicie. Później... później może sobie uciec. Jasne, że to słaba pociecha dla wyrzutów sumienia, ale teraz najważniejsze były pieniądze. Dwieście złotych dukatów. Przykleiliśmy się do ściany kilkanaście kroków od wejścia do kasyna. Nasza broń pobłyskiwała nawet w tym nędznym świetle.

W ciemności rozległ się skrzeczący głos mewy.

– Podpalcie je! – syknął Elegant.

Zacząłem odliczanie. Dziesięć. Pierwsza eksplozja, po niej cała seria następnych. Puściłem się biegiem, otworzyłem kopniakiem drzwi wejściowe i po dwóch susach natarłem barkiem na dwuskrzydłową bramę dla wychodzących gości. Byłem przygotowany i na to, że z połamanymi kośćmi wyląduję na ziemi, ale z drugiej strony coś trzasnęło i znalazłem się w korytarzu.

Po wcześniejszym mroku ostre światło kłuło oczy, za sobą słyszałem przeraźliwe okrzyki oraz szczęk stali. Przebijając się do sali gry, zostałem bez miecza i katzbalgera. Strażnika z lewej zauważyłem zbyt późno, tak był szybki. Jego noga tylko mignęła, uderzając mnie mocno w ramię. Zdołałem jednak utrzymać równowagę i wyrównać krok. Stojący przy stołach gry zastygli zdumieni, niczym posągi – kobiety z ustami otwartymi do krzyku, mężczyźni gotowi ciskać przekleństwa. Przewróciłem karciany stolik, później zrobiłem skok przez ruletkę. Jeden z ochroniarzy, typowy wyspiarz, rzucił się w moją stronę, lecz w tej samej chwili podłoga zadrżała od wybuchu i rozległy się pierwsze jęki. Zafurczała odcięta głowa Brita. Odbiwszy się od ściany tuż przede mną, wpadła między wózki z jedzeniem. Powietrze zbielało od gryzącego dymu, z którego nagle wychynęła pięść. Sparowałem cios przedramieniem, zadając jednocześnie uderzenie łokciem, niestety w pustkę, i pobiegłem dalej. Stół. Przeturlawszy się po nim, znalazłem się przed małymi drzwiami. Strażnik nie dawał za wygraną. Przesadził stół, lecz gdy lądował, ja, jeszcze w kuckach, podciąłem mu nogę i zanim zdążył się podnieść, byłem już na zewnątrz.

Na płaskiej plaży płonęły ogniska, przy drewnianym pomoście kołysał się statek, ustawieni rzędem mężczyźni właśnie kończyli załadunek. Odwykłe od mroku oczy nie widziały niczego więcej. Ziemią wstrząsnęły trzy eksplozje, poczułem charakterystyczną, kwaśną woń dymu. Już wiem, skąd się bierze. Przez palisadę gramolili się ludzie z kuszami gotowymi do strzału. Kolejny wybuch. Poza mną z kasyna nie wybiegł na razie nikt.

– Te ostatnie skrzynie są najważniejsze! Czemu, do cholery, jeszcze ich nie ma na statku? Miały tam być już dawno! – pieklił się facet na końcu mola. Oho, Filip Fauntlet we własnej osobie.

Stałem na chwilę z głową wtuloną w ramiona. Byłem sam

pośród wrogów, do tego bez broni. Parę kroków od grupki mężczyzn upadło coś ciężkiego. Dojrzawszy czerwony blask lontu, padłem plackiem na ziemię. Trrrach! Nad głową przeleciał mi rój odłamków, z pięciu ludzi pokotem leżało trzech.



– Psiakrew, musimy to załadować za wszelką cenę! – zaklął Fauntlet, po czym pognął do skrzyń.

– Uwaga! Leci!

Nadwerżona wybuchami środkowa część palisady zawałiła się, strzelcy skakali z niej, żeby umknąć przed padającymi szczątkami. A wnet w powstałej wyrwie zjawili się kolejni ludzie Kurgana.

– Nie damy rady! Na statek! – krzyknął któryś z ładowaczy, ale Fauntlet jednym ciosem posłał go na ziemię i sam podał skrzynię następnemu.

– Rusz dupę!

– Tam jest! – rozległ się czyjś wrzask i piątka naszych, zmieniając kierunek, pobiegła w stronę morza.

Dopiero teraz dostrzegłem Nikitę. W swoim skórzanym odzieniu stapała się z otaczającą ciemnością. W ręce trzymała niezwykle dużą kuszę. Ognisko nieopodal buchnęło blaskiem i wtedy ujrzałem ją dokładnie: kości policzkowe, uwypuklone przez grę światła i cieni, napiętą skórę, lśniące włosy. Popędziłem co tchu, żeby być przy niej wcześniej niż tamci.

Wycelowała niespiesznie i jeden z napastników runął na ziemię z rozłożonymi rękami. I znowu, i jeszcze! To nie do wiary, puła z tej kuszy bez nakładania strzał! Wtedy, przed kasynem, posługiwała się taką samą bronią. Podbiegł do niej mężczyzna z kiścieniem, ale ledwie wziął zamach, grot roztrzaskał mu czaszkę. Przeraziłem się, że teraz mnie obierze sobie za cel. Jeszcze dziesięć metrów. Osiem. W powietrzu zamigotały dwa jasne punkty, padając między mną a Nikitą. Wybuch nastąpił wcześniej, niż zdążyłem upaść na ziemię.

Otworzyłem oczy. W rzedniejącym szybko dymie zobaczyłem, że Nikita leży kawałek ode mnie. Jęczała, z uszu ciekła jej krew, na prawym policzku miała głęboką ranę. Coś mówiła, lecz nie usłyszałem. Pokazała ręką na statek. Fauntlet podnosił ostatnią skrzynię, patrząc przy tym na Nikitę. Większość jego ludzi właśnie skakała z pomostu na pokład. „Pomóż mi” – chyba to mógł odczytać z jej warg.

Zacisnął usta i z zadartą głową wskoczył na trap, po czym pewnym krokiem przeszedł na pokład. Skierowałem swój wzrok tam, gdzie przed chwilą patrzył Filip. Do Nikity zbliżała się kolejna grupka napastników. W ich twarzach, oświetlonych przez płonący

budynek kasyna, malowała się wściekłość. Zapomnieli o pieniądzach, teraz byli żądni mordy. Tymczasem ja za wszelką cenę potrzebowałem żywej Nikity, która właśnie usiadła, z obojętną miną spojrziała na nadchodzących zbirów, po czym znów obejrzała się za odpływającym statkiem. Jej oczy ziały pustką.

W tym momencie stałem już przy niej, wataha była tuż-tuż. Nie namyślając się długo, podniosłem z ziemi tarczę i kiścień. Zamach, szcęk prężącego się łańcucha i facet trafiony kulą osunął się, wydając ostatnie tchnienie. Natarłem na następnego, robiąc unik przed cięciem. Uderzenie i odskok. Sztych z prawej sparowałem tarczą, a błyskawicznie wyrzucona kula zmieniła czyjeś żebra w miazgę. Teraz obrót, ciężka klinga drasnęła mnie w ucho, po czym dziabnęła w ramię. Ugięły się pode mną kolana, jednak walczyłem dalej, wbijając krawędź tarczy w bok napastnika. Kolejny unik i zamach, ile sił w ręce. Przeciwnik chciał zablokować łańcuch mieczem, a wtedy kula owinęła się wokół głowni. Szarpnąłem i został bez broni. Kopniakiem w krocze posłałem go na ziemię, a ciosem tarczą z góry złamałem kark. Stałem, dysząc ciężko. Mój płaszcz był zbroczony krwią, wokół leżeli ludzie, których dopiero co zabiłem. W pobliżu nie widziałem nikogo poza nami. Na razie.

– Łódka, czółno, cokolwiek, co pływa! – wykrztusiłem.

Nikita obojętnym ruchem wskazała lewą stronę pomostu. Złapałem ją za ramię. Wzbraniała się, ale byłem silniejszy.

Mijając ognisko, rozkopałem je, dzięki czemu staliśmy się mniej widoczni. Także tutaj kamienne molo miało przedłużenie w postaci drewnianego pomostu. Stąpając ostrożnie po skrzypiących deskach, zatrzymałem się na samym końcu. Dwa metry pod nami kołysała się szalupa. Odłożyłem broń.

– Zejdź na dół – poleciłem.

– Nigdzie nie idę – warknęła i stała nadal.

Z budynku wypadli jacyś ludzie. Ja widziałem ich wyraźnie, sam pozostając słabo widoczny na tle ciemnego morza.

– Jak chcesz – powiedziałem, jednocześnie spychając ją w dół. Spadła jak kot, na cztery łapy, jednak nie odezwała się ani słowem.

Zabrawszy tarczę i kiścień, jałem schodzić po oślizłych, nasiąkniętych wodą szczeblach. Na szczęście w szalupie były wiosła.

Rozdział 22

Piasek na wietrze



Przy wysokich falach żołądek podchodził mi do gardła, ale robiłem, co mogłem. Szczęśliwie udało mi się opuścić strefę najsilniejszego przyboju i zniknąć z pola widzenia. Szum morza zagłuszał wszystkie dźwięki, nie miałem więc pojęcia, czy ktoś nas ściga. Znowu byliśmy na szczycie fali i twarz splukała mi lodowata woda, a rany i otarcia zapoznały się ze szczypiącą solą. Wnet potem zjazd w dół, a tego mój żołądek już nie wytrzymał.

– Dokąd teraz? – burknąłem, wypłukawszy usta z najgorszego posmaku wymiocin. Po następnej fali okazało się, że na tym nie koniec.

– Wiosłuj tak długo, aż tamte dwa światła nie spłyną w jedno. Potem będziemy dryfować aż do wysepki Dodo. Poznasz ją po spienionych falach. Od strony otwartego morza jest miejsce, którego można przepłynąć między skałami – odparła beznamiętnie.

– Byłaś już tam kiedyś? Przytaknęła.

– Może więc ty spróbujesz? Pokręciła głową.

– Przecież to ty chcesz się uratować – dodała po chwili.

Wiosłowałem, patrząc na dwa ledwie widoczne światełka. Gdyby mi o nich nie powiedziała, pomyślałbym, że są tylko urojeniem. Właściwie czemu ja to wszystko robię? Na szczęście spienione morze oraz mój żołądek wymagały skupienia, które nie pozwalało snuć takich rozważań, więc kiedy jakiś czas później w blasku księżycy ujrzałem biały kołnierz fal, nie zdążyłem się nawet przerazić. Zbliżaliśmy się do wyspy. W miejscu, gdzie woda wyglądała na względnie spokojną, jąłem szaleńczo wiosłować w stronę brzegu. Pomysł był dobry, ale tylko częściowo, ponieważ i tak nadeszła większa fala, i przy wtórze trzeszczącego drewna

wyrzuciła nas na ląd. Oczywiście szalupa nie wytrzymała tak ostrego lądowania.

– Oboje jesteśmy przemoknięci do suchej nitki, musimy się wysuszyć – stwierdziłem niezbyt odkrywczo. Wydawało mi się jednak, że muszę mówić do Nikity. Jej milczenie i odrętwiałość wzbudzały niepokój.

Wyspa była piaszczysta i chyba nieduża. Niedaleko od brzegu odkryłem niewielką łąkę, jako tako osłoniętą przed wiatrem przez na wpół zeschnięte krzaki tarniny. Nazbierane patyki ułożyłem w stos, a nożem naciąłem garść cienkich płatów kory brzoźowej. Następnie ułamałem giętką gałązkę, odciąłem z płaszcza pasek skóry i połączyłem nim luźno końce gałęzi. Jeden z patyków zaostrzyłem w szpic, w drugim wydlubałem płytki otwór. Zawiązałem na pasku pętlę, przez którą przewlokłem palik i umieściwszy grot w dziurce, jąłem wiercić tak długo, póki drewniany miał nie zaczął się żarzyć. Za trzecim razem, kiedy już w ogóle nie czułem chłodu, udało mi się rozpalić ogień. Nikita przez cały czas siedziała na piasku, z kolanami podciągniętymi pod brodę.

Jeszcze trochę gałęzi i z obu stron ogniska powstały dwa prowizoryczne posłania. Zawsze to lepsze od siedzenia czy też leżenia na zimnym piasku. Zdjąwszy z ulgą zbroję, oparłem ją o drzewo. Płomienie tańczyły w podmuchach wiatru, wirujące ziarenka piasku szczypały mnie w skórę. Skrzypienie gałęzi mieszało się z hukiem fal, od czasu do czasu gdzieś blisko odzywała się cykada. Susząc płaszcz nad ogniem, czułem śmiertelne zmęczenie. Lewe ramię bolało od kopniaka strażnika kasyna, prawą ręką poruszałem z najwyższym trudem. Na szczęście naramiennik osłabił uderzenie, więc zarówno staw, jak i mięsień były całe.

– Nie mogłam się wtedy nawet ruszyć, a on widział mnie, jak tam leżę, i nie pomógł mi – szepnęła Nikita.

O co jej chodzi? Po chwili zrozumiałem, ale co ja tu mam do powiedzenia? W naszej sytuacji chyba lepiej być praktycznym.

– Trzeba wysuszyć odzież. Zajmę się tym. Tymczasem możesz się okryć moim płaszczem – rzekłem.

Podczas gdy się rozbierała, ja gromadziłem zapas chrustu. Ogień dawał ciepło, tak potrzebne po tej morderczej przeprawie szalupą. Kiedy wróciłem, leżała na posłaniu z gałęzi, opatulona moim płaszczem, z którego wystawała jej tylko głowa i czubki stóp. Teraz

sprawiła wrażenie jeszcze drobniejszej i bardziej kruchej niż wcześniej. Chwilę później ogień ledwie pełgał, pewnie zapadłem w krótki sen. Dorzuciwszy drewna, ułożyłem przy ognisku mokre patyki, niech podeschną.

– Bałam się zostać sama. No i teraz jestem – powiedziała głośno.

Jej oczy lśniły. Być może już mówiła coś wcześniej, a ja tego nie słyszałem.

– Tobie zapłaciłam i przyszedłeś mi z pomocą. Uratowałeś mnie. Wyłącznie dla pieniędzy – wybuchnęła płaczem.

Obszedłem ognisko i kucnąwszy obok, wziąłem ją za rękę. Właśnie tak matka uspokajała moje młodsze rodzeństwo. Mnie nigdy, bo nie byłem płaczliwy. Milczałem. Nie był to najwłaściwszy moment na wyjaśnienia, że początkowo wcale nie zamierzałem jej ratować. Po prostu spałem robotę.

Usiadła i przyłgnęła do mnie. Głaszcząc jedną ręką jej włosy, drugą podpierałem plecy. Płaszcz zsunął się nieco z jej ramion i uzmysłowiłem sobie, że jest jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek spotkałem. Próbowałem na nią za bardzo nie patrzeć i być odporny na ciepło jej ciała, lecz ona, przytuliwszy się mocniej, odchyliła głowę. Miała zamknięte oczy, na rzęsach skrzyły się kryształki soli. Pocałowałem ją w czoło, a wtedy jeszcze bardziej wykręciła głowę do tyłu. Pocałowałem znowu, tym razem w usta, po czym delikatnie położyłem ją na plecy i rozchyliłem płaszcz. Popełniasz błąd, pomyślałem, jednak było już za późno. Kochałem się z nią, odnosząc wrażenie, że jest z kryształu, który w każdej chwili może się rozkruszyć. Cały czas tuliła się do mnie, a jej oczy pozostały zamknięte.

Później leżeliśmy obok siebie przy dogasającym ognisku, grzejąc się nawzajem.

– Znam go od dzieciństwa. Jest parę lat starszy ode mnie – zaczęła snuć swoją opowieść.

Słuchając tego miękkiego głosu, rozkoszowałem się bliskością jej ciała.

– Jego matka przyszła do naszej wioski z Gythamem, tym czarownikiem, który pomógł twojej przyjaciółce. Ja i Filip wychowywaliśmy się razem, miałam do niego słabość. Później ktoś zamordował jego matkę, musiał więc zadbać o siebie sam, a ponieważ był bardzo sprytny i zaradny, szło mu dobrze.

Kochaliśmy się, planując, jak się kiedyś urządzimy. Wiesz, takie zwyczajne marzenia: mały dom, dzieci i tak dalej. Tylko że potem wszystko wzięło w łeb. Wioska podupadła, zaczęłam prowadzić kasyno. Później odkrył te podwodne rzeczy, ale wciąż było nam nieźle. Myśleliśmy o większym domu, o wygodniejszym życiu, lecz on chciał coraz to więcej i więcej. A im dłużej prowadził tę niebezpieczną grę, tym bardziej się zmieniał. Pieniądze i władza zniszczą każdego człowieka. Staje się okrutny, wyrachowany, bezwzględny. Widzę to po sobie. A teraz się uparł, żebyśmy wyjechali ze Strefy, osiedli gdzieś indziej i żyli w dostatku. Chce powtórzyć fortel Jurnsa. Sprawy zaszły już tak daleko, że...

Chętnie bym się dowiedział, cóż to takiego fortel Jurnsa, ale nie chciałem jej przerywać. Zamilkła z głową położoną na ramieniu i dopiero po dłuższej chwili, nie kończąc ostatniego zdania, dodała:

– Spodziewam się z nim dziecka. Właśnie dzisiaj chciałam mu to powiedzieć, lecz nie dowie się tego nigdy.

Drzemałem przy niej do czasu, kiedy noc zaczęła blednąć, po czym wstałem ostrożnie, okryłem ją i rozgarnąłem żar. Żółta poświata rozdarła na chwilę szarzejący mrok. Pozbierawszy rozrzuconą na piasku odzież, ubrałem się. Nikita wymamrotała coś przez sen i zwinęła się w kłębek. Materiał był wilgotny, wzdrygnąłem się z zimna. No cóż, trzeba znów wskoczyć w niewygodny pancerz i liczyć na to, że da trochę ciepła. Usiadłszy na swoim miejscu, czekałem, sam nie wiedząc na co. Chyba na nadejście dnia.

Gdzieś pośród drzew odezwał się pierwszy ptak, po chwili martwej ciszy odpowiedział mu inny. Koniec nocy, chociaż najjaśniejszy skrawek nieba miał na razie barwę popiołu. Po krótkiej flaucie znowu podniósł się wiatr, tym razem od strony morza. W przybywającym świetle widziałem, jak ziarenka piasku zasypują moje ślady prowadzące do posłania Nikity.

Rozdział 23

Niebezpieczne znajomości



Tuż przed wschodem słońca usłyszałem skrzypienie drewna oraz rozkazy wykrzykiwane gardłowym głosem. Wyspa była mała, nie można było się tam nigdzie schować ani uciec.

– Przyłóżcie się do wiosł, psiakrew! – W me uszy wbiły się słowa niesione podmuchem wiatru. Nikita otworzyła oczy.

Były czarne i w chwili, gdy umysł wyrwał się ze snu, przypominały oczy przerażonej sarny. Później niepewność, wyparta przez trzeźwe myślenie, zniknęła, ale ja wiedziałem, że zapamiętam je właśnie takimi.

– To Kahuk, zastępca Filipa i jego prawa ręka – rzekła zaspanym głosem. – Szukają ludzi, którzy uciekli z kasyna.

I jak gdyby nigdy nic, leżała nadal. Znów była kobietą niezależną, szefową kasyna, człowiekiem trzymającym życie w swoich rękach, a przynajmniej na tyle, na ile to możliwe. Ja jednak wiedziałem, że rzeczywistość wygląda inaczej.

Skinąłem potakująco głową.

Słysząc było wyraźne skrzypienie wiosł w dulkach, szorowanie stępki o piasek i pokasywania mężczyzn, którzy chwilę wcześniej dali z siebie wszystko.

– Ktoś tu wylądował, zachowajcie ostrożność! – zabrzmiało ostrzeżenie Kahuka.

Zerknąłem na tarczę oraz kiścień, leżące pod pniem brzozy. Jakby co, naszych wybawców mogła spotkać niemiła niespodzianka. Oczywiście pod warunkiem, że nie mają ze sobą tych okropnych, strzelających w nieskończoność kusz.

Między dwoma krzakami tarniny zjawił się kudłaty facet z chustką wokół szyi. W ręce trzymał zakrzywiony nóż, podobny do

kindżału.

– Są tutaj! – krzyknął.

Wciąż siedząc, niespiesznie włożyłem rękawice bojowe. Nikita nawet sobie nie zadała trudu, żeby się obejrzeć.

Barczysty, ostrzyżony na jeża mężczyzna z szablą, przedarłszy się przez krzaki, stanął na skraju polanki. Spojrzał na mnie, na Nikitę, po czym obrzucił wzrokiem ziemię. Z jego oczu biła zazdrość, najwyraźniej szukał śladów, które świadczyłyby o tym, że nocą byliśmy razem. Te jednak już dawno zasypał wiatr. Co za nadgorliwość! Przecież to nie on jest jej kochankiem.

– Psiakrew, a ty kto? Wstań i odłóż broń! – ryknął na mnie.

Byłem w podłym nastroju, gorzej – byłem wściekły, dokuczало mi ramię i nie miałem pojęcia, skąd w ciągu trzech dni wytrzasnę dwieście dukatów. Co więcej, skręcało mnie z głodu, miałem też ochotę na dużego kielicha. A tak nawiasem mówiąc, nie trzymałem żadnej broni.

Posłusznie wstałem i powoli ruszyłem w jego stronę. Patrzył na mnie zaskoczony, podobnie jak pozostali mężczyźni, którzy tymczasem obstarpi polankę. Wyprostował rękę z szablą, ale wciąż stał na swoim miejscu. Widać nie wyobrażał sobie, że mógłbym zaatakować w obecności jego podwładnych. Cóż, z wyobraźnią było u niego kiepsko: złapawszy za klingę, odsunąłem ją na bok, a drugą ręką chwyciłem go za kołnierz i podniosłem. Ubóstwiam lekkich facetów. Jego kompani wybałuszyli oczy, żaden nawet nie pisnął.

– To ludzie Filipa, czyli nasi – odezwała się Nikita, nie kryjąc lekkiego rozbawienia.

– Aha – rzekłem, po czym puściłem go, ale tak, żeby miał kłopot z utrzymaniem równowagi. – Miło mi, że się nie musimy napażać – ciągnąłem dalej, szczerząc zęby do wszystkich wokół.

Najwyraźniej też było im miło.

– Ta dama mi płaci, nie sądziłem, że wam również – dodałem.

– Muszę się ubrać, zostawcie mnie tu samą – nakazała Nikita.

Przez chwilę mignęły mi przed oczyma wspaniałe krzywizny jej ciała, a w ustach znowu poczułem jej smak. Zacisnąwszy wargi, wróciłem po tarczę oraz kiścień, a następnie posłusznie poszedłem na plażę.

Kahuk usiłował uratować reputację dowódcy, zasypując swoich ludzi gradem rozkazów. Nie wiem, czy to się sprawdza, bo sam

nigdy żadnych rozkazów ani nie przyjmowałem, ani nie wydawałem, robiąc tylko to, za co mi płacono.

Po niedługim czasie na plaży zjawiła się Nikita.

– Dziękuję – powiedziała, podając mi płaszcz. – Rozliczymy się później.

– Kurgan oferował mi za ciebie dwieście dukatów. Są mi bardzo potrzebne – rzekłem cicho.

Ulżyło mi. Zrozumiałem już, dlaczego postąpiłem tak, a nie inaczej: przedzaj ona, a nie Kurgan, wypłaci mi te pieniądze. Czułem to podświadomie, lecz nie dopuszczałem tej myśli do siebie.

– Dostaniesz je – szepnęła.

Następnie bez zbędnej zwłoki wsiedliśmy do czółna i odbiliśmy od brzegu. Ośmiu wiosłarzy radziło sobie z falami znacznie lepiej niż ja. Oddalwszy się od wyspy, postawili maszt i łódź nabrała jeszcze większej prędkości. W połowie drogi przypomniałem sobie chorobę morską z poprzedniej nocy, na szczęście teraz woda była jakby spokojniejsza, a może już przywykłem do wymiotowania przez burzę. Płynęliśmy na południe, oddalając się stopniowo od stałego lądu.

– Dlaczego nie bierzemy kursu na wioskę? – spytała Nikita.

– Mam rozkaz dostarczyć panią do bazy – odparł energicznie Kahuk.

Ta odpowiedź powiedziała o nim wszystko. Gdy wykonywał rozkazy, był zdecydowany i skuteczny, ale jeśli coś zależało wyłącznie od niego, dreptał w miejscu. I dlatego był tylko przybocznym możniejszym człowieka.

Po dwóch godzinach znowu ujrzałem ląd i niebawem dobiliśmy do piaszczystego cypla. Łagodnie opadające plaże przeplatały się z urwistymi skałami, w których woda wyżłobiła liczne zatoki.

Gdy stępka zaczęła szorować o dno, wyskoczyłem, brodząc w wodzie do brzegu, Nikita zaś odczekała, aż wiosłarze wyciągną łódź za linię fal, i wysiadła bez moczenia nóg. Czekałem na resztę. Od chwili, kiedy osadziłem Kahuka, on ani nikt inny nie odważył się mi rozkazywać, nadal jednak nie wiedziałem, kim teraz jestem – gościem czy jeńcem.

Ruszyliśmy wydeptaną ścieżką pośród kamieni i zwietrzałych skał, dochodząc do obozowiska. Początkowo odniosłem wrażenie, że jesteśmy we wsi, lecz poza trzema domami z prawdziwego zdarzenia

i paroma byle jakimi budowlami nie dostrzegłem stajni, szop czy uprawnych poletek. Był to więc tylko obóz, służący wprawdzie od dawna, ale jednak obóz. Jego mieszkańcy musieli dostarczyć tam większość rzeczy niezbędnych do przeżycia.

Akurat schodziliśmy z pagórka, kiedy gdzieś rozległ się dzwon. Aha, to pewnie miejscowa straż nas zauważyła. Nasza eskorta nie przejęła się tym zupełnie, więc i ja zachowałem spokój. Gdy dotarliśmy do placyku między trzema domami, z najwyższego wybiegł Filip Fauntlet. Obrzuciwszy wzrokiem naszą grupkę, przyglądał mi się chwilę, po czym wlepił oczy w Nikitę.

– Myślałem, że nie żyjesz! – wykrztusił tak przekonująco, że o mały włos, a byłbym mu uwierzył.

Padli sobie w objęcia.

Mnóstwo ludzi często chętnie zapomina o sprawach, które sprawiają ból i są sprzeczne z ich wyobrażeniami o świecie. Trudno powiedzieć, czy należy do nich Nikita, ale teraz właśnie tak się zachowywała.

– A to kto? – zapytał po skończonym powitaniu. Nikita popatrzyła na mnie, w jej twarzy nie zadrgał choćby jeden mięsień.

– Mój człowiek, który pracował z ludźmi Kurgana. Uratował mnie. Za to, co dla mnie zrobił, nigdy mu się nie wypłacę, ale licząc w złocie, jestem mu winna dwieście dukatów.

Ciekawe, które jej oblicze jest prawdziwe: nieprzeniknione i ostre jak teraz, czy to poznane ostatniej nocy?

– Czyli nasz człowiek – rzekł zamyślony Filip. – Aaa, ten spod kasyna! – przypomniał sobie okoliczności naszego pierwszego spotkania. – Czuj się tutaj jak u siebie w domu. A jeśli chodzi o pieniądze, bądź spokojny, dostaniesz je! – dodał.

Później oboje w towarzystwie jeszcze kilku mężczyzn zniknęli w domu.

– Miło mi cię widzieć – usłyszałem za sobą znajomy głos.

Odróciłem się, a wtedy kula kiścienia trąciła krawędź tarczy. Tril. Była niższa, niż ją zapamiętałem. No i ładniejsza. I jeszcze ogarnęła mnie zbyt duża radość na jej widok. Wyglądała pięknie nawet w rybackim stroju, który zwisał z niej jak ze stracha na wróble.

– Dziękuję ci za ratunek – ciągnęła dalej.

– Nie trzeba. Nie jesteś mi nic winna, ani ja tobie, jasne? –

powiedziałem niemal gniewnie.

Spojrzała na mnie zaskoczona, jednak po chwili wzruszyła ramionami, uśmiechając się przy tym.

– Jak chcesz. Nie jesteśmy sobie nawzajem nic winni, w gruncie rzeczy nawet się nie znamy. Widzę, że poznałeś już Nikitę. Jesteś jej człowiekiem. – Skinęła głową w stronę domu.

Co chce przez to powiedzieć?

– Jestem głodny, do tego cały czas na nogach. Zabiłem wielu ludzi, więc zgłodniałem – rzekłem, żeby ją rozdrażnić.

Przyjrzała mi się badawczo.

– Do jedzenia zawsze się coś znajdzie, chodź do mnie.

Jej kwaterę stanowił prowizoryczny namiot. Pierwsza lepsza wichura pewnie by go zmiotła, za to był dość przestronny. Na palenisku płonął ogień, obok leżała sterta suchych polan. Zawiesiwszy na trójnogu dużą żeliwną patelnię, Tril zaczęła na niej, pozornie beładnie, układać wędzone mięso, słoninę i już upieczone ziemniaki, po czym wszystko zalała namoczoną ziarnem, dodając na koniec parę jajek.

– Wyglądasz dużo lepiej niż ostatnio. Ten... – zawahałem się, przypomniawszy sobie, że jest czarownicą, a przecież nie chciałem jej urazić. – Ten drugi już ci dał spokój?

Potrząsnęła głową, poniekąd rozrzutnie kładąc na swoje kucharskie dzieło kolejny plaster mięsa. Dobrze, dobrze, niech go tam daje jak najwięcej!

Patrzyła na patelnię z zadowoloną miną, w jej policzkach rysowały się dwa dołki. Jedzenie pachniało, dym, niechętnie opuszczający namiot przez otwór na górze, szczypał w oczy, a mój żołądek powoli, lecz wyczuwalnie jął pożerać samego siebie. Po takim czasie nie miałem mu tego za złe.

– Próbował, ale Gytham pokazał mi, jak się przed tym bronić. I jeszcze mnóstwo innych rzeczy.

Zamieszała w naczyniu i najwyraźniej uznawszy, że zawartość jest wysmażona w sam raz, złapała oburącz uchwyt, żeby przenieść patelnię na stół. Kosztowało ją to sporo wysiłku, co więcej, krótka bluzka wysliznęła się jej ze spodni, a te z kolei opadły, zatrzymując się nisko na biodrach. Zauważywszy moje spojrzenie, poczerwieniała, mimo to najpierw postawiła patelnię na stole, a dopiero potem poprawiła ubiór. Chłopie, nie wolno ci zapominać,

że jest czarownicą, przed którą każdy człowiek powinien się mieć na bacności. Nawet ty.

– I cóż takiego ci pokazał?

– Z tym jest tak, jak z pochodnią zapaloną w jaskini – powiedziała rozmarzonym głosem. – Magia to dwie różne sprawy: mieć zdolności i potrafić je wykorzystać.

– Niby że sama siła to mało, trzeba jeszcze wiedzieć, jak wrogowi złamać rękę, tak? – zainteresowałem się, nabierając pierwszy kęs na łyżkę i łykając pospiesznie ślinę.

– Okropny przykład – rzekła z oburzeniem, ale potem przytaknęła. – Masz rację. Dawniej nie wiedziałam, jak wykorzystać swoją siłę, a teraz widzę tyle wspaniałych możliwości, wystarczy tylko wiedzieć, co i jak. Zrozumieć, tworzyć czary i...

Jej zachwyty działał mi na nerwy, jednak z drugiej strony wyglądała tak cudownie.

– Dlaczego cię uczy? – przerwałem jej.

– Nie wiem – odpowiedziała po namyśle. – Jest obłąkany. Ci, co go znają, twierdzą, że całymi miesiącami potrafi nie powiedzieć ani słowa. Być może rozmawia ze mną, bo mam talent, albo dlatego, że próbuję go leczyć.

Przełknąłem posiłek szybciej, niżbym się tego sam mógł spodziewać. Pełny brzuch sprawił, że ogarnęło mnie zmęczenie, a jednocześnie wzrósł smak na kielicha.

– Muszę się napić – oświadczyłem.

Byłem przekonany, że Tril każe mi szukać knajpy, lecz ona, poszperawszy w skrzyni, która służyła też jako druga ława, postawiła przede mną butelkę gorzałki oraz wyszczerbioną szklaneczkę z grubego szkła. W jaki sposób takie coś trafiło pod jej namiot? Zostało po poprzedniku? Sama po kryjomu popijała? A może miała to właśnie dla mnie? Lepiej nie pytać. Nalałem i wypilem jednym haustem. Alkohol był lepszy, niż można by sądzić po flasce, przyjemnie grzał w żołądku, zostawiając na podniebieniu smak jabłek. Pierwsza setka zawsze jest najlepsza, czemu jednak wzgardzić drugą?

Tril przyglądała mi się bez przerwy. Chyba się cieszy, że mi smakuje, pomyślałem głupawo. Jej spojrzenie było deprymujące, ale i tak nalałem sobie po raz trzeci.

– Ludzie Fauntleta używają niezwykle dziwnych kusz, takich, co

działają bez zakładania strzał. Nie wiesz przypadkiem, o co tu chodzi? – spytałem.

– Te kusze są jednym z jego głównych towarów, ma ich tysiące. I mnóstwo innych rzeczy. Swoją sukces zawdzięcza plądrowaniu zupełnie zapomnianych składów starodawnych czarnoksięskich klanów – odparła cicho.

– Coś ty, przecież wszystkie zostały zniszczone przed ponad dwustu laty!

– Tylko na stałym lądzie. Wkrótce po Wielkiej Wojnie duża część Półwyspu Dzwon zapadła się pod wodę na głębokość kilkudziesięciu metrów. Przy współpracy z Gythamem i z pomocą miejscowych poławiaczy pereł obmyślił sposób, jak te przedmioty wydobyć na powierzchnię. Gromadzi je i potem sprzedaje.

Krytycznie zerknęła na ukręconą podczas rozmowy maść, po czym uważnie sprawdziła jej zapach.

– Przyjechała tu do mnie z miasta pewna bardzo chora kobieta. Miała ostre zapalenie płuc. Udało mi się ją odratować, a dzięki temu będzie całkiem zdrowa – powiedziała z zadowoleniem.

Jak sprawy wyglądają naprawdę, mogłem się przekonać na własne oczy. Ratując Nikitę, dowiodłem, że można na mnie polegać, więc Filip Fauntlet chciał się czymś pochwalić. Wraz z nim i jeszcze dwoma jego ludźmi wybraliśmy się na otwarte morze, diabli wiedzą dokąd, do tego na mój gust zbyt lekkim katamaranem ze zbyt dużym masztem i żaglem, który pasowałby do trzykrotnie większej łodzi. Za rufą zostawał spieniony wodny warkocz, dziób rozcinał fale, a my musieliśmy się trzymać węzłów, żeby furkoczący żagiel nie zrzucił nas z ławek.

– Właściwie to już jesteśmy! – wrzasnął mi do ucha Fauntlet, przekrzykując świst wiatru i huk fal. O co mu chodzi? Wstałem ostrożnie, lecz nie zobaczyłem niczego. Jednak niebawem przybiliśmy do z oddali niewidocznej pływającej platformy. Tworzyły ją drewniane pontony połączone linami, a pośrodku stała konstrukcja trochę podobna do wydobywczej wieży. Wokół niej kręciło się paru ludzi.

– Ileś lat temu w trakcie szukania pereł znalazłem skrzynię z mapą, na której były zaznaczone miejsca dawnych czarnoksięskich cytadel. Z jakiegoś powodu właśnie w tym miejscu było ich bez liku. Gytham mówi, że ma to związek z dostępem do magicznej mocy –

tłumaczył mi, gdy człapiąc po pontonach, zbliżaliśmy się do wieży.

A dokładniej: ja człapałem, on z wprawą przeskakiwał z jednego na drugi.

– To ostatnie miejsce, które chcę wyczyścić, potem zniknę jak Jurns – roześmiał się. – Nikt, kto ze mną pójdzie, nie będzie stratny.

Brzmiało to nawet wiarygodnie. Tak, tylko że ja potrzebowałem pieniędzy w ciągu trzech dni.

Przy dwuramiennej dźwigni, przypominającej pompę, jaką kiedyś widziałem w pustynnych miejscach, gdzie wyschły artezyjskie studnie, uwijało się pilnie czterech mężczyzn, klasycznych miejscowych rybaków: niewysokich, krępych, o mocnych, nawykłych do wyciągania sieci ramionach i krzywych nogach.

– Pompują powietrze. Stąd aż na głębokość dwudziestu metrów prowadzi bambusowa rura! Sam to wymyśliłem! – pochwalił się Fauntlet.

– A co jest na dwudziestu metrach? – zdziwiłem się.

– Dzwon – wyjaśnił.

– Fad, ilu tu dzisiaj mamy nurków? – zapytał mężczyznę, który akurat kontrolował węzły mocujące wieżę.

– Tylko trzech i zaraz kończą, na dziś mają już dosyć. Woda jest zimna i wiatr się zmienił.

– To dobrze. – Fauntlet zwrócił się do mnie, błyskając w uśmiechu zębami. – Będę ci mógł pokazać, jak wygląda tam na dole. Gdyby załoga była w komplecie, tylko byśmy im przeszkadzali w pracy.

Nawet nie pomyślał, że nie mam najmniejszej ochoty wiedzieć, co to znaczy „tam na dole”. A niech sobie znaczy, co chce.

Nie czekając na nic, jął się rozbierać.

Co było robić? Zdjąłem płaszcz oraz kaftan. Natychmiast zadygotałem z zimna, jednak dzielnie zrzuciłem z siebie wszystko i chwilę później obaj byliśmy zupełnie nadzy.

Spojrzawszy na mnie, pokręcił głową.

– Już ci ktoś powiedział, że jesteś potworem?

– Nikt się nie odważył – posłałem mu krzywy uśmiech.

On sam był dobrze zbudowany, a na torsie i nogach niewiarygodnie włochaty. Można by pomyśleć, że ta sierść go grzeje. Sądząc po szramach, w przeszłości parę osób próbowało mu się

dobrac do skóry. Gdy tak stał, odruchowo kołysząc się w rytm falującego pod naszymi stopami morza, widać było, że ma zgrabne, prężne mięśnie.

– Chyba niewiele brakowało, a poszłoby prosto w serce – pokazałem na okrągłą bliznę tuż pod lewą piersią.

– Nie, na szczęście to tylko znamię. Ale zobacz tutaj – poklepał się po zygzakowatej szramie na biodrze. – Cudem nie straciłem życia. Rekin.

Przełknąłem ślinę, przeklinając samego siebie. Po co tyle gadam? Przed wzmianką o rekinach czułem się znacznie lepiej.

Chwilę później stałem przy otworze pod podstawą wieży. Przez dziurę gdzieś w morską głębinę prowadziła wąska, chybotliwa rurka z bambusa, drewno skrzypiało.

Skoczywszy „na główkę”, Fauntlet popłynął prosto w dół. Trzymałem w ręce bodaj dwudziestokilogramowy, przywiązany do liny kamień, który miał mi ułatwić drogę na dno. Ostatni raz rozejrzałem się wokół. Mężczyźni przy pompie i nurkowie, którzy właśnie skończyli pracę, przyglądali mi się badawczo. Wiedziałem, że moje obrosnięte mięśniarnie ciało pograży się łatwo, ponieważ masa mięśniowa jest cięższa niż tłuszcz i woda. Gorzej będzie z powrotem. Zacerpnąwszy głęboko powietrza, skoczyłem.

Woda była zimna, a wnet wręcz tak lodowata, że aż zapierała dech, co zresztą nie miało znaczenia, bo przecież i tak nie mogłem oddychać. Opadałem powoli, lina nade mną odwijająca się, widoczność słabła, lecz nie na tyle, bym nic nie widział w niebieskiej toni. W półmroku pode mną ujrzałem szary dysk, który rósł w oczach. Czas najwyższy, gdyż zaczynało mi brakować powietrza. Opadłem jeszcze parę metrów i przedostawszy się pod dolną krawędzią konstrukcji, puściłem kamień. Ciśnienie ścisnęło mi pierś, ciało utraciło wyporność. Kilka ruchów ramion i wreszcie wypłynąłem na powierzchnię wewnątrz dzwonu.

Zaskoczył mnie półmrok oraz skrzypienie drewna pod naporem wody. Unosząc się, oddychałem głęboko. W uszach czułem nieprzyjemny ucisk. Fauntlet z dumną miną trzymał się jednego z bocznych uchwytów.

– Wspaniałość, co nie? Dzwon z drewnianych płyt, z jednej strony uszczelniony jak beczka, z drugiej jak kadłub statku! Trzy metry średnicy, pięć wysokości. Pompy włączają świeże powietrze.

Pod nami jest obciążenie, które utrzymuje dzwon w pionie!

Nie podzielałem jego zachwytu.

– Jak głęboko jesteśmy? – interesowałem się.

– Piętnaście, dwadzieścia metrów.

– A ile jeszcze nam brakuje do dna?

Będzie z dziesięć. Ten skład jest już prawie wyczyszczony. Są tam drzwi z takim oznakowaniem. – Pokazał rysunek na ścianie dzwonu. – Nie otwieramy ich, bo to oznacza niebezpieczeństwo, zakazane pomieszczenia. Raz spróbowaliśmy i kupa ludzi poszła do piachu, rozumiesz?

Pokiwałem w milczeniu głową.

Fauntlet może i był oszustem, ale tym swoim dziełem rzeczywiście mógł się chlubić. Wyrwanie morzu jego tajemnic na pewno nie jest łatwe, on jednak tego dokonał.

Sięgnąwszy po flakonik, przywiązany do kółka osadzonego w ścianie dzwonu, odchylił głowę i wpuścił do każdego oka kilka kropli.

– Żeby dobrze widzieć pod wodą – wyjaśnił. – Wyrób Gythama. Wykorzystał do niego jakieś rzeczy, które znaleźliśmy na dole.

Zrobiłem to samo, co on, mrugnąłem parę razy, a wtedy świat zmienił się w rozmyte plamy. Fauntlet zaczerpnął powietrza i zanurkował. Próbuując zapomnieć, że już teraz jestem dwadzieścia metrów pod powierzchnią, ruszyłem za nim.

Nagle wszystko stało się tak wyraźne, jakbym patrzył przez szybę. Dno zdawało się być na wyciągnięcie ręki, lecz zanim tam dotarłem, trzeba się było trochę wysilić. Fauntlet już zniknął w tunelu prowadzącym do skały. Stłumiwszy instynkt samozachowawczy, podążyłem za nim. A więc to tutaj odkrył samopowtarzalne kusze i mnóstwo innych tajemnic. Najwyraźniej byłem w korytarzach jakiejś starodawnej twierdzy. Światło mętniało, rozumiałem, do czego służą wypolerowane stalowe lustra ciągnące się wzdłuż ścian. Kawałek dalej znajdowało się pomieszczenie, skąd prowadziły wyjścia w trzech różnych kierunkach. Fauntlet unosił się pośrodku, więc żeby mu nie przeszkadzać, odepchnąłem się nogami od dna, kalecząc sobie przy tym palce. Najchętniej bym już wrócił na powierzchnię. Jego to pewnie fascynowało, ale mnie kończył się zapas powietrza w płucach, a zziębnięte mięśnie sztywniały. Kopnąwszy w dno, odgarnąłem warstwę osadu i Filip zauważył coś

w posadzce. Była to pokrywa z zielonkawego metalu, w słabym świetle zdołałem dostrzec dwie wyryte figury. Zdawało się, że fosforyzują, przy czym jedna była identyczna z tą, którą pokazał mi w dzwonie.

No nie, jeszcze chwila, a utonę! Zawróciłem i czym prędzej wróciłem do dzwonu, a stamtąd na powierzchnię.

Wynurzył się, gdy akurat zdążyłem wyrównać oddech. Był jakby zadumany. Nie osuszywszy się nawet, podszedł do nurków. Ci, już ubrani, posilali się późnym obiadem czy też wczesną kolacją.

– Jeszcze niżej odkryliśmy nowy korytarz. Chcę, żebyście go przeszukali i przynieśli, co znajdziecie. Potem się stąd zwiniemy.

Byłem zaskoczony, że nie wspomniał o znaku zagrożenia. Mężczyźni wprawdzie nie wpadli w zachwyty, jednak się nie sprzeciwili. Skończyli jeść, rozebrali się, wysmarowali tłuszczem i jeden po drugim zniknęli pod wodą. Czwórka osiłek stanęła przy pompie i zabrała się do roboty.

Po chwili, która dla mnie trwała wieczność, ktoś szarpnął linę. Wyciągnęliśmy ją ostrożnie. Na końcu była przywiązana skrzyneczka. Fauntlet odniósł ją do łodzi, uwiązał kamień i znowu wrzucił do wody.

– A co z tym znakiem? Czemu się go nie boją? – spytałem.

– Zamazałem go mułem. Muszę wiedzieć, co tam jest. Nigdy nie natrafiliśmy na ten drugi diagram. Oznacza czarnoksięską zbrojownię – rzekł ze wzrokiem wbitym w toń. Nagle aż sapnął: – A to co takiego?

W głębinie mignęło coś białego, pędzącego w górę.

– W nogi! – wrzasnąłem i rzuciłem się w stronę łodzi.

Platforma się pochyliła. Zachwiało mnie, ale zdążyłem ruszyć naprzód. Wieża runęła, liny łączące pontony pękały jedna za drugą. Powierzchnię wody wzburzyła ogromna, pokryta opalizującą błoną bańka, tworząc kilkumetrowy garb. Łódź była parę kroków przed mną. W szczelinie między deskami zjawił się nurek, w jednej ręce trzymał siekiere, drugą machał do mnie, a jego twarz wykrzywił grymas przerażenia. Zatrzymałem się i wyteżywszy wszystkie siły, wyrwałem kilka desek, złapałem go za rękę, wyciągnąłem niczym piórko, po czym popędziłem do łodzi. Akurat gdy zahaczyłem lewą ręką za burzę, bańka pękła i świat eksplodował.

Zapadłem się, nie wiadomo gdzie. Potem prąd wody porwał

mnie w dół, lecz za moment znów mogłem zaczerpnąć powietrza, w ostatniej chwili zamykając usta przed wszechobecną pianą. Byłe dłonie nie poluzowały chwytu. Od naprzemiennego zanurzania i wynurzania pękały mi uszy. Wreszcie koniec szaleństwa.

Spojrzałem przed siebie. Wciąż trzymałem się burty katamaranu, który tymczasem zmienił się w zwyczajną łódź bez masztu, wciąż też trzymałem nurka. Obejrzałem się i zamarłem: nie trzymałem nurka, tylko to, co z niego zostało od pasa w górę. Z jego kurczowo zaciśniętej dłoni wyjąłem siekiere, wrzuciłem ją do łodzi i puściłem trupa. Ludzki kadłub wolno opadał w głębinę, zostawiając za sobą ciemny ślad krwi. Wgramoliwszy się z trudem na burtę, zsunąłem się na pokład. Na skórze obolałego ciała zaczęły wyskakiwać czerwone siniaki, jeden po drugim.

– Hej, Bakly! – otrzeźwił mnie znajomy głos.

W czółnie, które wcześniej zapewne należało do nurków, wiosłował w moją stronę Fauntlet. – Masz tę skrzynkę? – przeszedł natychmiast do rzeczy.

– Mam.

Odważnym szczęście sprzyja! – uradował się. Jakoś pominął, że trzem nurkom i czwórce ludzi z platformy nie było dane wykazać się odwagą. Jednak nie wypomniałem mu tego.

– Co to było? – zapytałem.

– Nie wiem. Już się przyzwyczaiłem, że z magią nigdy nic nie wiadomo. Mam nadzieję, że nasze znalezisko jest coś warte.

Postawiliśmy mały maszt, rozpieliśmy zapasowy żagiel i łódź ruszyła trochę szybciej. Fauntlet sterował, a ja, siedząc na ławce, przyglądałem się małej skrzynce. Wskutek długiego przebywania w wodzie jej powierzchnia zzieleniała. Być może była z brązu. Nigdzie nie widziałem śladu zamka ani otworu na klucz, wieko zdobiły liczne niezrozumiałe reliefy. Szybko jednak uzmysłowiłem sobie, że nie może to być dzieło szalonego dekoratora, ponieważ poszczególne figury są cholernie podobne do znaków, które dostrzegliśmy na pokrywie. Chłopie, lepiej się zastanów, jak tu najszybciej wytrzasnąć pieniądze, jeśli Nikita nie dotrzyma danego słowa. Hm, dla Fauntleta ta skrzyneczka była warta życia siedmiu osób. Ja bym ją spokojnie wymienił za dwieście dukatów.

Po godzinie żeglugi wróciliśmy do obozowiska.

– Nie chcesz dla mnie pracować? – zapytał, gdy dobijaliśmy do

brzegu. – Płacę dobrze. Wieczorem robię naradę, mógłbym cię przedstawić moim ludziom.

Po chwili zastanowienia potrząsnąłem głową. Termin ostatniej raty był coraz bliżej i tylko to mnie interesowało.

Moją odmowę skwitował wzruszeniem ramion.

Poszedłem do namiotu Tril. Nie było jej, ale ogień jeszcze płonął, a w powietrzu unosił się zapach przygotowywanych maści oraz naparów. Usiadłszy na ławie, przysunąłem sobie butelkę. Aż dziw, że jej nie schowała. Płachta zasłaniająca wejście rozsunęła się i do namiotu wszedł stary mężczyzna. Kiedyś musiał być wysoki, jednak wiek i zgarbione plecy zrobiły swoje. Strąki długich, siwych włosów opadały mu na twarz.

– Czego tu szukacie?

Spojrzał na mnie. Lewy oczodół miał pusty, miejsce po oku wypełniała sfałdowana, zygzakowata blizna, jakby ślad po kłutej ranie. Ta część twarzy była trupio stężała, z gładką i białą skórą. Natomiast prawą połowę pokrywały same zmarszczki. Przez moment przyglądał mi się swoim jedynym okiem.



– Tril znowu się opiekuje rannymi, a ty jesteś tym, który ją tu sprowadził – próbował zgadnąć.

Na krótką chwilę jego źrenica uciekła w bok, jakby nie był w stanie zapanować nad zezem.

– Poczekam tu na nią – oznajmił, siadając ciężko na skrzyni.

Poruszał się niezgrabnie, szczególny kłopot sprawiały mu lewa ręka i noga.

Nalawszy sobie, natychmiast wypilem połowę. Posłał mi prośące spojrzenie. Wychyliłem do dna i ponownie napełniwszy szklaneczkę, podsunąłem mu ją. Wyciągnął drżącą rękę.

– Już zapomniałem, jak to smakuje – wychrypiał, po czym wlał w siebie wszystko. – Pilnują mnie. Boją się.

– A wy kim jesteście? – spytałem, chociaż domyślałem się odpowiedzi.

– Gytham – odparł, oddając szklaneczkę.

Jeszcze nigdy nie piłem z czarownikiem. Zacząłem sączyć kolejną porcję.

– Podobno pomogliście Tril – zagadnąłem.

– Pokazałem jej, co i jak. Jest bardziej uzdolniona niż ja albo ten partacz, który chciał ją załatwić. Przy następnej próbie oberwał po mordzie tak, że musiało potrwać parę dni, zanim się pozbierał.

Dziwne. Nigdy bym nie pomyślał, że o czarach można mówić jak o mordobiciu.

– Niestety, za dużo czasu traci na poznawanie technik uzdrawiania, bo kiedy skończą się żarty, nic jej z tego nie przyjdzie – ciągnął dalej.

Dopiłem. Kolej na niego. Gorzałki ubywało w zastraszającym tempie, a jakoś nie wierzyłem, by Tril miała jeszcze jedną flaszkę.

– Co wy tu właściwie robicie? – Trzeba go było brać na spytki, dopóki był rozmowny.

– Wege... – zaczął, po czym nagle zamilkł, a jego źrenica zaczęła hasać to tu, to tam.

Obserwowałem go w milczeniu. Po chwili z rozwartych ust pociekła mu ślina. Zaniepokoiłem się.

– ...tuję – dokończył jak gdyby nigdy nic i łyknął.

Jego oko znowu wyglądało normalnie. Zauważywszy, że się zaślinił, otarł się z obrzydzeniem.

– Te zaburzenia trwają różnie, zdarzyło się, że utraciłem świadomość na cały rok. Teraz jest lepiej, dzięki Tril. Dlatego jestem tutaj, bo gdzie indziej nikt by się mną nie zajął. Pomagam

Fauntletowi w poszukiwaniach, a on dba o mnie, kiedy mi nawala głowa.

Przypomniałem sobie, że to właśnie Gytham przyprowadził do rybaków Fauntleta i jego matkę.

– Chorujecie, tak?

Zaprzeczył i dopił resztę. W butelce zostało tak po pół szklaneczki na każdego.

– Wszystkiemu jest winno to – wskazał bliźnię. – Mój towarzysz próbował mnie kiedyś zabić. Wepchnął mi sztylet w oko, ale ostrze przeszło aż do mózgu, i to głęboko, na szerokość dłoni. Jakimś cudem przeżyłem, tylko że jestem częściowo sparaliżowany, no i od czasu do czasu tracę świadomość.

Język starego czarownika zaczął się trochę plątać. Podsunąłem mu szklaneczkę i nalałem z flaszki resztkę. Ma się to oko: naczynie było pełne po brzegi.

– Był bystry, diablo bystry, ponadto kuty na cztery nogi. Do tego bezwzględny, i to bardziej, niż myślałem. Wiedziałem, że muszę się przed nim mieć na baczości, przede wszystkim w interesach. Z pewną dziewczyną miał dziecko, kochał oboje, widziałem to w jego oczach. Ta dwójka była moim zabezpieczeniem, żeby przypadkiem nie wystawił mnie do wiatru. Tylko że kiedyś zabił Harta i to samo próbował ze mną. Nie chciał się dzielić. Przepadł ze wszystkimi pieniędzmi, któreśmy nakradli, potem wpłacił należne podatki i tak został bogaczem. Żyje sobie gdzieś w imperium i o nic się nie musi martwić.

Słuchałem w napięciu.

– Do dzisiaj nie mówi się o tym inaczej, jak fortel Jurnsa: zbić forszę i urwać się stąd. Każdy o tym marzy – dokończył wspomnienia.

– Filip Fauntlet jest synem Jurnsa – rzekłem głośno.

– Masz rację, synu – odparł starzec, wstając z wysiłkiem. – Ale nie myśl sobie, że opowiedziałem ci to z powodu tej odrobiny gorzałki. Po prostu miałem ochotę pogadać z kimś innym niż z miejscowymi rybojadami. Filip to cały on. Bystry, sprytny i bezwzględny. Nie wie jednak, czyim jest synem. Czasami mam ochotę go zabić, tylko że Jurns by się o tym nie dowiedział, więc co mi z tego. Niech wciąż uważa, że chłopak już od dawna nie żyje. Powiedziałem mu wtedy, że zamknąłem oboje w lochu i jak tam nie przyjdę, umrą z głodu i pragnienia. Ale i tak mnie dźgnął.

Staruch zachichotał, po czym, najwyraźniej zapomniawszy o Tril, kuśtykając wyszedł na zewnątrz. Dowiedziałem się sporo rzeczy. Niedaleko pada jabłko od jabłoni – Filip jest bandziorem, podobnie jak tatuś, tyle że ma sprytniejszą konkurencję. Warto by jeszcze kiedyś spotkać się z Gythamem. Ciekawe, jak w tamtych czasach dorabiali się pieniądze.

Wyszędłszy z namiotu, rozejrzałem się po wyspie. Nie była zbyt duża, co najwyżej kilometr średnicy, więc z niewysokiego pagórka pośrodku dało się całą ogarnąć wzrokiem. Stojąc na szczycie, dojrzałem połyskujące nitki dwóch wpadających do morza strumieni. Widać Fauntlet założył tu bazę właśnie ze względu na obecność słodkiej wody. Wróciłem na brzeg i jąłem oglądać wyciągnięte łodzie. Biorąc pod uwagę liczebność ludzi w obozowisku, było ich dość sporo, a wszystkie pomalowane ciemnymi farbami. Zajrzałem na podpokładzie największej żaglówki, znalazłem dwa komplety żagli – białe oraz ciemnoniebieskie, zlewające się z mrokiem i powierzchnią morza. Filip Fauntlet naprawdę żył z przemytu. Przechodząc obok łodzi, którą wróciliśmy z naszej przedpołudniowej wyprawy, ujrzałem na dnie siekierę nurka. Na lśniącej stali ani śladu rdzy, co znaczy, że jej wtedy nie znalazł, tylko stanowiła narzędzie pracy. Dobra, ale do czego mu była potrzebna pod wodą? Podniosłem ją. Nie ważyła więcej jak kilogram i dobrze leżała w dłoni. Dziesięć kroków dalej, przewrócony do góry dnem, leżał dziurawy kadłub czółna. Zamachnąłem się i rzuciłem. Siekiera zrobiła obrót i utkwiała w drewnie. Ucieszyłem się. Diabli wiedzą czemu, nigdy nie opanowałem sztuki rzucania nożem, trafiam wyłącznie z odległości sześciu kroków. Jeśli cel jest bliżej albo dalej, nóż się przeważnie nie wbija. Mój nauczyciel w szkole gladiatorów mówił, że brakuje mi zmysłu równowagi. Bzdura. Przecież podczas walki zachowanie równowagi to podstawa. Wyciągnąwszy siekierę, ponowiłem próbę, tym razem mocniej. Znowu udanie. Za trzecim razem cisnąłem ile sił. Przebiła ostrzem deski i zniknęła w środku czółna.

Zabawiałem się w ten sposób dość długo, stwierdzając z zadowoleniem, że trafiam z każdej odległości. Dobrze, ale co dalej? Tak czy owak muszę jak najprędzej wrócić na stały ląd, bez względu na to, czy Nikita da mi pieniądze, czy też nie. Nie miałem wobec niej żadnych zobowiązań – ona uratowała Tril, a ja ją. Jeżeli

zapłaci, prześlę ostatnią ratę i ureguluję dług. A jak nie, na zdobycie brakującej kwoty zostaną mi dwa dni.

Z siekierą w ręce wróciłem do osady. Tril była w swoim namiocie. Siedziała przy stole zarzuconym poźółkłymi pergaminowymi rulonikami. Powitała mnie uśmiechem.

– Radzę ci opuścić to miejsce. Nie ufam Fauntletowi, prócz tego dalej będzie zwalczał Kurgana. Moim zdaniem wszystko się jeszcze zaogni – wypowiedziałem pierwszą myśl, jaka mi przyszła do głowy na jej widok.

Czarownice nie powinny przybierać postaci pięknych kobiet o przepastnych oczach. Za nic nie chciałem, żeby po tym wszystkim spotkała ją jakaś krzywda.

– Mają mnóstwo rannych. Bez mojej pomocy niektórzy by nie przeżyli – odparła i wiedziałem, że mówi to serio.

– Zawsze będą mieć jakichś rannych, wciąż gdzieś będą jacyś ranni i chorzy. A tutaj najprawdopodobniej zginiesz. Kurgan ma znacznie więcej ludzi i środków. W mieście jest czarnoksiężnik oraz cesarski wysłannik, którzy chcą cię dopaść. Mógłbym ci pomóc. Załatwiłem Nikicie kilka sposobów ucieczki, z jednego możesz skorzystać – nakłaniałem ją, nie mając pojęcia, dlaczego to robię.

W ostatnim czasie coś za często korciło mnie, żeby się troszczyć o innych. A to nigdy nie popłaca.

– Dzisiaj na pewnych drzwiach Fauntlet zamazał ostrzegawcze znaki. Tylko po to, żeby jego ludzie nie bali się wejść do środka. Wszyscy nie żyją. Kiedy zażąda, żebyś otworzyła taką jedną skrzynkę, miej się na baczności – ostrzegłem.

– Dzięki – pokiwała głową, przyglądając mi się jakby w oczekiwaniu, że coś jeszcze powiem.

Prędzej czy później swoją troskę o bliźnich przypłaci życiem, to jasne. Jednak co ja tu jeszcze mogę zrobić? Nic.

Zaskrzypiał piasek. Ktoś zbliżał się do namiotu. Stałem z boku, trzymając siekierę opuszczoną wzdłuż ciała, żeby nie była od razu widoczna.

Do środka zajrzała Nikita. Przekonawszy się, że jesteśmy sami, weszła, podając mi skórzany trzos. Jego waga mówiła o zawartości. Do tej chwili wątpiłem, czy naprawdę dostanę te pieniądze. Popatrzyła najpierw na mnie, potem na Tril. Nieprzeniknione, pewne siebie spojrzenie. Jak w kasynie albo wtedy, gdy z zimną krwią

zabijała ludzi Kurgana. Ciekawe, czy pamięta jeszcze wydarzenia minionej nocy czy też zatarła rzeczywistość własnymi wyobrażeniami?

– Filip znalazł człowieka, który kupi od niego wszystko naraz. Potrzebujemy jeszcze trzech dni. Potem stąd wyjedziemy – powiedziała spokojnym głosem. – Dziękuję za to, co dla mnie zrobiłeś.

Było mi głupio. Trzymałem w ręce trzos ze złotem, czując na plecach wzrok Trilian.

– Wśród was jest zdrajca. To dzięki niemu tak łatwo przedostaliśmy się do kasyna. Wiedział też, że będziecie ładować coś szczególnie cennego – przypomniałem jej.

– Mówiłam o tym Filipowi. Według niego zdradził ktoś z moich ludzi. Do swoich ma pełne zaufanie, ponieważ uczestniczą w podziale zysku, a raczej nikt nie zaoferuje im więcej.

Wzruszyłem ramionami.

– Czy chcesz, żebym dalej dla ciebie pracował? – spytałem, mimo że wcześniej nie miałem takiego zamiaru. W końcu dostałem te pieniądze.

– Tak. Wypłacę premię za jakąkolwiek pożyteczną informację. Jeśli będziesz mi potrzebny, wyślę do ciebie posłańca z wiadomością. Mam nadzieję, że wszystko skończy się dobrze. – Ostatnie zdanie, wypowiedziane niemal szeptem, zdradziło, że sama w to za bardzo nie wierzy. – Wypłyniecie po zmierzchu. Dla twojego dobra nikt cię nie powinien widzieć w towarzystwie rybaków – dodała i skinąwszy głową na pożegnanie, wyszła z namiotu.

Tymczasem Tril wstała, podejrzliwie przyglądając się siekierze.

– Ona jest magiczna! – rzekła cicho, lecz z naciskiem. – Jestem pewna. Ja to wyczuwam!

Kilka dni wcześniej upuściłbym siekierę na ziemię i trzymał się od niej jak najdalej, teraz jednak uznałem, że może się okazać pożyteczna.

– Zostawię ją sobie. Lepsze takie coś niż nic. Czy będę ci przeszkadzał, jeśli zostanę tu do odjazdu?

Uśmiechnęła się, potrząsnęła głową i pochyliła nad swoimi rulonikami.

Hm, Fauntlet. Na mój gust pokazał mi zbyt wiele, a jednocześnie jakoś się nie wysiłał z nakłanianiem mnie, żebym dla niego

pracował. A ponadto za mało interesował się wykryciem zdrajcy. Być może działał się tak dlatego, że kończąc swoją robotę, nabrał przekonania, że nikt i nic nie jest w stanie go zaskoczyć. Ale z drugiej strony ta jego bezwzględność. Przecież nie podejmowałby ryzyka bez powodu.

Jak się najłatwiej pozbyć na morzu faceta w zbroi? Wrzucić go do wody. Jakież to proste. Kto wie, może jednak byłem zanadto podejrzliwy.

– Czy macie tu gdzieś balsę? Albo drewno korkowego dębu? – przerwałem Tril lekturę.

Popatrzyła na mnie uważnie. Nagle coś jej zaświtało.

– Myślisz, że... – nie dokończyła zdania. – W namiocie przy pagórku, przykryte płachtami, są pasy korkowe. Używają ich podczas wyładunku towarów na wodzie – odpowiedziała.

Po godzinie miałem przywiązane do ciała trzy kawały korka, które w razie potrzeby powinny mnie utrzymać na powierzchni. Powinny, ale czy uniosą? Nie wiadomo i prawdę mówiąc, wolałbym, żebym tego nie musiał sprawdzać. Trzos z pieniędzmi uwiązałem do skórzanego paska, przerzucając go przez ramię i chowając pod płaszcz. Przygotowałem też kolejny trzos, mniej więcej tej samej wielkości, i wypchałem kamieniami, zamierzając nieść go w ręce. Na trzonku siekiery zawiązałem pętelkę i nawlokłem ją sobie na nadgarstek.

W drodze powrotnej do namiotu Tril zauważyłem, że na brzegu krząta się przy łodziach paru ludzi.

Trilian skończyła już czytać i teraz przygotowywała swoje driakwie.

– Mam coś dla ciebie – rzekła na mój widok i podała mi płócienny woreczek.

Uniosłem pytająco brwi. W namiocie panował już półmrok, moją twarz oświetlały płomienie, jednak twarz Tril pozostawała niewidoczna.

– Maść na zatamowanie krwotoku. Podobna do tej, jakiej używają gladiatorzy. Prócz tego igła oraz wygotowana nitka, nasycona sokiem z aloesu. Nic więcej – wyjaśniła.

Całe życie stosowałem do ran sproszkowane suche zioła, ale maść też mogła być niezła. Nie wiedząc, co powiedzieć, milczałem.

– Czekają już na ciebie.

Wspięła się na palce i pocałowała mnie w policzek.

– I niech ci się uda uregulować ten dług – dodała. Dopiero na łodzi zorientowałem się, że wie o moim zobowiązaniu. No tak, Ochnot ma długi jęzor. A niech to krew zaleje! Jednak zaraz uzmysłowiłem sobie, że nigdy go nie prosiłem o dyskrecję, myśląc, że to oczywiste.

Płynęliśmy pod jednym żaglem. Przy niezbyt silnym wietrze nawet się nie czuło kołysania morza. Załogę tworzyło czterech ludzi, którzy, pilnując swojej roboty, nie zamienili ze mną choćby słowa. Stojąc na dziobie, starałem się mieć na nich oko. Na obsypanym gwiazdami widnokregu zaczęła się powoli wyłaniać ciemna linia brzegu, wiatr osłabł i teraz łódź: leniwie ślizgała się po falach.

– Chcemy postawić spinaker – mruknął jeden z rybaków – musicie przejść na rufę, bo na dziobie byście nam przeszkadzali.

Dwóch mężczyzn właśnie szykowało liny, jeden stał przy sterze, ostatni majstrował przy pakunku, który prawdopodobnie był owym spinakerem. Ruszyłem po omacku przez pokład, starając się na nic nie nadepnąć. Widzialność żadna, a oni nie zapalili świateł. To pewnie taki przemyticzny zwyczaj. Schyliłem się ostrożnie żeby przejść pod reją. Akurat się prostowałem, gdy ktoś wyrwał mi z ręki trzos z kamieniami a wnet potem poczułem podmuch powietrza i świat zrobił się całkiem czarny.

Rozdział 24

Zguby i znaleziska



Oczy zalala mi woda. No tak, był tam jeden więcej. Cały czas czekał na dogodny moment, żeby mnie wepchnąć do wody. Mój pas ratunkowy podsunął się aż pod pachy, ale pomimo obciążenia w postaci złota i siekiery utrzymał mnie pionowo na powierzchni. A więc na razie nie utonąłem.. Głowa bolała mnie jak wszyscy diabli. Wymacałem na potylicy podejrzanie opuchnięte i w dotyku miękkie miejsce. Uniesiony większą falą ujrzałem, że rozgwieżdżone niebo łączy się z odległym horyzontem, a w polu widzenia nie ma żadnej łodzi. Ciarki przebiegły mi po plecach. Wiosłując rękami, odwróciłem się w przeciwnym kierunku i poczekałem na następną wyższą falę.. Uff! W nieokreślonej odległości rysował się ciemny pas z mrugającymi światłami ludzkich domostw. Na szczęście ani prąd, ani wiatr nie zniosły mnie na pełne morze. No, trzeba płynąć. Może ktoś inny na moim miejscu rozstałby się ze złotem i siekierą, ale nie ja. Niezdarnie, niczym duży, niekształtny żuk, metr po metrze zbliżałem się do brzegu. Sam nie wiem, czy to dzięki moim wysiłkom, czy też sprzyjał mi wiatr i morskie prądy.

Płynąłem, a gdy ręce omdlewały, dawałem im chwilę odpocząć i płynąłem znowu. W końcu poczułem taki ziąb, że nie zdołałem się powstrzymać przed szczekaniem zębami.

Tuż przed świtem, kiedy gwiazdy na wschodzie były już niewidoczne, pod stopami poczułem dno. Ostatnim wysiłkiem, zmusiwszy do ruchu zeszywniałe z zimna mięśnie, wygramoliłem się na brzeg i padłem na ziemię poza zasięgiem fal, czekając, aż słońce mnie rozgrzeje i skurcze mięśni ustąpią. Po jakimś czasie poczułem ostrą woń gnijących morskich ryb, wyrzuconych przez morze na plażę, blisko mnie leżała zdechła ryba. Jeszcze nie

zalatywała, więc nie mogła tam być zbyt długo. Gdy słońce zaczęło kolorować szczyty wzgórz, spróbowałem wstać, jednak szło mi to kłopotliwie i znowu runąłem na piasek. Niebawem zjawił się starzec z małym wózkiem, ciągniętym przez równie starego jak on muła. Jeździł tam i z powrotem, rozglądając się, czy woda nie wyrzuciła czegoś przydatnego. I tak można zarabiać na życie.

– Hej, gdzie jestem? – krzyknąłem.

Podjechał bliżej, badawczo mi się przyjrzał.

– No i widzisz, Maciusiu – zwrócił się do zwierzaka – toto żyje i wcale nie wygląda, że chce umrzeć. Co za pech, nie mamy tu dzisiaj żadnego topielca. Jedźmy dalej, czekają nas jeszcze dwie zatoki. Musimy tam być przed innymi.

Odjechał i zostałem sam. W końcu udało mi się wstać i ruszyłem w stronę wąskiej, kamienistej drogi. Zabłądzenie nie wchodziło w rachubę, miasto rozciągało się wszędzie. To musiała być jedna z niegościnnych zatok, która nie nadawała się do niczego. Marsz dobrze mi zrobił, rozgrzałem się i rozruszałem zeszywniałe mięśnie. Po pół godzinie spotkałem wyładowany trawą drabiniasty wóz i za talara jego właściciel zgodził się zawieźć mnie do bardziej zamieszkanego okolicy. Pewnie by to zrobił za mniejsze pieniądze, lecz nie miałem przy sobie żadnych miedziaków. Powiedział, że tamto miejsce to Zatoka Pika, gdzie prądy zazwyczaj wyrzucają martwe ciała. Tak więc bardziej niż mój pływacki trud pomogło mi samo morze.

Po drodze obmyślałem, jak tu sobie ułożyć stosunki z Kurganem i jego ludźmi. O ósmej rano stałem przed moją oberżą. Wątpliwe, żeby po trzech dniach ktoś mnie tu szukał, a przecież tak bardzo potrzebowałem odpoczynku. Właścicielka i kucharka w jednej osobie wytrzeszczyła oczy, gdy wciąż ociekając wodą, zjawiłem się w jadalni.

– Przynieście mi do pokoju dużo jedzenia, przede wszystkim mięso, dzbanek wina i jeszcze piwo – zamówiłem, po czym powoli ruszyłem schodami, zostawiając za sobą mokre ślady.

Otworzyłem drzwi i zdrętwiałem – na krześle przy stole siedział podrzemujący Krzywus. Usłyszawszy mnie, ocknął się.

– Ale ty wyglądasz! – rzekł na mój widok. – Myśmy się musieli prędko urwać z kasyna, bo się tam zjawili cesarscy. Kupa ludzi odniosła rany, a mnóstwo ich tam zostało. Kurgan szykuje kolejną

akcję, dlatego zbiera najlepszych. Wszyscy myślą, że cię ukatrupili już w tej cholernej sali, ale ja umyśliłem sobie, żeby tu zaglądać, bo a nuż wrócisz i będziesz potrzebował pomocy łapiducha. Gdzieś ty się właściwie podziewał?

Moja ociężała mózgowica próbowała nabrać większych obrotów, jednak szło jej nietęgo. Najważniejsze, że stało się tak, jak chciałem – nikt nie miał pojęcia, że to ja pomogłem Nikicie w ucieczce. Trudno uwierzyć, ale los mi sprzyjał. Chcąc ukrywać się przed Kurganem i jego ludźmi, musiałbym zabić Krzywusa. Mogłem też iść na całość. Nie wolno mi jednak zapominać o zdrajcy w szeregach rybaków Fauntleta. Eee, co tam. W tak krótkim czasie, jaki był mi jeszcze potrzebny, nie powinien stanowić zagrożenia. Prócz tego dla Fauntleta jestem już trupem.

– Nikita Klaar razem z jakimś facetem zamierzała prysnąć łodzią. Zależało mi na forsie, więc wskoczyłem do drugiej i ścigałem ich. Wzięli kurs na wyspę. Wioślarz ze mnie kiepski, roztrzaskałem się na skałach, a tamci popłynęli dalej. Czekałem na tej wyspie aż do wczoraj. Wreszcie wiatr się obrócił, zbudowałem tratwę i wróciłem. Zniosło mnie do Zatoki Pika. Mam już wody powyżej uszu.

Krzywus słuchał z zaciekawioną miną, ale po ostatnich słowach wybuchnął głośnym śmiechem:

– No nie, tyś zasuwał na wiosłach aż do wysepki Dodo!

– Nie widzę w tym nic śmiesznego! – burknąłem. Usiadłem bez rozbierania się, żeby nie zobaczył mojego trzosu ze złotem, a siekiere położyłem na stole. – Nie rozumiem, co się w tym kasynie działo. Najpierw coś wytrąciło mi z ręki miecze, a potem wszędzie waliły kłęby dymu. Kobiety tam nie było, więc popędziłem dalej – usiłowałem naciągnąć go na rozmowę.

– Aleś miał szczęście! – przytaknął. – Faceta przede mną jego własny miecz przepołowił z góry na dół, a bomby rozerwały tych, którzy je rzucili. Nikt tego nie kapuje. No, ale na zewnątrz tośmy nie mieli żadnych większych problemów. Znaleźliśmy różne różności, na przykład takie zabawki, co strzelają jak kusze, ale nie musisz ich naciągać. Strzelasz pięć razy, dajesz nowy podajnik i zabawa zaczyna się od nowa. Skrzynie z jakimiś rulonami, które chyba najbardziej ucieszyły szefów, i jeszcze masę innych rzeczy. Każdy dostał ekstrapremię, dziesięć dukatów.

– Wpadnę po nie wieczorem – rzekłem, starając się, żeby

w głosie było trochę radości.

– Chyba powinieneś iść tam natychmiast, Kurgan chce mieć wszystkich sprawnych ludzi w kupie. – Krzywus zrobił się trochę nerwowo.

Jestem wykończony. Całą noc spędziłem na morzu, podczas gdy wyście się obżerali. O, a teraz pora na moje śniadanie. – Odwróciłem się do drzwi. Oberżystka w towarzystwie dwóch pomocników przyniosła moje zamówienie. – O ile się obudzę, to najwcześniej zajrzę wieczorem. Jak tam twoja przyjaciółka? – Zdecydowałem się na to określenie, chociaż trudno powiedzieć, czy słusznie. Krzywus pojaśniał.

– Było z nią kiepsko, chyba zapalenie płuc. Ale już dochodzi do zdrowia.

Zostawszy sam, rozebrałem się, zostawiając wszystko na podłodze. Niech sobie leży. Z ulgą usiadłem na łóżku. Po kilku godzinach w wodzie skórę wciąż miałem zimną i pomarszczoną. Ktoś zapukał do drzwi i do pokoju weszła służąca. Ujrawszy mnie, siedzącego nago, z kocem zarzuconym na nogi, wstydliwie opuściła wzrok.

– Niosę wiadomość. Przyszła pod pana nieobecność.

Była pucułowata, miała duże piersi i czerwone policzki. Zorientowałem się już dawno, że niektóre kobiety urzeka budowa mojego ciała.

Narzeczony Juany Huspitz pisał, że rozmawiał z jej ojcem. Nakostnik rzeczywiście był prezentem od niego i dowodził śmierci Juany. Teraz Luvin wyrusza w długi rejs.

Ledwie zabrałem się do jedzenia, przerwał mi Ochnot. Wyglądał na chyba jeszcze bardziej zadowolonego niż zwykle.

– Zajrzałem tu już wczoraj, ale nie było was. Od Henry ego Fabuli dostałem akta dotyczące poszukiwań dziewczyn zaginionych na terytorium Gletów. Dużo tam tego nie ma, raptem o jednej, tej, która zaginęła u nas. Po przeczytaniu proszę mi to oddać. A poza tym co słyhać?

– Oberwałem po głowie, ale jakoś leci. Szykuje się wojna gangów. Znajdźcie sobie jak najbezpieczniejsze miejsce – doradziłem mu z poważną miną.

Miałem niemal pewność, że każdego, kogo z Belfontem juniorem łączy coś więcej, może spotkać niemiła niespodzianka ze

strony bezwzględnych handlowych przyjaciół hrabiego. Zwłaszcza jeśli podejrzewali, że przejrzał ich sekrety.

– Nic się nie szykuje. Pan Varatchi, nazywany za plecami cesarskim likwidatorem palących problemów, wreszcie skorzystał z mojego pośrednictwa i złożył hrabiemu Belfont korzystną ofertę, zarówno w sensie finansowym, jak i politycznym. Zrekompensuje mu ona straty, jakie poniesie w mieście na skutek interwencji armii cesarza. Gangsterzy zostaną wykurzeni ze swoich nor – oznajmił z uśmiechem zaskakującą nowinę.

– Czyli według was on nie ma pojęcia o machlojkach w gubernatorstwie? – spytałem.

– Trudno powiedzieć. Ale jeśli wiedział, a oni go czymś szachowali, to w razie ich zniszczenia nie straci nic. Nawet gdyby wcześniej z nimi współpracował.

– Chyba się z tego wykaraska. Rozumiem, że to tajna informacja?

– Ostateczne rozmowy jeszcze się nie zaczęły...

– Tak czy owak zachowam ją dla siebie. Zresztą skończyłem swoją robotę, jeszcze tylko muszę zapłacić. Już mam czym – podsumowałem, łapiąc za skórzany ściągacz, żeby spod sterty mokrej odzieży wyciągnąć trzos ze złotem.

W tym momencie zatkało mnie, a oczy o mały włos nie wypadły mi z orbit. Trzos pękł w jednym miejscu i był jakby sflaczały. Rzuciłem się na podłogę i natychmiast go otworzyłem – w słonej wodzie taplało się osiem złotych monet. Rozrzuciwszy rzeczy po pokoju, znalazłem dziewiętego dukata. I to wszystko. Och! przyglądał mi się z niepokojem.

Pieniądze widać wysypywały się stopniowo, ja zaś, zajęty walką z morzem, nie zdawałem sobie z tego sprawy.

– Miałem tu dwieście dukatów – powiedziałem zdławionym głosem. – Są teraz rozrzucone na iluś tam kilometrach kwadratowych morskiego dna.

Naszła mnie ochota niszczenia, rozbijania własnymi rękami mebli, wrywania desek z podłogi. A może lepiej zawiązać sobie na szyi pętlę i skończyć ze wszystkim? Zamiast tego wybuchnąłem donośnym śmiechem człowieka będącego na granicy niepoczytalności. Niewiele brakowało, żebym wpadł w obłęd, naprawdę. Chwilę później uzmysłowiłem sobie, że milczę, wgapiiony

w połyskującą niedaleko siekierę. Mózgownica pracowała sama, jakby bez mojej wiedzy. Za wszelką cenę muszę mieć te pieniądze. Nawet gdyby mi przyszło zabić każdego, kogo napotkam. Już wiem, co zrobić! Ryzyko jest wielkie, lecz warto świeczki, a ja nie mam już czasu, żeby robić coś na pewniaka. Po prostu tym razem sam obejdę burdele, które Kurganowi płacą okup. Potem jego ludzie pewnie mnie zabiją, ale co tam, ważne, że pieniądze zostaną przesłane, czyli wszystko będzie w jak najlepszym porządku.

– Muszę gdzieś zdobyć to złoto – rzekłem i zacząłem wkładać przesiąknięte solą łachy.

Ochinot posłał mi poważne spojrzenie.

– Ile ci brakuje? – zapytał.

– Dwieście dukatów – odparłem, zapinając sprzączkę pasa. Metal ziębił, a mokry materiał spodni nieprzyjemnie opinał uda.

Sięgnąwszy do wewnętrznej kieszeni surduta, wyjął plik pergaminów, pióro oraz miniaturowy, złożony, ceramiczny kałamarzyk. Pochylił się nad stołem i jął coś pisać, podczas gdy ja wdziałem watówkę, po czym złapałem za zbroję. Cuchnęła rybami. Ochinot odwrócił się do mnie, machając przy tym pergaminem, żeby atrament szybciej wysechł.

– To dla ciebie. Czek na sto dziewięćdziesiąt pięć dukatów. Więcej nie mam. Mój podstawowy rachunek prowadzi oddział Banku Imperialnego w Ribenod, który jest tymczasowo zamknięty. Podobno został zamordowany jeden z urzędników. Przydadzą ci się te pieniądze?

Patrzyłem na niego identycznie, jak chwilę przedtem na pusty trzos.

– Pożyczasz mi, ot tak sobie, niemal ćwierć tysiąca dukatów. To przecież majątek. Dlaczego? – wykrztusiłem.

Wyglądał na zaskoczonego.

– Przyjaciele powinni sobie pomagać, no nie? – rzekł w końcu.

Przyjaciele? Co on przez to rozumie? Ja nie mam żadnych przyjaciół.

– Nie masz pewności, czy kiedyś ci je oddam – zauważyłem, biorąc z ociąganiem czek.

– Oddasz, kiedy będziesz mógł – stwierdził, po czym, jakby na znak, że zamykamy ten temat, energicznie machnął ręką. – Dzień dopiero się zaczął, a mnie czeka mnóstwo miłych przeżyć!

Uklonił się na pożegnanie i wyszedł.

Trzymając w dłoni kawałek papieru, próbowałem zrozumieć, co się stało. Być może Ochinot jest chory na zapalenie opon mózgowych albo też na chwilę oszalał, któż to wie? Dobra, na mędrkowanie jeszcze przyjdzie czas. Skompletowałem strój i wyjąwszy dukaty ze schowka na strychu, najkrótszą drogą ruszyłem do oddziału Banku Imperialnego. Byłem podenerwowany jak przed pierwszą zapaśniczą walką. Rozglądałem się nieustannie, czy jacyś złodzieje nie zechcą mi zabrać mojego skarbu. W tłoku jakiś chłopina niechcący się o mnie otarł, więc założyłem mu na przegub dźwignię i zaraz wylądował na ziemi, przy czym mógł mówić o szczęściu, że nie oberwał siekierą, którą miałem w drugiej ręce.

Wreszcie wejście do banku. Polerowany granit, odźwierni w liberiach, niby niepozorni strażnicy. Wszedłem na niewygodne schody, odprowadzany zaniepokojonymi i nieprzychylnymi spojrzzeniami.

– Czego sobie życzysz, panie? – Barczysty facet w nienagannie skrojonym szarym surducie zastąpił mi drogę. W pierwszej chwili chciałem go zrzucić ze stopni, jednak powstrzymałem się.

– Idę wpłacić pieniądze na rachunek.

– Wstęp z bronią jest zabroniony. – Popatrzył znacząco na siekierę.

Podałem mu ją styliskiem do przodu.

– Kiedy będę wracał, odbiorę ją od ciebie.

„Ale jak jej nie będziesz miał, łeb ci urwę”, dodałem w duchu. Powinien to wyczuć z tonu mojego głosu.

Puścił mnie z najwyższą niechęcią. Myny jego kolegów wyrażały potępienie.

W środku było już inaczej. Po sforsowaniu muru strażników stałem się klientem, a mój wygląd nie miał tu żadnego znaczenia. Usiadłem przy stole. Chwilę później przytruchtał urzędnik.

– Najpierw chcę podjąć tę sumę. – Bez większej wiary podsunąłem mu pod nos czek Ochinota. Byłoby dziwne, gdyby takiemu typowi jak ja wypłacił dwieście dukatów po okazaniu jakiegoś świstka.

Przeczytawszy uważnie tekst, odłożył kwit i za moment wrócił z grubą księgą.

– Wzory podpisów – wyjaśnił, po czym z pomocą dużej lupy

starannie sprawdzał charakter pisma Ochinota. Po chwili dodał: – W porządku. Zrobimy wypłatę.

No nie, czyja dobrze słyszę?

– Następnie razem z tymi tutaj – z chrzęstem położyłem na stole skórzany worek – chciałbym je przelać na pewne konto w waszym banku. Ale natychmiast.

Na marmurowy blat wypadło kilka monet. Ich brzęk sprawił, że siedzący przy sąsiednich stołach klienci i pracownicy spojrzeli z zainteresowaniem w naszą stronę. Ciekawe, co też ich oderwało od własnych spraw? Naprawdę, złoto ma wielką siłę przyciągania.

– To dla nas żaden kłopot – oznajmił urzędnik.

Miał rację. Po niespełna godzinie wyszedłem z certyfikatem, że bank przejmuje odpowiedzialność za transakcję, która zostanie przeprowadzona w ciągu tygodnia.

Stałem na zewnątrz, diabli wiedzą czemu strasznie nieswój. Kolana mi drżały. Koniec. Usiadłszy na najniższym stopniu schodów, wsłuchiwałem się w uliczny zgiełk. Od czasu do czasu ktoś obrzucał mnie bezmyślnym wzrokiem, uznając, że stanowią przeszkodę, niebezpieczny przedmiot, który lepiej ominąć. Strażnik oddał mi siekierę i już się mną nie interesował. Wszyscy dokądś pędzili, coś chcieli załatwić, mieli własne potrzeby i pragnienia. Być może natychmiast po przebudzeniu myśleli o jakimś problemie, być może zasypiali, modląc się do losu, żeby był dla nich łaskawy. Widziałem dziewczęta i kobiety marzące o miłości. Z kolei innym leżała na sercu dola ich bliskich albo pragnęli wspiąć się szczebel wyżej po drabinie władzy.

Wszyscy mieli jakiś cel, powód do życia, podczas gdy to moje właśnie dobiegło kresu. Żadnych długów, żadnych zobowiązań. Chociaż, zaraz – przecież pożyczyłem od Ochinota mnóstwo pieniędzy. Tak, ale to żaden wielki kłopot, tylko po prostu jeden obowiązek, już ostatni. Żeby się z niego wywiązać, nie muszę się pakować w żadną kolejną kabałę. Prędzej czy później jakoś je zarobię i oddam.

Rozdział 25

Na i dno piekła



Wstałem i wszedłem do ludzkiej rzeki. Z przodu jej nurt się dzielił, a z tyłu łączył. Hm, Nikita. Nadal mi płaci i to bardzo dobrze. Im szybciej się uwolnię od ostatnich zobowiązań, tym lepiej. Odwiedziłem kantorki przewodników karawan, przypominając im, żeby pamiętali o mojej siostrze, po czym ruszyłem do portu. Na rybnym targu było już pusto, rybacy naprawiali sprzęt, szykując się do kolejnych połowów. Chciałem znaleźć kogoś z wyspiarzy. Udało się. Na końcu mola spora fala chybotąła żaglówką, na oko dość wątlą. Mała wyporność i płaskie dno umożliwiały jej wpływanie nawet do najpłytszych zatok oraz zręczne manewrowanie między wysepkami, ale z halsowaniem musiało być znacznie gorzej. Zatrzymałem się przed trapem. Trzej śniadzi faceci naprawiali sieci i żagle, przyglądając mi się w milczeniu.

– Znacie mnie? – spytałem.

– Wiem, kim jesteś – przytaknął łyсы mężczyzna o nieproporcjonalnie długich rękach i pałkowatych nogach. W ręku trzymał grubą dratwę, ani na chwilę nie przestał pracować.

– Chcę pogadać z Degiem – przypomniałem sobie, jak się nazywa szef ochroniarzy Nikity.

– Przekażę mu, ale nie wiem, czy on zechce z tobą gadać. Zajrzyj tu jutro, pojutrze rano. Może go spotkasz – poradził.

Podziękowawszy, zawróciłem do miasta. Do wieczora brakowało paru godzin i suche łóżko wydawało się najodpowiedniejszym miejscem, by je tam spędzić. Właścicielkę oberży poprosiłem o pobudkę na kolację. Na widok jej krzywej miny wyciągnąłem resztki gotówki i zapłaciłem dotychczasową należność, dając też niewielki napiwek. Przed snem zapoznałem się pobieżnie

z aktami od Ochinota, na ostatniej stronie znajdując zapis, że ojciec zaginionej Rosemary Hanwood, arystokrata i kupiec, po gubernatorze Gletu jeden z najwyższej postawionych ludzi, wyznaczył sto dukatów nagrody za jakiegokolwiek wieści o jej losie, a pięćset dla tego, kto przyprowadzi ją do domu żywą i całą. Położywszy akta na stole, zanurzyłem się w królestwie snów. A mówiąc dokładniej, w moim wypadku – nocnych koszmarów.

Spałem krócej, niżbym sobie tego życzył, ale i tak największe zmęczenie minęło. Włożyłem ubranie, które tymczasem już wyschło. Było czyste, tylko z fałd sypały się kryształki soli, a buty po wielogodzinnym moczeniu w wodzie skurczyły się i zrobiły ciut za ciasne. Zbroja zdążyła się okryć rdzą, z kolei skórzane elementy zasługiwały na porządne natłuszczenie, tylko że na nic takiego nie miałem czasu. Przespacerowałem się po pokoju, sprawdzając, jak słona kąpiel wpłynęła na stan mojego przyodziewku. Okropność: skóra pizzczała, folgi szorowały jedną o drugą, wskutek czego zbroja przy każdym ruchu zgrzytała przeraźliwie. Zupełnie jakbym chciał zwrócić na siebie uwagę: oto facet, który ma na sobie kupę żelastwa, więc trzeba mieć na niego oko. Włożyłem bransoletkę gościa od „wielbłądziego płaszcza” i... To niesamowite, stałem się duchem nocy. Wypowiedziałem kilka słów – cisza. Zdjąwszy bransoletkę, schowałem ją do pasa.

Zjadłem wszystko, co zamówiłem. Gospodyni była najwyraźniej niezadowolona, pewnie miała nadzieję, że coś zostawię, więc zaoszczędzi na jedzeniu dla pozostałych gości. Podczas posiłku przesyłabizowałem materiał o poszukiwaniu zaginionych dziewcząt. Niemal wszystkie zapiski dotyczyły Rosemary Hanwood, pozostałe przypadki śledczy potraktował kompletnie po macoszemu, jakby zajmowanie się losem praczek, przekupek, szwaczek czy innych uwłaczało jego godności. Wspominał tylko o miejscach, w których były widziane ostatni raz, zwykle były to okolice ich pracy albo zamieszkania. Tylko jedna zaginęła podczas wizyty u swoich przyjaciół, właśnie tutaj, na obszarze zarządzanym przez Belfontów. Ostatni człowiek, którą z nią rozmawiał, zeznał, że zamierzała się wybrać do Malinowych Łaźni. Również Juana Huspitz tuż przed zaginięciem korzystała z tamtejszych kąpeli, podobnie jak jej koleżanka. Mógł to być zbieg okoliczności, lecz nie mając innego punktu zaczepienia, pomyślałem, że warto by tam zajrzeć przy

najbliższej okazji. No tak, tylko że to łaźnia kobieca, trzeba więc ją obejrzeć, kiedy będzie zamknięta i najlepiej bez wiedzy właściciela.

Wychodząc z siekierą przytroczoną prowizorycznie do biodra, powziąłem mocne postanowienie: muszę odnaleźć swoją broń. Miecz wykuł ojciec, a katzbalger ja. Nie mogę dopuścić, by trafiły do kogoś innego. Chcę je przecież zabrać na drugi brzeg rzeki, przez którą przewozi jednooki przewoźnik.

W gospodzie Tracza zostałem powitany jak stary znajomy, a później, gdy Elegant w obecności Kurgana przepytał mnie o parę rzeczy, które zresztą mógł już znać od Krzywusa, dostałem moje dziesięć dukatów. To dziwne, że Kurgan nigdy się nie wtrącał do rozmowy, jakby kierując bandą z tyłu, za pośrednictwem zaufanych ludzi. Tymczasowe rozkazy brzmiały prosto: być przygotowanym do akcji, chodzić pod bronią i każdego wieczora meldować się w knajpie Tracza.

Nie trzeba było być wyszkolonym agentem, by zrozumieć, że Kurgan czeka na wieści od swojej wtyczki w szeregach Fauntleta.

Po audiencji podszedłem do baru. Cieszyłem się już pewnym mirem, więc znalezienie wolnego miejsca nie sprawiło kłopotu.

– Gdzie masz swoje miecze, stary? – zapytał wychudzony facet. Miał bezkrwiste wargi i pociągłą twarz. Długie, zwinne palce wystukiwały w blat kontuaru jakiś skomplikowany rytm. Jediną jego bronią stanowił nóż z długim i wąskim ostrzem, zatknięty za pasek.

– Straciłem w kasynie. Ale spokojna głowa, znajdę je – odparłem. Pociągnąłem łyk piwa, czekając, co będzie dalej. W jego głosie brzmiało rozbawienie, czyli coś musiało być na rzeczy.

– Przypadkiem wiem, komu teraz służą... – uśmiechnął się, robiąc pauzę. No, gadajże! – Znalazł je Pat, ale coś mi się wydaje, że się do nich przywiązał! – zachichotał.

A któż to taki, ten Pat? Aha, mój przyjaciel drażał, który już raz ode mnie oberwał.

– On mi ich tylko pilnuje przed złodziejami – odpowiedziałem z uśmiechem. – Zobaczysz, jak chętnie je odda. Nie wiesz, gdzie jest teraz? Nie chcę go za bardzo wykorzystywać, bo to pilnowanie wymaga dużej uwagi.

– Spytaj szefów, dokądś go wysłali – poradził.

W pojedynku na uśmiezki okazał się lepszy.

Ulotniłem się stamtąd najszybciej, jak się tylko dało.

Zdrajca Fauntleta z pewnością przyjdzie tutaj, chociaż być może nie do głównej sali, ponieważ do pokoi Kurgana na pięterku prowadziło także odrębne wejście.

Pora była jeszcze dość wczesna, zabawa w knajpach zaczęła się dopiero rozkręcać, a ulicami spacerowały tłumy ludzi. Warto by zerknąć na przystanie w okolicy gospody Tracza i wytypować jedną, do której bym przybił, gdybym się zechciał niepostrzeżenie dostać do miasta, zaliczyć spotkanie, a potem jak najprędzej wypłynąć w morze. Ponieważ właśnie tak powinien się zachować zdrajca, to pewne.

Pierwsza przystań była duża, oświetlona latarniami. Między dwoma molami kotwiczyły wyłącznie duże, zadbane statki. Nie, takiego miejsca bym nie wybrał. Druga podobała mi się bardziej, zaś w następnej nie odnalazłbym go za nic, nawet gdyby właśnie przyplynał. Powiązane ze sobą łodzie cumowały tam jedna obok drugiej i chcąc się dostać na ląd, trzeba było iść po pokładach. Nie, tutaj też nie, bo ktoś mógłby przywiązać swoją łódź do jego i odciąć mu odwrót. Później spróbowałem ustalić, którędy powinien iść, jeśli rzeczywiście zamierzał dotrzeć do knajpy Tracza. Bez powodzenia, ponieważ przystani było mnóstwo, a wszystkie drogi zbiegały się już u celu.

Tymczasem noc zapadła na dobre, wiatr ucichł i uliczki najbliższe morza zaczęły mocniej zalatywać rybami. Przyzwoici ludzie zamknęli się w swoich domach, zostawiając ulice pijakom i nam – złodziejom, mordercom oraz zbirom wszelkiej maści. Włożyłem bransoletkę, postawiłem kołnierz płaszcza i niespiesznym krokiem ruszyłem w stronę łaźni, mijając po drodze patrol ludzi Tuhuki. Zupełnie jakbym dla nich nie istniał.

Okna łaźni były już ciemne. Dwukrotnie obszedłem tworzący ją zespół budynków, po czym stanąłem przy ścianie przeciwległego domu. Nigdzie żywej duszy, tylko mrok i cisza. Według słów Sileny do łaźni należały dwa gmachy – jeden z basenami, sauną i szatniami, w drugim była pralnia oraz miejsce, gdzie szykowano poczęstunek dla odwiedzających. Do środka mogłem się dostać trojako: wejściem głównym, dwuskrzydłową bramą, za którą znajdował się dziedziniec, oraz drzwiami dla obsługi, wychodzącymi na wąski zaułek między dwiema większymi ulicami. Założyłem, że właśnie te drzwi będą słabe i zaniedbane. Okazało się wręcz przeciwnie: były niezwykle

solidne, zamykane na klucz i dodatkowo na duży skobel, a zawiasy oraz mechanizm zamka porządnie naoliwiono. Łażnie widać trafiły w dobre ręce. W końcu postanowiłem sforsować bramę na dziedziniec.

Stanąwszy na sztabie, ująłem siekiere i wyciągnąłem się do góry, ile tylko się dało. Dobra nasza. Balansując na czubkach palców, zdołałem zaczepić ostrze o górną krawędź bramy, po czym podciągnąłem się na jednej ręce. Teraz z jednej strony miałem widok na dziedziniec, z drugiej na ulicę. Za sobą usłyszałem bliskie kroki. Utrzymanie równowagi kosztowało przechodnia wiele wysiłku, więc mnie nie zauważył. Za bramą panowały mrok i cisza. No, może niezupełna, ponieważ w jednym kącie zbudził się świerszcz, a na dachu po prawej dokazywały koty. Przelazłszy na drugą stronę, zawisłem na obu rękach i dopiero potem skoczyłem, lądując na bruku z lekko ugiętymi kolanami. Dzięki bransoletce wszystko przebiegło bezgłośnie, nawet świerszcz niczego nie zauważył.

Postanowiłem zacząć od części gospodarczej, bo była mniejsza. Jakiś czas zabrało mi zrobienie ślepej latarki – małej olejnej lampki, rzucającej wąski promień światła.

Te drzwi także były zamknięte, ale na szczęście rygiel okazał się nędzny, a zamek mały i prosty. Na pewno by sobie z nim poradził każdy adept złodziejskiego fachu, ale nie ja: starczyły dwa uderzenia siekiery i byłem w środku. Pomieszczenia z półkami pełnymi prześcieradeł, powłoczek i szlafroków, duża, głęboka piwnica na wino oraz żywność, pralnia, prasownia. Nic ciekawego. Wyszedłszy na dziedziniec, odczekałem, aż oczy znowu przywykną do ciemności, po czym z zasłoniętą lampką ruszyłem dalej. Kolejne drzwi wyglądały podobnie jak poprzednie, z jedną różnicą – stały otworem. Klucz tkwił od wewnątrz, ze skobla zwisała kłódka.

Wstrzymałem oddech i zamieniłem się w słuch, jednak budynek sprawiał wrażenie pustego. Wyregulowałem lampkę tak, aby promyk światła był jak najwęższy, i ostrożnie wszedłem. Trzeba uważać, by odblask nie przedostał się przez okna na ulicę. W środku dom zdawał się być większy niż z zewnątrz. Zacząłem od najwyższej kondygnacji. Wszędzie mnóstwo rozmaitych pokoików z leżakami i małymi stolikami, żeby goście mogli sobie w ciepłe posiedzieć i odpocząć. Na parterze znajdowały się prywatne baseniki oraz łazienki, zaś w największym pomieszczeniu owalny basen

z kamiennym obmurowaniem. Powietrze było tu wilgotne i ciepłe, tafla wody odbijała światło niczym idealne lustro. Tylko w jednym miejscu dostrzegłem lekkie falowanie – tam biło gorące źródło.

Przez jakiś czas daremnie szukałem odpływu, musiał być gdzieś na dnie. Zalegająca cisza oraz ciemność budziły we mnie niepokój, czułem się niczym duch. Nagle lampka zgasła, ogarnęły mnie absolutne ciemności. Oględziny trwały znacznie dłużej, niż przypuszczałem, i oliwa się wypaliła. Czyżbym niepotrzebnie spędził noc w opuszczonej łaźni? Co ja tu właściwie chciałem znaleźć? Pełno naoliwionych, zamkniętych drzwi? Niechże sobie przypomnę, co opowiadała koleżanka Juany: że rozstały się gdzieś tutaj, a potem już jej nie spotkała na zewnątrz? Wokół była sama czerń.

W ciszy chlupnęła kropla oderwana od sufitu i na tafli zafalowała słabiutka poświata. To pewnie przywidzenia, przecież tu nie ma żadnego światła. Zaraz, a jednak coś tam chyba widzę. Wgapiłem się w jeden punkt, więc po chwili przed oczyma zaczęły mi tańczyć kolorowe kręgi. Odłożyłem siekiere oraz płaszcz i przeklinając swój głupi upór, ostrożnie wszedłem do basenu. Uch, ale tu gorąco! Kroczyłem powoli w stronę domniemanego światła, woda sięgała już do piersi. Jeszcze parę kroków i znalazłem się przy ścianie. Z bliska nabrałem pewności – przez szparę tuż nad powierzchnią sączyło się słabe światło.

Wróciłem po siekiere i wsunąwszy ostrze w szczelinę, naparłem ile sił. O dziwo, kamień drgnął. Wprawdzie ledwo, ledwo, ale jednak. Po paru minutach udało mi się go wysunąć na tyle, by wczepić się weń palcami. Później było już tylko lepiej. Cały blok, dokładnie wciśnięty w ścianę, miał grubość dobrych trzydziestu centymetrów, a ważył chyba z pięćdziesiąt kilo. Ułożyłem go ostrożnie na dnie basenu. Otworzył się przede mną biegnący skośnie w dół, wąski tunel z ciurkającą na dole strużką wody. Niczym spasiony wąż wśliznąłem się do środka i szorując ramionami o ściany, zacząłem pełznąć w stronę światła. Chwilami ogarniał mnie strach, czy tam nie utknę, na szczęście po paru metrach tunel się rozszerzył i było mi łatwiej.

Dotarłem do długiego, wyłożonego marmurowymi płytami pomieszczenia z krzyżowym sklepieniem. Wyglądało jak resztki dawnej piwnicy, przebudowanej w duchu jakiejś cudacznej mody. Na wykafelkowanej posadzce, w nieregularnych odstępach stały

dziwaczne konstrukcje z brązu i żelaza, przez na w pół rozsuniętą kotarę wpadało do tunelu światło. Dobiegł mnie przytłumiony odgłos – aha, ktoś tam rozmawia. Brzęknęło szkło, potem rozległ się gardłowy śmiech. Skoro dotarłem aż tutaj, trzeba by się porządnie rozejrzeć. Ciurkająca tunelem woda gromadziła się w zbiorniczku, odpływając przez przelew oraz płytki kanalik wzdłuż prawej ściany wprost pod kotarę. System małych stawideł umożliwiał wylanie wody na posadzkę, zupełnie jakby ktoś chciał ją utrzymać w czystości.

Podszedłem do pierwszej konstrukcji. Było to coś w rodzaju dybów ze skórzanymi pasami do usztywniania głowy. Drugie urządzenie wyjaśniło mi więcej. No cóż, buty, które poprzez dociskanie śrub potrafiły zmiażdżyć stopy i kości goleniowe, są znane niemal wszędzie. Ale co tu robią te buty? Do tego wypolerowane tak perfekcyjnie, że w lśniącym metalu mogłem zobaczyć własną zdeformowaną sylwetkę, a skórzane części były wręcz wypieszczone, gdzieś tam nawet zdobione srebrnym haftem. Przy trzecim urządzeniu nareszcie zaświtał mi sens poszczególnych konstrukcji. Ta pierwsza w gruncie rzeczy nie była narzędziem tortur, służyła tylko do idealnego usztywnienia ciała w pozycji na czworakach, z głową przy ziemi i szeroko rozsuniętymi kolanami. Tę straszliwą salę urządził ktoś, kto się lubował w seksie i zadawaniu bólu. Dreszcz przebiegł mi po plecach, dostałem też gęsiej skórki. Powoli kroczyłem dalej obok wyrafinowanych narzędzi do torturowania, poniżania, okaleczania i zabijania. Odgłos rozmowy narastał, w szczelinie kotary widziałem coraz większy wycinek sąsiedniego pomieszczenia.

Naprzeciwno, przy dwóch stołach siedziała grupa mężczyzn. Niektórych widywałem w gospodzie Tracza. Gawędzili hałaśliwie, na stołach stały kieliszki i parę butelek. Na ścianie za nimi wisiał staroświecko wyglądający klucz. Po kolejnych kilku krokach minąłem drewniany kłoc z wbitym ogromnym katowskim toporem o długim trzonku. Idealnie wyostrzony brzeszczot zdobiły wygrawerowane wzory oraz złote ornamenty, zaś na pomalowanym na czarno stylisku widniało mnóstwo nacięć. Obok leżało wiele rodzajów pęt różnej wielkości, za pomocą których można było przymocować do pniaka dowolną kończynę. Juana Huspitz nie miała lekkiej śmierci.

Ogarnąłem wzrokiem resztę sali. Za przedzielającą ją na dwie części kratą tłoczyło się wiele kobiet. Wszystkie siedziały, jedne z kolanami pod brodą, inne z twarzami schowanymi w dłoniach. Kilka ze zrezygnowanymi minami wpatrywało się w ściany. Ujrzałem Silenę. A więc dlatego nie przyszła do pracy. Kuliała się w kącie, a jej pusty wzrok wyrażał utratę wszelkiej nadziei. Jak dobrze to znałem! Ale to nie wszystko, co je jeszcze czekało.

Jeszcze przeżyją swoje piekło. Poznają ból, cierpienie rozdrobni ich duszę na kawałeczki, a potem znów złączy w coś innego, co będzie tylko nędzną kopią dawnego człowieka. Świat przestanie dla nich istnieć, wymażą z pamięci swoich bliskich, utracą szacunek dla siebie samych, przestaną się uważać za ludzi. Oprawca stanie się ich bogiem, pokochają go i jednocześnie znienawidzą, zrobią dla niego wszystko. I wreszcie, jeśli potrwa to naprawdę długo, a one nie wpadną w obłęd, zapragną śmierci, która będzie ich kresem. Znałem to.

Zacząłem się powoli wycofywać. To nie moja sprawa. Ponadto mężczyzn było dwunastu, każdy uzbrojony, a ja sam z gołymi rękami, ponieważ swoją jedyną broń zostawiłem na górze. Chociaż zaraz! Moje oczy znowu ujrzały katowski topór.

– Mamy dwie więcej, niż chciał szef! Może byśmy się trochę zabawili? – rozległ się czyjś głos. – Podobno najlepiej jest poderznąć przy tym gardło, fajnie wtedy podryguje!

Niechący o coś zahaczyłem. Na szczęście nadal poruszałem się bezgłośnie, a w wybuchu śmiechu, jaki wnet nastął, nikt by nie usłyszał nawet armii żołnierzy.

– Ty, Dzdud, weź no klucz i wyciągnij jedną. Ale załóż jej widełki, po co ma się szarpać – poznałem głos Pata.

Widełki były tradycyjnymi niewolniczymi kajdanami, w których człowiek mógł zaledwie dreptać, poza tym nic.

– Tylko że ty pójdziesz ostatni, bo jeszcze byś ją poderznął za szybko! – Pat wydał kolejny rozkaz.

Gdyby zechcieli skorzystać z którejś z tych wyrafinowanych zabawek w sali tortur, co wtedy? Muszę się pospieszyć. Dzdud sięgnął po klucz, ale był zbyt niski, musiał więc stanąć na stole. Mocnym ruchem wyszarpnąłem topór z pnia. Ważył pewnie ze dwanaście kilo. Ująłem go oburącz, podniosłem do góry i tak jak starodawni rycerze cisnąłem przed siebie. Śmignął w powietrzu niczym srebrna

błyskawica, po czym stalowe ostrze wbiło się Dłudowi w plecy wzdłuż kręgosłupa. Został w tej niewygodnej pozycji, przyszpilony do ściany, podobny do gigantycznego robaka. Poczułem, jak z lewego nadgarstka zsuwa mi się coś zimnego i bransoletka cicho zabrzęczała o posadzkę. Nie miałem pojęcia, czemu to wszystko robię, ale nagle poczułem się znacznie lepiej.

Wyszedłem zza kotary. Wpatrzyli się we mnie z osłupieniem, po marmurze ściekała krew Dżuda.

– Co ty tu robisz? – wykrztusił Pat.

Nigdy nie byłem dobrym krętaczem czy kłamcą, więc odpowiedziałem zgodnie z prawdą:

– Przyszedłem, żeby was wszystkich zabić!

– Tylko że nas jest dwunastu – rzekł Pat z coraz bardziej ogłupiałą miną.

– Jedenastu – poprawiłem. – Ale mam nad wami wielką przewagę. Gdyby przez przypadek któryś mnie załatwił, niech mu będzie. Nie zależy mi na życiu.

Dwóch wstało niemal jednocześnie, jeden z mieczem, drugi z długim nożem. Pierwszy był szybszy. Wziął zamach, by zadać cięcie. Podskoczyłem z boku, prawą ręką złapałem go za przegub, szarpnąłem do góry, a potem obróciłem i ile sił pchnąłem w kierunku wyciągniętego noża. Wszystko odbyło się tak prędko, że żaden nie zdążył zareagować i szermierz runął z przebitą pierśią. Ale wnet zaatakował drugi. Wściekłe cięcie po skosie zablokowałem kantem lewej dłoni, prawą założyłem dźwignię na łokieć i posłałem go na ziemię, nie puszczając tak długo, aż najpierw trzasnęła nadgarstek, a tuż potem łokieć.

– Dziewięciu – powiedziałem. – Kto następny?

Świat ograniczył się do poruszających się przede mną figurek, ich wymachujących rąk i kołyszących się ciał. Poznają, który z nich jest szybszy, agresywniejszy lub na odwrót, bardziej ostrożny. Nie mogę im dać czasu. Podeszedłem bliżej, prowokując do ataku kolejną trójkę. Błyskawiczny kopniak lewą stopą i po ziemi turla się pałka. Zgrzyt miecza o moje biodro. Unik, obrót tułowia, podmyk z jednoczesnym uchwyceniem przegubu i dźwignia z wykorzystaniem jego impetu.

Nie udało mi się uniknąć ciosu kastetem. Zbrojne w metal palce zahaczyły o moją twarz, aż w oczach stanęły mi świece. Następne

uderzenie, tym razem w żołądek. Skróciwszy dystans, walnąłem podbródkowym i popchnąłem bezwładne ciało w stronę nacierających napastników. Koniec zapaśniczych sztuczek, teraz nie pozostaje nic innego, jak zadawanie i przyjmowanie ciosów.

Nowa para: po lewej cep z bijakiem z brązu, po prawej ciężki tasak. Jednoczesny atak. Sparowałem tasak, ale zbyt słabo i ostrze zazgrzytało na ochraniaczach przedramienia, bijak, zamiast w głowę, trafił w naramiennik. Dalszy unik, skręt tułowia i podcięcie nogi tego z tasakiem, a potężny kopniak łamie kolano właściciela cepa.

Chwila spokoju. Słyszę własny oddech, po czole ścieka mi krew, serce wali, nie czuję żadnego bólu, a oczy widzą tylko przyczajone przede mną postaci. Facet na ziemi zaczął szukać noża. Wyrzniętem go butem w skroń i zesztyniał.

– Czekaaj, skurwielu, już ja cię załatwię! – Pat wystartował z moim mieczem. Szeroki zamach, błysk światła na stali, rzucony nóż odbija się od mojej opancerzonej piersi. Pat szykuje kolejny wypad. Jego ludzie cofają się, wyczekują. Atakująca noga wysuwa się daleko do przodu. Teraz! Odbijam klingę na bok, nagle jesteśmy do siebie przyklejeni. Łapię jego uzbrojoną prawą rękę za łokieć i nadgarstek, robiąc przy tym szybki obrót. Z bólu upuszcza broń, a wtedy tamci ruszają naprzeciw. Najszybszy zderza się z Patem.

Podniosłem miecz. Długa, smukła, lekka broń. Moja broń. Gość z szablą zawahał się, ale był już zbyt blisko, więc nie zdążył sparować i szpic utonął w jego piersi. Reszta wpada na niego, a on, popchnięty, wytrąca mi miecz z ręki. Nie mając wyboru, rzucam się na nich. Blokada kąśliwego cięcia, uderzenie w nasadę czyjegos nosa, o moją pierś zgrzyta ostrze, w lewym oku eksploduje ból od ciosu okutej pięści. Masa ciał, płatanina rąk i nóg. Trzeszczą kości i stawy, widzę zbroczone krwią noże, słyszę wrzask, jęk i dyszenie. Waląc, gdzie popadnie, przebijam się przez kłębowisko. Udało się. Oprócz mnie trzyma się jeszcze trójka. Dwóch z niepewną miną spogląda w stronę tunelu, jedynej drogi odwrotu, a trzeci, uzbrojony w kastet i nóż, rusza do mnie. Mówi coś, jednak nic nie rozumiem.

Jego potężny hak. Nóż na razie w odwodzie. Próbuje dojść do zwarcia. Opędza się wściekle nożem, nic z tego, jestem coraz bliżej. Wreszcie chwytam i łamię uzbrojoną rękę, kastet ostatni raz tańczy na mojej twarzy, ja jednak wciąż stoję na nogach. W końcu bum! i wbijam facetowi nos gdzieś głęboko w mózg.

Jeden z tamtej dwójki osuwa się na kolana, z rany w boku chlusta mu krew. Ostatni, przerażony, próbuje przebiec koło mnie. Jedną ręką łapię go za szyję, drugą przekładam pod brodą, skręt i po wszystkim. Jakież to proste.

Kolana mi drżą, ale nadal jestem w stanie chodzić. Włazę na stół, ciesząc się, że w ścianie tkwi ten topór, więc mogę się go przytrzymać. Nareszcie zdjąłem klucz. Jest ciężki, niosę go z trudem. Otwieram kratę.

– Idźcie do domu – mówię do zamglonych figurek skulonych pod ścianą. Tylko czemu, u diabła, się przy tym śmieję?

Część wybucha płaczem, ale wyszły wszystkie.

– Panie, w ciele macie noże – powiedziała jedna.

– Takie tam nożyki, drobiazg – słyszę swoją odpowiedź.

Ostatnia wychodzi Silena. Skąd ja ją znam? Obejmuje mnie, zapłakana.

– No idź, mała, idź już – popędzam ją do wyjścia. – Spróbuj o tym wszystkim zapomnieć – dodaję, chociaż wiem, że to niemożliwe.

Wreszcie wyszła, mogę dokończyć, co zacząłem. Nie będę się znęcał nad rannymi, dobiję ich tak szybko, jak tylko umiem. Jestem w tym naprawdę dobry. Robiąc swoje, zauważyłem, że w udzie rzeczywiście sterczy mi sztylet. Nie wygląda to dobrze. Przy każdym ruchu materiał spodni nasiąka kolejną porcją krwi. Boli, ale można wytrzymać. Wyciągnąłem sztylet z rany. Oho, kiedy tu skończę, czeka mnie długie szycie. Pat był ostatni. Ma złamanych kilka żeber, jedno przebiło mu płuco. Nie pamiętam, w jaki sposób go tak urządziłem.

– Nic z tego nie rozumiesz – powiedział.

Ma rację. Wiem tyle, że nie podoba mi się, co tu się działo. Tylko tyle i aż tyle. Otworzyłem mu tętnicę udową. Zanim zgasł, wyszeptał jakies nic mi niemówiące imiona. Zasypiam w kałuży krwi, własnej i cudzej.

Od zimnej podłogi ciągnęło chłodem, do tego spałem w cholernie niewygodnej pozycji, więc zbudziłem się obolały. Usiadłem. Na białych kafelkach mnóstwo trupów i pełno czerniejącej krwi. Uświadomiłem sobie, że ta masakra obciąża moje konto, lecz jej szczegóły rysowały się bardzo mgliście. Dotknąłem martwego Pata. Żuchwa zaczęła mu już sztywnieć, jednak stężenie pośmiertne

jeszcze się nie rozwinęło, a trupie plamy były wciąż słabe i nieliczne, co oznacza, że spałem z grubsza godzinę. Jednak dłuższe przebywanie tutaj chyba nie należy do dobrych pomysłów.

Spróbowałem wstać. Udało się, chociaż utrzymanie równowagi przychodziło mi z trudem. Rana na udzie była najgorsza, znów obficie krwawiła, ponadto nie widziałem na lewe oko. Zabrawszy miecz oraz katzbalger, pokuśtykałem po schodach. Po przejściu dwóch pięter i otwarciu trojga drzwi trafiłem do sali z dużym basenem. Wziąłem siekierę i narzuciłem na siebie płaszcz, przynajmniej nie będzie widać, jaki jestem poharatany. W tym stanie przełożenie przez bramę było raczej niemożliwe, otworzyłem więc okno i po prostu wyszedłem na ulicę. Noc w pełni, nigdzie żywej duszy. Skręcając za węgiel, usłyszałem, jak przed zaułkiem prowadzącym do drzwi dla obsługi zatrzymuje się karetka.

Rozdział 26

Elementy układanki



Bez kłopotów doszedłem do swojej oberży. Usiadłem na łóżku, odkręciłem głowicę rękojeści katzbalgera i wziąłem się do czyszczenia oraz szycia rany. Przypomniawszy sobie o maści Tril, użyłem jej zamiast swojego pudru. Działała wręcz cudownie. Uśmierzała ból, poza tym odniosłem wrażenie, że rana zrasta się na moich oczach. Eee, pewnie tak mi się tylko zdaje, chociaż z czarownicami nigdy nic nie wiadomo. Skończyła mi się stara nić, musiałem skorzystać z tej od Tril. Podczas szycia stopniowo przypominałem sobie sceny walki w piwnicy.

Miałem szczęście, że byli amatorami, ale i tak nie popełniłem żadnego błędu. Pat, jego ostatnie słowa przed śmiercią. Co znaczą? Nie wiem, nie trzyma się to kupy. Wiem jednak, kto mi je wyjaśni. Pociągnąłem kilka solidnych łyków z na wpół pustej flaszki, mojej ostatniej deski ratunku. Skaleczone wargi w zetknięciu z gorzałką piekły, ale po szyciu to uczucie było nawet przyjemne. Wziąwszy broń, wyszedłem w noc. Chyba powinienem sobie sprawić kapelusz z szerokim rondem, żeby okrył moją poobijaną twarz. Tak, zrobię to rano.

Maszerowanie do rezydencji Belfonta nie miało sensu. Zatrzymałem więc pierwszy napotkany powóz i warknąłem na woźnicę, żeby mnie tam zawiózł. Przyjrzawszy mi się dokładniej, przestał marudzić. Nocny wiatr chłodził policzki, łagodząc ból. Kazałem stanąć przed bramą, dalej poszedłem pieszo. Nigdzie śladu wartowników ani służących. Główne wejście było otwarte, światło płonęło tylko w paru pomieszczeniach. Jedno z nich znajdowało się w skrzydle zajmowanym przez Rozalindę, kochankę Belfonta. Powoli ruszyłem w tamtą stronę, mijając po drodze tonące w mroku

komnaty. Wreszcie jej apartament. Piece były jeszcze ciepłe, czyli do niedawno musiała się tu krzątać liczna służba, jednak teraz nie napotkałem nikogo.

Rozalindę znalazłem w bibliotece, stojącą tyłem do wejścia. Nie usłyszała mnie, chociaż wcale nie starałem się zachowywać cicho.

– Witaj – powiedziałem.

Odwróciła się.

Jej twarz była jednym wielkim siniakiem, miała złamany nos, biały szlafrok rozdarty. Zdawało mi się, że na dekolcie widzę krwawe smugi. Patrzyła na mnie jak na zjawę, jakiegoś podmorskiego stwora.

– Jakim kochankiem był Montemer Belfont? – zapytałem. – Normalnym?

Jej dolna warga zadrżała. Musiała wyteńczyć chyba wszystkie siły, żeby się opanować. Wypadł mi z ręki miecz. Myślałem, że jestem już w dawnej formie, a tu proszę. Podniosłem go powoli, czując przy tym, jak kręci mi się w głowie. Podała mi kielich z winem, nałała też sobie. Upiłem łyk. Wino pachniało, było mocne i smaczne. Napilem się znowu.

– Więc jaki? Do kogo należał sąsiedni apartament?

– Montemer nigdy nie był normalny. Utrzymywał dwie kochanki: mnie i Narcie. Znęcał się nad nią, a ode mnie żądał, żebym się znęcała nad nim. Właściwie nie było to nic straszного, raptem kilka razy jedwabnym biczem, no i związywanie. Między nami układało się dobrze, mam na myśli Narcie. Robił jej to, co ja jemu. Ale pewnego dnia przepadła, jak kamień w wodę. Od tego czasu przestał do mnie przychodzić, a mimo to zostawił tutaj. Dlaczego? Nie wiem.

Powieki zaczęły mi ciążyć, więc chcąc utrzymać równowagę, musiałem się złapać krzesła.

– Czasem miewał tak podły nastrój, że nie dało się z nim wytrzymać. A kiedy indziej tylko żarty mu były w głowie. Kiedyś jeden ze służących znalazł jego potwornie zakrwawioną odzież. Jak ja się wtedy bałam, jednak starałam się o tym nie myśleć. Przed godziną wpadł tutaj z pianą na ustach i obłędem w oczach. Wyrzucił wszystkich, a przy tym zranił kilka osób ze służby. Mnie zbił, okaleczył mi też piersi. Gdyby się tuż po nim nie zjawili jacyś ludzie, to bydlę pewnie by mnie zabiło. Ale tamci nie przyszli z mojego

powodu. Chcieli, żeby coś dla nich zrobił.

Kielich wraz z resztą wina wypadł mi z ręki. Wgapiłem się w szkarłatną plamę na gęstym białym dywanie.

– Pracujesz teraz dla Kurgana, prawda? – spytała. Popatrzyłem na nią, próbując wyteńczyć zmatowiały wzrok.

– Yhm. I jeszcze dla innych. A tobie jestem coś winien. Spakuj rzeczy, pieniądze, kosztowności. Jutro wyjeżdża karawana. Zamówiłem tam dla swojej kuzynki, znaczy się dla ciebie, miejsce w powozie. Będziesz sobie musiała radzić sama, ale wyrwiesz się stąd. Wydaje mi się, że tutaj sprawy pójdą w złym kierunku, i to galopem.

– Więc ty się na mnie nie wypiąłeś? A ja... – spojrzała trwożnie na leżący kielich.

Krew mi zastygła w żyłach. Zrozumiałem ten gest.

– Otrułaś mnie! – krzyknąłem i wyciągnąwszy rękę w jej stronę, usiłowałem zrobić krok do przodu.

– Obiecali, że jeśli im pomogę...! – wykrztusiła. Upadłem na twarz, biały dywan zrobił się czarny. Leżało mi się całkiem wygodnie, tylko czemu tu jest tak potwornie gorąco? Uniosłem głowę. Zobaczyłem bose, bielejące w migotliwym świetle stopy, które przechodziły w idealnie kształtne kostki oraz pełne łydki. Co było dalej, tego nie widziałem. Łeb mi pękał, ale jakoś się pozbierałem. Nogi należały do Rozalindy. Leżała na plecach z moim katzbalgerem w piersiach i w rozchełstanym szlafroku, pod którym była naga. Na jej ciele tańczyły odbłaski płomieni. To już nie była Rozalinda, tylko połec mięsa. Co za skwar! No tak, tego szumu nie ma na sumieniu moja rozbita głowa, tylko ogień. Tylne pomieszczenie oraz lewa część biblioteki stały w płomieniach. Gdy wyciągałem z martwego ciała broń, moje spojrzenie padło na księgę, którą wcześniej przeglądała Rozalinda. Ostatnie wydanie imperialnych akt ziemskich z rodowodami wszystkich arystokratycznych rodzin było otwarte na stronie poświęconej rodowi Belfontów. Mimo że litery skakały mi przed oczyma, zdołałem przesyłabizować:

Tegoż samego roku, dnia siódmego września, hrabina Elemary Drexler wyszła za swego przybranego brata, Drexlera Belfonta. Ze względu na brak więzów krwi uzyskanie cesarskiej dyspensy nie było konieczne.

Już chciałem wyrwać kartkę, gdy z sufitu runęła płonąca belka, niszcząc stolik wraz z księgą. Wziąłem nogi za pas, zaglądając po drodze do stajni. Ja to mam szczęście! Był tam powóz z gotowym zaprzęgiem. Niespokojne konie całkiem chętnie ruszyły kłusem. W bramie obejrzałem się za siebie: siedziba hrabiego wyglądała niczym ogromny stos. A na wschodzie pojawił się pierwszy promyk świtu.

Kto zabił Rozalindę, czyżby ja? To możliwe, ale w takim razie zamiast broni użyłbym rąk. I na pewno nie podpaliłbym pałacu. Zatem musi to być sprawka tych, o których wspomniała. Czyli nie Kurgana, a z kolei kontakty Fauntleta nie sięgały tak wysoko. Logika wskazuje na Varatchiego i jego ninjów. Musieli być w pałacu w tym samym czasie co ja, może po coś wrócili. I usłyszawszy moją rozmowę z Rozalindą, doszli do wniosku, że już im nie będzie potrzebna. Więc ją zabili, pozorując wszystko tak, żeby wyglądało na moją robotę. Dobra, ale jeśli Varatchi rzeczywiście tropił przestępczą działalność Montemera, wobec tego jego postępowanie było cokolwiek dziwne.

I jeszcze ten bezsensowny wpis w ziemskich aktach. Kim więc był Drexler Belfont? Poślubił córkę starego hrabiego, przy czym już nosił jego imię. No i nie łączyły ich więzy krwi, czyli stary go adoptował. Tylko dlaczego? Dojeżdżając do budynku gubernatorstwa, doznałem olśnienia. Ponieważ przyszły arystokrata Drexler Belfont miał mnóstwo pieniędzy legalnego pochodzenia! Ochnot coś kiedyś wspomniał, że rozkwit Belfontów zaczął się z grubsza ćwierć wieku temu, co by odpowiadało dacie ślubu.

Ja zaś wiedziałem o człowieku, który mniej więcej w tamtym czasie zarobił duże pieniądze, oszukał współników i dał nogę ze Strefy. Został tu po nim syn, o istnieniu którego nawet nie miał pojęcia. Dziś jest dwudziestopięcioletnim mężczyzną ze znamieniem w identycznym miejscu jak jego ojciec, równie bezwzględny i rzutkim. A ponieważ Drexler dobrze wiedział, jak wielkie sumy przepływają przez Strefę, wrócił w roli legalnego lennika, powierzając stanowisko własnemu synowi.

Chyba wierzył, że już nikt nie zdoła dokonać tego, co kiedyś on sam. Ale się pomylił. I kiedy coś mu zaczęło śmierzdieć, chciał sprawdzić, co tu się dzieje. Stało się dla mnie nawet jasne, jak ten stary gangster uniemożliwił przelew moich pieniędzy. Po prostu

włamał się do banku i ukradł zlecenie przelewu, zabijając przy tym urzędnika.

Zeskoczywszy z kozła, machnąłem wartownikom, którzy wpuścili mnie do środka. Zaraz po wejściu do głównego budynku omal nie wpadłem na Kripsa, sekretarza Montemera, oraz Diva, zwierzchnika służby.

– To nasz człowiek – rzekł z ulgą Div do Kripsa. Div należał do bandy Kurgana, to wiedziałem. Ale żeby też sekretarz?

– No jak, macie je wreszcie? Kiedy będą gotowe? Nie można z nim wytrzymać, zamknął się w pracowni i tam szaleje! – wyszeptał drżącymi wargami Krips, po czym dodał, spoglądając nienawistnie na Diva: – Mówiłem ci, żebyś mu nie dawał tyle tego świństwa!

Nie miałem pojęcia, o czym mówi, więc tylko pokręciłem przecząco głową:

– To jeszcze potrwa jakąś chwilę. Ale teraz muszę z nim pogadać.

– On z nikim nie chce gadać!

– Ze mną będzie! – oznajmiłem pewnym głosem. – Pójdę tam sam, potem do was zajrzę.

Pobiegłem na piętro. Dzięki jeździe na kozle czułem się lepiej. Żaden nie powiedział nic o moim wyglądzie, to ciekawe. Hm, widać w ostatnim czasie przywykli do takiego obrazu ludzi Kurgana.

Idąc przez kolejne pomieszczenia, przymykałem za sobą drzwi. Te ostatnie, mahoniowe, prowadzące do pracowni Montemera, były zamknięte na klucz. Na prośby o otwarcie czy też na szukanie tarana nie miałem czasu. Zaciśnąłem pięść i bez żadnego zamachu wyprowadziłem prosty cios spod pasa. Opancerzona rękawicą dłoń weszła w drzwi niczym w masło. Wymacawszy po drugiej stronie klucz, otworzyłem.

Skurczony za biurkiem Montemer Belfont patrzył na mnie przerażonym wzrokiem. Jego głowa kiwała się bezmyślnie na boki, a w kącikach warg gromadziła i się ślina. Przypomniałem sobie faceta w burdelu, który okaleczył jedną z prostytutek.

– Przychodzę od Kurgana – powiedziałem.

W oczach jakby mu coś zaświtało.

– Macie je wreszcie? Są mi potrzebne! Potrzebne, jasne? Chcę dziesięć kobiet! Bo jak nie, to pozwolę, żeby Varatchi z cesarskimi wszedł do miasta! Rozumiesz? – wychrypiał, o mało się nie dławiąc.

Wyobraziłem sobie, jak właśnie w tej chwili dziesiątki bandziorów polują w całym mieście na kobiety, wszystko po to, aby ten uzależniony od nudrogu drań mógł zaspokoić swoje zwyrodniałe mordercze żądze. Ale ich wysiłek był daremny, ponieważ po tym, jak Varatchi kazał spalić rezydencję Belfonta, z pewnością nie zamierzał się już z nim układać. Chociaż kto wie? Tu wszystko jest możliwe.

– Mamy, mamy, całą dziesiątkę. Same piękne, młode dziewczuszki. Proszę ze mną – rzekłem kojąco.

Przestał kiwać głową i uśmiechając się niczym dziecko, wyszedł zza biurka.

– To dobrze.

Wziąwszy go pod ramię, jednocześnie zabrałem z biurka mały kozik. Jednym ruchem rozciąłem mu tętnicę szyjną i odskoczyłem w bok, żeby się nie pobrudzić. Wykonał zgrabny piruet i osunął się na ziemię, krew zbrzgała ściany i meble. Wcisnąwszy mu kozik w dłoń, wyszedłem.

– Za późno – oznajmiłem Divowi i Kripsowi. – Jęczał tam i wył, no i zanim wywaliłem drzwi, zdążył sobie poderznąć gardło. Wyślijcie kogoś do Kurgana. Niech się przestaną uganiać za dziewczynami, bo robią tylko niepotrzebny zamęt. Ja muszę się zająć tymi zbirami, co to ciągle ukatrupiają naszych.

O dziwo, wyglądali na wdzięcznych za każdy rozkaz. Zostawiłem ich na korytarzu. Miałem ochotę na pogawędkę z Tuhuką, bo dzięki temu, że długo tu służył, mógłby mi pewnie sporo opowiedzieć. Chcąc jednak jak najszybciej zniknąć z oczu tym dwóm, wlałem na koziół i strzeliwszy z bata, ruszyłem w ciemność. Powóz zostawiłem nieopodal oberży, wiedziałem jednak, że nie mogę tu zostać do rana. Zbyt wielu ludziom pokrzyżowałem dziś plany, wkrótce wszyscy się dowiedzą, że prowadzę własną grę.

Znów ogarniało mnie zmęczenie, więc po schodach szło mi się ciężko. Zanim ująłem klamkę, zauważyłem w środku światło. Oparłszy miecz o ścianę, trzymając w jednej ręce katzbalger, ostrożnie otworzyłem drzwi. Na moim jedynym krześle siedział Ochnot. Akurat opróżnił szklanke. Butelka na stole była pusta.

– Dobrze, żeś wrócił. Okradli mnie! – powiedział na powitanie.

Cóż, to przykre. Tylko czemu jest taki wystraszony?

– Odkryli przy tym skrytkę, gdzie trzymałem moje prawdziwe

notatki na temat rachunkowości Belfonta! – wyjaśnił, jakby czytając w moich myślach.

– A to znaczy, że wkrótce spróbują cię zabić – rzekłem cicho.

– Tak, wiem. – Jego mina wyrażała absolutną bezsilność.

Stanąwszy w obliczu przemocy, niektórzy ludzie przestają całkowicie panować nad biegiem zdarzeń. On był jednym z nich.

– Odwiozę cię do Leermana. To najpotężniejszy człowiek w okolicy, szanowany kupiec z prywatną armią. Poprosisz go o tymczasowe schronienie – zaoferowałem, po czym, nie czekając na odpowiedź, dodałem: – Idziemy.

Osobiście już tu nie zamierzałem wracać, wiedziałem też, gdzie szukać nowej kwatery – w pobliżu gospody Tracza, żeby mieć na oku każdego, kto tam przyjdzie. A jak się to okaże niemożliwe, będę musiał udawać przydrożnego żebraka, co z moim obecnym wyglądem powinno być łatwe.

Poszliśmy wprost do powozu. Stał tam nadal, aż dziwne, że nikt go jeszcze nie ukradł.

– Musisz mi wskazywać drogę – powiedziałem. W trakcie jazdy zaznajomiłem go ze swoim planem.

– W porcie stoi statek. Jego właściciel jest przekonany, że pracuję dla Drexlera Belfonta. Dałem mu zaliczkę, więc czeka na moje rozkazy. Wie, że ma kogoś zabrać na pokład. Gdy tylko zaprowadzę tam Tril, dam ci znać, żebyś do nas dołączył. Zmykamy stąd razem. Jeśli w ciągu dwóch dni nie dam znaku, będzie to znaczyło, że coś poszło nie tak, więc uciekaj sam. Powiedz kapitanowi, że przysłała cię Bakly.

Później opisałem wygląd statku i miejsce, gdzie cumuje. Po moich związanych słowach Ochnot zrobił się jeszcze bardziej nerwowy.

– Wszystko będzie dobrze. Wiem, co robię! – próbowałem go uspokoić, ale chyba bez powodzenia. Pociaszanie nigdy nie było moją dobrą stroną.

Zatrzymawszy się niedaleko rezydencji Leermana, poczekałem, aż Ochnota wpuszczą do środka, po czym zaciąłem konie. Niebo już bladło także na zachodnim krańcu, zaś gwiazdy na wschodzie znikły zupełnie. Długa noc zbliżała się do końca, rozpoczynał się jeszcze dłuższy dzień. Jechałem na spotkanie z Degiem, dowódcą ochroniarzy Nikity. Zostawiwszy powóz w bocznej uliczce, ruszyłem

do portu pieszo. Konie były już dość zmęczone, a co dopiero ja. Chociaż trzeba przyznać, że maść od Tril działała naprawdę cudownie. Żadna z ran nie krwawiła, nawet w marszu, ponadto nie czułem najmniejszego bólu. Musiała do niej użyć jakichś czarów, to pewne. Niemniej byłem jej za to wdzięczny. Wszedłem na molo. Zdziwiłem się, widząc, że wodę w porcie rozcinają ostre rekinie płetwy. To chyba o tym opowiadał Filip Fauntlet.

Chwilę później w cieniu opuszczonej strażniczej budki dostrzegłem jakiegoś mężczyznę. Przyglądał mi się, a gdy zauważył, że odkryłem jego obecność, podszedł bliżej. Deg.

– Rekiny. To z powodu północno-zachodniego pasatu. Teraz nawet w porcie nie należy wpadać do wody – powiedział, nawiązując do mojego wcześniejszego gapienia się na powierzchnię morza.

– Potrzebuję twojej pomocy. Chodzi nie o mnie, tylko o Nikitę – przeszedłem do rzeczy.

– Zrobię dla niej wszystko na świecie, o ile nie ucierpią przy tym moi ludzie – odparł spokojnie.

– Tyją kochasz – rzekłem niemalże z wyrzutem. Przez niczym wyciosaną z granitu twarz przemknął uśmiech.

– Kocham czy uwielbiam, co za różnica? – rzekł cicho.

– Więc dlaczego nie ty z nią jesteś, tylko ten bękart?

– Jestem wodzem swego ludu, potomkiem jednego z najmożniejszych rodów. Żyjemy rozrzućeni po wielu wysepkach, lecz jeśli poślubię właściwą kobietę, będę miał szansę na zjednoczenie kilku plemion. A moje dzieci zjednoczą parę dalszych. Nie wolno mi wziąć za żonę innej kobiety niż wyspiarka.

Nic z tego nie rozumiałem, cóż, w końcu nie jestem tubylczym kacykiem.

– Powinieneś go zabić – wyjaśniłem mu własną ocenę sytuacji.

– Ona go kocha – powiedział, wzruszając ramionami, jakby ten powód tłumaczył wszystko.

Nikita płaci mi, żebym ją stąd wyciągnął, kiedy sprawy wezmą w łeb. A taka katastrofa wisi w powietrzu – jałem mu wyłuszczać, w czym rzecz. – Kurgan zaatakuję Fauntleta, kiedy ten będzie przeprowadzał jakąś transakcję. Myślę, że gdzieś blisko morza, ponieważ Fauntlet bardzo liczy na własną flotyllę. Mam nadzieję dowiedzieć się, kiedy i gdzie to będzie. Chciałbym, żebyś mnie tam najpierw zawiózł, a później odwiózł z powrotem. Razem z Nikitą.

– Mój statek będzie tu na ciebie czekał.

Skinąwszy mu głową na pożegnanie, poszedłem. Rzeczowość to moja dewiza.

Godzinę później, owinięty kocami leżałem na stole w pozycji strzelca, obserwując ruch przed knajpą Tracza. Miałem szczęście: moja nowa kwatery znajdowała się w najdogodniejszym miejscu, a znalazłem ją za pierwszym razem. Jednak teraz pomimo wysiłków powieki sklejały mi się ze zmęczenia. Nie pozostało mi nic innego jak wierzyć, że zdrajca nie przyjdzie za dnia. Wszystkie szczury kochają ciemność.

Ocknąłem się po południu. Przekąsiłem coś i szybko wróciłem pod okno. Sądząc po tym, że leżenie na blacie stołu stawało się niewygodne, musiałem dochodzić do siebie. Z pomocą zakupionego wcześniej arkusza papieru i ołówka spisałem swym koślawym pismem wszystkie uwagi dotyczące przeszłości hrabiego Drexlera Belfonta i jego syna, po czym schowałem kartkę do kieszeni płaszcza. Mój człowiek zjawił się o zmierzchu. Trzeba by wyjść na zewnątrz, żeby mi przypadkiem w zapadającym mroku nie umknął. Wcale mnie nie zdziwiło, że był to Kahuk. Wszedł do knajpy Tracza prywatnym wejściem Kurgana, zatrzymując się tam nie dłużej niż parę minut. Później ruszyłem za nim niczym cień. Zdązał w stronę morza, jednak na przystań, która podczas wcześniejszych oględzin terenu nawet mi nie przyszła do głowy. Dogoniłem go, zanim dotarł do statku. Mógł tam mieć jakichś kompanów, chociaż było to mało prawdopodobne. Zdradza się w pojedynkę.

Szum fal oraz skrzywienie masztów cumujących statków sprawiły, że mnie nie usłyszał. Złapawszy go z tyłu za nadgarstek, wykręciłem mu rękę tak, aby ból zmusił go do stanięcia na palcach. Dopiero potem pokazałem mu swoją twarz.

– Ty? – szepnął niedowierzająco.

– Jestem nieśmiertelny – wykrzywiłem się w uśmiechu. – A teraz raz-dwa powiesz mi, co zdradził Kurganowi, bo inaczej pošlę Fauntletowi mały donosik.

– Przecież to na jego rozkaz wepchnąłem cię do wody! – wykrztusił, błędąc.

Biedaczysko nie wiedział, co mu zrobię, kiedy się wygada.

Wyklepał wszystko szybciotko. Współpracując z innymi, Fauntlet już od paru dni handluje po kryjomu swoimi towarami

i właśnie teraz szykuje się do ostatniej dużej transakcji. W tym celu wybrał znowu skład na skraju miasta blisko morza, dokąd mógł łatwo dotrzeć statkami. Są z nim Nikita i Tril, stary czarownik tymczasem umarł. Pewnie podczas otwierania pewnej skrzynki, pomyślałem.

– Chciał nas wszystkich okraść! – zakończył wzburzonym głosem Kahuk.

– Co ci Kurgan obiecał za zdradę? – zapytałem.

– Pieniądze – odparł prędko.

– Tylko? Nic więcej? – docisnąłem go, przypomniawszy sobie słowa Eleganta, że czasem pieniądze nie są najważniejszą pokusą.

– Nikitę – przyznał.

Czemu na to nie wpadłem już wtedy, gdy tak gorliwie oglądał ślady na wysepce Dodo? No tak, w niektórych sprawach po prostu jestem za głupi.

– Pływać umiesz? – zmieniłem temat.

– Oczywiście! – rzekł, jakby dotknięty.

Chyba też uwierzył, że nie zamierzam mu zrobić krzywdy, bo trochę się uspokoił.

Zrzuciłem go z mola do wody. Rzeczywiście, umiał pływać, tyle że rekiny były od niego ciut szybsze. W ostatnich godzinach zabiłem naprawdę dużo ludzi, co jednak, o dziwo, nie budziło we mnie żadnych wyrzutów sumienia.

Odwróciwszy się na pięcie, ruszyłem na spotkanie z Degiem. Trzeba się spieszyć, bo Kurgan ma przewagę godziny i z pewnością zechce ją wykorzystać jak najlepiej.

Rozdział 27

Krwawe żniwo



Miejsce starcia dwóch gangów ujrzeliśmy już z daleka, niezawodnie mówiły o nim płonące statki. Kurgan widać czegoś się nauczyli zadbał, żeby przeciwnik nie mógł mu nawiać. Niewykluczone, że na pokład jego statków wprowadził swoich ludzi. Płynęliśmy przy samym brzegu. Sądząc po napięciu na twarzy Dega i reszty załogi, był to manewr na granicy ryzyka. Wiatr przywiewał do nas kłęby dymu, niezrozumiałe krzyki oraz przytłumiony szcęk stali.

– Popłyniemy wzdłuż jednego mola! Musisz przeskoczyć! – krzyknął Deg. – Zacznijmy się w ciemności, a kiedy się z nimi pojawisz, podpłyniemy i rzucimy trap! Jasne?

Skinąłem głową, po czym przycupnąłem na burcie, czekając na najdogodniejszy moment do skoku. Trzymana w ręce lina była wilgotna i śliska. Teraz statkiem huśtało jeszcze mocniej, tak więc mój żołądek znów dawał znać o sobie. Marynarz byłby ze mnie kiepski. Nagle wydało mi się, że płyniemy z zawrotną prędkością. Wcześniej byliśmy ze dwa metry od mola, po czym odległość zaczęła rosnąć. W chwili odbicia, gdy znaleźliśmy się na szczycie fali, przez myśl przemknęło mi słowo „rekiny”, lecz kiedy nogami dotknąłem drewnianych desek, myślałem już tylko o ludziach, którzy staną mi na drodze do osiągnięcia celu.

Pędem pognałem w stronę wejścia do budynku. Był to dawno opuszczony trzypiętrowy skład, już porządnie zniszczony. Na brzegu panował spokój, dostrzegłem jednak kilka trupów. Sądząc po hałasie, zażarty bój toczył się na ulicy przed domem. Trzymając w jednej ręce miecz, a w drugiej katzbalger, przebiegłem przez pusty placyk. Na parterze nie było nikogo, za to z góry dobiegały odgłosy walki.

Czyli obrońcy byli już wypchnięci na najwyższe piętro, może nawet na dach. Schody skończyły się na pierwszej kondygnacji, co teraz? Wszędzie trupy. Większość była ofiarami samopowtarzalnych kusz, ale były też tam zwęglone ciała. Co je zabiło? Nie wiadomo. Na bliższe badanie nie miałem czasu.

Wreszcie nowe schody. Przekleństwa, krzyki oraz łoskot mieczy rozlegały się wprost nade mną. Z rozwianymi połami płaszcza sadziłem po trzy stopnie naraz. Dwóch zbrojnych w miecze oraz mężczyzna z toporem i tarczą nacierali na zmianę na parę rybaków, broniących wejścia do szerokiego korytarza. Topornika przebiłem od tyłu, szermierz z lewej zdążył się odwrócić i podnieść miecz. Sparowałem klingę, po czym ciąłem go w twarz. Jego kompan, załatwiwszy właśnie jednego z rybaków, chciał się dobrać do drugiego. Nóż w starciu z mieczem nie miał szans. Na ziemi walały się samopowtarzalne kusze. Aha, musiały się im skończyć strzały.

Zanim zdążyłem zaatakować, drugi rybak runął z dziurą w piersiach, po czym szermierz natychmiast ruszył na mnie. No tak, nie mając bransoletki, już nie mogłem zabijać tak bezgłośnie. Szkoda.

Był dobry, znał się na rzeczy. Tylko że ja walczyłem przy użyciu dwóch ostrzy, ponadto spieszyłem się, więc jedna czy dwie rany więcej nie miały dla mnie znaczenia. Kwarta, potem ostra kontra i jego zasłona została rozbita. A potem cięcie w szyję. Przebiegłszy przez korytarz, znalazłem się w klitce przy wyjściu na dach, gdzie się tłoczyli Tril, Nikita, Fauntlet i jeszcze jeden rybak. Z pomieszczeń w oddalonej części budynku także dobiegały odgłosy walki. Czyli na górne piętro prowadziły podwójne schody! Blady Fauntlet opierał się o ścianę, na piersi miał krwawą plamę. Tril przykładała mu do rany bandaż.

– Tyś to przeżył – wycharczał, biorąc jednocześnie do ręki nóż, jakby zamierzał nim cisnąć.

Wyjrzawszy przez okno, zrozumiałem, dlaczego największy bój toczy się na ulicy. Stało tam kilka wozów i ludzie Kurgana chcieli zdobyć łupy.

– Na morzu czeka statek. Wystarczy nam dostać się do mola – powiedziałem spokojnie. – Nie mamy czasu na namysły.

Bitewna wrzawa z tyłu przycichła. Spojrzałem w stronę otwartych drzwi, które właśnie w tej chwili wypełniła postać

z toporem. Nikita bez chwili wahania ujęła kuszę i strzeliła z biodra. Mężczyzna, trafiony z bliska w pierś, zwałił się na ziemię. Wnet zjawił się następny, tym razem uzbrojony w bombę.

– Nie! – krzyknęła Tril, wyciągając rękę w jego kierunku. Napastnik pofrunął, jakby porwany przez niewidzialny podmuch, wyrznął w przeciwległą ścianę, zostawiając w niej płytkie wgłębienie i osunął się z pogruchotanymi kośćmi. Coś w tej magii jest, nie da się ukryć. Dobrze być znajomym Tril.

– Idziemy! – zakomenderowałem, sięgając jednocześnie do kieszeni i podając Nikicie kartkę ze swoimi spostrzeżeniami.

W tym momencie Fauntlet błyskawicznym ruchem wypchnął Tril przez okno. Stałem osłupiały, a Nikita wypuściła z ręki kuszę.

– Przyszedłeś mnie zabić, ale ja się nie dam. Spokojnie, czarownicy tak łatwo nie umierają, wiem coś o tym. Zresztą spróbuj, może ją uratujesz! – wychrypiął obłąkańczo.

W spojrzeniu Nikity widziałem rozpacz i zarazem błaganie. Odczekałem, aż opadnie ze mnie wściekłość. On był szaleńcem, ale ja nie miałem chwili do stracenia. Wskoczyłem na parapet – Tril wylądowała na plandece wozu stojącego tuż przy budynku i właśnie teraz gramoliła się na ziemię. Ulica była ślepa, drogę ucieczki blokowali ludzie Kurgana likwidujący ostatnich obrońców towaru Fauntleta. Niektórzy, zauważywszy Tril, puścili się za nią z krzykiem:

– Zabić tę czarownicę!

Zrozumiałem, że zwęglone trupy są jej sprawką. Identycznie, jak w przypadku gościa z bombą, spróbowała się rozprawić z najbliższym napastnikiem, ale czar posłał go na ziemię tylko na chwilę. Widać także jej zapasy sił były ograniczone.

Skoczyłem, zrobiłem dwie przewrotki i znów stałem na nogach. Byczek z cepem gapił się na mnie, jakby zobaczył ducha. Ciąłem go najpierw w bok, a następnie rozplątałem głowę.

– Trzymaj się mnie, damy sobie radę! – krzyknąłem przez ramię, po czym pogałem przed siebie.

Widziałem siedmiu, może ośmiu facetów. W przeszłości radziłem sobie w takich sytuacjach, więc i teraz powinno być dobrze.

Obliczywszy dokładnie rytm moich kroków, szermierz z długim mieczem zamarkował pchnięcie, a potem spróbował ciąć w brzuch. Zderzenie kling, ich zgrzyt i wpadamy w kłincz. Byłem cięższy,

w dodatku rozperdżony, więc udało mi się go odepchnąć i zadać skośne cięcie w szyję, jednocześnie blokując katzbalgerem wypad kolejnego przeciwnika. Zwarcie. Przykleiłem się do niego i podstawivszy z tyłu nogę, podciąłem. Padliśmy obaj, ja na wierzchu. Ciach! Poderżnąłem mu gardło.

Tuż obok wylądowała bomba. Odkopnąłem ją i chwilę potem wybuchła. Odłamki zagrzechotały o pancerz, jeden dziabnął mnie w nogę. W powietrzu mignął czerwony punkt, następna bomba z podpalonym lontem. Zamach i cięcie. Zahartowana stal przekroiła miękkie żelazo na dwie części, proch zmienił się w niegroźny język ognia.

Przebiłem się już przez ośmiu. No tak, ale ci nie mieli bomb. Byle naprzód, Tril za mną.

Następny na drodze, zwalisty mężczyzna z obosiecznym mieczem i tarczą. Znał się na swoim fachu. Na parę chwil musiałem mu ustąpić pola, jego kompani byli coraz bliżej. Próbowałem przełamania jego obrony, ale blokował bezbłędnie, co więcej, przy skręcie o mały włos złamałby mi rękę krawędzią tarczy. Krok w tył i zasłona. Ból nogi, na udzie czułem ciepłą krew. Trzeba zaryzykować. Jeden wypad, drugi. Przy którymś zapomniał o wykroczonej nodze, zamarkowałem więc cios w kolano. Błyskawicznie zbił moją broń tarczą, ale cięcia w szyję sparować już nie zdołał.

Dwaj kolejni byli tuż-tuż. Pierwszego spróbowałem dźgnąć w twarz, lecz zablokował mnie z łatwością, a sam wyprowadził uderzenie w bark. Sparowałem po skosie. Trzymał broń zbyt sztywno, więc wypadła mu z ręki. W ostatniej chwili młyńcem odparłem atak jego kompana, lecz jednocześnie w bok wgryzł mi się sztylet tego, któremu wytrąciłem miecz. Prowadzona skośnie pod górę klinga przebiła płytki loriki, zaraz potem po ciosie w ramię ugięły się podę mną kolana. Tak bywa, jak się robi błędy w zasłonie. Mimo to udało mi się znaleźć za ich plecami. Obrót i jednoczesny atak przy użyciu obu broni. Pierwszemu rozharatałem pierś. Drugi musiał się cofnąć przed padającym towarzyszem i stracił rytm – długi wypad i przebiłem go mocnym sztychem.

– Dalej, dalej! – wrzasnąłem do Tril.



Rana w boku boli piekielnie, więc moje ruchy nie są tak szybkie jak wcześniej, ale biec trzeba. W odległości dziesięciu metrów grupka trzech mężczyzn. Jeden trzyma miecz, pozostali bomby z podpalonymi lontami.

Cisnęli, jeden po drugim. Odbicie, wyskok, kopniak lewą, a potem prawą nogą. Trafiam obie bomby, jednak przy lądowaniu tracę równowagę i chrzęszcząc zbroją, upadam na wznak. Ledwie zięnię, oddychanie sprawia ból. Przerazenie na twarzach tamtych, eksplozja tuż nad ich głowami, a potem świst chmury odłamków nade mną.

Wstaję z trudem, powoli. Droga wolna.

– Idziemy! – krzyczę do Tril.

Żyje, więc ściskający serce lęk znika. Odwracam się. Na ulicy znów ktoś stoi, lecz jest osamotniony, do tego bez broni. Czyli jakby go nie było. Chcę biec, jednak ledwie powłóczę nogami. Nie szkodzi, i tak go dopadnę i zabiję.

Mężczyzna unosi ręce w geście przypominającym machanie skrzydeł kondora i krzyczy coś niezrozumiale. Ziemia drży, padam na bruk. Już wiem, kto to taki: Elop Boon, czarnoksiężnik Varatchiego. Patrzę na Tril. Jest blada, ale wciąż się trzyma na nogach, przy czym sprawia wrażenie mniejszej niż zwykle. Znowu ten gest, z pomocą którego potrafi łamać kości, jednak Boon tylko się zachwiał, po czym zdjął płaszcz. Ma na sobie jakby uprząż z mnóstwem przypiętych do niej szlachetnych kamieni. Tymczasem Tril próbuje innego czaru i Boon krzyczy z bólu, a jeden z jego kryształów rozpryskuje się w drobny mak.

Staram się pozbierać myśli. Nade mną biją gromy, ziemia dygocze, w powietrzu kołuje się kurz, a bruk w pobliżu Tril pęka, lecz ona stoi. Jej palce drżą, zaciśnięte wargi są sine. Nie, nie będę już na nią patrzył. Powietrze wokół Boona faluje, pewnie z gorąca, sam nie wiem. Krzyczy jak oszalały, jego kamienie zaczynają migotać. No tak, to magiczne przedmioty należące do dawnych czarnoksiężników, które teraz pomagają mu w tym pojedynku. Wiem, że świat jest niesprawiedliwy, ale i tak nie rozumiem, dlaczego wszyscy moi przyjaciele zawsze trafiają na wroga, który ma przewagę.

Zaczynam się czołgać. Muszę dać radę, muszę jej pomóc. Boon jest teraz spowity jakimś obłokiem, który robi się coraz mniejszy, aż

w końcu bucha oślepiającym światłem i ubiór czarnoksiężnika płonie, lecz on, otoczony aureolą bijącą z jego kamieni, jakby tego nie zauważał. Wreszcie udaje mi się powstać i z wycelowanymi w ognisty punkt szpicami miecza i katzbalgera idę naprzód. Macha ręką, światło rusza mi na spotkanie, lecz przykleja się do ostrza klingi. Stał się na chwilę rozjarza, po czym pokrywa ją siateczka pęknięć. Eksplozja powala mnie na ziemię, a miecze rozpadają się w pył. Nic z tego nie rozumiem, wiem jednak, że czar nawet mnie nie musnął.

Boon znowu wrzeszczy, na jego czole pojawia się krwawa plama, jakby mu coś wyrwało płąt mięsa. Następna plama. Macha rękami, dygocze z bólu, kamienie lśnią, lecz Tril nie popuszcza. Krew tryska z ciała czarownika, skóra znika, zostaje tylko kukła z samych mięśni, ścięgien oraz kości, jedynie siłą woli stojąca na nogach. Czar działa nadal, Boon zmienia się w szkielet i w końcu pada na ziemię. Zwyciężyliśmy. Wstaję. Zawsze wstaję, gdy jest to potrzebne.

Patrzę na Tril: w poszarzałej twarzy nie widzę ani krzty zadowolenia. Być może jest za bardzo zmęczona.

– Idziemy – szepczę, odwracając się.

Drogę zastawia nam szereg ciężkozbrojnych z mieczami schowanych za tarczami z godłem regularnej cesarskiej armii. A oni tu skąd? Nic, mam jeszcze siekierę. Podobno jest magiczna, chociaż nie wiem, na czym to polega. Mogę spróbować się przebić. Nie mogę – muszę. Jednak nagle tracę siły, serce bije coraz wolniej, a od czubków palców rąk i nóg czuję postępujący chłód. To chyba śmierć. Staram się z nią walczyć, przecież muszę utorować drogę dla Tril, ale wydaje się, że już mnie na to nie stać.

Rozdział 28

Gry moźnych



Ktoś głaszcze mnie po włosach. Nie zaznałem tego nawet w dzieciństwie, wiem jednak, że tak musi się czuć ktoś głaskany. Otworzyłem oczy. Leżałem na środku ulicy okryty płaszczem, z głową na kolanach Tril. Niebo robiło się coraz bledsze. – Dniało.

– Czyja żyję? – upewniłem się.

– Żyjesz. Mój czar cię tylko uśpił. Wyglądałeś na trupa, więc żołnierze dali ci spokój.

– Kto nimi dowodził? Varatchi?

Przytaknęła.

Byłem w pełni sił, nie doskwierała mi też żadna z odniesionych ran, niemniej nadal wolałem leżeć i odczuwać przyjemność z głaskania.

– Jak się to skończyło?

– Żołnierze załadowali wszystkich rannych na wozy i odjechali. Szukali mnie, ale bez czarownika, a przynajmniej bez niektórych magicznych przedmiotów nie mieli żadnej szansy. Wybudziłam cię i opatryłam rany. W twoim wypadku poszło mi łatwo. To wszystko.

– A co z moją bronią? Zwalczyła jego czary?

– Tak. Może powinnam ci to powiedzieć wcześniej: w gruncie rzeczy jesteś czarownikiem. Zresztą twój ojciec też nim był. Tyle że w ogóle nie korzystasz ze swego talentu, wprost przeciwnie, twoja świadomość tłumi go tak, że nie zdajesz sobie sprawy z jego istnienia. Jednak gdy robisz coś, na czym bardzo ci zależy, podświadomie sięgasz po elementy magii. Nie wiem, jak się to dzieje, bo moja wiedza o tych sprawach jest wciąż mała, ale znakomitym przykładem są twoje miecze. Po tylu pojedynkach nie miały ani jednej szczyrby. No i ty sam. Ile razy byłeś już ranny? Bez

liku. Masz jakieś trwałe urazy? Nie. Blizny? Raptem kilka.

– Po prostu moje ciało dobrze się goi.

– Być może – zgodziła się. – Lecz kiedy cię leczyłam, nie musiałam korzystać z własnej mocy, wystarczyła mi magia nagromadzona w tobie.

Wygląda na to, że mój ojciec nie bez powodu spłonął na stosie. Ale i tak im tego nie wybaczę.

– Czyli musisz być bardzo dobrą czarownicą – napomknąłem oględnie.

– Chyba tak. Na razie umiem niewiele, ale Gytham twierdził to samo, no a dzisiaj poradziłam sobie z paroma starymi sztuczkami. Ty się mnie boisz?

– Nie – potrząsnąłem głową i usiadłem. – Muszę się jeszcze dowiedzieć, o co tu chodzi, przejrzeć zamiary Varatchiego. Tylko zobaczę, co zrobi z tymi wozami i wrócę – dodałem.

Opisawszy statek, powiedziałem, żeby dzień poczekała tam na Ochinota i na mnie. A gdyby nie zjawił się żaden z nas, niech odpływa sama. Tego, że da sobie z kapitanem radę, byłem pewien.

Przez otwarte drzwi jednego z domów wyjrzał nieufnie łyсы grubas. Za innymi oknami również zaczynało się coś dziać i chwilę później ulica była pełna ciekawskich, do tej pory roztropnie ukrytych w piwnicach swoich domostw. Najwyższy czas stąd zniknąć. Co by było, gdyby przypadkiem wrócił któryś z ninjów Varatchiego? Na przykład sam Nevis Dell? Bestia strachu wylazła ze swojej nory i zagnieżdziła się gdzieś w okolicy mojego żołądka, a po plecach przeszły mi ciarki.

– Stało się coś? – spytała natychmiast Tril. – Pobladłeś.

Niesamowite. Twarz mam pokiereszowaną, pokrytą niezliczonymi strupami, ranami i otarciami, a ona to zauważyła! Podniósłszy się, pomogłem jej wstać. Znów była mała, taka, do jakiej przywykłem.

– Zmykamy, zaraz tu się zrobi gorąco. – Wskazałem pierwszych śmiałków przeszukujących trupy. – Jesteśmy umówieni, spotykamy się na statku – powiedziałem na pierwszym skrzyżowaniu, gdzie nasze drogi się rozchodziły. Mój uśmiech miał jej dodać otuchy.

Jakiś czas patrzyłem za nią. Szła szybko, kasztanowe włosy kołysały się na jej karku, powoli znikająca w szarówce. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że nadal czuję smak jej warg, a na

pożegnanie bezwstydnie klepnąłem ją w biodro. Człowiek chyba sobie nie powinien pozwalać na takie gesty wobec czarownic, bo mogłyby go jeszcze obrócić w popiół, ale diabli wiedzieć czemu, nie bałem się wcale.

No, pora na mnie. Tropienie było dość łatwe, ponieważ ranni na wozach zostawiali na bruku wyraźny krwawy ślad, ponadto kolumna trzymała się tych najszerszych, czyli najbardziej przejezdnych ulic. Po pół godzinie stało się jasne, że chcą się wydostać z miasta.

Zabudowa stopniowo robiła się coraz rzadsza, a domostwa sprawiały wrażenie zaniedbanych. Wolne połączenie miejscowej nieurodzajnej ziemi porastały cierniste krzaki oraz inna mało wymagająca roślinność. Rozwidniło się już zupełnie, więc rzucałem się tu w oczy niczym nosorożec w królewskim ogrodzie. Niedobrze. Gdyby ludzie Varatchiego wracali tą samą drogą, wpadłbym im prosto w łapy. Na szczęście brukowana ulica wkrótce się skończyła, przechodząc w głębokie koleiny, wijące się między okolicznymi wzgórzami. Idąc wzdłuż nich, nie spuszczałem z oczu śladów.

Na niebie ani obłoczka, słońce prażyło, zanosilo się na upalny dzień. To i dobrze, bo ciepło nigdy mi nie przeszkadzało, a w ostatnich dniach wymarzęłem się już dosyć. Zachowując ostrożność, żeby nie zostać zauważonym, wspiałem się na szczyt niskiego pagórka. Na dnie dolinki za nim stało kilka wozów bez koni, a obok nich leżało coś jeszcze. Kryjąc się za krzakami, podszedłem bliżej i wtedy ujrziałem ludzkie ciała, ułożone w parę zgrabnych stosów. Rozpoznałem niektórych ludzi Kurgana i Fauntleta, ale byli tam też tacy, których przedtem nie widziałem. Część w pancerzach cesarskiej armii, zbroje pozostałych były jakies dziwne, pewnie cudzoziemskie. Wydawało się, że trupy pod spodem przebywają na tamym świecie dłużej niż te na wierzchu. Co to ma znaczyć? Wozy były puste i w nędznym stanie, być może już się nie nadawały do dalszej jazdy.

W trakcie dalszych oględzin odkryłem jedną z samopowtarzalnych kusz Fauntleta, stwierdzając ze zdumieniem, że łączysko było przymocowane byle jak i najwyraźniej nieużywane podczas strzelania. Strzały wylatywały z dziury w kolumnie – dłuższej i masywniejszej niż w wypadku zwyczajnych kusz. W górnej części znajdował się wyłożony metalem otwór, miejsce na magazynek, którego jednak nigdzie nie znalazłem. Pachniało to

wszystko czarami, ale w ostatnim czasie chyba już się do nich zdażyłem przyzwyczaić.

Bzyczenie much było coraz głośniejsze, na niebie pojawiły się pierwsze kruki, dostrzegłem też parę kojotów. Wszystkie sprawdzały miejsce uczty, czekając, aż sobie pójde.

– Na pomoc!

Głos był tak słaby, że w pierwszej chwili potraktowałem go jak wytwór własnej wyobraźni, niemniej ruszyłem w tamtą stronę i kilka kroków za ostatnim wozem znalazłem leżącego aptekarza Bapeta. Miał na sobie zbyt wielką kolczugę ze wzmocnioną warstwą na piersi, a z lewego boku, tuż pod żebrami sterczała końcówka strzały.

– Pomocy! – powtórzył i otworzył oczy.

Jemu już nie można było pomóc. Błady jak kreda, oczy miał zapadnięte, bezkrwiste, niemal niewidoczne wargi. Stracił zbyt dużo krwi, ponadto ta cholernie głęboka rana na pewno mu rozharatała wątrobę. To cud, że jeszcze żył.

– Co tu się stało? – zapytałem.

Nie widzę was – rzekł z oczami wbitymi we mnie. Już myślałem, że to jego ostatnie słowa, jednak po chwili ciągnął dalej:

– Przyszli dzisiaj w nocy. Magno, mój ochroniarz, zabił dwóch, ale potem zostawił mnie, a sam uciekł. Wydaje mi się, że pracował też dla kogoś innego. Dotarliśmy tutaj. Wszystko mieli zorganizowane. Przyjechało mnóstwo wozów wyładowanych bronią i czymś jeszcze. Cesarscy żołnierze wciąż zwozili następnych ludzi, rannych i zdrowych. Wszyscy byli spętani. Wkładali im broje, a potem do nich strzelali. Dowodził taki wysoki, chudy człowiek, który...

Zaniósł się kaszlem, a z rany pociekła mu strużka rzadkiej, jasnoczerwonej krwi.

– ...który sprawdzał wytrzymałość różnych pancerzy i z jakiej odległości można je przestrzelić. Wszystko sobie notował. Jedną z broni próbowali rozłożyć, ale ten człowiek...

Kolejny atak kaszlu, źrenice uciekły aptekarzowi pod powieki.

– ...przyplącił to życiem. Potem przesłuchali mnie, ustawili przed wozem i strzelili z takiej małej kuszy. Ocknąłem się na stercie trupów i zanim przynieśli następnego, korzystając z ciemności, odczołgałem się aż tutaj.

Bestia strachu w moim brzuchu napęczniała. Była oślizgła,

a przy każdym jej ruchu oblewało mnie na przemian przenikliwie zimno i gorąco. O co tu, do cholery, chodzi? Jak Varatchi, arystokrata i emisariusz cesarza, mógł zrobić coś takiego? I dlaczego? W co ja się wpakowałem?

– O co was wypytywali?

– O nudrog. Nie uwierzyli, że jestem wysłannikiem aptekarskiej gildii. Miałem go kupić po korzystnej cenie. To dobre lekarstwo, uspokaja i pomaga się skupić. Magno musiał o tym wiedzieć więcej niż ja. Często myślę na głos i bywało, że się z moich wniosków wy...

Umarł w pół słowa.

Zostawiwszy go na miejscu, niezwłocznie ruszyłem do miasta. Idąc tutaj, nie natknąłem się na nikogo. To znaczy, że ludzie Varatchiego wybrali inną drogę, a więc spotkanie z nimi raczej mi nie groziło. Niczego tu nie rozumiem, ale jedno jest pewne: im szybciej stąd wszyscy znikniemy, tym lepiej. Ostatnimi czasy życie ludzkie w Strefie traciło na wartości. Szedłem bez oglądania się za siebie, słysząc przy tym, jak krakanie kruków staje się częstsze i głośniejsze. Zdawało mi się, że w ich głosach brzmi radość.

Muszę iść do domu Leermana i zabrać stamtąd Ochnota. Robiłem się coraz bardziej podejrzliwy, w miarę jak na ulicach przybywało ludzi. Jaka szkoda, że nie mam oczu w tyle głowy. Dobrze, że przynajmniej część ninjów Varatchiego już odjechała. Korzystając z napotkanego wolnego powozu, dotarłem na miejsce.

Rozdział 29

Ofiary i oprawcy



Za dnia dom Leermana wyglądał lepiej niż nocą. Dom bogatego człowieka, który lubi wygody. Przy drzwiach stał tylko jeden lokaj w liberii. Na mój widok nawet nie mrugnął okiem, chociaż musiałem wyglądać okropnie: zakrwawiony, osmalony i w wielu miejscach poszarpany płaszcz, twarz przypominająca rozgniecionego arbuza.

– Idę do pana Ochinota, gościa pana Leermana – rzekłem, zastanawiając się, czy wyrzuci mnie od razu, czy też pójdzie po czyjaś radę. A ja za wszelką cenę musiałem wejść do środka. O dziwo, doczekałem się odpowiedzi:

– Poczekajcie w saloniku, za chwilę ktoś po was przyjdzie. – Zrobiwszy mi przejście, pociągnął za sznur zwisający przy drzwiach.

Wszedłem do holu zastawionego stołami, kanapami oraz mnóstwem innych mebli, mającym umilić gościom czas oczekiwania. Nie usiadłem jednak, ponieważ wszystkie te przepysznie zdobione sprzęty zdawały się być nazbyt kruche. Rozejrzawszy się ukradkiem, za oparciem jednego z foteli ujrzałem wystającą głowę: Bysty Brou, najlepszy zapaśnik, jakiego nosiła ziemia. Ktoś okrył go narzutą, ale materiał zsunął się na bok. Na jego mocnym karku widniała ciemnoczerwona pręga, ślad po duszeniu.

Dobylem siekiery. Obrót i rzut we właśnie nadchodzącego, uśmiechniętego wartownika. Wbiła mu się dokładnie w środek piersi, uśmiech na jego twarzy zastygł. Dostrzegłszy kątem oka jakiś ruch po lewej, instynktownie zasłoniłem się przed ciśniętym nożem, jednocześnie wstrzymując oddech. W samą porę, bo inaczej nałykałbym się białego dymu. Diabli wiedzą, skąd się tu wziął.

Znaleźliśmy się niedaleko siebie, napastnik ze swoim smukłym mieczem. Ciął skośnie z góry, szpic drasnął mnie w pierś, lecz zanim

zdążył powtórzyć atak, złapałem go za nadgarstek i walnąłem mocno pod żebra.

Jakiś dźwięk za moimi plecami. Staram się zrobić unik, cios ześlizguje się po czaszce tak, że cały impet łąduje na barku. Zadaję jeszcze jedno uderzenie, lecz gdy próbuję się cofnąć, obrywam znowu i zapadam się w nicość. Dlaczego zawsze tłuką mnie po głowie?



Stoję, łańcuchy wrzynają mi się w ręce, a stawy ramieniowe protestują przeciwko nienaturalnej pozycji.

Po chwili zrozumiałem: łańcuchy kaleczą żywe mięso, a ręce bołą, bo nogi nie znajdują oparcia. Warto by ulżyć umęczonym ramionom. Tylko niechże te kolana przestaną się pode mną uginać. No, wreszcie po bólu. Ale co z moją głową? Zaraz pęknie.

Przenieśli mnie do piwnicy, która najwyraźniej już kiedyś służyła jako więzienie. Prócz oliwnych kaganków, rozwieszonych na ścianach, pomieszczenie rozjaśniał ogień w stojącej pośrodku blaszanej wannie. Ruszt był rozpalony do czerwoności, dym szedł prosto w górę, lecz i tak było go w powietrzu na tyle dużo, że gryzł w oczy.

– Już się bałem się, że nie żyjesz. Wisiałeś tak bardzo długo – rozległ się czyjś głos.

Wykręciłem głowę, a kręgi szyjne wyraziły ostry sprzeciw. Ochnot stał plecami do ściany, z rękami w okowach i rozłożonymi na boki. Jego pozycja pewnie się nie różniła od tej mojej.

– Co się właściwie wydarzyło? – zapytałem. Wszystko, co robiłem, zrobiłem źle. Byłem muchą zaplątaną w pajęczą sieć. Do intryg trzeba być człowiekiem dużo sprytniejszym niż ja.

Ochnot, błędząc wzrokiem po pomieszczeniu, tylko wzruszył ramionami. Powinien być przestraszony, on jednak zdawał się być optymistyczny jak zawsze.

– Nigdy bym nie sądził, że tak uczciwy kupiec, jakim jest pan Leerman, pod swoim domem ma więzienie z katownią – wyraził się o miejscu naszego pobytu.

Rozejrzawszy się, przyznałem mu rację. Była tu ława sprawiedliwości, krążki do wciągania pod sufit więźniów

związanych w kij, różne metalowe narzędzia tortur, dyby. Rozżarzony ruszt też chyba nie służył do pieczenia prosiaków.

Bestia w moich trzewiach nabrała ostatecznych rozmiarów. Oblediał mnie prawdziwy strach i mimo że drżałem z zimna, czoło natychmiast zrosił mi pot. Uzmysłowiłem sobie, że jestem bez zbroi, tylko w spodniach i butach, podczas gdy moja siekiera, pancerz oraz płaszcz walają się nieopodal w kurzu.

– A to znaczy, że pan Leerman nie jest tym, za kogo się podaje – dokończył Ochinot rozmyślania.

W półmroku po prawej zgrzytnęły drzwi, światło z zewnątrz pokazało dotychczas niewidoczną część lochu. Do środka weszło czterech mężczyzn, wśród nich jeden spętany. Tego gdzieś już widziałem.

– Panie Leerman, miło mi, że znowu się widzimy! – rzekł głośno Ochinot.

Oszalał, a może był to jego sposób na opanowanie lęku. Ja nic takiego nie miałem. Bałem się, wiedząc, że w walce z sobą samym nie wygram na pewno. Zaczęły mi się trząść ręce. Mężczyźni, którzy wprowadzili Leermana, byli typowymi ninjami: czarny jedwab, rękawice, ciche mokasyny, twarze bez wyrazu oraz ruchy drapieżców. Ludożerczych drapieżców.

– Zaczniemy od tego – rzekł facet z cienką niczym włos blizną na szczęcie, wskazując Leermana. – A ty, Guss, dokończ przeszukiwanie domu – nakazał jednemu z kompanów.

Będziemy wam zadawać pytania. Pamiętajcie, że wiemy już dużo, więc każde kłamstwo będzie was bolało. Czy to jasne? No, zacznijmy od prostych spraw – rzekł Leermanowi, po czym zabrał się do pracy.

Leerman był twardzielem i to większym, niż można by się spodziewać po kupcu. Wytrzymał wbijanie drzazg pod paznokcie, podobnie jak ich zrywanie. Przy łamaniu łokcia wprawdzie zemdłał, ale nadal nie puścił pary z ust. Wytrzymał nawet wtedy, gdy z jego grubego brzucha zrywali cienkie paski skóry.

Ochinot i ja przyglądaliśmy się temu, zagryzając wargi do krwi, było bowiem jasne, że prędzej czy później czeka nas to samo. Rzuciłem okiem na kajdany Ochinota. Łańcuchy sprawiały wrażenie nowych i mocnych, natomiast kółka w ścianie, do których były przymocowane, zdawały się być starsze i zardzewiałe. Wciąż jednak

chodziło o kawał grubego żelaza. Trzeba było coś z tymi więzami zrobić, nie ma wyjścia. Zaparłem się pierwszy raz, czując, jak żyły mi pęcznieją, a mięśnie wypełnia krew. Poza tym nie zaszła żadna zmiana, ale i tak było to lepsze niż pozwalać, by zżerał mnie własny strach – bestia, która harcuje w moich trzewiach, pchając żołądek aż do gardła.

Z przyniesionej ze sobą torby ten z blizną wyjął przedmiot podobny do knebla. Już to gdzieś widziałem. Tak, to tak zwana gruszka. Ma specjalny mechanizm na śrubę. Kiedy się ją dokręca, całość zaczyna się rozwierać.

– Wygląda jak przydatna w podróży zabawka. Zobaczymy, ile potrafi – rzucił niby obojętnie do Leermana oraz do nas. Dobroduszny facet, co to sobie lubi pogadać o narzędziach pracy.

Dobrze wiedział, że później, gdy zabierze się za nas, dzięki temu przedstawieniu zaoszczędzi sobie sporo trudu. To zajęcie najwyraźniej sprawiało mu przyjemność – w odróżnieniu od kompana przez cały czas zachowującego kamienną twarz. Wepchnęli Leermanowi owalną gruszkę do ust, a z ich rozmowy zrozumiałem, że ustawili ją w poprzek. Gdy wyłamali mu garść zębów, Leerman pękł i gdy tylko przebrzmiało echo jego rozpaczliwego krzyku, wyjawiał wszystko. Słuchałem osłupiały, jak kolejne elementy układanki zajmują swoje miejsca. Sprawy okazały się jeszcze bardziej złożone i zagmatwane, niż sądziłem. Pan Leerman tak naprawdę był Hartem, jednym z trójki byłych złoczyńców. A zatem Drexler Belfont spartaczył oba zabójstwa.

Ćwierć wieku wcześniej zdobyli wspólnie jako taką pozycję w miejscowym półświatku. Później Gytham przypadkowo odkrył czar umożliwiający zmienianie snów w nocne koszmary. W ukartowane koszmary. Po trzech miesiącach działania uroku ówczesny gubernator stał się kompletną ruiną, gotową dać wszystko człowiekowi, który by go uleczył z rzekomej choroby. Zamiast pieniędzy zażądali przywilejów handlowych, przykrywki dla swoich machlojek. Postępowali bardzo podobnie jak i teraz. A jednak nie udało im się zalegalizować większości dochodów, tak więc w razie opuszczenia Strefy ponieśliby wielkie straty.

Drexler załatwił to po swojemu: pozbył się współników, po czym zgodnie z prawem zapłacił cesarzowi należną mu kwotę. Później, już jako arystokrata, zabiegał o gubernatorstwo w Strefie,

dobrze bowiem wiedział, ile pieniędzy można tu zarobić, nawet legalnie. Będąc przekonany, że Gytham i Hart nie żyją, nie bał się niczego. Ale spałał to.

Hartowi zabrakło parę lat, zanim w nowej postaci zanego kupca odbił się od dna. Równolegle jednak, działając bardzo rozważnie, zorganizował gang, stawiając na jego czele bezwzględneho, pozbawionego fantazji człowieka, który spełniał każde jego polecenie.

Jakiś czas potem do Cevinu przybył nowy gubernator, syn Drexlera. Hart, a właściwie już powszechnie szanowany pan Leerman, na podstawie strzępków informacji z opowieści Montemera ustalił, kim w rzeczywistości jest ojciec młodego arystokraty. I zapalał żądzą zemsty. Chciał doprowadzić do oskarżenia rodu Belfontów o przestępstwa podatkowe, których cesarz nie wybaczał nigdy, dzięki czemu Hart zarobiłby ogromne pieniądze. Czekał więc na okazję do szantażowania nowego gubernatora. Byłoby to właściwie powtórzenie starej sztuczki. Próbował, co tylko możliwe, dyskretnie oferując młodemu arystokracji jabłka z ogrodów zakazanych rozkoszy.

Wreszcie pojawił się nudrog, tajemniczy narkotyk, który w razie przyjmowania dużych dawek zmieniał niektórych mężczyzn w seksualnych sadystów. Wystarczyło zorganizować orgię, podczas której została zabita kobieta ze znacznego rodu, i Montemer Belfont wpadł w potrzask.

Dla niepoznaki Leerman „stworzył” paru kupców, którzy na handlu z gubernatorstwem zarabiali dla niego masę czystych pieniędzy. Jednak sytuacja się skomplikowała. Do nielegalnych interesów wmieszał się drugi z synów Drexlera, żądając dla siebie coraz więcej władzy. Co gorsza, ni stąd, ni zowąd, zjawił się Varatchi, cesarski wysłannik, który przy pomocy ninjów oraz ich bandyckich metod rozbił klan Kurgana i po przesłuchaniu jednego z jego przybocznych dotarł do samego Leermana.

– To już chyba naprawdę wszystko – skinał głową ten z bliźną, gdy Leerman, czyli Hart, zakończył spowiedź.

Po czym popatrzył w naszą stronę:

– Od którego mam zacząć?

Nagle w jego dłoni błysnął nóż. Pchnąwszy okaleczonego mężczyznę w pierś, przyglądał się z upodobaniem, jak z rany sączy

się krew zmieszana z pęcherzykami powietrza, a Leerman rzezi.

Odwzajemniłem spojrzenie, dołączając pogardliwy uśmiech.

– Tego dużego nie. Sam Dell kiedyś się z nim mordował. Wył, beczał, zeszał się i zeszczał, ale nie powiedział niczego – rzekł drugi ninja.

Leerman zamilkł, miał już to za sobą. Jak bardzo mu zazdrościłem! Tylko o co, do diabła, będą nas wypytywać? Wątpię, żebym wiedział o czymś, co by się im przydało.

Ten z blizną wyjął z kieszeni kurtki małe, wąskie pudełeczko, po czym je otworzył. Oho, igły. Cienkie, niektóre niczym włos. Jak coś takiego można w ogóle wykonać? Nakłuwa się nimi określone miejsca ciała, zadając ból przekraczający daleko granice cierpienia wywołanego prymitywnymi torturami, podczas których płynie krew. Widziałem mężczyznę z trzema srebrnymi igłami, wbitymi głęboko w czaszkę. Cały czas żył, ale wystarczyło wyciągnąć jedną i zakrzyczał się na śmierć.

– Od tamtej pory zdobyliśmy kolejne doświadczenia – rzekł oprawca, oglądając zawartość pudełka. – Osobiście wymyśliłem kilka nowych sztuczek. Sam nie wiem, chyba się zrobiłem trochę za miękki.

Tymczasem jego kompan już odwiązywał Ochinota, przedtem jednak spętał mu nogi, a na głowę założył coś w rodzaju metalowego jarzma, które, boleśnie uciskając kark, uniemożliwiało wykonanie jakiegokolwiek gwałtowniejszego ruchu.

Chwilę potem nagi Ochinot leżał skrępowany na stole, czerwonym od jeszcze niezaschniętej krwi Leermana.

– Okropnie lubię gotować – powiedział bezsensownie. – Ostatnio udał mi się faszerowany dzik z brusznicami. – Zrobił rozmarzoną minę.

– Od kóregoś z was – rzekł oprawca z blizną – chcę odpowiedzi na jedno jedyne pytanie: gdzie jest ta mała czarownica, która zabiła Elopa Boona? Ma dla cesarza większą wartość niż dziesięć wozów wyładowanych złotem.

Rozdziawiłem gębę. Jeszcze cały dzień Tril ma na nas czekać na statku. Świat jest niesprawiedliwy, to wiem już od dawna, ale dlaczego muszą cierpieć także ci, którzy na to w ogóle nie zasługują? I czemu zawsze są nimi ludzie, których kocham?

Zacisnąwszy zęby, naprężyłem łańcuch. Ochinot wytrzyma

raptem parę minut, a później wyjawi, gdzie znajdują Tril. Trudno mieć do niego pretensję, bo mój opór chyba byłby nawet krótszy.

Ten z bliźną wyjął z ognia rozżarzony do czerwoności pręt, po czym przytknął do wydatnego brzuszka.

Jęk bólu odbił się od ścian, nogi Ochinota podskoczyły konwulsyjnie, niczym łapki królika, kiedy mu się niewprawnie przetrąci grzbiet. Cofnąwszy pręt, oprawca przez chwilę przyglądał się kształtowi wypalonego odcisku.

– No więc? Gdzie jest – zapytał.

– Ta pieczeń smakowała wyśmienicie, częstowałem nią Alessandrę. Była w sukni z gorsetem, a włosy miała ufarbowane na rudo. Pachniała różami i czymś jeszcze, czymś takim orzeźwiającym – ciągnął Ochinot swój monolog z oczyma utkwionymi w suficie. Przez jego twarz przemknął cień uśmiechu.

Ninja zaklął. Wyciągnął z ognia następny pręt i przycisnął go do delikatnej skóry w pachwinie. Naprężyłem się znowu.

Gdy wycie Ochinota ucichło, ze stropu posypał się pył.

– Gdzie jest? – zabrzmiało to samo pytanie.

– Kiedyśmy skończyli jeść i dopili wino, jałem rozpinąć jej gorset. Alessandra ma piękne piersi, a ja nie lubię, kiedy coś je tak tłamsi. Ale ubóstwiam to wyzwalenie... – Ochinot wciąż gadał swoje.

Wyteżyłem wszystkie siły. Naprężenie i poluzowanie, i znowu, i jeszcze raz to samo. Jeśli człowiek ma w sobie cierpliwość oraz siłę, jest w stanie zmęczyć żelazo. W tym celu trzeba je przynajmniej trochę nadwerżyć, bo inaczej nic z tego. Myśląc o kółku za moimi plecami, zardzewiałym i wbitym w ścianę, naprężyłem się i luzowałem. Raz, dwa, raz, dwa... Serce waliło, w skroniach pulsowała krew, od pękających w oczach żyłek świat zrobił się czerwony. Nie wolno mi omdleć, muszę rozerwać to przeklęte kółko! Tymczasem Ochinot toczył swoją beznadziejną walkę z dręczycielem, jednak wciąż nic nie zdradził. Oprawca zaczął się posługiwać igłami. Musieli małego człowieczka przywiązać mocniej, ponieważ szarpał się tak, że zerwał sznury. W przerwach, które robili tylko po to, by sprawdzić, czy już go złamali, opisywał ukochane kobiety – ich bieliznę, zapach, smak.

Czas płynął. Naprężyć i popuścić. Krzyk, cisza, ból, cisza, krzyk.

Skrzypnęły drzwi i do środka wszedł Guss, prowadząc przed sobą małą postać. Od bioder w górę była związana niczym mumia,

w miejscach zakrywających oczy miała pieczęcie zdobione jakimiś reliefami, a w ustach już znany mi knebel.

– Możecie przestać! Dopadliśmy ją w mieście! – krzyknął ninja radośnie.

W tym momencie kółko puściło. Zdążyłem się jeszcze odbić i spadłem na tego z blizną. Przeturlawszy się wraz z nim do ognia, przyduśiłem mu twarz do rozżarzonego rusztu. Klnąc, drugi ninja poczęstował mnie kopniakiem w skroń. Pociemniało mi w oczach, ponieważ jednak pięta otarła się o czoło, zdążyłem złapać go za stopę. Przypiekany zawył, próbując się jednocześnie wyrwać. Przyduśiłem go jeszcze mocniej, zaciskając drugą rękę na kostce. Trzasnęły kości. Zwiększyłem ucisk i między moimi palcami zaczęła płynąć krew. Guss z mieczem ruszył na mnie. Nagle w lewej piersi utkwił mi shuriken. Puściwszy tego z blizną, rozejrzałem się za siekierą – była zbyt daleko. Ni stąd, ni zowąd znalazła się w mojej ręce. Świst klingi i na moim torsie pojawiła się krwawa ryna, lecz w tej samej chwili Guss runął na plecy z rozplataną czaszką.

Wyciągam rękę i... znowu mam w niej siekierę. Już wiem, na czym polega jej magiczność: słuchając woli właściciela, wraca do niego. Puściwszy wciąż trzymaną kostkę, odepchnąłem ninję od siebie.

– Zmiażdżyłeś mi kości – wystękał, ale nie odważył się wstać.

Pokręciłem głową.

– Nie. Ja cię zabiłem – powiedziałem. I w tym momencie była to prawda.

Ten z blizną zataczał się, obmacując dłońmi swoją spaloną na węgiel twarz. Żar sprawił, że wypłynęły mu oczy. Stanąłem przed nim.

– Myślałem, że wy, ninje, umiecie walczyć nawet ślepi – warknąłem, po czym wziąłem z ziemi miecz Gussa i jednym cięciem skróciłem go o głowę.

Najsilniejszy przypływ furii już minął, ochłonałem nieco, powściągając w sobie morderczą bestię. Podniósłszy Tril z miejsca, gdzie leżała popchnięta przez Gussa, oswobodziłem jej ręce. Resztę więzów mogła zdjąć sama, więc zająłem się Ochintem.



– To było niesamowite! Nigdy bym nie uwierzył, że coś takiego w ogóle jest możliwe! – szepnął, patrząc na mnie. W jego spojrzeniu został ledwie ognik dawnej wesołości.

– Masz kilka paskudnych ran, ale nie na tyle poważnych, żebyś się nimi przejmował – pocieszyłem go, zabierając się do uwalniania z więzów.

Pokręcił właśnie wyswobodzoną głową.

– Nie, nie. Już od dzieciństwa mam słabe serce. Lekarze przestrzegali mnie przed nadmiernym wysiłkiem. Obawiam się, że nie wytrzymało. Ale dobrze było...

Nie dokończył. Król życia, największy twardziel, jakiego kiedykolwiek spotkałem, mój jedyny przyjaciel umarł mi na zbroczonym krwią stole tortur. A ja nie potrafiłem go uratować.

– Nie możesz mu pomóc? – zwróciłem się do Tril, która tymczasem uwolniła się ze swego kokonu.

Stanąwszy obok, położyła dłonie na jego torsie.

– Ma poważne obrażenia wewnętrzne. Ich leczenie zabrałoby mi kilka godzin, a to znaczy, że mózg od dłuższego czasu byłby już martwy.

Zamknąwszy Ochinotowi powieki, zacząłem wkładać koszulę.

Czułem się wypalony, niepotrzebny, moje życie nie miało żadnego sensu.

W sumie nic nowego.

– Chcę cię o coś poprosić – powiedziała cicho, patrząc mi w oczy.

Czekałem. Zrobiłbym dla niej wszystko na świecie. Wszystko, co było w mojej mocy.

– Nevis Dell z ładunkiem prochu wyrusza pod zachodnią tamę. Zamierza ją wysadzić w powietrze.

– W ten sposób doprowadzi do zalania kilkuset kilometrów kwadratowych łądu i zabije setki tysięcy ludzi. Co mu z tego przyjdzie?

– Nie mam pojęcia, ale podsłuchałam rozmowę jego ludzi. Spieszą się. Mieli mnie odnaleźć i uciec stąd. Termin upływa im za parę godzin.

– My też powinniśmy się stąd urwać, i to jak najszybciej – stwierdziłem.

– Proszę, dokończ go i powstrzymaj! A najlepiej zabij – dodała

cichym głosem.

W gruncie rzeczy było to logiczne. Chciała, żebym się przeciwstawił człowiekowi, którego się bałem, który był moim nocnym koszmarem, złamał mnie, wdeptał w ziemię.

Zrobiłbym dla niej wszystko na świecie, wszystko, co tylko mogłem. A jeśli chodzi o całą resztę, mógłbym przynajmniej spróbować.

– Pojadę za nim – zgodziłem się – ale powiedz mi, czemu nie możemy uciec razem i zostawić te bezsensowne krwawe rozrachunki ich własnemu losowi?

– Musimy uratować tutejszych mieszkańców – odparła, jakby w naszym świecie troska o innych była czymś najzupełniej zwyczajnym.

Z kawałka sznura zrobiłem nowy trok na siekierę, przypasałem też miecz Gussa. Moja zbroja nie nadawała się już do włożenia – żeby ją zdjąć, musieli porzucić większość rzemyków, tak więc teraz przypominała pancerz rozdeptanego raka.

– Co ty zamierzasz?

– Będę nakłaniała ludzi do odejścia, bo nawet jeśli pokrzyżujesz plany Nevisowi, ktoś może spróbować tego samego.

Racja, tylko w jaki sposób chce skłonić tutejszych mieszkańców do porzucenia swoich domostw? No cóż, czarownice pewnie mają własne sposoby.

– Ilu ich jest na zewnątrz? – spytałem, idąc do drzwi.

– Trzech. Ale poradzę sobie z nimi. Szykują transport dużego ładunku prochu, a ja już wiem, dlaczego właśnie on był w wykazie niebezpiecznych materiałów, od których za wszelką cenę trzeba się trzymać z daleka.

Ostrożnie wyrzeliśmy przez okno. Trójka ninjów akurat zaprzęgała konie do wozu wyładowanego beczkami.

– Jest niebezpieczny, ponieważ bardzo łatwo można go zapalić na odległość, co potrafi każdy, kto ma choć odrobinę talentu, czyli niemalże co drugi człowiek. A ochrona tego materiału przy użyciu czarów to strasznie trudna sprawa – wytłumaczyła Tril i zamilkła.

Wnet wóz eksplodował. Podmuch wysadził wszystkie zamknięte okna i drzwi, z góry posypały się dachówki. A kiedy dym się rozpląnął, w miejscu, gdzie stał wóz, widniał głęboki lej. Rzeczywiście niebezpieczny materiał.

– Nie mogłabyś tak samo postąpić z ładunkiem Nevisa? – zapytałem.

– Muszę go widzieć albo przynajmniej dokładnie wiedzieć, gdzie jest proch. – Tril pokręciła głową.

Chwilę później siodłałem konie. Na szczęście stajnia znajdowała się na tyłach domu, więc zwierzęta nawet się specjalnie nie spłoszyły.

– Jedź ze mną. Nie wiem, czy zdołam go powstrzymać – powiedziałem pod wpływem gwałtownego impulsu.

W odpowiedzi znów pokręciła głową. Znając ją już trochę, wiedziałem, że myśli serio.

– Wobec tego najszybciej, jak to możliwe. Proszę – spuściłem z tonu.

Tym razem przytaknęła. Pożegnalny całus i dosiadłem konia. Jeszcze przez krótką chwilę potrzymałem jej dłoń w swojej, po czym ruszyłem.

Rozdział 30

Ostateczna rozprawa



Wyciskałem z wierzchowców siódme poty, w trzech faktoriach zmieniając konie. W jednej z nich jakiś parobek próbował mnie postraszyć kuszą, więc złamałem mu szczękę i zabrałem broń. Nic szczególnego, ale mogła się przydać, ot, choćby do zabicia Nevisa. Na trafienie go z dystansu nadzieja była wprawdzie nikła, ale zawsze jakaś.

Śmierć nie była mi straszna. Jeśli ktoś na nią zasłużył, to właśnie ja, bo zrobiłem w swoim życiu masę złych rzeczy. Lękam się tylko bólu, a Neli Devis jest mistrzem tortur. Jeśli jednak chce wysadzić tamę w powietrze, zostało mi mało czasu, zresztą w bezpośredniej walce przypuszczalnie by mnie zabił. Mieszkańców Strefy, podobnie jak wszystkich ludzi na świecie, mam w nosie. Wcale mi ich nie żal, nie jestem im nic winien. Przez całe życie nikt mi nie pomógł, z wyjątkiem Ochinota. A on nie żyje. Boję się o Tril. Zginie, jeżeli nie dam rady. Wszystkie te myśli kotłowały się we mnie, gdy okładając konia, gnałem na złamanie karku.

Po pięciu godzinach szalonej galopady ujrzałem przed sobą linię północnej tamy. Bezlik usypanych kamieni zatrzymujących wodę po właściwej stronie. Czy to w ogóle możliwe, żeby kupa prochu była w stanie naruszyć taki wał? Przypomniałem sobie jednak lej po wybuchu wozu. Wiedziałem też, że morzu wystarczy szczelina do rozerwania prastarej budowli.

Szukając jakiegoś tropu, jeździłem wzdłuż tamy dwie godziny. Nevis mógł się ukrywać wszędzie, lecz jeśli wiózł proch, musiał mieć wóz. Grunt był miękki, nieco podmokły, więc nie powinienem przegapić śladów kół.

Zmierzch okazał się moim sprzymierzeńcem. Kawałek przede mną, za nierównością terenu ujrzałem odbłask ognia. Zsiadłszy

z konia, ruszyłem w stronę obozowiska, modląc się przy tym o szczęście. W pobliżu tamy nie rosła żadna rośliność, czołgałem się więc kawałek po kawałku, wtulony w ziemię, w grząskie błoto, kryjąc się za każdym większym kamieniem czy też w płytkich zagłębieniach. Psiakrew, że też nie jestem mniejszy! W końcu znalazłem się w odległości piętnastu kroków od ogniska. Siedział tyłem do mnie, coś sobie gotując. Wóz był pusty, widać proch trafił już na swoje miejsce. Jego plecy stanowiły wyborną tarczę.

Wstrzymałem oddech i odłożywszy miecz, wycelowałem starannie. Położyłem wskazujący palec na spuście. Był chropawy, źle oheblowany. Zwolniłem go płynnym ruchem. Jęk cięciwy, potem szczęknięcie stali w zderzeniu z grotem. Zerwał się, zanim strzała zdążyła wylecieć i sparował ją instynktownie. Należał do tych nielicznych, którzy prócz szóstego zmysłu mają też siódmy, a kto wie, może i więcej.

Stałem z mieczem w jednej i siekierą w drugiej ręce. Została mi jeszcze jedna próba.

Patrzył na mnie – takiego go pamiętałem, tak właśnie wyglądał w moich snach. Średniego wzrostu, barczysty, wąski w pasie, z małymi rękami i ruchami łasicy. Stał tyłem do ogniska, więc nie widziałem jego twarzy.

– Nigdy bym nie pomyślał, że cię jeszcze spotkam. Jesteś jednym z tych, co przeżyją wszystko. No, prawie wszystko – poprawił się. Sądząc po drgnięciu skóry na kościach policzkowych, bo tylko na nie padał słaby odbłask, uśmiechnął się. Tak, na pewno. Jego twarz znałem w najdrobniejszych szczegółach. Kiedyś pełzałem przed nim, starając się odgadnąć każde jego życzenie.

– Dlaczego chcesz zalać półwysep i zabić wszystkich mieszkańców? – spytałem o sprawę, która cały czas nie dawała mi spokoju.

Roześmiał się.

– Varatchi nie jest tu z powodu machlojek Leermana i Belfonta. Nie obchodzi go ani złoto, ani kilka martwych dziewczyn. Przyjechał, bo ktoś wypuścił na rynek mnóstwo magicznych przedmiotów i broni. Trzeba je było skupić, żeby nie trafiły w ręce wrogów cesarstwa. Straszna robota! Jak wiesz, duże samopowtarzalne kusze przebijają nawet najgrubszą zbroję z odległości siedemdziesięciu metrów. Potrafisz sobie wyobrazić, co

dwustu strzelców zrobiliby z trzonem imperialnej armii? Cesarscy pancerni staliby się pośmiewiskiem. Varatchi przyjechał, żeby położyć temu kres, ale było już za późno, bo zainteresowało się tym zbyt wielu możliwych arystokratów i królewiatek, tak chętnie snujących wspomnienia o dawnej niezależności. Wiemy, że Fauntlet sprzedał tysiące sztuk ludziom, którzy nie kochają imperium, a ponadto zdobył ogromne ilości materiału do produkcji takiej broni. Już nie dało się tego powstrzymać. Te przedmioty są na półwyspie ukryte wszędzie, w różnych składach i Sekretnych miejscach. Prędzej czy później ktoś po nie sięgnie. Skoro nie może ich mieć imperium, niech więc nie należą do nikogo.

Bez zamachu, za ledwie zginając rękę w łokciu, cisnąłem siekierę. Mierzyłem celnie, lecz zdążył zrobić unik. Te jego ruchy: szybkie, dokładne, płynne niczym nurt wody. Być może czytał w moich myślach, każdy zamiar znał wcześniej, niż wprowadziłem go w czyn.

Ująwszy miecz, jałem go ostrożnie podchodzić z prawej. Płomienie ogniska migotały w nocnym wietrzyku, od czasu do czasu otaczał nas kłęb dymu. To drewno musiał przywieźć ze sobą, ponieważ tutaj nie było nic. Dobył miecza dopiero wtedy, gdy znalazłem się dwa i pół kroku przed nim. Skrzyżowaliśmy klingi, rozległ się szczeł stali. Badaliśmy się nawzajem. Zdumiała mnie łatwość, z jaką trzymał broń.

– Jesteś lepszy niż dawniej, ale to za mało – rzekł. Wtedy zaatakowałem.

Spróbowałem sztychu. Jego blokada, kontra krótkim cięciem z boku i odskok. W ostatniej chwili ratowałem się unikiem, ale sukces był tylko częściowy, bo i tak dziabnął mnie w przedramię – szczęściem cios został złagodzony przez ochraniacz. Zablokowałem atak na twarz, on jednak utrzymał równowagę i odskoczył, jednocześnie zadając cięcie w dłoń. Sparowałem jakimś cudem, po czym, wykonawszy obrót, spróbowałem ciąć go w bark. Zanurkował pod moją klingą i skontrował. Ból trwał krótko, ale i tak straciłem rytm, ledwo ledwo utrzymując się na nogach. Rozcięcie było głębokie, na palcach ręki, którą starałem się przykryć ranę, poczułem strugę krwi.

Tak, teraz już naprawdę nie zostało mi zbyt wiele czasu. Ciąłem wściekle z góry. Zasłonił się, ale impet uderzenia był tak wielki, że

nie przeszedł do kontrataku. Domyśliłem się, co zamierza – będzie czekał, aż opadnę z sił. Pomimo okropnego bólu postawiłem wszystko na atak. Wyłapał jedno z moich cięć w szyję, po czym błyskawicznie natarł, sprawiając, że znalazłem się w bardzo niedogodnej sytuacji, z całkowicie odsłoniętą jedną stroną.

Już nie miałem sił, żeby odskoczyć. Uśmiechając się, zgiął ramię w łokciu i ścięty szpic jego miecza przebił mój triceps, po czym powędrował w głąb ciała.

Tego się można było spodziewać. Byłem przygotowany na ból, na śmierć. Gdy zadawał pchnięcie, zrobiłem skręt tułowia, więc miecz nie doszedł ani do serca, ani do żołądka, tylko gdzieś indziej. Gdzie? Nieważne. Ważne było to, że zdołałem zadać jeszcze jeden cios, ten ostatni. Trafiłem go w bark, rozcinając ochraniacz. Stal przeszła przez obojczyk i dotarła aż do łopatki.

Twarz Della spopieliała. Zachwiał się, miecz wypadł mu z dłoni.

Kto tu się śmieje? Ach, to ja. Śmiałem się, ponieważ to, co czułem teraz, było ledwie namiastką mojego wcześniejszego strachu. Ciąłem go ponownie, tym razem w brzuch, i dopiero potem upuściłem miecz.

Skurczony z bólu, leżałem obok Nevisa, patrząc, jak uchodzi z niego życie, zresztą podobnie jak i ze mnie. Bezskutecznie próbowałem dosięgnąć ognia.

Mrok gęstniał, cienie były coraz bliżej, bliżej mojego serca. Okazuje się, że umieranie wcale nie jest takie straszne.

Nagle przeszył mnie ból. Darłem się wniebogłosy, jęczałem, jednak mój oprawca nie znał litości. W końcu cienie zbladły i ja, powoli oraz niechętnie, zacząłem powracać do światła. Nie chcę, już nie. Naprawdę.

Otworzyłem oczy. Klęczała przy mnie Tril z twarzą wykrzywioną od wysiłku.

– To... to ty mnie tak... katowałaś – wykrztusiłem. Skutkiem niedawnych cierpień moje usta i język nie były całkiem posłuszne.

– Z pomocą twojej i mojej siły nie pozwoliłam ci umrzeć – szepnęła.

Pokręciłem głową, zamierzając powiedzieć „nie powinnaś była tego robić”, uzmysłowiłem sobie jednak, że byłoby to kłamstwo. Chciałem żyć, cholernie chciałem. Razem z nią.

Zerknąłem na Nevisa Della. Żył jeszcze, chociaż na pierwszy

rzut oka musiał już zaliczyć kawał drogi w towarzystwie ślepego przewoźnika. Uśmiechnięty, sprawiał wrażenie zadowolonego. W jednej ręce trzymał dopalający się patyk. Rozejrzałem się natychmiast. Ten uśmiech nie zwiastował nic dobrego. Uśmiech łotrów jego pokroju nigdy nie zapowiada nic dobrego. Wysoko na zboczu tamy dojrzałem pełgające, szybko sunące światelko lontu.

– Tril! – wrzasnąłem, wskazując to miejsce.

Tama eksplodowała.

Rozdział 31

Protektor



Ribenod to wprawdzie wstrętne miasto, wciąż jednak dobre do pijatyki. A co najważniejsze – nie było daleko.

Wychyliwszy kielicha, natychmiast sięgnąłem po następnego. Na tacy przede mną czekał ich równo tuzin. Jeszcze teraz widzę Tril, jak stoi z nogami zapartymi w ziemię, jakby na jej ramionach spoczywał ciężar całego świata. Lecz nie był to świat, tylko morze. Z pomocą magii zatkała dziurę w tamie, mogłem więc obserwować w błękitnej wodzie ławice ryb podpływających, by sprawdzić okno na nowy świat. Początkowo jeszcze mogła mówić i wyjaśniła mi, że do utrzymania magicznej ściany potrzebuje mnóstwo energii, którą czerpie z otoczenia. Wciąż jednak nie posiadała w pełni sztuki czarowania, wobec czego traci niewielką część mocy, przepływającej przez jej ciało. Niewielką, lecz na tyle niebezpieczną, że groziła spalaniem. Chciałem ją stamtąd zabrać, mówiąc, że potem może zaprzestać czarowania. Nie zgodziła się. Później przestała mówić, a bijący z jej ciała żar był wyczuwalny już nie tylko przez dotyk. Zaś przerożeni jej wizjami ludzie, niosąc tobołki z najniezbędniejszymi rzeczami, pierzchali z Półwyspu Dzwon. Rzeka ludzi.

Wypiłem kolejnego głębszego i świat, tak jak to lubię, zrobił się zamglony.

Drugiego dnia pod wieczór kamienie wokół Tril zaczęły mięknąć i lśnić w mroku czerwonym światłem. Nadal mnie słyszała, dawała znaki. A ludzie wciąż maszerowali, niekończący się strumień uciekinierów. Namawiałem ją, błagałem, obiecywałem. Trzeciego dnia stała się topniejącym posągim. Odszedłem jako ostatni. Gdy fale wtargnęły w dziurę, wybuch pary, w którą zmieniła się woda po zetknięciu z żarem, wstrząsnął ziemią.

Następna wódka. Zdaje się, że znów siedzę w knajpie, gdzie wszystko się zaczęło. Skrzypnięcie drzwi. Ktoś wchodzi, ale nawet nie patrzę kto, bo jest mi to obojętne. W kieszeni mam jeszcze parę dukatów. Kiedy już je przepiję, skończę ze sobą. Długi, które dały się uregulować, zostały uregulowane. Ochnot nie żyje, Tril także. A Nikita? Jeśli Fauntlet uznał, że jest mu już niepotrzebna, to też nie żyje. Brakuje mi ich. Potrafiłem zabijać, przebić się przez ulicę pełną uzbrojonych facetów, a nie zdołałem ochronić tych kilku osób, na których naprawdę mi zależało. Jestem do niczego.

Ogromny, gruby gość, alfons tutejszych zdzir, rozglądał się po swoim królestwie. Od naszego ostatniego spotkania jego brzuch jeszcze urósł, a on sam sprawiał wrażenie, że wie dzie mu się dostatnio. Jeden z pijacków podszedł do kobiety, która właśnie siadała przy wolnym stole. Na jej płaszczu perliły się krople deszczu. Aha, to właśnie ona jest tym nowym gościem. Tylko co ją sprowadza do takiej spelunki? Położył jej rękę na ramieniu, wymamrotał coś do ucha, po czym nagle zeszywniał. Między nogami tamtego dostrzegłem odbłysk noża. Nie pisnąwszy już ani słowa, blady wrócił na swoje miejsce. Kobieta zdjęła płaszcz. Skąd ja znam tę lekkość ruchów? Poznałem ją po włosach. Nikita. Już nie tak szczupła, więc ktoś inny mógłby niczego nie zauważyć. Ktoś inny, ale nie ja. Widać było, że dziecko rośnie w niej nadal. Zerknęła na drzwi, jakby w oczekiwaniu na czyjeś przyjście. Uchwyciłem jej spojrzenie.

Było dalekie i nieobecne, podobnie jak tamtej nocy, kiedy się kochaliśmy. Teraz już wiem, co wyraża. Rozpacz i rezygnację człowieka, który nie potrafi dać sobie rady ani z sobą samym, ani ze światem. Odrącony facet wstał od stołu, a z nim paru kompanów. Wyszli na zewnątrz, żeby tam poczekać i pokazać jej, kto tu rządzi. Chyba zdawała sobie z tego sprawę, jednak nie zrobiła niczego. Było jej to obojętne.

Wstałem i niosąc ostrożnie tacę z gorzałką, przysiadłem się do Nikity.

– Witaj – powiedziałem.

Przyjrzała mi się. Po paru chwilach dotarło do niej, kim jestem.

– Straciłam już do niego zaufanie. Ale był ciężko ranny i potrzebował mnie. Nie mieliśmy pieniędzy, żeby się nim zajęli ci najlepsi lekarze. Dotarliśmy aż tutaj, do Ribenod. Poszłam do hrabiego Drexlera – nawiązała do naszej dawnej rozmowy.

Mówiąc, wzięła z tacy kieliszek. Wyjąwszy go delikatnie z jej palców, machnąłem na kelnera:

– Grzane słodkie wino rozcieńczone wodą.

– Nie wolno ci teraz pić gorzałki – powiedziałem, patrząc na jej brzuch.

– Dopadną mnie i zabiją – rzekła nagle. – Nie wyjawiałam mu wszystkiego, jednak wystarczająco dużo, żeby uwierzył, że Filip jest jego synem. Załatwił lekarza, lekarstwa, wszystko. Byłam jego gościem, ale cały czas miałam się na baczności.

Gdy kelner postawił przed nią dzbanek wina, napiła się łąpczywie.

– Wczoraj Filip po raz pierwszy na dłuższy czas odzyskał przytomność. Długo rozmawiał z hrabią. Uświadomiłam sobie, że obaj są tacy sami, bezwzględni i myślący wyłącznie o sobie. Wieczorem nie poszłam spać do siebie, tylko spakowałam rzeczy i czekałam w pobliżu. Po północy nadszedł jakiś obcy człowiek ze sztyletem w ręce. Wszedł do mojego pokoju i zaraz wyszedł. A teraz jestem tutaj.

Zajrzałam jej w oczy. Wyrażały żal. Żal, że gdyby została w swoim pokoju, miałyby to już za sobą.

– Próbowali cię zabić, ponieważ nie mieli innego wyjścia. Za dużo o nich wiesz – powiedziałem.

– Tak – stwierdziła cicho.

Przeszedł koło nas szynkarz, sprawdzając, czy niczego nam nie brakuje. W końcu nie wyglądaliśmy jak zwyczajni goście jego mordowni.

– A może by tak znaleźć jakieś spokojne miejsce w górach, gdzie moglibyśmy wychować małego? Daleko od dużych miast, w okolicy raptem paru sąsiadów... – Pokazałem na jej brzuch, dopiero po chwili uzmysławiając sobie znaczenie własnych słów.

Popatrzyła niedowierzająco.

– Dlaczego miałbyś to robić?

No właśnie – dlaczego? Chociaż zaraz, zaraz. Wiem. To proste i jasne: ona jest na dnie, zrozpaczona, czuje się nikomu niepotrzebnym, gotowym na śmierć życiowym rozbitkiem. Zupełnie jak ja. Ale ja mogę jej pomóc. Jednak nie powiedziałem tego i tylko wzruszyłem ramionami.

– Oboje powinniśmy stąd odejść, i to jak najszybciej. Zwłaszcza,

jeśli zechcemy uszczknąć Drexlerowi trochę złota, żebyśmy coś mieli na początek – rozwinąłem swój plan. – Być może potem go zabiję. Być może.

Nie czekając na odpowiedź, wyszedłem na zewnątrz, by czekającej trójce wyperswadować ich zamiary. Chwilę później wychodziliśmy razem z Nikitą, żeby znaleźć jakąś choćby nieco przyzwoitszą kwaterę. Ponieważ przesiadywałem w knajpie już od południa, po drodze zajrzałem na podwórko, za potrzebą. Rozbryzgujące się o głowę krople deszczu chłodziły przyjemnie, kawałek dalej z przepelnionego koryta chlustała woda. Z sali wyszedł alfons, stanął obok i też zaczął się załatwiać. Sądząc po chwiejnym kroku, miał już niezłe w czubie.

– Wiesz, koleś, kiedyś rozharatałem babę, taką jedną zdzirę – zwierzył się w przypływie pijackiej szczerości. – Darła się jak opętana i mogę powiedzieć, że było to fajne. Przyniosła szczęście, bo od tamtego czasu dziewczuchy się mnie boją, zasuwiają jak trza, więc interes się kręci. A jak czasem której odbije i zacznie rozrabiać, wtedy robię ciach... – Przesunął dłoń wymownie po szyi. – Już mam trzy knajpy, ale przybędą następne. Zobaczysz, koleś, kiedyś będę strasznie bogaty. I to wszystko dzięki jednej zdzirze, uwierzyłybyś? – Kręcił ze zdziwieniem głową.



Poczekalem, az zapnie rozporek.

– Jesteś silny? – zmienilem temat.

– Koleś, co za pytanie? – obruszył się.

– Jeśli się podniesiesz, pozwolę ci odejść – odparłem, po czym rąbnąłem go w żołądek i wykrzywionego z bólu zaciągnąłem pod koryto. – Nie jestem dobrym człowiekiem, ale to i tak nie jest najgorszą rzeczą, jaką w życiu zrobiłem albo jeszcze zrobię – wyjaśniłem i zanurzywszy mu głowę w wodzie, przytrzymałem jedną ręką za mokre kudły. A żeby poczuć się pewniej, drugą złapałem się palika.

Opierał się gdzieś z minutę, później zaczął udawać martwego. Po kolejnych dwóch minutach wrzuciłem go całego do wody. Cóż, różne rzeczy przytrafiają się pijakom.

Kiedy nareszcie zjawiłem się przy koniach, Nikita posłała mi pytające spojrzenie.

– Miałem rozmowę ze starym znajomkiem. Spieraliśmy się, czy dobrze jest być silnym.

– A ty oczywiście twierdziłeś, że tak – zauważyła.

– Mhm. Zresztą w końcu się ze mną zgodził – dokończyłem swoją mową pogrzebową i ująłem cugle.

Epilog



Dokończywszy polerowanie ostatniego kufła, Simon Dolog ustawił go przy pozostałych, zerkając przy tym na towarzystwo drwali wysiadujących tu już od obiadu. Niewiele by dał za to, że wielu z nich, a szczególnie Dag, ma czystą przeszłość i tylko są chropawi w obejściu, ale ostatecznie on też nie był inny. I dawał sobie z nimi radę. Spojrzał z upodobaniem na swoją żonę Reb, jak podaje do stołu. Nie była już płową ślicznotką z wiotką kibicią, za którą wszyscy wodzili oczami. Utyła, zaokrągliła się, wciąż jednak poruszała się z dawną gracją. Lecz i tak każdego wieczoru rozczesywał jej włosy, jak dawniej, chociaż nikomu za nic w świecie by się do tego nie przyznał. Tylko szkoda, że nie mają dzieci. Od momentu powrotu z morza jedynie to mąciło jego zadowolenie z życia, ale zdążył się już z tym pogodzić. Zresztą po dwudziestu wspólnych latach z Reb stracił jakkolwiek nadzieję. Pomyślał o Keli, dziewczynie, którą niemal od pięciu lat zatrudniali jako pomoc kuchenną. Była sierotą i oboje traktowali ją jak własną córkę. Ostatnio zaczęli się przy niej kręcić zalotnicy, z których jeden wpadł mu w oko, zresztą Keli chyba też. Kiedy już postanowi wyjść za mąż, może powinniśmy jej dać jakiś posag, co? Dobry pomysł! Jednak zaraz sobie uświadomił, że zapożyczył go od Reb, która przebąkuje o tym już od kilku tygodni. Roześmiał się w duchu. Zna go i wie, że wprost nic się z nim nie da załatwić. Jest kochana.

Zgrzytnęły drzwi, w sali powiało wilgocią oraz chłodem. Przestrzeń między futrynami całkowicie wypełniła męska postać, potężnie zbudowane chłopisko o byczym karku. Poza dyndającą na biodrze siekierą nie miał innej broni. Z jego krótko przystrzyżonych włosów ściekała woda, masywny, kanciasty podbródek podkreślał stalowoszary zarost. Zmarszczki wokół kącików oczu powodowały,

że wyglądał na nachmurzonego. Właśnie oczy najmocniej przykuwały uwagę – zimne, bezwzględne, wyrachowane. Simon wzdrygnął się.

Mężczyzna jednym spojrzeniem omiółł salę, po czym ustąpił miejsca i jako pierwsza weszła kobieta. Mimo że była wysoka, jej groteskowo duży płaszcz opadał aż na kostki. Na głowie miała męski kapelusz z szerokim rondem. Simon zrozumiał, że obie części garderoby są własnością obcego. Mężczyzna szarmancko odebrał od niej płaszcz i oboje usiedli przy wolnym stole w rogu. Dopiero teraz było widać, że kobieta spodziewa się dziecka.

Simon zerknął na Reb. Skinęła głową. Ona zauważyła to wcześniej. Para nie zachowywała się jak małżeństwo i Dolog założyłyby się o całodzienny utarg, że obcy nie jest ojcem dziecka. Dag szepnął coś swoim kompanom, wzbudzając ich głośny śmiech, po czym wstał i chwiejnym krokiem podszedł do tej dwójki. W przypływie olśnienia Simon już wiedział, co nastąpi. Ten dureń zamierzał obrazić kobietę, za co obcy natychmiast go zabije. Oparłszy się jedną ręką o kontuar, przeskoczył go z łatwością, łapiąc po drodze pałkę z końcówką wypełnioną piaskiem. Dwa kroki, cios w tył głowy i Dag zwiotczał. Simon ostrożnie ułożył ciało na podłodze.

– Zanieście go do stajni i miejcie na oku, bo inaczej powiem wam, gdzie są drzwi! – krzyknął do towarzyszy Daga.

Żaden nie zaprotestował. Następnie podszedł do przybyszów.

– Co podać?

– Cokolwiek ciepłego do jedzenia, byle dużo – powiedział chrapliwie mężczyzna. – A do picia... – Jego wzrok powędrował na półki z flaszkami wódki. – Do picia duży dzban grzanego wina, dwa kieliszki i jeszcze... – Popatrzył na kobietę.

– Mleko, kubek gorącego mleka – uzupełniła.

– Drogie dziecko, a może dodać do niego trochę miodu albo kakao? – wtrąciła Reb.

Simon posłał jej zdziwione spojrzenie. Kakao było drogie, kupował je w mieście jako przysmak wyłącznie dla niej.

Przez twarz mężczyzny przemknął cień uśmiechu, młoda kobieta z wdzięcznością podziękowała.

– Wysoko w lasach kupiliśmy gospodarstwo razem z przyległymi gruntami – wyjawiała.

– Ale w górach raczej się nie da nic uprawiać! A ten dom to rudera! – rzekła niemal wylęknionym głosem Reb.

– My nie chcemy niczego uprawiać, ja byłem... jestem kowalem – odparł obcy.

Simon widział, że tych dwoje przypadło Reb do gustu, co go nawet nie zdziwiło. Ilekroć mężczyzna patrzył na towarzyszkę, łagodniał, stawał się jakby bardziej ludzki.

– W sobotę jest w mieście jarmark, więc nie spodziewamy się żadnych gości – Reb zwróciła się do męża.

Domyślał się, do czego zmierza, miał jednak pewność, że obcy odrzuci oferowaną pomoc. Znał te typy, zresztą kiedyś sam nie był inny.

– Moglibyśmy pomóc przy remoncie – zaproponował. – Roboty jest tam huk, więc na początek każda ręka się wam przyda.

Mężczyzna już chciał odmówić, ale kobieta położyła swoją dłoń na jego. Jakby zaskoczony tym gestem, spojrział na nią, po czym zacisnął palce na jej dłoni.


– To bardzo miłe z waszej strony – uśmiechnęła się.

– Właściwie będziecie naszymi najbliższymi sąsiadami – powiedział mężczyzna w zamyśleniu, wstając z miejsca.

– To Nikita – wskazał swoją towarzyszkę. A ja jestem Bakly.



KONIEC



Bez litości to znakomita rozrywka dla tych, którzy cenią sobie szybkie zwroty akcji, finezyjne opisy mordobicia i potrafią docenić klimat portowego miasta, w którym wojna gangów co dzień zbiera krwawe żniwo.

Jakub Winiarski, pisarz i redaktor
naczelny „Nowej Fantastyki”

Bakly, były gladiator, **obecnie najemnik**, nie przepada za magią. Ta jednak ciągle staje na jego drodze. To przez nią ma **najwięcej kłopotów** i to przez nią musi spłacić pe-wien rodowy dług.

Cóż, najemnik nie ma lekkiego życia, a jego mroczne i **przerażające wspomnienia** jest w stanie złagodzić jedynie wódka. Jakakolwiek, nawet ta najgorszego gatunku, byle pozwoliła zapomnieć o koszmarze przeszłości...

Uwaga! Ilość brutalnych scen może zmrozić delikatne serca niewiast, ale bez obaw, nie jest to książka trafiająca tylko w męskie gusta, panie też znajdą tu coś dla siebie...

Patroni medialni

 **MUZO.FM**

 **WILDIA.PL**



KAWERNA

www.prowincja.net.pl

WYWIADY **NIE** I SWOICH
AUTORÓW
GESIMAJA

 **POLTERGEIST**
POLTER.PL

 **LUBIĘ**
CZYTAĆ

DEMOTYWATORY.PL

 **kulturaonline.pl**

twardziel.pl

 **OKIEM**
NA HORROR



 Polub nas na

